

**ANDY
MCNAB
ODRZUT BRONI**

Część pierwsza

Zair, Afryka Środkowa,
2 października 1985,
godzina 14.27

1

avy rozładował swoją yamahe 175 i pojechał w dolinę na przeszpiegi. Powinien wrócić niebawem, chyba że wpadł w łapy rebeliantów. Szkoliliśmy żołnierzy Mobutu do walki z takimi facetami, wiedzieliśmy więc, że robienie na drutach dziecięcych kapcioszków lub kolekcjonowanie porcelanowych napastrków nie należało do ich ulubionych zajęć.

Kiedy masz do czynienia z ludźmi, którzy rutynowo odcinają maczetami wargi mieszkańcom całej wioski, gdyż doszły ich słuchy, że jeden z nich wyraził się niepochlebnie o prezydencie, to wiesz, że trzeba być przygotowanym na wszystko.

Nasze cztery przedpotopowe, zardzewiałe ciężarówki marki Renault stały rozproszone u podnóża wzniesienia. Gdy tylko dotarliśmy na miejsce, kierowcy natychmiast wyłączyli silniki. Normalnie nie robi się tego w tak starych wozach jak te, bo mogą nie zapalić ponownie, lecz nie mieliśmy wyboru. Zairczycy byli w stanie załatwić dla nas na łapu-capu jedynie dwa tuziny kanistrów paliwa, a te ciężarowy chlały jak Szwedzi na wieczorne kawalerskim.

Było wczesne popołudnie, słońce grzało niemiłosiernie. Muchy gryzły. Te cholery znalazły nas w parę minut i zaczął się nieustanny tajski taniec rąk, aby utrzymać je z dala od twarzy. Wytarłem pot z oczu rogiem przedartego na pół obrusa w czerwonej kratkę, który osłaniał mi głowę i ramiona. Drugą połówkę wykorzystałem do przykrycia mego ukaemu.

Otworzyłem pojemnik i wsunąłem taśmę z nabojami 7,62 mm. Podniosłem podajnik, zajrzałem do pustej komory nabojoyej i palcem usunąłem kilka ziarenek piasku. Telepaliliśmy się po piaszczystych drogach aż z samej Kinszasy i nawet lniany obrus ambasadora nie był w stanie zatrzymać pyłu wciskającego się w każdy najmniejszy zakątek. Nie miało znaczenia, że mój nos i oczy pełne były piasku, ale gdyby dostał się do środka broni, mógł spowodować zacięcie się ukaemu w chwili, w której właśnie bardzo bym chciał, aby wystrzelił.

Uspokojony, że podajnik i komora wolne były od tego syfu, wsadziłem lewą ręką koniec taśmy do podajnika, zatrzasnąłem pokrywę i przywaliłem w nią pięścią; teraz taśma siedziała jak należy. Na koniec potrząsnąłem jeszcze zharataną drewnianą kolbą, aby sprawdzić, czy dwójnóg zaklinował się odpowiednio między dwoma workami piasku ułożonymi na masce samochodu. Nie wiedzieliśmy, ilu rebeliantów znajduje się w dolinie ani jak są uzbrojeni, ale jeśli zainteresują się moimi kraciastościami, chciałem być gotów do odpowiedzi.

Usiadłem i aż skrzywiłem się z bólu. Pokrycia foteli były rozpalone, gorąca też była karoseria i kierownica - po prostu wszystko. Cały przód samochodu był wystawiony na słońce. Mieliśmy tylko godzinę, aby się przygotować, ale zdołaliśmy obnażyć ciężarówkę niemal do kości, aby jak najmniej rzucały się w oczy. Zerwaliśmy osłony kabin, usunęliśmy tylne obramowanie i plandekę. Na miejscu przedniej szyby były teraz worki z piaskiem, służące za platformę strzelniczą i iluzoryczną osłonę przed ostrzelaniem z broni lekkiej.

- Wściekłe psy i Angole... - mamrotał Sam za kierownicą. W jego angielszczyźnie wprost z Glasgow nawet zwyczajne „dzień dobry” brzmiało jak śmiertelna groźba.

-I raczej wściekli Szkoci - poprawiłem go.

Sam i ja nosiliśmy tanie okulary przeciwsłoneczne i stare wełniane rękawiczki, które miały chronić ręce przed promieniowa-

niem ultrafioletowym. Sam szpanował również markowym przepoconym kapeluszem z szerokim rondem, jaki nosi się w buszu; gdybym i ja był bladolicym facetem biegającym w kilcie i wychowanym na owsiance, postąpiłbym tak samo. Sam miał tak jasną karnację, że już promienie światła z lodówki mogły go oparzyć.

Sprawdził czas na zegarku, który zwisał mu z szyi na kawałku sznurka. - Nie ma go już godzinę - powiedział. Trzymał zegarek pod koszulką, więc słońce nie spowodowało błysku szkiełka i nie zdradziło naszej pozycji. Jedna z podstawowych zasad taktycznego poruszania się w terenie mówi, że nic nie może błyszczeć. Kolejną zasadą jest wtopienie się w otoczenie - dlatego znajdowaliśmy się u podnóża wzniesienia, a nie na nim.

Miałem nadzieję, że Davy nie rozkraczył się tam na dole. Jego yamaszka nie była raczej w pokazowym stanie; ukradliśmy ją sprzed jakiegoś baru na przedmieściach stolicy. Mam nadzieję, że motocykl nie był głównym źródłem utrzymania jego nieszczęsnego właściciela.

W oddali kilka obłoków upstrzyło niebo. Zastanawiałem się, czy będą w stanie zebrać się w sobie i spowodować ulewę albo przynajmniej coś, co oczyściłoby mgiełkę drgającą nad buszem.

Gdzieś w dole, w martwej strefie widzenia, znajdowała się stara plantacja opuszczona przez belgijskich kolonistów, którzy dali stąd ostatecznie dyla w latach sześćdziesiątych. Za jej opatrzonym bramą murem stała kawalkada merców w drodze na zachód, by gdzieś na trzydziestosześciokilometrowej linii wybrzeża południowego Atlantyku, należącej do Zairu, spotkać się z motorówką amerykańskiej Trzeciej Floty. Pasażerowie mieli za sobą kawał drogi, lecz dalej jechać już się nie dało. Jediną drogę zamykali rebelianci, a nikt nie wiedział, ilu ich tam było.

Informacje mieliśmy nader skąpe. Wiedzieliśmy tylko, że w bagażnikach limuzyn znajduje się coś, o czym nikt nie chciał nic powiedzieć, oraz że utknęło tam z nimi trzech urzędników

brytyjskiej ambasady, którzy w porozumieniu z Zairczykami mieli nadzorować przekazanie bagażu Amerykanom.

- To materia delikatna politycznie - stwierdził jedynie szef grupy, kapitan Standish. - O dużej wadze dla stosunków Zachodu z Mobutu.

Wśród członków grupy krążył żart, że tą najdelikatniejszą materią było to, co okrywało cycki Annabeli - damy będącej jedną z trójki urzędników ambasady. Standish posuwał ją już od dnia naszego przyjazdu i dureń myślał, że tego nie wiemy.

2

yliśmy w Zairze od miesiąca, szkoląc żołnierzy Mobutu w strzelaniu i stosowaniu materiałów wybuchowych, pilnując, aby przy tej czynności nie pozabijali siebie albo nas. Zawieszaliśmy ćwiczenia na dzień lub dwa, gdy w mieście wrzało, ponieważ nasi uczniowie byli potrzebni do stłumienia ulicznych rozruchów. Tak sobie życzył Mobutu, który od niemal dwudziestu lat rządził tym krajem o powierzchni Europy Zachodniej. Zachód go popierał, widząc w nim przeciwwagę dla sowieckich wpływów w tym regionie, ale ten fakt wcale nie czynił zeń faceta, którego chciałoby się mieć za szwagra.

W początkach działalności Mobutu ugruntował swoją pozycję, dokonując publicznych egzekucji wszystkich, którzy wydawali się nawet potencjalnie przyszłymi rywalami politycznymi. Pierre Mulele, przywódca rebeliantów, został zwiedziony obietnicą amnestii, poddany torturom, a następnie zabity przez chłopców Mobutu. Gdy jeszcze żył, wydłubano mu oczy, wyrwano jaja, aż wreszcie ucięto po kolei wszystkie kończyny. Teraz widać, skąd nasi maczeteros zaczerpnęli swoje pomysły.

Mobutu upaństwowił firmy zagraniczne i przepędził z kraju europejskich inwestorów. Jego ulubionym posunięciem było przekazywanie zarządu tych firm krewnym i bliskim współpracownikom, oni zaś z upodobaniem plądrowali przedsiębiorstwa do ostatniego grosza. Spowodowało to jednak tak wielki krach gospodarczy, że Mobutu musiał spróbować odwrócić bieg rzeczy.

Tak jak kiedyś potrzebował belgijskiej pomocy w odparciu ataku rebeliantów, którzy mieli swoje bazy w Angoli, tak teraz do wybawienia go z kłopotów potrzebował nas.

Wbrew wszystkiemu, Mobutu został ponownie wybrany, co zresztą nie było wcale takie trudne, skoro wszyscy potencjalni kandydaci byli zbyt zastraszeni, by kandydować.

Reszty dokonał jego minister informacji. Wieczorne wiadomości zaczynały się obrazem Ojca Narodu, który zstępuje przez obłoki z nieba. To była nasza ulubiona chwila dnia. Portretów Zbawcy Ludu było tyle, że ręka prędzej by odpadła ze zmęczenia, zanim by się udało powygrażać im wszystkim maczetą- na każdym budynku rządowym widniało ich co najmniej z tuzin, a urzędnicy państwowi nosili jego wizerunki w klapach marynarek.

Nic dziwnego, że krajowcy robili się trochę niespokojni. Większość ich żyła w lepiankach z mułu i umierała z głodu, podczas gdy nasz najlepszy kumpel Mobutu ukrył prawie pięć miliardów dolarów amerykańskich na numerowych szwajcarskich kontach bankowych. Ta suma równała się niemal całemu długowi zagranicznemu kraju, lecz zarówno my, jak i Stany Zjednoczone, a nawet Międzynarodowy Fundusz Walutowy, nadal dawaliśmy mu pożyczki.

Mobutu był prozachodni, nastawiony antykomunistycznie, a odkład chaos wydawał się jedynym rozwiązaniem, opłacało się nadal smarować mu dupę. Bez niego Zair rozpadłby się w walkach etnicznych i wojnie domowej, a także skończyłby się eksport olbrzymich bogactw mineralnych na Zachód. Dlatego też dawaliśmy się teraz smażyć słońcu na skwarki, aby utrzymać to, co nasz rząd wolał nazywać „zamorskimi interesami Zjednoczonego Królestwa”.

Ja dbałem jedynie o to, aby moja broń się nie zapiaszczyła. Jak tylko powróci Davy, będziemy musieli zjechać w dolinę i robić za Siódmą Kawalerię.

3

A

nnabel i jej towarzysze mieli połączenie

satelitarne, dzięki czemu szesnaście godzin

temu, gdy rebelianci zablokowali drogę, a

oni sami schronili się w budynku plantacji, mogli z buszu wysłać

sygnał SOS. Prądu w budynku nie było, więc oszczędzali baterię,

zgłaszając się jedynie co dwie godziny z krótkimi raportami o

sytuacji. Nie mieli też wody ani żywności, więc wyglądało na to,

że przydzielony im na chybił trafił oddział żołnierzy Mobutu,

który miał się nimi opiekować, lada moment da stamtąd dyla.

Lotniskowiec Trzeciej Floty Stanów Zjednoczonych stacjonował w pewnej odległości od zachodniego wybrzeża Afryki, tak aby można było przyjaznym okiem obserwować szyby naftowe

w Nigerii, stanowiące własność Amerykanów, ale jego morskie jednostki ekspedycyjne będą mogły dotrzeć tu na swoich helikopterach dopiero jutro, a wtedy może już być za późno.

Z drugiej strony, nasza mała grupa znajdowała się jakieś dwieście kilometrów w górę drogi. Na Downing Street podniesiono tylko słuchawkę, zadzwoniono do szefa Hereford i już dostaliśmy polecenie, by eskortować limuzyny do portu. Gdyby jednak teraz doszło do najgorszego, nie trzymalibyśmy się drogi, tylko ruszylibyśmy na przełaj, a do tego potrzebowalibyśmy ciężarówki.

Pozbyliśmy się wszystkich naszych dowodów tożsamości, pożyczając cywilne od naszych zairskich uczniów, co miało być próbą wtopienia się w tłum - tak jak to się robi w Afryce, mając czerwoną od słońca skórę, łuszczący się nos i rząd, który nie

spuszcza oka ze swoich interesów, lecz nie chce jednak robić tego jawnie.

Zanim rok wcześniej wstąpiłem do Pułku, zakładałem, że każda misja będzie szczegółowo zaplanowana i precyzyjnie zsynchronizowana. Jednak podczas większości zadań, w których brałem udział, mieliśmy mniej czasu na złapanie plecaka i ustalenie planu działania niż strażacy na odpowiedzenie na alarm. Tak też było i teraz. Odarliśmy nasze renówki z wszystkiego, co się dało, załadowaliśmy na nie dwa ukaemy, kilka AK-47, jakieś gówniane apteczki podręczne, wodę, amunicję i ile udało nam się dopaść oraz ruszyliśmy na wschód, na jałowe pustkowia, zatrzymując się jedynie po to, by zatankować i podprowadzić rozgruchotaną yamahe.

Mimo to zanosilo się na dobry dzień, na pewno przyjemniejszy od tych, w których przyuczało się do nocniczka pomagierów Mobutu.

Standish, sądząc po wyrazie jego twarzy, wydawał się zachwycony wyzwaniem. Choć kto wie, może tylko cieszył się na kolejną okazję bzyknięcia Annabeli.

Siedział teraz za nami i szarpał się z aparatem łącznościowym wielkości walizki oraz siatką maskowniczą, usiłując wystawić przez nią antenę pod odpowiednim kątem.

Sam zerknął znad kierownicy, aby zobaczyć, co tam się dzieje. Pochyliłem się do podłogi, by zasznurować reeboksy. Z ubrania tylko one były moją własnością. Miałem pożyczoną koszulkę futbolową w pasy o barwach narodowych Grecji, Sam zaś był w dzinsach za dużych o dwa numery i w grubej wełnianej koszulce, w której pocił się jak świnia.

Sam potrząsnął głową: - To bez sensu, szefie. Niebawem tam będziemy. Poza tym ona i tak włączy radio dopiero za jakąś godzinę.

Standish go nie słuchał: - Annabel? Annabel? - nawoływał.

Wymieniliśmy z Samem znaczące spojrzenie. Bardzo go lubiłem. Być może dlatego, że był szkocką wersją mnie samego. Jego również przepychano od jednych przybranych rodziców do drugich i dopiero kiedy wstąpił do wojska, znalazł w nim prawdziwy dom. Zanedbanie i bieda, blokowiska pod rządami gangów, główniane szkoły - zupełnie jak i moje życie. Różnica była tylko taka, że tam u niego we frytkarniach serwowano batoniki Mars smażone w maśle.

Otworzyłem schowek na rękawiczki i wsypałem z puszki do plastikowego kubka brązowy proszek Milo, dolałem ciepłej wody z litrowej butelki, która kiedyś była pełna Oranginy. Jeśli woda nie była gorąca, rozpuszczenie w niej Milo było pełnym koszmarem, ale przywykłem i polubiłem te grudki. Zaproponowałem trochę Standishowi, ale ten spojrzał na mnie jak na wariata.

Przestrzeganie codziennych rytuałów nie było w jego stylu. Standish był zasadniczo jedynie łącznikiem z ambasadą i spędzał możliwie jak najmniej czasu z grupą. Nastawiony był raczej na balowanie i bzykanie Annabeli, podczas gdy reszta z nas miała na gębach miesięczny zarost, a z nosów złaźła mam skóra.

Człowiekiem, który tak naprawdę prowadził całą robotę, był sierżant sztabowy Grupy Siedmiu, Gary B. Gaz, który przyszedł z Królewskiego Korpusu Wojsk Inżynieryjnych (Royal Engineers, RE). Używał niewielu słów: „pieprzę”, „pieprzony” oraz „ja cię pieprzę” w zasadzie zaspokajały jego potrzeby. Uczyłbym się od niego chętnie. Sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, miał długie, kruczoczarne włosy, zakręcone wokół szyi i wyglądał jak roadie Stonesów. Ponieważ w ciągu ostatnich dni wytworzyły mu się dwa olbrzymie wrzody po obu stronach karku, przewaliśmy go Frankensteinem. Oczywiście poza jego plecami, bowiem Gary miał niezły temperament i żaden z nas nie miał ochoty trafić pod jego ogień.

Jechał w pierwszym wozie, jakieś osiemdziesiąt metrów przed nami.

-Annabel? Odezwij się, Annabel!

Blond włosy Standisha nigdy nie wyglądały na przetłuszczone ani sklezione jak nasze po nocy spędzonej w śpiworze. Pewnie Annabel pożyczała mu szczotkę do włosów.

Przeszedł do Pułku z Coldstream Guard i lata służby w tej gwardii królewskiej, w czapie z niedźwiedziego futra, nauczyły go traktować z pogardą resztę świata. Za każdym razem, kiedy otwierał usta, wyglądał, jakby właśnie zabierał się do zagrzewania do walki łuczników pod Agincourt. Nigdy nie uważałem, że kiedykolwiek będę się mógł z nim zakumplować.

Sam, sierżant z dziewięcioletnim stażem w Pułku, myślał tak samo. Według niego Standish zawsze szczenił nam szczegółów w każdej sprawie, jak gdyby uważał, że nasze głowy są na to zbyt małe. - Po prostu nie mam do niego zaufania - warknął Sam i dodał: - To niepewny facet.

4

rzebiegałem wzrokiem linię horyzontu.

- O Jezu, Davy, zjaw się. Gdzie ty, kurwa, się podzie-
wasz?

P

-Nie wzywaj imienia bożego nadaremno, Nick.

-Davy nie będzie miał nic przeciwko temu. Robię to
często...

Myślałem, że Sam robi sobie jaja, ale zaraz potem zobaczy-
łem jego minę, podobną do miny Standisha, jaką zrobiłby, gdyby
mu się powiedziało, że dzisiejszego wieczoru nie będzie w
menu wołowiny a la Wellington. Podniósł tyłek, wyciągnął coś z
tylnej kieszeni i podał mi wyświechtaną książeczkę w skórzanej
oprawie.

- Masz - powiedział - coś dla ciebie: seks, przemoc, zemsta,
wszystko, co chcesz.

Odchyliłem okładkę.

- To przecież pieprzony Nowy Testament! Nie wiedziałem, że
w tym siedzisz...

Poczułem się nagle, jakby mnie zamknięto w jednej celi z ja-
kimś kaznodzieją w okularach. O ślubach i pogrzebach byłem
jeszcze w stanie słuchać, ale kiedy ktoś zaczynał ze mną rozma-
wiać o Bogu lub ojczyźnie, uciekałem, gdzie pieprz rośnie...

W oczach Sama pojawił się błysk.

- Chyba nie dociera do ciebie, synu. Nie podoba mi się, gdy
używa się ordynarnego słownictwa obok imienia Pana. A co by
było, gdybym nazwał twoją matkę dziwką?

iwnałm pokornie głową, choć nadal nie mogłem pojąc, dla-
czego to p tak mocno uraziło. A może moja matka była dziwką,
tylko nieaogłem o to zapytać, bo nigdy jej nie spotkałem.
Oddał© mu Biblię.

-Dziękje, ale to dla mnie. Bez obrazków, a poza tym znam
zakończaie.

-Pewigo dnia zrozumiesz, co tracisz.

-Ajaky godzisz to wszystko ze służbą w Pułku? Czy naprawdę
nadstariesz drugi policzek?

Rozpreienił się.

- Wien, że to, co robie, jest słuszne. Jezus nie był jakimś oci-
piałym olprochów hippisem, za którym podążały ptaszyny i ga
dające oś. Jezus był rewolucjonistą. Powiedział: „Nie przyszed
łem, by fzynieć pokój, ale miecz". Powiedział też: „A kto by
zgorszył fdnego z tych małych, którzy we mnie wierzą, daleko
by mu lefiej było, aby zawieszono mu kamień młyński u szyi
i zatopiot go w głębokości morskiej". To on odróżnia winnego
od niewiiego, Nick, i mówi nam, po której mamy się znaleźć
stronie.

To nie ubrzmiało dobrze. Utożsamiał się z Billym Grahamem.
Jeszcze clwila i zacznie walić w pulpit.

-Lutó jak ci z ambasady tam w dole - wskazał kciukiem na
horyzont nie przeżyją bez pomocy takich jak my.

-A czjrebelianci nie są także dziećmi Boga?

-Oczyiście, że są, tylko jeszcze o tym nie wiedzą.

Oczy niałem spuszczone, z całej siły koncentrowałem się na
rozmieszam zbrylonego Milo.

- Czy ubijanie ich nie kłóci się z zasadami?

-Nie. Postępujemy właściwie. Jeśli rebelianci zostaną zabici,
Bóg -wbaczy im u bramy Królestwa Niebieskiego, ponieważ
wie, że 01 nie wiedzą, co to znaczy dobro.

-Rozmiem. Zabić wszystkich, niech Bóg sobie z nimi radzi?

-Czy I wierzysz w Boga, Nick?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem. Zawsze myślałem o Nim jako o zmyślonym przyjacielu ludzi dorosłych, choć kto wie, może warto się zabezpieczyć. Uważaj mnie za agnostyka.

Jeśli Sam sądził, że drzwi do nawrócenia mnie zostały uchylone, to jednak nie będzie miał szansy, aby je rozewrzeć. Metaliczny warkot yamaha stawał się coraz głośniejszy, zobaczyłem, że w pojeździe po mojej lewej stronie Frankenstein podnosi się z fotela.

Kilka sekund później maszyna wyskoczyła z martwej strefy, skręciła gwałtownie i Davy dobił do pierwszego wozu konwoju. Wyglądał jak dwunastolatek, był chudy jak patyk, a na tutejszym pożywieniu nie miał szans nabrać ciała. Zdecydowanie powinien wrócić do domu i wrzucić w siebie kilka porcji ryby z frytkami, choć myślę, że połowa i tak wylądowałaby na ziemi. Kiedy był w pułku czołgowym, stracił trzy palce lewej ręki - luk kierowcy postanowił się zamknąć bez jego udziału. Diabli wiedzą, jak przeszedł selekcję. Powinien robić za reklamę katalogu protez, a nie pieprzyć się z tą yamaha, która ważyła więcej niż on sam.

5

tandish wyskoczył jak oparzony i przebiegł sprintem jakieś osiemdziesiąt metrów do czołowego wozu. Ja zabawiałem

Smuchy wokół głowy, a Sam poprawiał sobie kapelusz, by uratować resztki skóry na karku.

Chwilę później Davy wskoczył na yamahę i z piskiem ruszył w stronę pozostałych dwóch wozów. Standish wrócił biegiem i wskoczył do wozu.

- Słuchajcie - chwycił nadajnik, jakby zamierzał wygłosić ważny komunikat do wszystkich najważniejszych ludzi na świecie - mercedesy stoją nadal przed domem, w martwej strefie, ja kiś dwa i pół kilometra przed nami. Davy widział na równinie rebeliantów w pikapach. Widział też jedne zwłoki. Pocięli je na kawałki i wyłożyli pod bramą. Nie potrafi powiedzieć, czy to ciało kogoś z naszych. - Wybierał numery na tarczy. - Zaraz ruszamy. Jedziemy po nich - wjeżdżamy, ładujemy ludzi i spady. Drogi nie wchodzi w rachubę, lecimy na przełaj do wybrzeża.

Z rury wydechowej ciężarówki Frankensteina wystrzelił kłęb spalin, pozostali trzej kierowcy także włączyli silniki. U Sama strzelił zapłon.

- Wszyscy na pokład Skylarka. - Sam miał w sobie coś dziecinnego. To nie ujawniało się zawsze, tylko od czasu do czasu, kiedy tkwiący w nim dzieciak dochodził do głosu. Rura wydechowa grzechotała jak suszarka bębnowa pełna żelastwa.

Standish nadal próbował się połączyć, nawołując: - Halo! Halo!

Śledziłem Davy'ego, jak rozpędza się w kierunku ostatniego wozu. Ustawili mu z tyłu deskę, po której wjechał elegancko na platformę.

Po raz ostatni sprawdziłem taśmę naboju, przyłożyłem kolbę do ramienia i zbadalem, czy wlot lufy nie opiera się o worki z piaskiem i czy nie strzelę przypadkiem w silnik.

- Halo, czy to pan ambasador? Tu Miles. Wysłałem patrol na zwiad i wygląda na to, że są nadal w budynku. Jak tylko będzie my mieli z nimi łączność, prześlę panu raport.

Czołowy renault ruszył. Sam wrzucił jedynkę i samochód szarpnął. Standish runął na podłogę, nie wypuszczając z rąk nadajnika. Ruszyliśmy, owionęło nas gorąco silnika.

Wjechaliśmy na wzgórze w rombowym szyku. Pierwszy jechał Frankenstein, po naszej prawej stronie, pozostałe dwa wozy z lewej i z tyłu za nami.

Sam bał się, że aparatura radiowa się uszkodzi.

- Teraz lepiej niech pan zamknie ten interes, szefie. Wkrótce możemy potrzebować pomocy.

Mieliśmy osiem sztuk broni, po dwie w każdym wozie, szef miał karabinek. Dysponowaliśmy jedynie dwoma ukamieniami, po jednym na każdej flance, toteż gdy zrobi się gorąco, potrzebne będą wszystkie ręce do pracy.

Standish zaczął pakować nadajnik tak, jakby to był jego własny pomysł.

Przed nami otwarła się dolina, szeroka na sześć albo siedem kilometrów - potężny pas piachu, zarośli i pyłu, lśniący od upalnej mgiełki. Droga wiła się po dnie doliny od lewej do prawej jak wąż. Lekko na lewo od nas wznosił się duży, szary budynek otoczony murem, chroniącym go przed intruzami. Wokół muru coś się działo, widać było pojazdy w ruchu, ich szyby błyskały w słońcu. Z takiej odległości nie mogłem zobaczyć, czy były to mercedesy. Na pewno nie widziałem rzędów obciętych członków.

Standish skończył zamykanie nadajnika w skrzynce i wcisnął ją pomiędzy przednie fotele. Następnie wstał, trzymając się jedną ręką ramy, w drugiej zaś ścisnął swego kałasznikowa. Wyraźnie chciał wyglądać jak Lawrence z Arabii.

Dotarliśmy na dno doliny, od celu dzielił nas jakiś kilometr, gdy od budynków oderwał się jasny pojazd, wlokąc za sobą tłum kurzu, i ruszył, aby nam się przyjrzeć.

Sprawdziłem, czy celownik nastawiony jest na odległość trzystu metrów, po czym zerknąłem w bok, jak ustawiony jest drugi ukaem. Jeden z nas powinien się zatrzymać, by pełnić funkcję mocnego wsparcia ogniowego, gdyby doszło do rozprawy z tym pojazdem.

Znajdował się teraz nie dalej niż dwieście metrów od Frankensteina, biały pikap z grupą uzbrojonych ludzi, choć w kurzu i migocącym upale trudno powiedzieć, ilu ich było.

Sam wykonał półobrót kierownicą w lewo, aby mieć ich przed sobą.

- Dobra, masz ich.

Przyłożyłem broń do ramienia, pchnąłem rygiel bezpiecznika z lewej na prawą przez rękojeść i położyłem opuszek palca wskazującego na języczku spustowym, gotów strzelać pierwszy.

Pikap zbliżał się do nas, zamknąłem więc lewe oko i zlustrowałem cel, dostosowując broń tak, aby celownik był na przedniej szybie od strony kierowcy. Ukaem jest bronią terenową, co oznaczało, że można zeń strzelać serią, ale tak ustawiłem regulator gazu, żeby zmniejszyć szybkostrzelność i móc oddawać po dwa strzały. Musieliśmy oszczędzać amunicję, liczył się każdy nabój.

Standish wychylił się do przodu między nami, jakby te kilkanaście centymetrów pozwalało mu widzieć lepiej.

Śledziłem pikapa przez celownik.

- Jeśli otworzą ogień, to się dopiero zacznie - zamamrotał Sam.

Tymczasem pikap zbliżył się na jakieś sto metrów. Mogłem już wyraźnie rozróżnić markę: była to mazda z dwoma ludźmi w czerwonych koszulkach futbolowych, którzy siedząc z tyłu, wywijali kałachami.

Nawet przez ryk naszego silnika słyszałem krzyki, jeden z tych w czerwonych koszulkach walił w dach kabiny; Chyba zobaczyli, co mieli zobaczyć, pikap skręcił ostro w lewo i trąbiąc, pognął z powrotem do budynków.

Wóz Frankensteina przyśpieszył. Sam wcisnął gaz do dechy, a ja przeciągnąłem rygiel bezpiecznika od prawej do lewej.

6

ół kilometra przed nami pod dryfującymi piaskami widziałem szare łaty dziurawego asfaltu. Sam pruł do przodu; ciskało mną po całej kabinie.

P Wtedy właśnie zorientowaliśmy się, że pojazd ludzi, za którymi ruszyliśmy w pościg, nie jest jedyny w dolinie. Po lewej, tylko ponad kilometr od nas, nad drogą rosła chmura gęstego kurzu, wskazując ruch wozów do plantacji.

Musimy tam być przed nimi.

Parliśmy w kierunku domu, dystans do chmury kurzu się zmniejszał.

Zacząłem rozpoznawać kształty różnych samochodów, rozciągniętych po obu stronach drogi jak konwój z „Mad Max”.

Z chmury kurzu wyłoniła się smuga szarego dymu, jaki przy odpaleniu wytwarza silnik raketowy granatnika przeciwpancernego (RGppanc). Pocisk wycelowany został w naszą stronę, ale wzbijał się powoli i zbyt stromo.

- Marnie się starają - powiedział Sam, kiwając głową, jakby strzelanie poza zasięgiem i kiepskie celowanie można było porównać do fałszowania podczas śpiewu w kościele. Po jakichś pięciuset metrach granat skończył lot i eksplodował - za wysoko i za blisko. Jeśli pociski RGppanca nie trafiają w cel, to wybuchają po około pięciu sekundach od momentu odpalenia.

Sam skontrował kierownicę, aby utrzymać się w szyku, gdyż Frankenstein zmierzał wprost do bramy. Usytuowana za murem

rezydencja miała porządne okiennice i fantastyczną murarkę, takie cacka można zobaczyć na wytwornej winiarskiej etykiecie.

Nadal mieliśmy około trzystu metrów do celu, gdy wóz na lewej flance zatrzymał się i położył ogień osłonowy ze swojego ukaemu.

Reszta zmierzała zdecydowanie i szybko do otwartej bramy.

- Będziemy osłaniać ich wjazd - krzyknąłem do Sama, pokonując ryk silnika.

Skosił w lewo, a pozostałe dwa pojazdy wparowały przez bramę do środka, gdzie było już bezpiecznie. Sam zatrzymał się na wysokości narożnika, stawiając czoło nadchodzącemu niebezpieczeństwu i wrzucił jałowy bieg. Pojazd, który prowadził ogień osłonowy, zrozumiał sygnał i ruszył w stronę bramy.

Sam, pochylając się nad skrzynką z nadajnikiem, podtrzymywał mi taśmę z nabojami, podczas gdy ja, celując w przednie szyby po stronie kierowców, wystrzeliłem spokojnie po dwa naboje w każdy z pojazdów. Za każdym razem, gdy naciskałem spust, pociski znikwały w podajniku znajdującym się z lewej strony, łuski wypadały pod spodem, po prawej wypluwało pustą taśmę. To wszystko razem bardzo hałasowało, odbijając się o moje reeboki i spadając na podłogę.

Niebawem przestałem być jedynym strzelającym. Puste łuski z kałacha Standisha uderzyły mnie w plecy. Spoza ogrodzenia strzelano jeszcze bardziej intensywnie. Furgonetki znieruchomiały na swoich szlakach.

Frankensteina i Davy'ego ledwo było widać powyżej muru. Cholera wie, na czym tam stali, ale siali pociskami, a teraz tylko to miało znaczenie. Ich tajming też był w porządku. Olej w moim ukaemie był tak gorący, że aż dymił. Niewiele też zostało z czarnego oksydowania części metalowych, które zaczęło łuszczyć się na lufie.

Sam puścił już taśmę, ja zabezpieczyłem broń, gdy rozległ się głos Standisha: - Jazda! Ruszamy! Oni nas osłaniają! -jakbyśmy sami nie wiedzieli, co robić.

Odpowiedź ogniowa z furgonetek wyrywała kawały tynku z muru. Pochylając się nisko, Sam szarpnął kierownicą, aby zawrócić i skierować wóz w stronę bramy. Standish leżał teraz płasko za nami, łapiąc się wszystkiego, co było pod ręką, aby nie spaść z platformy, ale włosy miał nadal w doskonałym porządku.

Nasi na murze, widząc, że się przybliżamy, zaczęli nas osłaniać i sami byli przez to ostrzeliwani. Ponieważ zbliżyliśmy się do bramy, mogłem wreszcie zobaczyć te odrąbane części ciała. Samochody przejechały po ręce i nodze, na których utrzymały się resztki zielonego munduru, leżały więc teraz zmiażdżone na ciemnym, przesiąkniętym krwią piasku.

Samochód z rykiem silnika przejechał bramę i zatrzymał się gwałtownie, tuż przed budynkiem. Brama została zatrzęsnięta przez paru przestraszonych czarnych w zielonych mundurach polowych.

Frankenstein stał na pace swego renaulta i strzelał ponad dwu-ipółmetrowym murem.

Gdy tylko się zatrzymaliśmy, Frankenstein przejął dowodzenie.

- Davy! - krzyknął, wskazując dwóch żołnierzy, którzy zamknęli bramę i przestraszeni gadali teraz między sobą jak najęci. - Każ się tym idiotom zamknąć i sprawdź, ile paliwa jest w mercedesach. - Następnie wskazał na drugiego strzelca: - Bierz tę swoją pierdoloną rzecz i wskakuj na dach. Sam, ty prowadzisz warsztat na górze. - Zwrócił się wreszcie do Standisha i wskazując dom, powiedział: -A ty idź do środka i znajdź tego, kto do tej rozpierduchy doprowadził. Dopilnuj, czy wszystko jest OK.

Teraz przyszła kolej na mnie: - A ty, co tak stoisz? Łap ten pieprzony karabin i zanieś na dach! Jazda! Gazu!

Wytargałem ukaem z ciężarówki, trzymając go za uchwyt, zabrałem wszystkie taśmy, jakie jeszcze mi zostały, i pobiegłem.

Davy już poszedł do mercedesów, aby sprawdzić poziom paliwa: -Niedobrze, Gary! To diesle!

dy wbiegałem przez drzwi wejściowe, z szyi zwisało mi ponad dwadzieścia kilo taśm z nabojami, tłukąc mnie po nogach, cztery długie taśmy, a w każdej po sto nabołów.

G Wejść wprost z oślepiającego światła do wnętrza z zasuniętymi żaluzjami było tym samym, co znaleźć się w ciemnościach. Zerwałem okulary przeciwsłoneczne i chwyciłem je zębami, gdyż będą mi niebawem potrzebne.

Minęło kilka sekund, zanim oczy przywykły do ciemności. W końcu zauważyłem Standisha stojącego z kilkoma czarnoskórymi żołnierzami jak bramkarze obok stosu małych, drewnianych skrzynek. Wśród zgromadzonych znajdowały się trzy białe kobiety, jedna dwudziestoletnia, dwie siwe. Wszyscy byli ubrani jak statyści z filmu „Pożegnanie z Afryką” w jednakowe koszulki khaki i spodnie, które nosili tu chyba wszyscy brytyjscy urzędnicy. Najmłodsza usiłowała uspokoić pozostałe dwie, które spojrzwały na mnie błagalnym wzrokiem labradora.

Pies je trącał. Nie miałem teraz do nich głowy.

Miałem przed sobą szerokie schody, gołe drewno, żadnych chodników. Brałem po dwa stopnie naraz, taśmy grzechotały uderzane nogami. Dotarłem do podestu i skręciłem w lewo. Kręcone żelazne schodki w odległym kącie prowadziły do otworu w suficie, przez który wpadały promienie słońca. Słyszałem, jak z dachu już strzelali z drugiego karabinu. Schodki były ciasne i wąskie, prawie niemożliwe było trzymać rozgrzany metal broni z dala od ciała. Schodki wznosiły się nieco ponad tarasem na da-

c.i...., wyjście było osłonięte brezentem. Wypchnąłem karabin na beton dachu, zasłaniając oczy przed słońcem. Sam nakierowywał strzelca.

- Teraz!

Rozległ się huk serii z ukaemu. Sam i jego strzelec zajmowali pozycję z widokiem na drogę.

-Trochę w lewo!

Kolejny strzał.

-Teraz!

Poprawiłem chwyt na karabinie i przycisnąłem taśmę do ciała. Nisko pochylony, zawlokłem ukaem w kąt tarasu na lewo od nich, w róg, spod którego osłanialiśmy wjazd pozostałych wozów.

Gardło miałem wyschnięte na wiór, cała reszta była mokra od potu.

Balustrada miała metr wysokości i prawdopodobnie służyła jedynie do zabezpieczenia belgijskich właścicieli plantacji przed ześlizgnięciem się na kraj dachu, skąd mieli pewnie zwyczaj cieszyć oko widokiem zgiętych w kabłąk niewolników, harujących poniżej w dolinie.

Rozłożyłem dwójnog, zablokowałem w odpowiedniej pozycji i ustawiłem na ceglanej krawędzi balustrady. Ukłakłem za karabinem, nie myśląc na razie o bólu, jakiego doznałem.

Strzelec Sama oddał kolejną krótką serię. Gdy dym buchnął z lufy i podajnika, spalony proch wtargnął mi do gardła.

W pomieszczeniu poniżej słychać było krzyki. Standish wrzeszczał jak pawian na rządowych żołnierzach, gdyż ci porzucili skrzynki i sprawiali wrażenie, że chcą dostać się do bramy i dać dyla. Mieli zdecydowanie dość tej zabawy i brakowało im wyobraźni, aby zrozumieć, że wydostanie się stąd wcale nie uczyni ich życia łatwiejszym.

Z domu wybiegł inny Afrykanin i zaczął się na nich wydzierać. Nie trzeba było być geniuszem, aby zauważyć, że musiał tutaj być najważniejszym facetem: plemienne blizny przecinały oba

jego policzki, a na piersiach miał tyle ozdób, że wyglądał jak choinka na Boże Narodzenie.

Standish wykonał rozkazujący gest ręką, ozdoby zagrzechotały i chłopcy zawrócili grzecznie na swoje pozycje.

Strzelec Sama oddał kolejne dwie krótkie serie w chmurę kurzu unoszącą się nad doliną; teraz w ruchu było więcej samochodów.

Z jednego z nich, jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów od nas, wyskoczyły trzy lub cztery małe postacie. Dwie z nich tachały wyrzutnie RGppanców, które wydawały się większe od nich samych; reszta miała narecza granatów. Zniknęli za jakimiś przereczonymi krzakami, co z taktycznego punktu widzenia nie było najrozsądniejsze. Ci głupi skurwiele nie mieli oczywiście pojęcia o różnicy między osłoną przed ogniem - piękną, grubą na półtora metra bryłą betonu, która przetrzyma wszystko z wyjątkiem ataku nuklearnego - a osłoną przed niepowołanym wzrokiem.

Spoza liści wytrysnęła chmura szarego dymu.

- Nadchodzi granat!

W granacie ruszył silnik i pocisk z rykiem leciał wprost na nas.

Padliśmy na płask, jednak zupełnie niepotrzebnie. Pocisk przeleciał nad nami na wysokości, która odpowiadała pewnie wzrostowi strzelającego, i eksplodował daleko za domem. W tym kraju wszyscy chodzili naćpani liśćmi khatu, nawet kozy, niekiedy więc trzeba było im załadować pięć albo sześć strzałów, aby w końcu do ich mózgów dotarło, że nie byli Supermanami. Patrząc jednak na to pozytywnie, w dziewięćdziesięciu procentach przypadków byli tak odjechani, że gdy strzelali, ich kule latały wszędzie, tylko nie do celu.

Z celownikiem ustawionym na trzysta metrów wymierzyłem nisko w krzaki, nadal okryte całunem szarego dymu.

Wysłałem serię po dwa strzały, potem jeszcze raz, i jeszcze jedną.

Nie widziałem wokół zarośli piasku podrywanego pociskami, co oznaczało, że pociski trafiały tam, gdzie zostały skierowane.

W każdym razie z krzaków wybiegła tylko j jedna osoba. Wziąłem ją na cel. Nie byłem pewny, czy to był efekt świetlny, czy też rebelianci rekrutowali Pigmejów, ale człowiek ten rzucał niewielki cień. Mój celownik minął wolno tył jego stóp i gdy dotarł na trzy szerokości ciała przed nim, oddałem dłuższą serię z sześciu nabo-
jów. Kule wyrwały piasek wokół niego, aż upadł.

Znowujakieś krzyki. Wyj rzałem na dziedziniec. To Frankenstein wołał na Davy'ego i paru innych, aby odebrali żołnierzom rządowym ich granatniki i naboje.

Standish wyszedł z budynku, za nim, trzymając się go blisko, szła najmłodsza z kobiet, które widziałem przy skrzyniach. Lśniące, brązowe włosy uczesane w koński ogon odsłoniły jej twarz i nie trzeba było stymulacji liśćmi khatu, aby zauważyć, że była nader atrakcyjna. To tłumaczyło, dlaczego wpadła Standishowi w oko.

Pokazał się Frankenstein pokryty potem, z włosami przyklejonymi do głowy.

- Zmiana planu. Wezwij flotę. Powiedz im, że tych bandziorów jest za dużo. Potrzebujemy wsparcia, i to zaraz!

-Ale oni nie mogą tego zrobić, Gary. Jesteśmy za daleko.

- Powiedz im, że chcę, aby natychmiast poderwali w górę ja kieś szybkie odrzutowce i osłonili nam dupska. Niech wyślą tak że kilka Sea Knightsów od tankowania w tym pieprzonym powie trzu. I jak powiedziałem - natychmiast.

Gdy Standish pojął sens słów Gary'ego, kiwnął głową. Marynarka miała śmigłowce Sea Knight, które wyglądały jak małe Chinooki. W ich wnętrzu można było umieścić gumowe pojemniki z paliwem i w ten sposób zamienić maszynę w ruchomą stację paliw. Jeśli są w stanie dotrzeć do wybrzeża, to dlaczego nie można ustawić kilku po drodze, tak aby śmigłowce szturmowe Seahawk i Cobra mogły zatankować w powietrzu?

To był dobry pomysł. Zastanawiałem się, jak szybko Standish uzna go za własny.

Niebawem wszędzie księżyc w trzeciej kwadrze.
 Gary i Davy przyszli nas złuzować.
 Wymieniliśmy broń: Sam i ja mieliśmy teraz

kałachy i po trzy zapasowe magazynki. Zeszliśmy niepewnym

krokiem po kręconych schodach na dół, a stamtąd na dziedziniec.

Sam przyniósł jakąś wodę, którą w siebie wlaliśmy. Woda była letnia, tabletki dezynfekcyjne nadały jej zapach chloru, ale ja już po upływie miesiąca zdążyłem przywyknąć do tego smaku.

Strzelono do nas jednocześnie z czterech granatników, jeden granat wybuchł zaraz za murem. Po eksplozji posypał się na nas piasek, ale nikomu nic się nie stało.

Standish nadal siedział przy radiostacji z dziewczyną u boku. W zapadającym mroku zobaczyłem sylwetkę Frankensteina wychylającego się przez balustradę na dachu.

-Ta pierdolona flota się odezwała?

Standish zaprzeczył ruchem głowy.

-OK, chodź tu zastąpić Davy'ego.

Dziewczyna przyglądała się, jak Standish wysiada z wozu, potem popatrzyła na Frankensteina wyszczekującego nowe

rozkazy.

- A ty - wskazał na mnie - pilnuj łączności. Jak usłyszysz tylko najmniejszy pisk od jankesów, to mnie zawołaj, OK?

Wskoczyłem na tył wozu i wyciągnąłem bardzo brudną rękę.

- Jestem Nick - przedstawiłem się.

. odała mi dłoń i uśmiechnęła się, mówiąc: - A ja Annabel.

W oddali rozległa się kanonada z broni ręcznej, a czerwony poisk smugowy przeciął nad nami niebo. W poświacie radiowego ekranu jej twarz wydawała się napięta.

-Dlaczego tamten człowiek, Gary, znajduje się na dachu? Dlaczego wydaje rozkazy? Myślałam, że tu dowodzi Miles...

-To prawda, w pewnym sensie... - wiedziałem lepiej, niż to próbowałem wytłumaczyć, że tak właśnie było, ponieważ Standish był jeszcze bardziej tępy niż większość oficerów służących kiedykolwiek w armii, natomiast Gazza wiedział, co robił. -Ale tutaj, w Pułku trochę inaczej się pracuje. Oficerowie muszą przejść przez selekcję, jak wszyscy, lecz ich służba trwa tylko trzy lata. Nie mają więc czasu przeszkolić się w patrolowaniu i w takich sytuacjach jak ta dowodzący grupą przejmuje na siebie zadanie oficera.

-Jaką rangę ma Gary?

-Jest sierżantem sztabowym, ale tutaj są także inni, którzy mogliby robić to co on.

-A co powiesz o sobie?

-Ja jestem tu nowy - uśmiechnąłem się. - Mam siedzieć prosto, nie rozmawiać, słuchać i uczyć się. A gdzie są tamte dwie damy?

-Alice i Helen? Są w środku. Były dla mnie bardzo miłe, wzięły mnie pod swoje skrzydła. Za parę tygodni kończy im się okres służby, powinny wracać do domu, do swoich rodzin, a nie przebywać w takim miejscu jak to.

Alice i Helen wyszły z domu, rozglądając się wkoło z dziką desperacją. Wyglądały jak Królowa i księżniczka Małgorzata na hajcu.

- Jestem tutaj. W ciężarówce - krzyknęła Annabel.

Królewskie Siostry przybiegły do nas.

- Dzięki Bogu, Annabel. Co się dzieje? Czy opuszczamy już to miejsce?

Nad pokładem ciężarówki wychynęły dwie pary oczu, których proszący wyraz jeszcze raz skojarzył mi się z labradorami. Oczy Margaret pełne były łez. Wyjęła z kamizelki jakieś fotografie i mi je wetknęła. Zorientowałem się, że patrzę na dwoje dumnych rodziców wystawiających do zdjęcia okutanego bobaska.

- To moja pierwsza wnuczka. Nawet jej jeszcze nie widziałam.

-Wyjedziemy stąd, nieprawdaż?

A skąd ja mam, kurwa, wiedzieć, pomyślałem w duchu, ale odpowiedziałem: - Oczywiście, że tak. Flota już do nas zmierza i zabierze nas stąd. Proszę się nie martwić.

Chwyciła swoje fotografie i zanim zniknęły w jej kieszeni, ogarnęła całą grupę miłosnym spojrzeniem.

- Ci panowie mają wszystko pod kontrolą. Wydostaniemy się stąd. Niebawem - zapewniała je Annabel.

Małgorzata chwyciła moją rękę.

- Dziękuję, dziękuję wam wszystkim.

Królowa otoczyła ją ramieniem i obie panie wróciły do domu.

- Jak to się stało, że we trzy znalazłyście się w konwoju?

Annabel zmusiła się do uśmiechu: - Prezydent czuje się wtedy ważny, to go rajcuje. Poza tym Alice i Helen lubią taką odmianę w tej całej rutynie.

-Często z nimi jeździsz?

-Co miesiąc.

-O co tu chodzi? Co jest w tych skrzynkach?

Uśmiechnęła się ponownie.

- Tego przecież nie mogę ujawnić. Powiedzmy tylko, że to po prostu potrzebne nam, aby pomóc prezydentowi.

W radiu rozległo się skrzeczące: - Halo! Halo! - Nie był to na pewno akcent amerykański. Podniosłem ciężki mikrofon: - Halo, tu Nick. Kto mówi?

-Ambasador... Gdzie jest Miles?

-Leć po Gary'ego - zwróciłem się do Annabeli.

Wyskoczyła z kabiny. Ktokolwiek był na dachu, puścił długą serię, co chyba wywołało w domu zamieszanie. Żołnierze byli wzburzeni, a sejsmicznych wybuchów ichniego generała nie objęłaby żadna skala Richtera. Annabel, przekrzykując ich, zawołała Gary'ego.

- Szef już idzie - powiedziałem do mikrofonu. - Proszę czekać. - Lubiłem wydawać polecenia ambasadorom.

Potem usłyszałem, jak dostaje się teraz Frankensteinowi, bo generał wyszedł z nim na zewnątrz. Zlana potem twarz Zairczyka błyszczała w świetle księżyca.

Frankenstein wziął ode mnie mikrotelefon i wetknął palec w ucho.

- Tu Gary - powiedział. - Co się dzieje, do cholery?

Słuchał przez kilka sekund z zaciśniętymi z wściekłości zębami, a potem powiedział z sarkazmem: - Tak, z pewnością taki jest w twojej pieprzonej wyobraźni. Ale tutaj to ja czynię honory domu, a on pucuje garnki w kuchni. No więc, co się dzieje?

Słuchał trochę dłużej, a potem przestał i rzucił niemal we mnie słuchawkami.

- Na miłość boską! Dla śmigłowców flota nadal jest za daleko, a szybkich odrzutowców też nie ma, ponieważ nie dostali zgody od pierdolonych polityków. Jednak nasz wspaniały ambasador robi wszystko, co w jego mocy. Bóg z nim.

Annabel otworzyła już usta, aby stanąć w obronie szefa, powstrzymała się jednak rozważnie, a Gary wpadł z powrotem do budynku.

Nie minęło więcej niż pięć minut, gdy usłyszałem wystrzały z broni ręcznej i dźwięk dwóch odpalanych granatników gdzieś dalej.

Sekundę później granaty uderzyły w ścianę domu.

Fala powietrzna wywołana wybuchem zrzuciła mnie na ziemię. Gdy ponownie znalazłem się na nogach, w chmurze piasku i śmiertelnie gęstego dymu, nadal dzwoniło mi w uszach.

Nie dało się powiedzieć, gdzie dokładnie uderzyły.

Przez kilka sekund panowała cisza, a kiedy wszyscy doszliśmy do siebie, Davy wrzasnął: - Są ofiary! Są trafieni!

Chwyciłem latarkę i apteczkę polową z podłogi ciężarówki i pogałem z powrotem do domu. Pył już osiadał. Oświetliłem pokój. Królewskie Siostry i zdaje się czterej żołnierze leżeli nieruchomo na podłodze, a ich potrzaskane kończyny sterczały pod dziwnymi kątami. Ściany były spryskane krwią. Margaret miała zgrabną dziurę w klatce piersiowej, tam bowiem skoncentrowała się szarża jednego z granatów, który przez jej ciało utorował sobie drogę do przypieprzenia jeszcze komuś.

Przepchałem się wśród zamętu i krzyków i pocąc się jak świnia, wspiąłem się po kręconych schodkach na dach.

Gary leżał na plecach, jego blada, zakrwawiona twarz jaśniała

w świetle księżycy. Nie ruszał się, oczy miał szeroko otwarte. Gdy pochyliłem się nad nim, wiedziałem już, że nie mogę mu pomóc. Było po nim. Pocisk trafił go w gardło i przedarł się przez

szyję, niszcząc kręgi i rdzeń pacierzowy. Gary musiał paść jak szmata.

Zerknąłem na Standisha, który nie próbował ukrywać radości z faktu, że tylko on został przy życiu.

- No i co, kurwa? Myślisz, że to jest zabawne, tak? - pchnął go Davy.

Standish stracił swój uśmieszek, a oczy blask.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz? Ja tu jestem do wódca.

Davy już chciał mu przyładować swoją wielką jak bochen pięścią, ale Sam wskoczył pomiędzy nich:

- Stop! Teraz nie pora, trzeba się zająć bandziorami!

Głośny, metaliczny zgrzyt zapowiadał otwarcie bramy. Generał wrzeszczał coś za pędzącymi w ciemność resztkami swoich żołnierzy.

Chwyciłem kałasznikowa i przyjąłem pozycję strzelniczą, mierząc w ich znikające cienie. Jeśli ci faceci przechodzili na stronę wroga, to należy ich powstrzymać. Przygotowałem się do strzału, lecz moje zakrwawione ręce ślizgały się na kolbie.

- Walimy do nich? - zapytałem.

Standish się rozpromienił. Nadeszła jego chwila.

- Tak, zajmij się tym.

Może i byłem tu nowy, ale i tak wiedziałem, kto tu teraz naprawdę był szefem.

-Sam?

Teraz wszyscy mieli broń gotową do strzału i wszyscy czekali na rozkaz.

Standish nie był tym zachwycony. Właśnie zostałem skreślony z listy osób, którym wysyłał życzenia na Boże Narodzenie.

-Ja tu rozkazuję. Utrupić mi tych na zewnątrz. Poślijcie im parę pocisków.

-Nie, daj spokój - Sam przejął kontrolę. - Teraz i tak nie dostaniemy ich wszystkich. Nie strzelać.

Ostatnie sylwetki rozplynęły się w ciemności, podążając w kierunku świateł wozów rozproszonych wokół budynku, jednak poza naszym zasięgiem strzału i ognisk migocących w pobliżu.

Gdy Standish wkroczył ciężko na schodki, tu i tam rozległo się kilka strzałów, ale nie strzelano ani do nas, ani do dezertarów. Rebelianci byli prawdopodobnie tak naćpani khatem, że gotowi byli strzelać do siebie, aby przekonać się, czy to boli, czy nie.

10

Godzina 1.28

większość nas znajdowała się na dachu, skąd gapiliśmy się na światła samochodów i płonące nieopodal ogniska. Atak był tylko kwestią czasu.



Standish siedział w ciężarówce, gdzie rozmawiał z ambasadą, Trzecią Flotą i z kimś jeszcze. Annabel tkwiła przy nim jak przyklejona.

O ile było nam wiadomo albo raczej, co można było wnosić z tego, co Standish powiedział, Amerykanie płynęli cały czas do wybrzeża Zairu. Nie było nadal pozwolenia na użycie myśliwców odrzutowych ani zgody na śmigłowce. Odnosiłem wrażenie, że wycofywanie się ze złożonych obietnic jest tu na porządku dziennym.

Zadanie wykonywane było raz na miesiąc i z ładunkiem nie było kłopotów tak długo, jak długo nikt o tym nie wiedział. Nawet po ataku wszystko było OK, bo my mieliśmy się przecież delikatnie zająć całą sprawą. Teraz jednak, gdy poproszono o wsparcie odrzutowców i śmigłowców, wszyscy jak gdyby zamilkli.

Sam przerwał ciszę.

- Co nowego? - zapytał.

2ta to generał nie był taki spokojny. Od czasu do czasu krzyczał w ciemność i wnosząc z języka jego ciała, gdyby kiedykolwiek dorwał tych facetów, którzy uciekli dziś wieczorem, wyrwałby im :>erca gołymi rękami.

Davy siedział samotnie obok Gary'ego, który nadal leżał tam, gdzie upadł. Twarz zakrywał mu zakrwawiony obrus w kratkę. Sam wpatrywał się w ciemną kałużę, która wyciekła spod jego głowy i lśniła w świetle księżyca. Dotknął wreszcie mego ramienia, mówiąc:

- Chodź ze mną.

Przeszliśmy do zejścia kręconymi schodkami.

-Co jest grane?

-Czy chcesz wiedzieć, dlaczego zginął Gary?

W środku panowała głęboka ciemność. Im niżej schodziliśmy w dół, tym zapach trupów stawał się intensywniejszy. To nie był zwykły zapach jak w sklepie rzeźniczym, tu było za gorąco i za wilgotno. Kojarzył mi się z psim jedzeniem.

Małe drewniane skrzynki leżały porozrzucane na środku holu, były jednak całe.

- Weź jedną, Nick, a ja przytrzymam drzwi.

Zrobiłem to, co mi kazał i wyniosłem skrzynkę na światło księżyca. Była mniej więcej o połowę lżejsza niż taśmy, które dźwigałem wcześniej, lecz zadziwiająco ciężka jak na swoje rozmiary. Mała cynkowa plakietka na boku głosiła: London Good Delivery.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Ładna mi „Dobra Londyńska Dostawa”, skrzynka nie znalazła się jeszcze w Londynie i na pewno ta dostawa nie wróżyła nic dobrego. Jednak Sam wiedział.

- To złoto. Sztabki London Good Delivery są światowym standardem. To z tego powodu ci kolesie za bramą są teraz tutaj. Podniósł jedną ze sztabek wielkości cegły i powiedział: - Te baski ważą po dziesięć kilo każdy. Niezła kupa szmalu.

- Mam to w dupie. To przez to zginęli tu Gary i pozostali?

Sam zauważył moją minę i powiedział: - Może pójdziemy ją zapytać?

Poszedłem za nim do ciężarówki. Sam podsunął Annabeli sztabkę pod nos i warknął: - To wszystko po to, żeby wujaszek Mobutu

mógł wysłać parę milionów więcej do Szwajcarii? Delikatne politycznie? Muszę to powiedzieć matce dzieci Gary'ego. A te twoje przyjaciółki? Czy miały mężów, braci, siostry? Jestem pewien, że to ich pocieszy.

-Sam, ja...

-Pomaga się jedną ręką, a drugą zabiera. Tak to wygląda.

-Spojrzał na nią podobnym wzrokiem, jakim uraczył mnie, gdy w jednym zdaniu użyłem obok siebie takich słów jak „pieprzyć” i „Nowy Testament”.

- Jak wy, ludzie, jesteście jeszcze w stanie spać po nocach?

Milczała. Łzy spływały jej po twarzy. Była młoda, a ta praca była tylko malutkim szczebelkiem na drabinie kariery. Co miała robić? Odmówić z pobudek moralnych, czy jak?

Standish do tej pory siedział cicho, ale już miał tego dość. W porządku, ona potrzebowała obrońcy.

- Zamknij się i przestań płakać. Nie znoszę płaczliwych bab. A wy, sierżancie - spiorunował wzrokiem Sama - wracajcie do swoich obowiązków. Czy sądzicie, że góra o tym nie wie? To są ważne sprawy.

Sam zacisnął szczęki.

- Ważne może dla ciebie, ale nie dla mnie. Jestem żołnierzem. Przez chwilę wydawało się, że Sam mu przyładuje, ale prze rwał mu krzyk Davy'ego z dachu: - Na stanowiska!

am i ja pobiegliśmy do domu, a Davy kontynuował zaganianie innych. - Ruszać się, na stanowiska!

Sam zatrzymał się, by krzyknąć do Standisha: - Zabieraj radio do środka i nie przeszkadzaj mi!

SPopędziliśmy schodkami na dach. Widziałem cztery pary przednich świateł wozów jadących w naszą stronę, potem zrobiło się ich pięć, sześć, a może więcej.

Skontrolowałem karabin, położyłem go na balustradzie i odruchowo przesunąłem kurek, by sprawdzić, czy wszystkie mechanizmy działają, jak należy i są gotowe do pracy. Gdy jego stalowe części ocierały się o siebie, usłyszałem zgrzyt piasku. Zanim zatrasnąłem pokrywę, dla pewności przesunąłem jeszcze biegnący przez uchwyt rygiel bezpiecznika z prawa na lewo.

Usłyszałem, jak z tyłu chłopcy ładują dwa RGppance, ale powstrzymywali się jeszcze z otwarciem ognia. Aby mieć warunki do trafienia nocą, samochody musiałyby się zbliżyć na odległość splunięcia. Granatniki miały tylko zwykłe metalowe celowniki.

Pokazało się jeszcze kilka świateł samochodowych, które przesunęły się na prawo. Ci skurwiele zamierzają nas otoczyć. Czekaliśmy na rozkaz Sama.

Światła zbliżyły się na trzysta metrów, słyszałem odległe pokrzykiwania. Chłopaki napędzane khatem musieli mieć wesołą nockę.

Sam lawirował ciałem jak bokser, próbując mieć lepszy widok, a potem szturchnął mnie w ramię.

- Bierz ten wózek na przodzie.

Zmieniłem pozycję, aż w celowniku znalazły się reflektory najbliższego wozu. Sam porozdzielał innym pozostałe.

Gdy mój zbliżył się na dwieście metrów, Sam rozkazał: -Czekać, czekać... I ognia!

Jazgot ośmiu sztuk broni strzelających jednocześnie był ogłuszający. Walnęła we mnie fala uderzeniowa z RGppanców, potem gorący strumień gazów. Czułem uderzenia odłamków cementu. W nosie miałem cierpki zapach kordytu i spalin. Bębenki w uszach wibrowały.

Oddałem kolejne dwa szybkie strzały w wóz prowadzący, jeden z naszych granatów uderzył obok trzeciego z tyłu. Ten skręcił gwałtownie, chmura kurzu przysłoniła mi mój cel. Następną rzeczą jaką zobaczyłem, było to, że i mój wóz także gwałtownie zboczył i toczył się, będąc już nie dalej jak dwadzieścia metrów od muru.

Oddział posuwał się naprzód, strzelając zawzięcie, a z każdą chwilą wrzaski i krzyki przybierały na sile.

Pierwszy samochód dotarł do muru i zniknął nam z oczu. Wyglądało na to, że zmierza do bramy. Sam biegł wzdłuż balustrady, krzycząc: - Celujcie w wóz! Celować w wóz!

Chciałem złapać za uchwyt, aby użyć broni, ale nie trafiłem. Palce zacisnęły się wokół rozpalonego niemal do czerwoności metalu i mało co do niego nie przywarły. Za drugim razem postarałem się złapać właściwie.

Pociski Sama wywierciły dziury w słabych stalowych płytach bramy.

- Z prawej strony bramy! Przebić mur! - krzyczał Sam.

Stałem z bronią przy ramieniu, z rękami na kolbie i lufą wspartą na balustradzie, aby móc celować w dół pod odpowiednim kątem. Gdy oddawałem ogień ciągły, czułem swąd własnej spalonej skóry.

Pustak grubości kilku cali nie stanowi problemu dla stalowego pocisku kalibru 7,62 mm, lecącego z prędkością ośmiuset metrów na sekundę.

Jeden fragment muru przestał istnieć.

Za murem, zamiast rozproszyć się, nagrzeni katem faceci strzelali teraz przez dziurę. Inni nadal atakowali bramę, naćpani tak, że nawet nie zdawali sobie sprawy, że krwawią.

Godzina 4.20

Napływali na nas falami, po piętnastu,
dwudziestu naraz. Szczelinowy tłumik
płomienia na końcu lufy mojej broni rozjarzył
się od oddanych strzałów. Teraz z pewnością płacili Standishowi

rachunek za naszych zabitych.

Gdy zapadła cisza, otworzyłem osłonę zamka, by schłodzić mechanizmy broni.

Sam sprawdzał wszędzie stan amunicji. Odpowiedzi, które napływały ze wszystkich stanowisk, brzmiały tak samo: -Kiepsko.

- W porządku, słuchajcie. Za dwie godziny zrobi się jasno. Davy i Nick, bierzcie Gary'ego i pozostałych i złóżcie ich na tył naszego wozu.

Zostawiłem broń na tarasie z otwartą osłoną zamka i poszedłem po ciało Frankensteina.

- On już robi się sztywny - zerknął na mnie Davy, próbując

ułożyć ręce Gary'ego wzdłuż boków. - Jeszcze godzina, a nie przeszlibyśmy z nim po schodkach.

Chwyliłem Gary'ego pod pachami, a Davy złapał go za nogi. Był chyba wstrząśnięty.

-Dobrze się czujesz, bracie?

-Wiesz... znałem jego dziewczynę. Mieli dwójkę dzieciaków.

- Davy stęknął z wysiłku. - Teraz będzie miała. Nie chcia-

ła wyjść za mąż za tego cholernika. - Wskazał ruchem głowy Frankensteina, którego głowa się kołysała, kiedy szliśmy z nim przez korytarz.

Dotarliśmy do szczytu schodów, w moje nozdrza uderzył odór śmierci.

Znieśliśmy Frankensteina schodami, najostrożniej, jak się dało, przenosząc go obok innych ciał i złota, i dalej na pakę naszej ciężarówki.

Standish i Annabel siedzieli oparci o koło ciężarówki. Standish zamyślony ustawiał łączność. Olaliśmy go otwarcie, i co z tego? Mógł sobie gadać i organizować, ile wlezie, i tak nie był przecież jednym z nas.

-No i co ona teraz zrobi? - zapytałem.

-Chuj wie... Armia jej nie pomoże, bo nie jest żoną żadnego z żołnierzy.

-Davy, Nick, zostańcie tam - krzyknął Sam z tarasu i po chwili wyłonił się z ciemności. - Wyjdźcie i poszukajcie jakichś magazynków. Będziemy was osłaniać.

Wyjrzałem przez wyłom w murze. W świetle księżyca widać było ponad tuzin leżących rozproszonych ciał. Jeśli Davy uważał, że dziewczyna Gary'ego będzie miała kłopot z rentą po nim, to jaki będzie los przyjaciółek tych bandziorów?

Wygramoliliśmy się przez gruzowisko i znaleźliśmy się na ziemi niczyjej.

avy klęknął u mego boku z bronią przy ramieniu. Podniosłem jakiegoś kałasznikowa z piasku, nacisnąłem zatrzask magazynka i pchnąłem go do przodu, aż wypadł z łożyska. Potem przeszukałem zwłoki leżące mniej więcej metr dalej. Znalazłem jeden magazynek wetknięty za pasek dżinsów, drugi zaś w tylnej kieszeni. Wyciągnąłem z przodu moją koszulkę futbolową i wrzuciłem w nią zdobycz.

Ciało było pokryte zakrwawionym piaskiem, który nie zdążył wyschnąć, nie chciałem więc go dotknąć. O AIDS gadało się, odkąd po raz pierwszy zatrabiono w prasie na alarm trzy-cztery lata wcześniej, lecz nikt z nas nie wiedział o tym zbyt wiele. Czy można się było zarazić przez krew, przez seks z gejem czy przez całowanie Rocka Hudsona? Facet zmarł rok temu na tę właśnie chorobę i od tego czasu wszyscy jego partnerzy, którzy mieli z nim ustny kontakt na planie filmowym, dygotali ze strachu.

Ruszyłem przed siebie. AIDS to jedna sprawa, ale brak amunicji był większym zagrożeniem dla życia.

Kolejny leżący nosił amunicję w brezentowej kamizelce. Miałem teraz sześć dodatkowych magazynków.

Następny leżał na plecach z szeroko otwartymi oczami. I kwilił.

- Jeden tu żywy!

Standish zawołał z dziury w murze: - Zostaw go i rób swoje!

- Sam, to dzieciak i w kiepskim stanie.

Standish powtórzył rozkaz, ale Sam rzucił zza balustrady: - Ściągnij go do nas!

Przyjrzałem się rannemu: ten skurczysyn miał najwyżej die-
sięć-jedenaście lat. Księżycowa poświata połyskiwała w ciemnej
kałuży wzbierającej pod nim. Dookoła leżały bryły gruzu.
Dźwignąłem ten worek ze skóry i gnatów, zostawiając mojego
kałasznikowa Davy'emu, aby go przyniósł razem ze swoim
sprzętem. Pieprzę AIDS -jutro mogę już nie żyć.

Sam był już na pace naszej ciężarówki i wciągał właśnie rękaw-
iczki chirurgiczne z apteczki.

- Mój Boże. - Sam położył mu dłoń na głowie, mrużąc: -
Ciii... OK... Będzie dobrze.

Podszedłem z drugiej strony. Odzież szczeniaka była w strzę-
pach, widać więc było wyraźnie ogromne cięcie wzdłuż uda.
Wyglądało to jak pęknięta z gorąca kielbaska. Większość rany
była pokryta drobnymi odłamkami kamieni. Włosy i twarz oble-
piała krew pomieszana z potem i piaskiem.

Nie mieliśmy żadnych płynów, aby mu podać. Jedyne, co mo-
gliśmy zrobić, to zatkać te dziury i powstrzymać dalszy upływ
krwi. Będzie cierpiał, pewnie dostanie zakażenia, ale gdybyśmy
dostarczyli go do szpitala, tam by się już nim zajęli. Sam
położył dłonie po obu stronach tego głębokiego cięcia, zbliżając
do siebie brzegi rany. Ucisk był jedynym sposobem, aby
powstrzymać krwawienie.

Rozerwałem zębami pakiet opatrunku i rozwinąłem bandaż
mocujący. Opatrunek uciskowy skutkuje lepiej niż opatrunek
zwykły. Ale w tym przypadku za cholere nie odegra roli zgodnej
z przeznaczeniem. Wręczyłem opatrunek Samowi, który we-
pchnął go po prostu do sączącej się rany. Dzieciak krzyknął.

- Ciii... Musimy to zatkać - pomrukiwał współczująco Sam,
jakby chłopiec mógł rozumieć, co mówi.

Za pierwszym pakietem opatrunkowym poszedł następny, a
trzeci zabezpieczył wszystko od góry. Podałem Samowi czte-
rocalowy bandaż elastyczny, a on zaczął bandażowanie,
stosując ciągle ten sam ucisk wzdłuż całej rany.

Wziął drugi bandaż z mojej wyciągniętej ręki.

- Cośmy uczynili? Cośmy uczynili? - wymamrotał.

Wydawało mi się, że mówi do mnie i uniosłem głowę. Nic podobnego. Jego oczy wpatrzone były w niebo. - Odsuść nam, Panie Boże...

14

Godzina 5.47

tandish nadal siedział oparty o koło, z uchem przyklejonym do radiotelefonu, ponieważ rozmawiał z pułkownikiem amerykańskiej marynarki wojennej, kołysanym przez fale południowego Atlantyku. Sam sterczał nad nim zajęty ustalaniem, ile to śmigłowce będą musiały udźwignąć.

Marynarka wojenna USA miała śmigłowców, ile wlezie, ale to nie oznaczało wcale, że w strefę zagrożenia wyśle ich więcej, niż musi. Dobrze przynajmniej, że przylecą. Rozpatrzyli w końcu pomysł Gary'ego, aby użyć Sea Knighta jako stacji paliw.

Nikt z naszych nie skakał z tego powodu z radości. Teraz wiedzieliśmy, co jest w skrzynkach i za jaką sprawę zginął Gary i te dwie Królewskie Siostry - za liczne posiadłości Mobutu na Riwierze Francuskiej, za jego nowy prywatny džambo dżet.

Całkiem nieźle pożyje sobie nasz Zbawca Narodu z tej małej robotki, o której za miesiąc nikt nie będzie pamiętał. Jednocześnie nasz rząd spokojnie wyroluje osierocone dzieci Gary'ego, podobnie jak ten tutaj z wolna umierający dzieciak dał się wyjechać przez swój rząd. A wnuczki naszej księżniczki Margaretę będą się zastanawiać, dlaczego babcia nie przyjechała na święta...

Każda z czternastu skrzynek ważyła sześćdziesiąt kilo. Na dodatek było jeszcze do zabrania jednaście osób, włączając w to Annabełę, generała, Gary'ego i tego dzieciaka. Cały ładunek wy-

niósłby około półtorej tony, dla śmigłowca to pestka, gorzej będzie z samym załadowaniem.

Śmigłowce marynarki, UH-60 Seahawks, były wersją morską Blackhawka i przeznaczone były do zabrania na pokład ośmiu grup bojowych z oprzyrządowaniem, wyasygnowano więc dwa. Eskortę stanowiły dwa śmigłowce szturmowe Cobra, uzbrojone w trzylufowe działka kalibru 20 mm. Miały nas odsłaniać, gdy wypadniemy za bramę na otwartą przestrzeń, gdzie wylądują Seahawki. Na pierwszy helikopter chcieliśmy załadować bagaż Mobutu, resztę zaś na drugi. Potem wszystkie cztery maszyny zawrócą na wybrzeże, wcześniej zawadzając jeszcze o jeden z Sea Knightsów, czekający gdzieś na pustyni.

Zrobiłem, co w mojej mocy, aby pocieszyć rannego chłopca, co nie było łatwe. Nie znaliśmy wspólnego języka, a ja nie nadawałem się specjalnie do pracy w ekipie kłowna RONALDA McDONALDA. Na dodatek nie miałem wcale pewności, że chłopiec mnie słyszy. Opatrunki na nodze i głowie zajmowały taką powierzchnię, że wyglądał jak mumia.

Sam, który siedział tuż pod nami, zamknął się głęboko w sobie, nigdy go takiego jeszcze nie widziałem. Sumienie nie dawało mu spokoju, ja zresztą też nie za dobrze się czułem z powodu tego, co zrobiliśmy. Może i nie mieliśmy specjalnego wyboru, ale to mała pociecha.

Zabijałem ludzi już wcześniej, ale w tym wypadku było inaczej. Dzieciaki jak ten nie mogą być niczym wrogiem. To faceci, którzy zmusili tych nieszczęsnych biedaków do noszenia broni, powinni teraz leżeć w tym piachu.

Standish kończył rozmowę z marynarką wojenną.

- OK, będą tutaj o pierwszym brzasku. Ruszamy stąd w chwili, kiedy ich usłyszymy. Na załadunek będziemy mieć dwie minuty.

Sam spojrzał na mnie z dołu i powiedział: - No cóż, trzeba chyba załadować te brudne pieniądze na jakiś wóz, no nie?

Godzina 5.23

krzynki zostały załadowane. Davy i pozostali chłopcy wstawali na górze. Nie było już nic do roboty, pozostawało tylko czekać. Nawet generał był spokojny.

SW świetle księżyca oglądałem moją spaloną rękę i obserwowałem, jak Sam troszczy się o rannego dzieciaka. Niewiele mógł zrobić. Rany zostały opatrzone i chyba zakażone, ale chłopak przynajmniej żył.

Sama zaprzętały różne myśli, i to nie tylko te związane z dowodzeniem grupie. Czułem się wystarczająco kiepsko, by nie zawracać sobie głowy tym, co będzie po śmierci ani Facetem z Białą Brodą, przed którym miałem odpowiadać.

Ciszę przerwał Standish: - Są nad wybrzeżem i lecą do nas. Wsiadamy do wozów. - Wybrał numery w telefonie. Sam zwołał chłopaków i zaczęliśmy się ładować.

- Panie ambasadorze, przygotowuję teraz grupę. Skontaktuję się z panem, gdy tylko będę miał kontakt wzrokowy z samolotem. - Oddał mikrotelefon Annabeli i poszedł wyjrzeć przez włom w murze.

Wśród rebeliantów nadal panował ruch, chociaż już za chwilę miało świtać. Dogasały ogniska, gdzieś daleko błyskały światła samochodów. Te chłopaki nadal się jeszcze ostro bawili. Nie byłem już pewien, co będzie bardziej niebezpieczne, gdy nastanie

brzask: ci za murem czy Cobry z eskorty, pilotowane przez napalonych na strzelanie Amerykanów.

Wkrótce sprawa się wyjaśni. Nad horyzontem pokazała się jasność i niebawem wszędzie słońce. Renówki zakaszły, budząc się do życia i dziedziniec wypełniły gryzące spaliny.

Przynajmniej muchom nie pozwolą się zbliżyć.

16

Godzina 6.04

szyscy zmieścili się z trudem w trzech ciężarówkach, tylko Davy leżał jeszcze na brzuchu w otwartej bramie, dwójnog wbity był w piach po drugiej stronie muru. Teraz było widać, że większość poszarpanych ciał należała do dzieci, ale olewaliśmy to, albo usiłowaliśmy olewać...

W

Wóz Sama ruszał pierwszy, ze mną przy ukaemie. Standish, Annabel i dzieciak z tyłu za nami. Następny wóz zabrał generała siedzącego na dawnym miejscu Frankensteina. Na flaku jechały skrzynki i czterech ludzi. W trzeciej ciężarówce miał jechać tylko kierowca i Davy z RGppancem. Gdyby musiał strzelać, nie chciał się martwić o życie tych, którzy weszliby mu w drogę lub tych, których miał z tyłu. Cały jego ładunek składał się z yamaha 175, trzech pozostałych jeszcze pocisków do RGppanca, Gary'ego oraz Królewskich Sióstr. Paliwo z czwartej ciężarówki zostało ściągnięte i rozdzielone.

W słuchawce radiotelefonu zatrzeszczało, Standish przyłożył ją do ucha. Cobry miały nas osłaniać, gdy tą samą drogą, którą tu dotarliśmy, mieliśmy dostać się do niewidocznego dla rebeliantów miejsca, skąd miały nas zabrać Seahawki. Nikt nie wiedział, jak to ma wyglądać, ponieważ żadnej łączności radiowej ze śmigłowcami nie mieliśmy.

- Za pięć minut będą u celu.

Davy krzyknął ostrzegawczo: - Pojazdy o jakieś siedemset-osiemset metrów od nas! Gnają, aż się kurzy!

Sam wyskoczył z samochodu i przywarł do ziemi obok Davy'ego.

Prawie natychmiast zerwał się na nogi i pobiegł z powrotem. Wskoczył za kierownicę, sięgnął do rozrusznika i powiedział: - Za dużo ich! Nie możemy czekać na śmigłowce. Będą musiały same nas znaleźć.

Godzina 6.23

asza ciężarówka wyjechała pierwsza za bramę. Sam mocno przyciskał pedał gazu, nie tylko przecież po to, aby przebrnąć przez trupy, których nie mieliśmy jak uprzątnąć. Jakieś czterysta metrów przed nami widać było maski trzech samochodów wroga. Za nimi jechał w kurzu co najmniej tuzin innych.

- Wszystkich nie obejmę! - wychyliłem się z fotela. - Muszę zmienić pozycję.

Sam przygotował się. - Rób to! - wiedział, co musiałem uczynić.

Wdrapałem się na worki z piaskiem i manewrując, ułożyłem się w poprzek tablicy rozdzielczej i maski samochodu. Mój tyłek znalazł się prawie pod samym nosem Sama, ale przynajmniej teraz miałem stabilną platformę strzelecką, dwójnóg wbity był w worki piasku i podczas gdy zmierzaliśmy w kierunku południowym, mogłem celować także na wschód.

Samochód podskoczył, o mały włos z niego nie wypadłem. Sam złapał mnie za nogę, pomagając ułożyć się ponownie w pozycji strzeleckiej. Nie byłem jeszcze gotów do strzału; na razie powtarzałem sobie w duchu: celuję w jadące pojazdy z jadącego samochodu, liczy się każdy pocisk. Muszę mieć je blisko. I gdzie są te pierdolone śmigłowce?

Sam musiał prowadzić jedną ręką, bo drugą trzymał mnie. Samochody rebeliantów pędziły na nas jak jakieś spanikowane stado bydła. Słońce widoczne było dopiero w jednej trzeciej nad horyzontem, ale i tak nie dało się już patrzeć w tę stronę.

Wóz Davy'ego naruszył szyk wozów jadących za nami i skierował się na prawo, a potem tak ostro zahamował, że pomyślałem, iż się zepsuł.

Kilka sekund później gazy wylotowe z RGppanca wybiły w górę chmurę piasku i szarego dymu.

Przez cały czas śledziłem lot granatu. Wóz na samym przodzie poderwał się na wysokość około metra. Potem nie było żadnej kuli ognia, tylko wokół powstała nagle piaskowa aureola i fala uderzeniowa rozniosła fragmenty samochodu we wszystkich kierunkach.

Gdy resztki szkieletu samochodu opadały na ziemię, trzy pozostałe pikapy znajdowały się już niecałe sto metrów przed nami. Słyszałem ryk ich przeciążonych silników.

Ludzie jadący na pakach strzelali bez wyboru jak szaleni, nie wiedząc, gdzie celować.

Zastanawiałem się, czy Sam modlił się do swojego Boga, a jeśli tak, to chyba niepotrzebnie. Obecnie to nie Bóg był Panem Wszystkiego; tutaj te dwie Cobry były bogiem.

Zanim wystrzeliłem pierwszą krótką serię, czekałem, aż wozy zbliżą się do nas na około pięćdziesięciu metrów. Celowałem w przednią szybę, bo zawsze chce się trafić kierowcę.

Davy wystrzelił z granatnika kolejny pocisk. Zostały mu tylko dwa.

Tym razem nie wiedziałem nawet, gdzie trafił. Byłem zbyt zajęty na moim podwórku, sprawdzając taśmę nabożową i strzelając, jak najlepiej się dało, do pojazdów, które okręzały nas jak Indianie tabor.

Strzeliłem ponownie. Trzasnęło szkło, samochód skręcił gwałtownie. Posłałem jeszcze jedną seryjkę w przednie drzwiczki na poziomie klatki piersiowej pasażera.

Pikap skręcił raptownie, obracając się w prawo, chciałem strzelić raz jeszcze, ale nasz renault zakołysał się gwałtownie i straciłem cel.

Sam musiał walczyć z kierownicą, wokół nas wzbił się w górę piasek i trafiła w nas fala uderzeniowa.

dy Cobry przeleciały nam nad głowami, uderzyła nas burza piasku i smród lotniczego paliwa. Śmigłowce obróciły się, aby ustawić się przodem do fali pikapów i dać popracować działkom pokładowym.

G Chwilę później rozległ się grzechot ciągłych serii wystrzałów, przebijający się przez szybki łomot śmigieł, a na nasz samochód posypał się grad łusek.

Helikoptery przesunęły się do przodu, a burza piasku razem z nimi. Przed nami mogłem już zobaczyć nadlatujące nisko Seahawki, z każdej burty wychylał się strzelec.

Po prawej stronie jeden za drugim wybuchały w powietrzu pociski z pancernownic. Śmigłowce szturmowe odwróciły się i odpowiedziały krótkimi seriami z działek.

Do przebycia pozostało nam kilkaset metrów. Pierwszy Seahawk już lądował, znikając w tumanie kurzu. Drugi unosił się w powietrzu, szukając miejsca do lądowania wolnego od zarośli.

Nadleciały jeszcze dwa granaty, ale tym razem nisko i daleko przed nami ich silniki ucichły.

Gdy zrozumiałem, co było ich celem, kolejne kilka sekund upłynęło jakby w zwolnionym tempie.

Kiedy znajdujący się w powietrzu Seahawk został trafiony, rozległ się tylko głuchy huk, żadnych płomieni czy eksplozji. Maszyna zatoczyła się jak pijana i z nosem niemal na sztorc spadła na ziemię z wysokości może sześciu metrów, a jej kadłub uległ zgnieceniu.

Sam zahuśtał się na fotelu, jakby ten ruch miał zwiększyć naszą prędkość. Nie zamierzał bynajmniej myśleć o pomocy dla tych, którzy ocaleli. Chciał dotrzeć do pozostałego Seahawka, zanim następny pocisk z RGppanca zrobi swoje.

W górze rozległ się łomot jednej z Cobr. Puste kasety po nabojach nadal spadały na ziemię. Ten, kto strzelał wcześniej z tego RGppanca, teraz witał się już zapewne ze świętym Piotrem.

Wrak wcale się nie palił, ten sprzęt jest tak zaprojektowany, aby wytrzymać trafienie. Dwóch strzelców pokładowych z drugiego Seahawka zjawiło się w chwili, gdy ocaleni gramolili się z maszyny.

Zatrzymaliśmy się opodal miejsca upadku. Szedłem za Samem, piach i smród lotniczego paliwa zatykał mi nos, pozostałe wozy dobijały na miejsce.

Strzelcom w głowie było jedynie doprowadzenie do ładu swoich czterech kolegów, którzy byli w nie najlepszym stanie. Pokrwawieni i zszokowani, ale żyli.

Ja zaś miałem w głowie tylko to, że teraz jest jeden helikopter, w którym cztery miejsca są już zajęte.

Sam krzyknął, by zwrócić na siebie uwagę strzelca.

- Skrzynki! Skrzynki! - już obok niego stał Standish.

Strzelec odwrócił się, jego twarz zasłaniała ciemna przyłbica hełmu. Standish wykonał ruch rękami mający przedstawiać prostokąt. Strzelec skinął lakonicznie głową. Widać wiedzieli, po co tutaj przyjechali.

Na plecach przenosiliśmy w biegu skrzynki z samochodu do Seahawka, uginając się pod ich ciężarem. Do naszych spoconych ciał lepił się piasek.

No nieźle, skończy się na tym, że jednak będziemy stąd uciekać na przelaj po wertepach. Ale przynajmniej nikt nas nie będzie gonił. Cobry przywałyły jeszcze kilka długich serii, dolina

upstrzona była teraz kraterami i ogniami jak w jakiejś grze komputerowej. Dwudziestomilimetrowe działka waliły nawet w ciała

porozrzucane wokół zdemolowanych wozów. Zestrzelili jeden śmigłowiec, mieli więc za to zapłacić wszyscy, dzieci też.

Sam i ja przywlekliśmy dwie ostatnie skrzynki, wtedy zauważyłem, że Standish i generał są już na pokładzie. Gdy tylko nasz ładunek znalazł się w środku, Standish klepnął pilota, by ten rozpoczął start.

Sam chwycił Standisha za nogę i przez ryk silników krzyknął:

- Annabel i chłopiec! Annabel i chłopiec! - Odwrócił się do mnie. - Idę po nich!

Zniknął w tumanie kurzu, ja zaś, łapiąc za nogę jednego ze strzelców, próbowałem mu zasygnalizować, że do transportu będą jeszcze dwie osoby. W końcu wdrapałem się na pokład, aby móc mu to wyłożyć. Standish gapił się na mnie, próbując zrozumieć, co jest grane. Dlaczego jeszcze nie startujemy?

Pokazałem dwa palce strzelcowi i Standishowi. Zrozumieli, o co chodzi.

Z dołu rozległ się krzyk. Przy drzwiach stał Sam. Podnosił w górę chłopca jak żebrak swoją miseczkę. Za nim wychynęła z dławiącego kurzu Annabel.

Standish obejrzał się i zobaczywszy, co to za ładunek, machnął na niego ręką. Krzyknął do strzelca i pokazał kciukiem w niebo. Ten zawahał się, kciuk ponownie powędrował do góry.

Maszyna zadrżała i zaczęła wznosić się w powietrze.

Potyając się o skrzynki London Delivery, wyciągnąłem rękę.

Sam podał mi chłopca, a potem podrzucił Annabel na płożę helikoptera. Dziewczyna chwyciła próg, gotowa wspiąć się do środka.

Standish dostał szału. Wrzeszcząc, nadepnął Annabeli na palce.

Złapałem chłopca za chude przeguby, przez chwilę zwiślał jak kawał padliny, śmigłowiec wznosił się i mały wyślizgnął się z objęć Sama.

Opuszczałem moją grupę, tak się nie robi - powinienem był z nimi zostać.

Helikopter zmieniał kierunek lotu, dookoła wirował kurz. Siracilem Sama z oczu. Chciałem, by wiedział, że to nie był mój wybór, by znaleźć się na pokładzie.

Annabel trzymała się rozpaczliwie, ale jej palce zaczęły się ześlizgiwać. Wtedy Standish kopnął ją ponownie, a siła skręcającej maszyny była zbyt duża. Pęd powietrza odrzucił ją od progu i płozy. Połknęła ją piaszczysta zamieć.

Trzymałem z desperacją dyndające w powietrzu ciało chłopca, usiłując wciągnąć go do środka. Jego wzrok był wbity we mnie. Wołanie do niego w ryku silników nie miało sensu. Wpatrywałem się w niego, usiłując natchnąć jakąś nadzieją, gdy machał nogami, szukając płozy.

Chciałem wykonać ostateczny ruch, aby go wciągnąć, ale jego przeguby i moje dłonie były zbyt śliskie od krwi i potu. Mógłbym równie dobrze próbować utrzymać kilka mokrych węgorzy.

Wyślizgnął mi się z rąk. Wbił szeroko rozwarte, znieruchomiałe oczy we mnie i spadł, znikając w zamieci jak Annabel. Seahawk wzniósł się wśród chmury piasku wzbitej wirnikami. W ciągu kilku sekund był już trzydzieści metrów nad ziemią. To było już za wysoko, bym próbował wyskoczyć. Daleko pod nami widziałem Sama klęczącego przy dzieciaku. Annabel leżała nieruchomo w krzakach twarzą w dół.

Gdy się wznosiliśmy, zobaczyłem jeszcze Davy'ego biegnącego do nich od swego wozu. Palące się wraki słały do nieba pióropusze czarnego dymu. Wokół leżały rozrzucone ciała, nad nimi wznosiły się Cobry osłaniające nasz odwrót. Z pokładowych działek buchnął szary dym, a pociski uderzały o ziemię jak ciężkie krople deszczu o powierzchnię stawu.

Odwróciłem się do Standisha.

To, co działo się na ziemi, już go nie interesowało. Klepał właśnie generała po ramieniu, a na wargach miał szeroki uśmiech zwycięstwa.

Część druga

Cafe Raffaelli

Lugano, Szwajcaria,

czwartek, 8 czerwca 2006

1

Lugano istnieje cała ulica jubilerów i sklepów, gdzie prawdopodobnie sprzedawana jest połowa produkcji Prądy i

Wroczna produkcja Roleksa. I rzeczywiście, idąc wzdłuż Riva Albertolli lub usadzając swoją raczej szeroką dupę w kafejce na wolnym powietrzu nad brzegiem jeziora, czuje się smród pieniędzy.

Małe, ale doskonale ukształtowane miasto znajduje się we włoskojęzycznym południowo-wschodnim regionie Szwajcarii, w odległości zaledwie dziesięciu minut jazdy od granicy. Drugiego takiego miejsca nie znajdziesz już w tym rajku podatkowym i kraju Toblerone. Przede wszystkim osłaniające miasto od północnych wiatrów góry przyczyniają się do łagodnego mikroklimatu. Na dodatek człowiek czuje się tu jak we Włoszech: wielkie jak katedry kościoły pełne są fresków, a na obsadzonych palmami bulwarach sprzedaje się włoskie lody. Tylko nikt nie jeździ jak we Włoszech, w końcu to jednak nadal jest Szwajcaria.

Od kiedy tu się zatrzymaliśmy, Silky pracowała w biurze Mercy Flight.

- To jedyny sposób, abym nie czuła winy za to, jak żyję - powiedziała - ze dwa lata podróżowania i bujania się, potem pół roku pracy dla dobra sprawy. - Jej biuro usytuowano możliwie jak najbliżej drogiej dzielnicy, tak aby ta organizacja charytatywna mogła liczyć na klientów Gucciego.

Mieliśmy w zwyczaju spotykać się na lunchu w ogródku jednej z restauracji. Dla Silky była to godzina wytchnienia od ratowania

świata, dla mnie zaś godzina wolnego od czytania angielskich gazet i marzenia o tym, abyśmy ponownie znaleźli się na wło-
czędze.

Siedzieliśmy w Lugano od miesiąca, a jeśli o mnie chodzi, było to o trzy i pół tygodnia za długo. Wolałbym, abyśmy byli na Dalekim Wschodzie, w Indiach lub w jakimś innym miejscu, o którym mówiliśmy. Mogła nawet to być znowu Australia. Tak naprawdę nie zależało mi na tym, gdzie pojedziemy, byle tylko ona jechała ze mną.

Odrzuciła dyskusję o wyjeździe na dwa miesiące, ale bym zabezpieczył się przed zupełnym olaniem mnie, moja karta Visa doznała właśnie uszerbku na dwa tysiące franków szwajcarskich - w zamian dostałem malutkie pudełeczko zawierające jedną bi-
liardową część światowej rezerwy złota oraz diament, tak mały, że widać go dopiero pod mikroskopem. Silky mawiała, że im mniej, tym więcej, miałem więc nadzieję, że nie zmieni zdania w tym przypadku; to było wszystko, na co mnie było stać. Musiało mi jeszcze zostać na lot do Sydney i na parotygodniowe kieszon-
kowe, gdyby się okazało, że nie ma akurat żadnych zlotów spado-
chroniarzy, a więc i nie ma jak zarobić pakowaniem spadochro-
nów. Ona oczywiście miała pieniądze, ale nie o to chodziło.

Od jubilera chciałem lecieć prosto do niej do pracy i mieć to z głowy, ale się powstrzymałem. W kwestii poczucia humoru Silky była jednak typową Niemką. Taki gest może zwalić ją z nóg, muszę to zrobić właściwie.

Poszedłem więc dalej ulicą, kupiłem egzemplarz „The Times”, był w cenie broszury, i usiadłem sobie u Raffaellego, w jej ulubionym ogródku przed lokalem.

Zamówiłem cappuccino, nałożyłem ciemne okulary i sięgną-
łem do pierwszej strony z wiadomościami dnia, słońce grzało mi kark. Wszystko po staremu. Bomba w samochodzie w Bagdadzie. Skandal polityczny w Waszyngtonie. A co ważnego w Londynie? John Prescott gra w krykieta, podczas gdy powinien rządzić kra-

jem. Nie byłem w stanie tego czytać. Odłożyłem gazetę na stół, wyciągnąłem nogi i ręce, patrzyłem na jezioro. Było bezwietrznie. Jezioro Lugano było lustrem odbijającym słońce z powrotem w bezchmurne niebo. Na świecie są gorsze miejsca do siedzenia i spędzania czasu.

Minęła mnie grupa zakwefionych kobiet, podzwaniających złotem i trajkoczących coś między sobą. Język arabski ma to do siebie, że cokolwiek by się mówiło, brzmi to jak klótnia. I one właśnie tak mówiły. Ich widok uświadomił mi po raz kolejny, że Lugano może jest dopiero trzecim w kolejności ważnym ośrodkiem finansowym kraju, ale i tutaj też wszystko obraca się wokół szmalu, obojętnie z jakiego kontynentu napływa.

Lugano miało jednak więcej klasy niż Zurych czy Genewa. Żadnych śmieci na chodnikach, żadnych niedopałków w rynsztokach. Do podlewania kwietników mieli tu oddzielny personel. Pojawiły się szkoły i uniwersytety amerykańskie, powstało nawet centrum badań nad sztuczną inteligencją. W tym mieście wszyscy przebywali tylko po to, aby zdeponować pieniądze albo go wydać.

Zatrąbił jakiś samochód. Zapchana bentleyami Riva Albertolli pełna była teraz japońskich turystów, którzy właśnie wysiedli z autokaru i nie wiedzieli, jak mają przekroczyć jezdnię.

Lugano jest niewielkie, zaledwie pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, ale ma własny port lotniczy z częstymi połączeniami z innymi dużymi ośrodkami finansowymi, nie wyłączając Londynu. Według Silky, w Lugano trzymała swoje pieniądze Cosa Nostra. Mafія wybudowała nawet w latach osiemdziesiątych, podczas wojny mafii, własną szkołę, tak aby jej dzieci mogły w spokoju pobierać nauki, podczas gdy dorośli zajęci byli podkładaniem sobie końskich łbów do łóżek.

Autokar, wielki jak samolot, zaparkował właśnie z ogłuszającym sykiem hamulców i wyrzucił z siebie tłum amerykańskich emerytów. Ruszyła fala szortów, skarpetek i sandałów. Z nad-

garstków z plamami wątrobowymi zwisało tyle złota i diamentów, że można by za nie spłacić cały dług narodowy jakiegoś rozwijającego się kraju i starczyłoby jeszcze na fryzjera dla Boba Geldofa.

W głowie zaczął mi się kształtować plan. Po lunchu odprowadzę Silky do biura. Gdy będziemy mijać lśniące witryny sklepów jubilerskich, sięgnę do kieszeni, wyjmę pudełeczko i powiem coś w tym stylu: „Preferuję małe rozmiary...”. A może kupię jej lody na końcu ulicy, schowam za plecami i powiem: „Zgadnij, w której ręce?”. Hm, ciekawe, jak postąpiłby w takiej sytuacji Hugh Grant.

Minęło pół do pierwszej, a Silky jeszcze nie zadzwoniła. Wiedziałem, że jest zajęta, więc też nie dzwoniłem. Zamówiłem następną kawę i postanowiłem przejrzeć środek gazety.

W Peru mieli kryzys wyborczy, w Londynie zakazano podlewania ogródków. W Demokratycznej Republice Konga porwano dwóch ochotników z charytatywnej służby medycznej. Nikt nie wiedział dlaczego, ale wyglądało to kiepsko. Żaden z zamieszanych nie będzie nigdy kandydatem do Pokojowej Nagrody Nobla.

Od czasu gdy tam byłem na zadaniu w 1985 roku, Zair zmienił nazwę na Demokratyczna Republika Konga, zwaną popularnie Kongo-Kinszasa, ale reszta, zdaje się, pozostała bez zmian. Od siedmiu lat Kongijczycy zamieszani byli w największy konflikt, jaki świat widział od czasu drugiej wojny światowej. Hutu, odpowiedzialni za wymordowanie prawie miliona Tutsi w Rwandzie w 1994 roku, przekroczyli granicę w ucieczce przed napierającą armią Tutsi. Zair zapadł się pod ciężarem wojny domowej i najeżdżów sąsiadów. Rwanda wkroczyła ponownie w roku 1998, rozniecając wojnę, w którą w szczytowym okresie wciągniętych było dziewięć innych państw afrykańskich. Zginęły cztery miliony ludzi, reszta świata prawie tego nie zauważyła. Zrobiły to jednak charytatywne organizacje pomocy medycznej, takie jak

Mercy Flight, które wysłały ludzi na miejsce, aby opatrywali rannych i pokiereszowanych.

Miejsce to było koszmarem z dokładnie takich samych powodów, z jakich było za moich czasów: chciwość i walka o kontrolę nad bogatymi złożami złota i bogactw mineralnych. Jeśli nie popierane przez obce państwa rywalizujące grupy, starające się położyć łapy na bogactwie naturalnym kraju, to ludzie po prostu umierający z głodu, ponieważ nic nie mają do zaoferowania - ani diamentów, ani ropy naftowej, ani zboża - czyli także i pieniądze, aby kupić coś od Zachodu. Toteż się od nich odwróciliśmy. Uszlachceni panowie Bob G. i król psich łakoci Bono coś tam wprowadzicie dla nich zrobili, ale ich pomoc ginęła jak kropla w morzu.

Z tego powodu jednak wcale nie było mi przykro. Złożyłem gazetę, oparłem się wygodnie i zamknąłem oczy.

Czasami, gdy jakiś maluch odpowiadał na moje przelotne spojrzenie i zaczynał gapić się na mnie, jak to zwykły robić dzieci, przed oczami stawał mi wyraz oczu tego małego chłopca - szeroko rozwarte, przerażone, błagające mnie, abym go wciągnął, przecież nic nie ważył. Chciałem tego tak mocno jak on sam. Z dziesięć lat zajęło mi zdanie sobie z tego sprawy; to było tak, jakbym ratując go wtedy, wyrównał rachunek za śmierć jemu podobnych.

To wszystko było jednak niczym w porównaniu z tym, co czułem w związku z Samem i resztą chłopaków, zostawionych tego dnia na pastwę losu w tym pieprzonym buszu.

Zjawilo się moje cappuccino i przeszliśmy z kelnerem przez rutynową procedurę.

- *Grazie mille*. - Miło jest być miłym.

Uśmiechnął się do mnie i odpowiedział: - *Pręgo*.

Nie dziękowałem jednak za samą kawę, byłem mu wdzięczny, że pozwolił mi przez to umknąć przed wyrazem oczu tego wyslizgującego mi się z rąk chłopaczka. Obraz ten na zawsze wrył mi

się w pamięć, by nawiedzać mnie za każdym razem, gdy byłem wystarczająco głupi, aby sobie o nim pomyśleć. Kelner pomógł mi zrobić coś, co zawsze robiłem, gdy myślałem o głównym końcu mojego żywota, czyli odciąć to i zająć się bardziej praktyczną stroną.

To było ostre tankowanie. Obydwa helikoptery nie wyłączały wirników, marines podbiegli do nas z węzłem od Sea Knighta i wsadzili końcówkę do naszego zbiornika. Zdażyłem już wtedy usadowić się przy skrzynkach i przyglądałem się Standishowi i generałowi, którzy nadal gratulowali sobie wzajemnie dobrze wykonanej roboty.

Gdy znaleźliśmy się już bezpiecznie na pokładzie okrętu, odłączyłem się od tamtych dwóch i ostatecznie poleciałem do Nigerii, a stamtąd po wydaniu mi w ambasadzie nowego paszportu wróciłem do Hereford.

Już nigdy nie spotkałem Sama. Gdy tylko wrócił do Kinszasy, porzucił robotę, pożegnał się z Pułkiem i żadnego zamiaru na niego już nie było.

Annabel wylądowała na głowę i złamała kark. Zmarła natychmiast. Chłopak przeżył upadek, ale nie dawano mu nadziei, że dożyje następnych swoich urodzin. Tak jakby w ogóle wiedział, kiedy one przypadają.

W sumie, gówno nie robota. A zresztą, co tam, to było dawno temu.

Teraz nie było już jakichś krzaków, martwych dzieciaków albo Milo. Było piękne jezioro, śliczna dziewczyna i najlepsze cappuccino w promieniu pięciuset mil morskich.

Nadal jednak nie mogłem wyrzucić z głowy patrzącego na mnie chłopca. Nienawidziłem tego, bo wiedziałem, co będzie dalej.

Pochyliłem się nad stolikiem, by sięgnąć po łyk kawy i poczułem, jakbym robił coś złego, napawając się pięknymi widokami. Nie mogłem przestać myśleć o Samie. Wiedziałem, że nie było

żadnej mojej winy w tym, iż znalazłem się na pokładzie odlatującego nagle śmigłowca. Wiedziałem również, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, aby uratować tego dzieciaka. Ale czy wiedział to także Sam? Czy miał świadomość, jak bardzo chciałem znaleźć się z powrotem na ziemi, razem z nim i pozostałymi chłopakami?

Nie była to jedyna rzecz, która spędzała mi sen z oczu, ale ta zawsze przyplątywała się w najmniej oczekiwanych momentach.

Pieprzyć to wszystko, ale co z tego? Następnym razem będę czytał tylko nagłówki. Usiadłem wygodniej i zmusiłem się do przyjemnego nastroju. Sprawdziłem czas. Zegarek był australijską taniochą, ale zawsze wywoływał u mnie uśmiech. Podarowała mi go Silky, ponieważ nieustannie pytałem ją o godzinę. Tarcza była czarna, wskazówki miały kształt kangurzych łap. Nie był na pasku, zwisał na małym karabinkowym kółku ze szlufki spodni. Było już grubo po pierwszej. Normalnie dawno by już zadzwoniła.

Telefon komórkowy zawibrował. Uśmiechnąłem się, widząc numer, nadal zapisany wraz z prefiksem jej kraju, +41. Przestałem się uśmiechać, gdy przeczytałem wiadomość.

„Nie zdążę na lunch. Sorki, x”.

Złożyłem gazetę, zapłaciłem i udałem się z przeprosinami w stronę kontuaru. Czy nie można by zamienić lunchu na obiad? Bez problemu. Znali nas tutaj, a raczej jej ojczyma.

Komórka znowu dała o sobie znać: „I przepraszam za rano, xx”.

Też mi było przykro z powodu tego, co stało się rano, ale nie zamierzałem się tym gnębić. W ciągu ostatnich paru tygodni Silky zachowywała się trochę dziwnie, ale nie był to żaden ciężki krzyż.

Wskoczyłem na pożyczony motorower i ruszyłem w miasto pod górę, tam, gdzie pieniędzmi śmierdziało już naprawdę.

2

odeszwy moich adidasów popiskiwały na marmurowej podłodze jak alarm sygnalizujący intruza. „Popatrzcie na tego faceta, który nie ma na nogach mokasynów od Gucciego”.

P Słońce stało nisko, niebawem zniknie za górami. Było wpół do szóstej. Silky powinna już być w domu od ponad godziny. Nigdy nie pracowała dłużej niż do piątej, pakując te swoje przesyłki dla potrzebujących czy listy do bogatych z prośbami o wsparcie, nie wiem zresztą, jakie było jej zajęcie i wołałem o to nie pytać. Byłem wystarczająco szczęśliwy, że taka piękna kobieta nadal nie miała nic przeciwko temu, aby pokazywać się ze mną i że lodówka jej ojczyma była zawsze pełna zimnego piwa Peroni.

Wysokie na trzy metry posągi greckich bogów wypełniały wnęki po każdej stronie sali, a każdy z nich skąpany był w nastrojowym podświetleniu. Pomiedzy wnękami na ustawionych tam mahoniowych stolikach wyłożone były ozdoby wysadzone klejnotami i fotografie w kryształowych ramach. Kiedy Stefan wyposażał to miejsce, musiał z dnia na dzień opróżnić dział podróbek antyków Ludwika XIV u Harrodsa.

Dotarłem do schodów, które prowadziły w dół do pomieszczeń kuchennych. Pałac Stefana był bardziej pięciogwiazdkowym hotelem niż domem, liczna obsługa gotowa była ugotować dla mnie obiad, wypucować buty lub uprasować garnitur, gdybym oczywiście takowy posiadał. Mimo to chciałem zrobić sobie kanapkę,

jeśli mi pozwolą. Trochę mi było głupio dzwonić do Giuseppe, aby poprosił szefa kuchni, by ten wetknął plasterek sera między dwa kawałki chleba.

Jakiś młody człowiek wbiegł po schodach i podążył do drzwi wejściowych. Odwróciłem się w oczekiwaniu, że otworzy drzwi przed Silky. Taki tu bowiem mieli zwyczaj.

Cały fronton domu był przeszklony, widać było więc po obu stronach solidnych drzwi wejściowych góry, a na dnie doliny jezioro oraz dzielnicę finansową. Czasami zastanawiałem się, czy jedynym powodem, dla którego Stefan wybrał ten dom, był fakt, że jego pieniądze wypełniały skarbiec bankowy w dole ulicy, więc mógł, siedząc w oknie, przez całą noc patrzeć, jak mu rośnie zysk.

Młodzian otworzył drzwi i usłyszałem zgrzyt opon po żwirze. Wielka brama z kutego żelaza otworzyła się automatycznie. W bramie widoczne już były kratki chłodnicy rolls-royce'a Stefana oraz statuetka Flying Lady z masywnego złota.

Teraz już zmartwiłem się nie na żarty. Nie tylko że moja dziewczyna spóźniała się z powrotem do domu, a ja miałem pierścionek, który chciałem jej ofiarować, ale jeszcze teraz będę musiał spędzać czas z tym młotem. Stefan ze sztuki prowadzenia niezobowiązujących rozmów specjalnie nie słyszał, co innego, gdy mowa była o wykupywaniu na siłę udziałów czy wskaźnikach atrakcyjności akcji giełdowych, a to nie było moją mocną stroną. Już po pięciu sekundach w moim towarzystwie wyraz jego twarzy wskazywał wyraźnie, że wolałby być gdzie indziej.

Wypucowany rolls z zaciemnionymi szybami podjechał pod dom, a młodzieniec otworzył pasażerowi drzwi.

Z wnętrza wysunął się on, o oliwkowej cerze, siwawy, z dłońmi wielkimi jak łopaty, które jednak nigdy łopaty nie trzymały. Otyły nie był, raczej dobrze odżywiony. Jego ciemna cera zdradzała libańskie pochodzenie, lecz poza tym w granatowej marynarce i żółtym krawacie w każdym calu wyglądał jak europejski krezus.

Dałem dyla do kuchni.

- W czym mogę być pomocny, panie Nick?

Cholera, nie uda mi się samemu pokroić sobie chleba. Giuseppe, służący, już czekał w gotowości. Był tu swego rodzaju szczyłą. Gdy stanął na palcach, miał 160 cm wzrostu. Podeszwy jego butów nigdy nie zaskrzypiały o żadne podłóże: sunął przez pokoje i materializował się tam, gdzie był potrzebny.

- Witam pana - nienawidziłem tego „panowania”. - Chciałem tylko zjeść kanapkę z serem i nie zawracać nikomu głowy.

To było jego królestwo, ja byłem intruzem.

-Żaden kłopot, panie Nicku, od tego tu jesteśmy.

-Wiem, ale...

-Niech pan pozwoli za mną, panie Nicku, coś panu pokażę.

Z figlarnym uśmiechem rozlewającym się po całej twarzy poprowadził mnie do stołu zastawionego produktami. Z tym swoim długim, spiczastym nosem, siwym wąsem i wielkimi, brązowymi oczami, które gdy się śmiał, ginęły w zmarszczkach, tak jak i reszta jego twarzy, Giuseppe podobny był do tatusia z rysunkowej reklamy włoskiego sosu do makaronu, którą przez ostatnie miesiące pokazywano w telewizji. Powinien po prostu zagrać tę rolę.

- Specjalna dostawa od Fortnuma & Massona. Niech pan pa trzy - pogrzebał wśród wyściełanych, dokładnie popakowanych pudełek i wyjął niewielki słoiczek.

- Sos Branstona! - klepnąłem go z uznaniem w plecy. - Giuseppe, jesteś wielki. To co, mogę ci jednak pokazać, jak ja robię kanapkę z serem? - O ten sos pytałem za każdym razem, gdy schodziłem do kuchni. Sprawiało mi wielką radość, gdy widziałem, jak nie ma pojęcia, o co proszę, a mimo to kręci nosem.

Nadal miałem w pamięci, jak szef kuchni sporządził raz istne dzieło sztuki z mozzarellą i Giuseppe potrząsał z niedowierzaniem głową, patrząc, jak wydłubuję z dania wszystko, co zielone, a gdy następnie poprosiłem o sos Branstona, sprawiał wrażenie, jakbym mówił w swahili. Ale to stało się, zanim jeszcze przez

przypadek parę dni temu usłyszałem, jak Stefan po raz kolejny robi mu awanturę.

Być traktowanym jak gówno to dla służących część rzeczywistości. Pewnego razu Stefan dostał szału, bo przyłapał Giuseppe na przedrzeźnianiu go. Udało mu się to świetnie - reszta służby o mało nie umarła ze strachu, gdy schowana raz pod schodami gadała na Stefana, a Giuseppe to usłyszał i huknął na nią z holu. Byłem tam wtedy, bo robiłem sobie grzanki. Też byłem przekonany, że to idzie Stefan, więc wrzuciłem grzanki do kubła na śmieci, aby nie oskarżył mnie o kradzież. Tym razem Stefan wpadł we wściekłość, ponieważ jego zdaniem trzydziestoletnia whisky ulotniła się z karafki. Właśnie pokazywał ją palcem. Wkroczyłem i powiedziałem temu idiocie, że to moja wina i że z przyjemnością, bez problemu odkupię to, co wypilem. Z dnia na dzień stałem się najlepszym kumplem Giuseppe, nawet nie potrzebowałem mu mówić o tym, co zrobiłem. Stał z uchem przy drzwiach. W tym domu nie działo się nic, co uszłoby jego uwadze.

- Dlaczego tu jeszcze jesteś i znosisz to gówno? Czemu nie skasujesz mu całej whisky i sobie nie pójdziesz?

Giuseppe wyciągnął spośród pakunków paczkę białego chleba oraz krojony żółty ser. Personel Fortnum & Masson skrecałby się pewnie z przerażenia.

- Mam swoje powody. Wkrótce, panie Nicku, pojedę jednak do domu, do Lazzo.

Pozwolił sobie na jeden z tych uśmieszków, który świadczył, że w jego głowie dzieje się o wiele więcej, niż zdradzał jego wzrok.

- Już naprawdę niedługo. Ale proszę nic nie mówić panu Stefanowi.

Wyjąłem ze dwa plasterki sera z opakowania i włożyłem między kromki, masłem nie smarowałem.

- Panna Silke wydaje się szczęśliwa, dawno jej takiej nie widziałem. - Giuseppe chyba był zdegustowany moimi popisami kulinarnymi. - Została tu dłużej, niż ma w zwyczaju.

Otworzyłem słoik i rozsmarowałem cienką warstwę sosu na serze.

- To znaczy?

Zamknął oczy, jakby prowadził rachunek w pamięci - a może po prostu nie był już w stanie patrzeć na to kulinarne świętokradztwo.

- Przyjeżdża co roku i zostaje tydzień albo dwa. Jakie panują stosunki między nią a panem Stefanem? Powiedzmy tylko, że od czasu śmierci matki ona dużo podróżuje.

Dodałem do kanapki jeszcze jedną kromkę chleba.

- Jak dawno to się stało? - zapytałem.

Wiedziałem, że Stefan poślubił jej matkę w 1976 roku. Silky była dwuletnim dzieckiem, gdy samochód jej ojca owinął się wokół słupa latarni ulicznej w Berlinie Zachodnim. Matka wróciła do rodzinnego Zurychu i otworzyła księgarnię. Pewnego razu Stefan wszedł tam, by kupić jakąś książkę z dziedziny biznesu - prawdopodobnie *Swimming With Shark* - śmiała się Silky - i wyszedł z numerem telefonu matki. Pobrali się i matka zlikwidowała księgarnię, ponieważ Stefan nie życzył sobie, aby jego żona pracowała. Zamieszkali w Lugano. Ogólnie rzecz biorąc, przemęczyła się dwadzieścia lat, nie kochając go, zanim odkryła guz w piersi. Dwa lata później, wbrew najlepszej pomocy medycznej, jaką mogło zapewnić bogactwo Stefana, było już po niej.

- To jest podobne do zasłony, którą odsłonięto po ośmiu latach. Jak już wspomniałem, panna Silke wiele podróżuje i czasami tu wpada. Zajmuje się dobroczynnością, z której pan Stefan kpi, ale ją toleruje, on sam zaś wyjeżdża w interesach tak często, że więcej przebywa w Szanghaju niż w Szwajcarii.

Podniosłem kanapkę i pokazałem mu, aby podziwiał.

- Giuseppe, mój przyjacielu, oto sławna brytyjska kanapka. Czy zechcesz spróbować? To lepsze niż te wszystkie fantastyczne dania, które tu kombinujecie.

Podniósł ręce do góry w geście przerażenia, ja zaś ruszyłem w stronę schodów.

3

racalem korytarzem, popiskując obuwie po posadzce; Stefan wyszedł właśnie z dużego salonu. Czasami zastanawiałem się,

W czy przypadkiem nie założył sobie w całym domu podsłuchu.

- Smakował ci lunch? - Jego niemiecki nosił ślady języka bli skowschodnich handlarzy dywanów. Ten facet musiał być nie złym wyzwaniem dla tego małego Włocha. Wyraz twarzy miał jak zwykle nijaki, można było jednak wyłapać w nim coś w rodzaju: „Co, jeszcze tu jesteś, poszukiwaczu złota, przydupasie i kupo angielskiego gówna?”.

Poszedłem za nim do dużego, bezosobowego salonu z oknami od podłogi do sufitu, wychodzącymi na jezioro i dwiema olbrzymimi, czerwonymi kanapami, które stały naprzeciw siebie przy drewnianym stole do kawy tak dużym, że mogły na nim spać dwie osoby.

- Nie udało nam się spotkać.

Stefan spędzał większość czasu w tym właśnie pokoju. Giuseppe zaś tkwił zwykle w przyległym, z uchem przyklejonym do drzwi łączących oba pomieszczenia. Zastanawiałem się teraz, czy był na posterunku.

- Wyobrażam sobie. - Odwrócił się, by przyjrzeć się drinkom.
- Widziałem, jak wychodziła dzisiaj rano.

Nie zamierzałem na to odpowiadać i przyznać się, że mieliśmy rano kłótnię; nie mogłem, ale on o tym wiedział. Wszystko, co mi mówił, było po to, aby mi dowalić. Kiedy spotkaliśmy się po

raz pierwszy, przekreślił nawet umyślnie moje imię. Już pewnie wtedy miał mnie za gówna.

-Gdzie ona teraz jest? - ofejrzał się na mnie.

-Nadal w pracy. - Spojrzałem na zegarek. Cholera, za dziesięć siódma. Gdzie ona się podziswa? W Lugano nie było przecież korków, poza tym miała motorower.

-Ech, ten cały wolontari.. - nie skończył zdania, zdjął zatyckę z karafki whisky i jakfer czekał, abym powiedział coś, czego potem będzie mógł użyć frzeciwko mnie. - Co, zasłuży się? Czy to warto? - nalał trzydziestoletniej single malt do szklanki. - Strata czasu. Zmian dokonup się za pomocą finansów i biznesu.

Karafka została zamkniętai powędrowała z powrotem na tackę. Skoro nikt mi nie zapropnuje drinka, dobrze przynajmniej, że za takimi trunkami nie prztpadam.

Wziął do ręki szklankę i powąchał z uznaniem jej zawartość.

- Pokażę ci, co powoduje sniany w świecie.

Potrząsnął z niesmakiem gbwaj nie wiadomo, czy gestem tym nadal komentował pomysł penagania za darmo innym ludziom, czy chodziło o mój sos Bransona.

Wyjął z kieszeni marynarki cienki, skórzany portfel i pokazał mi kartę kredytową, całą czaną. Obrócił ją w palcach, jakbym powinien na jej widok paść z achwytu na kolana. Takich kart nie używał plebs, taki jak ja. Wisiałem ich już parę, były dla *ilber-rich*. Ta, grubsza od przeciętni karty, zawierała identyfikator od-cisków palców oraz mały moiiitor LCD.

- Takie rzeczy są ważne, Nck.

Przejechał palcem po identyfikatorze, monitor zamigotał zmieniającymi się szybko ciągam sześciu cyfr, które na koniec pokazały sześciocyfrowy kod. (zytnik haseł w banku będzie teraz gotowy do przyjęcia karty Stfana. Kod zmieniać się będzie codziennie, być może po każdejtransakcji.

- Tym kawałkiem plastiku nogę wyjąć za jednym razem pięć milionów dolarów. I o to w tyi świecie chodzi. O nic więcej.

Jeszcze raz popatrzył z podziwem na kartę, po czym schował ją na powrót do marynarki. Nic dziwnego, że czuł się ważniejszy, bo jeśli ja próbowałem wyjąć dziennie więcej niż kilkaset dolarów, kazano mi kontaktować się z moim oddziałem banku.

- Przynajmniej... - patrzył na mnie, zdejmując okulary - przy najmniej ona ma jakąś korzyść z kosztownych siedmioletnich studiów medycznych, za które zapłaciłem. - Przyglądał się uważnie mojej twarzy. Dobrze wiedział, że pierwszy raz to słyszę.

Nie mogłem mieć do niego pretensji. Jakże mógłbym się przyznać, że nie wiedziałem tak podstawowej rzeczy o mojej dziewczynie. W kieszeni odezwała się komórka. Wyjąłem ją i przeczytałem tekst.

- Przepraszam, nie zdążę na wieczór - praca - strasznie mi przykro - napiszę.

Pomachałem telefonem w kierunku Stefana.

- Pozdrawia.

Wydał wargi.

-Ach tak - pociągnął łyk - a więc sądzisz, że wróci? Naprawdę myślisz, że ją tak dobrze znasz?

-Po prostu pracuje dłużej.

-Witaj w cudownym świecie Silke - prychnął. - Mielicie przecież rano -jak ona to nazywa? - wymianę zdań, a teraz nie wraca do domu. No to sobie tak myśl dalej. Ja to mam od trzydziestu lat. Znowu gdzieś przepadła, Bóg jeden raczy wiedzieć gdzie.

Odwrócił się do okna.

- Chciałem, aby tu osiadła, aby popracowała ze mną w moich firmach, a ona pojechała na studia medyczne do Cambridge. Skończyła je, ale czy poszła do pracy? Nie, zaczęła podróżować.

Odwrócił się do mnie przodem.

- Jeśli coś nie idzie po jej myśli, Silke ucieka. Zawsze taka była. I to się u niej nie zmieni. Wybacz mi więc mój sceptycyzm, ale będąc na twoim miejscu, nie oczekiwałbym, że się tu prędko zjawi.

Machnąłem ponownie komórką.

-Ona jest w pracy.

-Skoro tak sądzisz... - pociągnął znowu łyk. - Powiadom mnie, gdy nie wróci. Giuseppe zawiezie cię wieczorem na przystanek autobusowy. Albo na autostradę. Na pewno dasz sobie radę z darmowym podwiezieniem. - Obejrzał mnie od góry do dołu. - Nie podejrzewam, że pakowanie zajmie ci dużo czasu.

Pieprzyć go. Stanowił teraz dla mnie najmniejszy problem.

Wyszedłem i przesadzając schody po dwa stopnie, skierowałem się do jej pokoju, wybierając jednocześnie w komórce numer jej telefonu.

4

dezwała się tylko poczta głosowa.

- Tu Nick. Ja też przepraszam. Odezwij się do mnie.

Tęsknię za tobą.

O Po raz pierwszy od lat troszczyłem się o kogoś, byłem więc zdenerwowany. Czyżby naprawdę odeszła? Czy przestała mnie lubić?

Zalogowałem się do hotmaila. Nic nie znalazłem.

Wybrałem numer biura Mercy Flight. Znałem faceta z recepcji. Natknęliśmy się na siebie kilka razy, kiedy czekałem na nią po pracy. Przez telefon zawsze rozmawiał ze mną po francusku, ale gdy zrozumiał, skąd jestem, bez kłopotu przeszedł na płynny angielski. Silky potrafiła to samo. Niemiecki, francuski, angielski, włoski nie sprawiały jej żadnych trudności.

Usłyszałem głos Etienne'a, ale tylko z automatycznej sekretarki. Mój francuski był mizerny, właściwie żaden, ale tyle rozumiałem: do dziewiątej rano biuro będzie nieczynne.

Cholera. Może ona naprawdę była zajęta, może przełączyli telefony na automatyczną sekretarkę? Etienne często tak robił, gdy był zajęty. Zgarnąłem moją kurtkę lotniczą i zszedłem na dół.

Na motorowerze było zimno, kiedy lawirowałem wśród wieczornego ruchu, ale zrobiło mi się o wiele cieplej, gdy znalazłem się na Via Zurigo i zobaczyłem światła w oknach Mercy Flight. Nacisnąłem dzwonek, ale nikt się nie pokazał. Zadzwoiłem ponownie, tym ra-

zem dłużej, aż za szklanymi drzwiami pojawił się Etienne. Wyglądał na zmęczonego, ale jeszcze bardziej na zaskoczonego.

- Czy Silky jest u siebie?

Jego czoło zmarszczyło się jeszcze bardziej.

-Silky wyszła trzy-cztery godziny temu.

-Dokąd?

-Nie wiesz dokąd?

-Do cholery, przecież nie byłbym tutaj, gdybym wiedział, no nie? Wyglądał naprawdę na zmartwionego. Nie chciałem tego, bo był jednym z porządniejszych facetów.

-Przykro mi. Jestem trochę zdezorientowany. Dokąd ona poszła?

Być może Etienne już to kiedyś widział. Czy ja wiedziałem o niej wszystko?

- Wejdz. Pozwól, że zrobię ci kawę.

Minęliśmy zdezelowaną kanapę i ławę, co oni nazywali recepcją, a potem, idąc korytarzem, znaleźliśmy się w dużym pomieszczeniu. W jednym rogu piętrzyły się pudła. Przysiadłem na krześle biurka. Przede mną wisiały przypięte do ściany plakaty. Za każdym razem fotografie i hasła na nich przysparzały mi podobnego uczucia, jakie dopadło mnie wcześniej nad jeziorem. Nad zbliżeniem dziewczęcej twarzy o pustym wyrazie oczu biegł napis:

Ester ma 8 lat. Wczoraj przebyła pieszo 30 kilometrów, aby dotrzeć do naszej kliniki. Czyżby szła po wodę? Po żywność? Po lekarstwa? Nie, szła po poradę z powodu gwałtu, jakiego na niej dokonano.

Na podobnie posepnej fotografii chłopca wpatrującego się w obiektyw, widniała informacja:

Byron, lat 9. Wczoraj musiał zabić dwoje ludzi we własnym domu. Czy byli to włamywacze? Porywacze? Uzbrojeni bandyci? Nie, byli to jego rodzice.

Było tam też kilka biur z telefonami i nic więcej.

-Działamy przy skromnym nakładzie środków. Zdobywamy gotówkę, gdy jest potrzebna. - Etienne wyjął dzbanek z naporzaczka. -Ale kawa jest niezła. No, zazwyczaj. Teraz jest już późno, więc...

-Etienne, gdzie ona jest?

Wskazał ruchem głowy na jeden z plakatów. Sanitariusz opatrywał kikut, gdzie powinna być ręka małego afrykańskiego chłopca.

-Tim prowadzi bazę w DRK, blisko granicy z Rwandą. Silky organizuje dla niego kampanię pomocy. Wszystko przygotowała, napisała nawet teksty na plakaty. - Musisz być z niej dumny - powiedział z uśmiechem.

-Owszem, jestem, i to bardzo.

Takiego wała. Pewnie mi o tym opowiadała, a to wpadło mi do jednego ucha, a wyszło drugim.

Etienne wpatrywał się w plakaty i wyglądał na nieobecny.

- Tim działa w niemożliwych warunkach. Chyba ci powiedziałam: tylko w ciągu ostatniego roku i tylko w prowincji Ituri było dwa tysiące przypadków gwałtu, okaleczeń oraz zbiorowych egzekucji. To tam, gdzie jest nasz obóz.

Gdy nalewał kawę, ręka mu zadrżała. Owszem, to koszmarna robota, ale ci faceci musieli się przyzwyczaić, aby mogli w ogóle pracować. Tam musiało być naprawdę strasznie, skoro nadal tak go to brało.

- Byłem tam miesiąc temu. Przenosiliśmy naszą polowę klientów bliżej jakichś połączeń drogowych, mijaliśmy wypalone domy, wioska za wioską kompletnie zniszczone i wyludnione. To było okropne.

Gdy o tym wszystkim sobie przypominał, ręce zadrżały mu jeszcze bardziej.

-Ona o tobie dużo mówi, Nick.

-To miło, ale gdzie teraz jest? - już chyba wiedziałem, ale potrzebowałem to usłyszeć.

-Na pokładzie naszego samolotu do Kinszasy. - Odwrócił w końcu wzrok od plakatów. - Dziś doszło już do kryzysu. Na domiar złego, było tam trzęsienie ziemi, niewielkie, ale zniszczyło wioskę, w której mamy bazę. Tim jest kompletnie zajechany, nigdy jeszcze nie słyszeliśmy go tak zdesperowanego - odstawił kubek. - Ona poczuła, że nie może tak tu siedzieć, podczas gdy...

-Skąd wylecieli?

-Z Genewy, czarterem non stop do Kinszasy, z takim ładunkiem pomocy, na jaki nas było tylko stać. Teraz nasze konto jest puste. Potem wieziemy to ciężarówkami drogą na wschód, a końcowy etap trzeba już przebyć pieszo.

-Muszą przecież mieć jakąś łączność radiową, jakiś telefon satelitarny?

-Telefon satelitarny to luksus, na który nas nie stać... jest jeden w bazie, ale...

-Kiedy tam będzie? Należą do konwoju jadącego z Kinszasy?

-Tim dzwoni tu co dwa dni albo jak jest coś palącego, teraz zresztą wszystko tam jest palące. - Wyrwał kartkę z notesiku i zapisał na niej numer.

Dwanaście cyfr. To musi być numer telefonu satelitarnego.

-Proszę, korzystaj z niego tylko wtedy, gdy już absolutnie będziesz zmuszony. Są zawałeni rannymi. Jestem pewien, że skontaktuje się z tobą, jak tylko będzie mogła.

-Masz rację. - Pociągnąłem łyk mazi i odstawiłem kubek. - Poproś jednak Tima, aby jej przypomniał.

Skinął głową.

- Potrzebuję również dokładny namiar na tę bazę. Masz jakąś mapę albo nazwę tej wsi?

Etienne nawet nie pytał, po co mi one, napisał po prostu dane. I dobrze, bo i tak bym mu nie powiedział. Zresztą nie miałbym nawet co, sam nie byłem jeszcze pewien.

Odprowadził mnie do drzwi. Potrząsnęliśmy sobie nawzajem ręce, trzymając jeszcze moją dłoń, spojrzał mi w oczy:

- Nick, nie będę cię oszukiwał, to straszne i niebezpieczne miejsce. Do tej pory męczą mnie nocą koszmary, ona widocznie czuła, że musi jechać. Jedno mogę powiedzieć: bazy jeszcze nikt nigdy nie atakował. Trzymajmy więc kciuki i módlmy się, aby tak zostało.

Pieprzyć modły. Pognałem motorowerem z powrotem jak opętany. Chciałem znaleźć się w domu, zebrać moje rzeczy do kupy i, kurwa, zrobić coś, ale właściwie co? Czy w nocy latały tam jakieś samoloty, czy chodziły pociągi? I dokąd? Jak ja mam, do cholery, znaleźć tę nędzną wiochę w środku dżungli? Nie wiedziałem nawet, dokąd chciałem się dostać. Miałem jedynie pewność, że jadę tam po to, aby wyrwać ją z tej syfiastej dziury i w jakiś sposób dowiedzieć się, czy za mnie wyjdzie. Proste jak drut.

A może Stefan byłby w stanie coś zrobić? Może miał jakiś nieznaną mi sposób kontaktu z nią. Może trzymał łapę na jej kontaktach

bankowych i kartach kredytowych - i zagroziłby jej, że ją ode-
tnie od źródelka, jeśli natychmiast nie wróci. Może uczuć spe-
cjalnych do siebie nie żywili, ale chyba jednak nie chciałby, aby
ryzykowała życie dla, w jego mniemaniu, niewartej tego bandy
dzikusów. Zaraz, zaraz, niby dlaczego miałyby to zrobić? Już chy-
ba wszyscy oprócz mnie wiedzieli, że zawsze taka była. Może on
nawet wiedział o jej wyjeździe, gdy rozmawialiśmy. A zresztą, co
za różnica? Nie, on nie był mi do niczego potrzebny.

Porzuciłem motorower obok wielkiego bmw z zacienionymi
szybami, stojącego przed wejściem i wpadłem do domu.

Niemal biegiem pokonałem hol. Stefan nadal był w salonie,
ale teraz do swojej whisky miał towarzystwo. Przy nim, nad biur-
kiem pełnym map i papierzysk, pochylało się dwóch Chińczyków,

ubranych w oficjalne szare garnitury i pod krawatami. Z ust zwisały im papierosy.

Zobaczył mnie, przeprosił ich i ruszył do holu. Nie musiał. Pokazałem mu palcem gest, dorzuciłem do tego znak, jakim sygnalizuje się odcięcie spadochronu i skierowałem się do pokoju Silky.

Co ona sobie, do jasnej cholery, wyobrażała, że w co wchodzi? Przecież to nie zabawa ani żadne party, z którego, jak ci się znuździ, możesz zawołać taksówkę i sobie wyjść.

Idąc na jej piętro, wpatrywałem się w ten dwunastocyfrowy numer tak długo, aż byłem w stanie go recytować. Chciałem zadzwonić, ale się powstrzymałem. Jaki w tym byłby cel? Nawet jak dolecą na rano, podróż do celu zajmie im parę dni. Drogi - tam, gdzie w ogóle były - były fatalne. O której mogą lądować?

Znalazłem w Google port lotniczy w Kinszasie, był tam podany numer kontaktowy. Różnica czasu w stosunku do czasu Greenwich wynosiła tylko od jednej do dwóch godzin.

Połączyłem się. Na linii usłyszałem trzaski, potem daleki i niewyraźny dźwięk sygnału telefonicznego. Wśród szumu dał się słyszeć słaby głos, który brzmiał tak, jakby port lotniczy znajdował się na dnie oceanu. Zmagalem się z moim francuskim, facet walczył ze swoim angielskim, w końcu ustaliliśmy jednak, że samolot z Genewy przylatuje o 6.30 rano. Podziękowałem temu Jacquesowi Cousteau i odłożyłem słuchawkę.

Odprawa zajmie im wieki. Trzeba samemu przeżyć afrykańską biurokrację, aby w to uwierzyć. Może oni nawet nie dostaną wiz.

Oni? Czy pojechała z innymi wolontariuszami? Nie zapytałem o to Etienne'a. Może już mieli wizy? Też o to zapomniałem zapytać. Tylu rzeczy nie wiedziałem!

Mogą im także kazać zawrócić. Nie wpuścić do kraju.

To była moja pierwsza pozytywna myśl. Jak jej nie wpuszczają, wsadzają z powrotem do samolotu. Może trzeba będzie czekać

z godzinę lub dwie na powrotny, wtedy zadzwoniłbym na jej komórkę około dziesiątej rano czasu lokalnego. Może by się udało. Oczywiście pod warunkiem, że ją ze sobą wzięła i miała włączoną. I zakładając, że w mieście było pokrycie... Co ja, kurwa, mogłem wiedzieć!?

Wróciłem do klawiatury. KLM latał tam z Mediolanu, który był o godzinę jazdy stąd, ale nie codziennie. Wszystkie loty odbywały się przez Republikę Południowej Afryki. Żeby dostać się bezpośrednio do Kinszasy, musiałem wylecieć z Brukseli.

Załóżmy, że dostałbym się nawet na jakiś samolot, jakie mam szanse otrzymania wizy, skoro nawet tamci mogą mieć z tym kłopot? Demokratyczna Republika Konga nie była raczej mekką turystów. Jak mam się tam wślizgnąć? Czułem się już jak tocząca się w dół śnieżna kula.

Poszukałem w Google ambasad i konsulatów DRK, aby się dowiedzieć, czy można dostać wizę przed wjazdem do kraju. Niektóre ze stron nawet się nie otwierały, na innych nie było potrzebnej mi informacji.

Dałem sobie spokój.

Nie wyglądało na to, że dostanę się do Kinszasy, zanim konwój wyruszy. Silky zmierzała wprost w paszczę lwa, ale ja przynajmniej wiedziałem, gdzie ta paszcza jest.

Poszukałem prowincji Ituri przy granicy z Rwandą i usiłowałem znaleźć tę pieprzoną wiochę o nazwie Nuka. Nie potrafiłem dotrzeć tam z prędkością światła, ale wiedziałem, kto mógłby mi pomóc, a jeśli tego nie zrobi, to pożałuje, że się urodził.

Prawie świtało, gdy zszedłem na dół. Szefa kuchni jeszcze nie było, ale był Giuseppe. Wyglądał tak, jakbym nie tylko ja nie kładł się całą noc.

- Pan Stefan udaje się dzisiaj do Chin. Poleciał mi, abym dał panu samochód z kierowcą, który zawiezie pana na dworzec kolejowy lub na lotnisko, jak panu pasuje, w każdym razie przed

lunchem. - Powiedział to, nie patrząc na mnie. - Bardzo mi przykro, panie Nick.

- W porządku, Giuseppe. Wiedziałem, że to szczęście nie po trwa zbyt długo.

Odprowadził mnie do motoroweru z paczuszką w rękę.

- To na drogę - powiedział. Jego oddech zalatywał whisky.

Jechałem na lotnisko z torbą podróżną na kolanach. Porzucenie motoroweru przed terminalem było trochę szczeniackie, ale sprawiło mi pewną satysfakcję. Musiał przecież należeć do Stefana, on tu posiadał wszystko. A ja, jak dobrze pomyśleć, nie miałem nawet pary butów na zmianę, nie mówiąc już o posiadaniu pary kółek. Wszystko, co należało do mnie, mieściło się w torbie: przybory do mycia i golenia, śpiwór, który zabrałem z pokoju Silky, dwie koszulki i sporo bielizny osobistej. Nie miałem domu, nie posiadałem samochodu kempingowego ani namiotu, ani nic doczesnego oprócz taniego pierścionka i ślicznej niemieckiej dziewczyny, a być może nawet i jej już nie miałem.

No dobrze, to nie była cała prawda. Miałem też kanapkę z serem i sosem Branstona, którą dał mi Giuseppe, a także małą butelkę po wodzie napełnioną czymś, co wyglądało mi na trzydziestoletnią whisky.

6 Piątek, 9
czerwca 2006 roku

Napis „zapiąć pasy” rozjaśnił się drżącym blaskiem,
a załoga zebrała puste filiżanki po kawie. Pilot
włączył inter-kom, dziękując nam za lot liniami

Darwin Air z Lugano i przypominając, że w Londynie jest

godzina 9.15 rano. Nikt tego nie słuchał. Pasażerowie byli zbyt

zajęci wyłączeniem laptopów i zakładaniem butów. Byłem

jedynym pasażerem na pokładzie, który nie miał komputera, i

jedynym, który nosił dzinsy i skórzaną kurtkę lotniczą.

Ostatnim razem leciałem samolotem śmigłowym, gdy wiozł
mnie na wojnę. Niewielkie, nowe maszyny Saab były o niebo
lepsze od zdezelowanych i głośnych Herculesów, aleja i tak czu-

łem się coraz bardziej nieswojo.

Wczoraj przeczytałem w Google przerażające informacje. W Kongu-Kinszasie stacjonowało około siedemnastu tysięcy żołnierzy Organizacji Narodów Zjednoczonych - największa misja pokojowa w skali światowej i mimo to niewystarczająca. W starciu z Bożą Armią Oporu zginęło właśnie ośmiu żołnierzy z Gwatemali. To akurat mnie specjalnie nie zmartwiło, natomiast zaniepokoiła mnie kolejna informacja, z której się dowiedziałem, dlaczego ONZ tak przesrywała swoją robotę we wschodniej części kraju. Nie tylko rebelianci dawali jej popalić, w dupę dawał im też sam teren. Bagna, sawanny, rozległe potoki lawowe, a wszyst-

ko pokryte nieprzebytą puszcą tropikalną albo poprzecinane wysokimi górskimi szczytami. Rebelianci radzili sobie o wiele lepiej niż żołnierze z misji pokojowej. Też mnie to nie zmartwiło. Myślałem natomiast z niepokojem o tym, jak przebrnąć przez taki teren i dostać się tam, zanim jej się coś stanie.

Zniżaliśmy się przez chmury. Przedmieścia Londynu były zniszczone i szare, lecz potem zaczęliśmy podchodzić do lądowania nad Docklands; doki te wyglądały jak dekoracje do jakiegoś filmu fantastyczno-naukowego. Żurawi było tyle, że przypominały łąny pszenicy.

Nie chciało mi się na powrót włączyć komórki. Ten pusty monitor bez nowych wiadomości zaczynał mi już ciążyć.

7

Jechałem na zachód. Chciałem przeciąć Londyn, skręcić na trasę M40 do Oksfordu, a potem ruszyć dalej do Hereford. Od Silky nie było żadnego telefonu, a wynajęcie małej corsy 1200 zabrało mi więcej czasu, niż przypuszczałem. Kłopot wziął się stąd, że na moim prawie jazdy, otrzymanym w Wirginii, widniał stary adres w Crystal City, zaraz pod Waszyngtonem DC, natomiast na mojej karcie kredytowej był adres szwajcarski. Dokonałem zmiany, gdy razem z Silky postanowiliśmy wyjechać z Australii i aby było dokąd wysyłać rachunki. Nie dawałem za wygraną, komputer w biurze wynajmu też nie. Powiedziałem kobiecie za kontuarem, że

nie da się przetworzyć moich danych, ponieważ nie pasują do oprogramowania. Ostatecznie przyjęła moje usprawiedliwienie, że właśnie się tam przeprowadziłem ze względu na pracę.

Rachunek zostanie wysłany do Lugano.

Wiedziałem, że powinienem wybrać obwodnicę M25, uważałem jednak, że na skróty przez miasto będzie prędzej. Chciałem już po prostu jechać we właściwym kierunku.

Po dwudziestu minutach posuwania się od świateł do świateł w Silvertown uświadomiłem sobie, że był to poważny błąd. Potem dostałem się na szybszy odcinek drogi i zostałem zarejestrowany przez trzy kolejne kamery, które od czasu, gdy byłem tutaj ostatni raz, wyrosły jak chwasty.

Ciągle myślałem o naszej scysji. Może to ja sprowokowałem jej decyzję...

Właśnie wyrwałem się z kolejnego skupiska świateł i tkwiłem między dwoma tirami, gdy zadzwonił telefon.

Nareszcie.

Odebrałem, ale nie ujrzałem dwunastu cyfr, jakich się spodziewałem, tylko numer kierunkowy Szwajcarii.

-Nick?

-Tak, Etienne...

-Chciałem ci tylko powiedzieć, że nadal nie ma żadnej wiadomości. Wpadnij na kawę, jeśli masz ochotę. Jest świeża.

-Dzięki, przyjacielu, ale będę musiał przyjąć zaproszenie kiedy indziej. Teraz jadę na kubek herbaty.

Dotarcie do Hereford zabrało o wiele więcej czasu, niż powinno. Przez całą drogę łało jak z cebra i każdy jechał tak, jakby siedział za

kierownicą po raz pierwszy. Przejechałem Aylestone Hill do centrum i minąłem stację kolejową.

Cztery i pół godziny to jednak szybciej niż pociągiem, biorąc pod uwagę czas dostania się z doków do stacji Paddington. Tak czy inaczej, kółka były mi potrzebne. Stuknięty Dave jeszcze o tym nie wiedział, ale znajdzie mi kontakt w DRK, tak abym mógł tam wjechać, oraz kupi mi bilet, i to szybko. Gdy mu tylko uświadomię, jaka go w innym przypadku czeka przyszłość, powinien wszystko tak załatwić, że będę mógł od razu ruszać na lotnisko.

Minąłem targ bydła i skierowałem się ku drugiemu końcu miasta. W latach osiemdziesiątych wyrosły tu jak grzyby po deszczu wielkie osiedla mieszkaniowe. Bobblestock było jednym z pierwszych. Wszystkie domy zbudowano z tej samej fabrycznie produkowanej cegły i wyglądały okropnie. Ulicom nadano nazwy takie jak Prezbiterialna czy Zaulek Parafialny, chociaż w okolicy

nie było ani jednego kościoła. Dzielnica, gdzie na dom przypadało 2,4 dziecka, mondeo na podjeździe, niewielki ogród z tyłu, a z przodu trawnik tak mały, że można go było przycinać nożyczkami, miała tyle uroku, co pokój w Holiday Inn. Nic dziwnego, że przypasowała Stukniętemu Dave'owi.

Stuknięty Dave dorobił się takiego przezwiska właśnie dlatego, że nie był stuknięty; był całkowicie zwyczajny i normalny. Równy chłop, który najpierw długo myślał nad usłyszczanym dowcipem, zanim w końcu powiedział: „Aha, rozumiem. Śmieszne”.

W okolicach Hereford zawsze płątał się jakiś agent pośrednik. Musiał być byłym członkiem SAS, aby znać ludzi - kto tam wstępował, kto opuszczał jednostkę, a jeśliby nie był, musiał znać kogoś, kto w jednostce był. Stuknięty Dave założył własny biznes, ponieważ poza Pułkiem uległ wypadkowi i został inwalidą. Jakiś kierowca ciężarówki z Estonii staranował jego suzuki na drodze M4 i dalsza trasa Dave'a wyglądała już bardzo efektownie: rąbnął w barierkę rozdzielającą pasy, a potem zwiedził niezły kawałek przeciwnego pasa. Nogi miał spieprzone. Regularnie lądował w szpitalu jak jakieś krwawiące jo-jo. Współczułem człowiekowi, kiedy spotkałem się z nim w zeszłym roku. Teraz uważałem, że dwie nie do użytku nogi to dla niego jeszcze mało.

Kilka miesięcy temu kolega z Pułku poszedł do Stukniętego Dave'a po robotę. Człowiek miał początki śmiertelnej choroby neurologicznej, chciał się więc załapać na większe honorarium, aby jego żona miała potem z czego żyć. Wszystko poszło dobrze do momentu, gdy Stuknięty Dave dowiedział się o wszystkim i postanowił skorzystać z okazji. Charlie był w takiej desperacji, że zgodził się tylko na część tego, co powinien dostać, a Dave wsadził resztę do własnej kieszeni.

Zatrzymałem samochód przed ceglany prostokątnym budynkiem z dobudowanym z gotowych elementów garażem. Na podjeździe parkował nowy zielony minibus marki Peugeot. W domu było ciemno, ani znaku życia.

Zamknąłem mój wynajęty samochód. Przechodząc obok tego papamobile, zajrzałem przez boczną szybę i ujrzałem, że wnętrze zostało przystosowane do jego kalectwa, łącznie z systemem kierowania z dźwigniami zamiast pedałów. To musiało kosztować grubą kasę. No cóż, tam gdzie wojna, tam i kasa.

Wchodząc po betonowej rampie, która zastępowała schody, powtarzałem sobie w myślach, co mu powiem. Nie poinformowałem go, że się zjawię, bo prawdopodobnie byłem ostatnim człowiekiem, z którym chciałby się spotkać, ja zaś nie miałem ochoty zobaczyć tego skurwiela, jak mi ucieka wózkiem gdzieś między wzgórz.

Jednocześnie po ostatniej wizycie wiedziałem, że jego biuro to prawdziwa twierdza. Wystarczyło, że spuści kuloodporne żaluzje i nikt się tam nie dostanie. Mogłem udawać dostawcę, lecz on z kolei mógłby mi kazać zostawić, co mam, na progu. Mogłem też powiedzieć, że jestem jednym z bazy, ale nikt taki nie przyszedłby tutaj bez wcześniejszego uzgodnienia terminu.

Ktoś inny podjął za mnie decyzję. Na ganku była kamera, jakiej nie było podczas ostatniej mojej tu wizyty. Blefowanie nie miało sensu. Zadzwoiłem.

- Dave, to ja, Nick Stone. Byłem w okolicy i chciałem tylko powiedzieć „cześć”.

Odpowiedzi nie było, ale brzęczyk w drzwiach oznaczał, że zostały odblokowane. Wszedłem do środka. Nic się nie zmieniło. Na dole schodów nadal był specjalny dźwig, a na górze cała masa specjalnych barier i drążków, które by uszczęśliwiły całe stado pawianów, a które służyły Dave'owi do poruszania się po piętrze. Z nowych rzeczy zauważyłem jedynie na ścianie kilka portretów w ramach, przedstawiających dwudziestoletnią pannicę z bulwiastym nosem Dave'a. Trzymała dziecko, które na szczęście podobne było do taty.

Wszedłem do skromnie urządzonego salonu. Podłogi z linoleum, trzyczęściowy komplet mebli, duży telewizor, to wszystko. Reszta powierzchni była wolna, tak aby mógł swobodnie poruszać się na swoim wózku inwalidzkim.

Francuskie okna wychodziły na ogród, dostępny dzięki kolejnej rampie. Poszedłem wąską, udającą kamienie betonową ścieżką, która prowadziła do drzwi wstawionych w ścianę garażu. Garaż

przerobiony został na biuro. Podnoszone drzwi garażu zabudowano, okien nie było.

Stuknięty Dave czekał na mnie za biurkiem. Łysiejący, z wąsem jak jakaś gwiazda porno z lat siedemdziesiątych, jedyną zmianą od ostatniego spotkania był wyraz jego twarzy. Wtedy cały był w uśmiechach. Teraz na jego twarzy malowało się napięcie. Wiedział, że nie wpadłem tylko się przywitać. Wiedział, że będę miał coś jeszcze, nie mógł jednak oprzeć się swojej pazerności. Mogłem przecież przybywać z milionowym kontraktem albo mieć dojscie do irackiej ropy naftowej, ale nie wiedziałem, jak ją dalej sprzedać.

P przed nim na biurku, obok telefonu i otwartego laptopa stały dwie rzeczy w jego interesach najważniejsze: dwa małe plastikowe pudełka z fiskami zawierającymi nazwiska i dane dotyczące ponad stu byłych żołnierzy służb specjalnych. Nic więc dziwnego, że garaż miał opuszczone stalowe żaluzje oraz był w stanie wytrzymać zbrojny atak. Dla tych, którzy chcieliby wiedzieć, jakie firmy interesują się taką robotą, te fiszki były warte więcej niż kontener pełen RGppanców. Zamknąłem za sobą drzwi.

- Wszystko w porządku, chłopie? Masz ochotę na herbatkę? Rznąłem luźniacę, ale on dobrze wiedział, że nie przyszedłem

tutaj na herbatę i ciasteczko.

Stolik z przyborami do parzenia herbaty stał nadal przy przeciwległej ścianie. Rozpoznałem nawet kubek z jajkiem wielkano-cnym Smarties i ten z Thunderbirdem.

Potrząsnął przecząco głową, ja podszedłem, aby sprawdzić, ile wody jest w czajniku.

- Dobra, Dave, do rzeczy - przestałem odgrywać przyjemniaczka.
- Zanim dziś wieczorem dotrę do Heathrow, chcę mieć załatwiony bilet do DRK i kontakt z kimś, kto pomoże mi dostać się do prowincji Ituri, a dokładnie do pewnej zasranej dziury o nazwie Nuka.

Twarz Stukniętego Dave'a nawet nie drgnęła. Po prostu patrzył. Jestem przekonany, że gdyby mógł poruszać nogami, położyłby je teraz na biurku, rozparł się wygodnie i roześmiał.

- Miejscowość nazywa się N-U-K-A, zapisz sobie. Powiniennem tam być już wczoraj.

Nadal siedział bez ruchu.

- Są dwa powody, dla których powinieneś zająć się tą sprawą. Po pierwsze, wystarczy, iż rozpowiem dookoła, że zdzierasz takie stawki za pośrednictwo, że dostajesz więcej forsy za każde zlecenie niż ci frajerzy za zadanie. Nie sądzę, aby byli z tego zadowo-

leni. Pewnie wynieśliby cię stąd i spuścili w wózku ze wzgórza. Rozumiesz, co mam na myśli?

Po drugie, co pomyślą chłopaki, kiedy się dowiedzą, że nawet nie sprawdzasz takich ludzi jak Charlie, czy mają wszystkie tłoki w porządku? Wysyłania kaleki do akcji nie można chyba nazwać właściwą kontrolą jakości? Wydaje mi się, że jeśli coś takiego się rozniesie, to będziesz musiał zrezygnować z pośrednictwa. A przecież idzie ci tak dobrze...

Oparłem się o ścianę.

-Przy okazji, to twój potomek tam na zdjęciach w holu?

-Chłopiec.

-Moje gratulacje.

Czajnik wyłączył się, wrzuciłem torebkę herbaty do kubka z wizerunkiem Smarties.

- Choć to nie oznacza, że któregoś dnia i tak cię nie wrobię. Po pierwsze, Charlie nigdy nie powinien był dostać tej roboty. Nie nadawał się fizycznie, a ty go jeszcze orznąłeś. Na ile, przypomnij mi? - Odstawiłem czajnik i sięgnąłem po karton z mlekiem UHT. - O tak, pamiętam. Dałeś Charliemu dwieście tysięcy, trzy sta zachowałeś dla siebie. Nieprawdaż?

Spojrzałem na Dave'a. Wcale nie był zmieszany, był wkurzony. Parowała z niego wściekłość. Zacisnął dłonie tak mocno na poręczach wózka, że zbiełały mu kłykcie.

Wycisnąłem łyżeczką torebkę z herbatą.

- Pomyśl tylko, Dave, że jeśli ten szmal jednak byś sobie zacho-
wał, zamiast uczciwie przekazać kasę wdowie po nim, to już by

cię chyba tu nie było, no nie? Założę się, wnuczek miałby opłacone dobre wykształcenie, a ta twoja córeczka zoperowałaby sobie wreszcie nos. Ale na razie nie martwmy się o nich. Przybyłem tu szmat drogi ze słonecznej Szwajcarii, aby dowiedzieć się, w jaki sposób przerzucisz mnie do Nuki.

-Wiem, gdzie jest Nuka. Nie zapominaj, że jestem pośrednikiem. - Wyjechał tym swoim nowoczesnym wozeczkiem zza biurka i ustawił się twarzą do mnie. - Skończyłeś? - upewnił się.

-Jeszcze nie. - Pomyślałem, że mogę spokojnie iść za ciosem. Wziąłem z biurka papier i pióro i zacząłem zapisywać dane mojego rachunku w Citibanku w Wirginii. - Powiedzmy, że wpłacisz dwadzieścia kawałków i będziemy rozliczeni - na razie.

-Wiesz co, Nick, gdybym mógł wstać, zrobiłbym to i ci przypierdolił.

Podniósł się o parę centymetrów nad fotelem, ale chyba tylko po to, aby poprawić tyłek. Tkwił tak parę sekund - może potrzebował pierdnąć.

- Powiem ci, jak to wygląda, Nick. Ewangelia według świętego Realisty. - Usiadł ponownie. - Spieprzyłem sprawę, znęcił mnie szmal, żałuję tego. Charlie był w porządku facet, ale ja wobec niego mój dług spłaciłem. Teraz pójde ci na rękę, ale po tym jeste śmy kwita. Masz mi zejść z drogi. Z tobą zawsze tylko kłopot.

-Lubię się z tobą zadawać, Dave. - Spróbowałem herbatę, była dobra. Mam słabość do mleka UHT. - Jeszcze raz chciałbym ci przypomnieć, co zrobiłeś Charliemu. I przypomnieć, że mogę zarówno zepsuć ci biznes, jak i rozwalić ci łeb. Kapujesz?

-Bardzo proszę. Rób, co chcesz. Owszem, na krótką metę mój interes doznałby uszczerbku, ale na dłuższą? Zapomnij! Chłopaki rwą się do pracy, a firmy potrzebują takich usług. Nick, to kwestia podaży i popytu. Dopóki płyną czeki z zapłatą, nikogo to nie będzie obchodziło. Poza tym zamiast myśleć, jak mnie skrzywdzić, pomyśl jeszcze o innej rzeczy. Wiesz, mam kontakt z Hazel. Ona mnie po prostu uwielbia. Ostatnio, gdy rozmawialiśmy, kazała cię pozdrowić

i przypomnieć ci, abyś się kiedyś odezwał. Jest mną cała zachwycona. Nie wydaje się jej, aby kiedykolwiek była w stanie odwdziżyć się za wszystko, co zrobiłem dla niej i dla Charliego. Dać mi więc namiary na tę twoją głuptaskę nie było dla niej żadną sprawą. Dała mi numer komórki, adres mailowy, dorzucając jeszcze adres domu jej ojczyma oraz informację, że pracuje dla Mercy Flight. Ja lubię wszystko wiedzieć, Nick. Przyjdzie taki jeden albo drugi i będzie mnie straszyl... A więc zobaczymy. Tu nie trzeba tęgiego łba, aby zrozumieć, o co chodzi. Mercy Flight lata wszędzie, zdaje się, że także do Konga. Rozumiem, że chcesz się do niej dostać, coś jej dostarczyć albo ją stamtąd wydostać. I wygląda na to, że masz przesrane, jeśli ci nie pomogę. Stanie w kolejkach i wydzwanianie po prośbie zajmie ci tygodnie. W tym czasie może być już po niej, zanim tam dotrzesz, zawiśnie już na jakiejś gałęzi. Jestem ci potrzebny.

Spoglądałem na niego z góry, on na mnie z dołu. Spod tego jego wąsa gwiazdy porno wyłaził uśmieszek. Za bardzo mu się to podobało. Herbata przestała mi smakować.

- Mam w rejestrze około setki chłopaków. Trzech z nich znajduje się bardzo niedaleko, wystarczy, że przycisnę alarm osobisty. Czy myślisz, że jestem aż tak głupi? Jeśli jeszcze raz spróbujesz mi grozić, poproszę ich, aby ci to wyperswadowali. Nawet nie muszę im płacić, wystarczy, abym przyrzekł, że szybciej dostaną zadanie. Oprócz tego taką postawą nic nie wskórasz i nie dostaniesz się do swojej głuptaski. Owszem, mam to, czego potrzebujesz. W końcu jestem pośrednikiem, dlatego przecież tu jesteś, no nie? Do cholery, jestem upośledzony fizycznie, a nie psychicznie. A więc, czy możemy przystąpić do interesu?

Są chwile, że musisz po prostu zaakceptować fakt, że cię wyjebano, i to była jedna z takich chwil. Nadal patrzyłem na niego twardym wzrokiem, ale w końcu kiwnąłem z wolną głową.

- Świetnie. Najwyższy czas. - Wystukał coś na klawiaturze, przestudiował to, co pojawiło się na ekranie, i postukał jeszcze. Zerknął na zegarek, uderzył w klawisz. Odezwała się drukarka.

Stuknięty Dave odjechał trochę zza biurka i wrócił z dwoma kartkami A4.

- Oto bilet, stawiam.

Zerknąłem nań. Na godzinę 21.30 dziś wieczorem, z Heathrow. Teraz właśnie minęła trzecia. Będę musiał z tej corsy wycisnąć wszystko, co się da.

Podał mi drugą kartkę.

-1 twój kontakt. Pomocny przez większość drogi. W tej okolicy są nasi ludzie na robocie, zajmą się tobą. Dług jest więc spłacony. Spadaj mi teraz z oczu.

Złożyłem obie kartki i wetknąłem je sobie w kieszeń dzinsów, po czym podniosłem kubek. Przez sekundę patrzyłem na herbatę, po czym wylałem mu ją na łeb.

Wrzasnął, ręce poleciały mu do głowy jak para kopulujących gołębi.

Poszukałem wokół jego szyi przycisku alarmu. Znalazłem, zwisał jak wisiołek, zdjąłem mu go przez głowę.

- Co ty, kurwa, robisz!/? Chyba sobie z tego nie zdajesz sprawy!

- Bynajmniej. Po prostu przejmuję prowadzenie.

Złapałem go za prawą łydkę i ruszyłem ku drzwiom, ciągnąc go razem z wózkiem za sobą. Krzyczał, abym się zatrzymał, ja jednak szedłem dalej.

Dotarliśmy do drzwi. Stuknięty Dave nie był w stanie utrzymać się już dłużej na wózku i upadł tyłkiem na ziemię. W deszczu powlokłem go za sobą aż do drzwi do ogrodu. Wił się, próbując dosięgnąć mnie rękami, tak jakby to miało coś pomóc.

Przeciągnąłem go po rampie i wtargałem do bawialni, zostawiając za sobą na linoleum długą mokrą smugę. Stuknięty Dave już nic nie mówił. Wszystkie wysiłki skupiał na utrzymaniu się w pozycji wyprostowanej.

Przeszedłem tak przez drzwi wejściowe i puściłem go dopiero wtedy, gdy znaleźliśmy się przy papamobile. Wił się teraz po mo-

krym asfalcie, próbując, podpierając się łokciami, podciągnąć się z powrotem do domu.

Nie wiem, dlaczego tak postąpiłem. To było niedojrzałe, nieuzasadnione i niczego mi nie dawało - ale, słowo daję, przywróciło mi dobry humor.

Wsiadłem do samochodu, opuściłem szybę i rzuciłem mu w twarz przycisk alarmowy.

Wyjeżdżałem z Bobblestock, wycieraczki pracowały jak szalone, a ja poczułem, że po raz pierwszy od prawie doby znowu mam nad czymś kontrolę. Uczucie to jednak nie było tak dobre, jak powinno.

Tak mało o sobie wiedzieliśmy. Nieustannie odkładałem na później chwilę, w której powiem jej, kim jestem. Przed naszym spotkaniem z Charliem powiedziałem jej wprawdzie, że byłem kiedyś żołnierzem i że razem uprawialiśmy spadochroniarstwo, ale to wszystko. A ta dana sobie wczoraj obietnica, że wyznam jej wszystko? Gdzieś w głębi duszy wiedziałem, że to oszustwo. Nigdy by do tego nie doszło. Po prostu bałbym się, że mnie wtedy porzuci.

Była wszystkim tym, kim ja nie byłem. Należałem kiedyś do świata, którego szczerze nienawidziła - do świata wojny i śmierci, w którym bezdusznie gnębi się bezbronnych.

Zmieniając biegi, aby podjechać pod wzgórze Aylestone, zdałem sobie sprawę, że nic nie musiałbym jej wyjaśniać. Jeśli wszystko się posypie, być może pozna ten świat z pierwszej ręki i na żywo.

Część trzecia

Lotnisko międzynarodowe
w Kapsztadzie,
sobota, 10 czerwca,
godzina 16.05

Przelatywaliśmy wokół Góry Stołowej, a potem na północ wzdłuż szerokich piaszczystych plaż, a zanim powróciliśmy w głąb lądu, nad olbrzymimi, rozciągniętymi winnicami. Miasto usadowiło się

wygodnie między łagodnymi stokami a Atlantykiem.

Na szczęście lot dobiegł końca. Większość z dwudziestu godzin podróży spędziłem w zatłoczonej bydlejącej klasie. Nie tkwiłem tam wprawdzie bez przerwy, gdyż po drodze mieliśmy dwa międzylądowania. Wyobrażałem sobie szeroki uśmiech na gębie Stukniętego Dave'a, jak już udało mu się doczołgać z powrotem do biurka. Ten skurwiel musiał kupić bilet najtańszy z możliwych.

Gdy szedłem do wyjścia, rozglądałem się za oznakowaniem, gdzie stają taksówki, sprawdzając jednocześnie moją pustą pocztę głosową. Następnie wystukałem numer biura Lexa na lotnisku. Była to masa siódemek i piątek i ciągle wystukiwałem te cholerne cyferki w złej kolejności.

Połączyłem się wreszcie z kobietą, która mówiła z tak silnym akcentem, że aż waliło po głowie.

- Halo, tu znowu Nick Stone. Wczoraj wieczorem dzwoniłem do Lexa. Czy teraz go zastałem? - Szedłem przez hektary szkła i betonu, przez stoiska Vodafonu, gdzie wynajmowano telefony komórkowe oraz między dziesiątkami biznesmenów, tłoczących się ze swoimi laptopami wokół stacji bazowych Internetu.

-Spóźniłeś się, człowieku. Miałeś wyjechać wczoraj.

-Zatrzymaliśmy się w Johannesburgu i Port Elizabeth. -W ustach czułem smak szczurzej dupy i z trudem utrzymywałem otwarte oczy.

-Mamy sobotnie popołudnie. On mówił, że byliście umówieni w barze.

Ta ewidentna zwolenniczka przywrócenia apartheidu brzmiała tak, jakby tu chodziło o dogadanie się co do zakupu pola naftowego.

-W którym barze? I jak on ma na nazwisko?

-Będziesz jechał a-utem, prawda? - zaczęła wyliczać numery dróg i zjazdy z nich.

-Prr, znajdę kawałek papieru i coś do pisania, zaraz oddzwonię.

Zamknąłem komórkę i udałem się do stoiska Nescafe zrobionego na podobieństwo ulicznego straganu. Pożyczyłem tam ołówek, a sprzedawczyni zrobiła mi paskudną rozpuszczalną kawę. Do brzegów kubka kleiły się granulki, gdyż woda nie była gorąca.

Lex w barze to nie była dobra wiadomość. W barach jest alkohol, a tam, skąd pochodzę, od ostatniego drinka musi minąć dziesięć godzin, zanim się siądzie za sterami. No, powiedzmy, że nie zawsze.

Wywołałem numer ponownie i musiałem ją ciągle prosić, by mówiła wolniej, aby móc zanotować wszystkie szczegóły.

-OK, bar False Bay. Gdzie to jest?

-W Erinvale. Będzie tam cały wieczór.

-Jak brzmi jego nazwisko?

- Kallembosch - powiedziała to takim tonem, jakbym był przygłupem i powinienem to wiedzieć, ale postanowiłem miło zakończyć rozmowę.

-A jak ty masz na imię? - Miło być grzecznym i takie tam...

-Hendrika - zabrzmiało to tak, jakby próbowała oprzeć się przesłuchaniu.

- Dzięki, Hendriko. Miłego dnia - dorzuciłem, bo nie mogłem się powstrzymać.

Gdy już przegryzłem się przez moją kawę, sprawdziłem stan konta w bankomacie. Wiedziałem, że Stuknięty Dave nie da mi ani pensa, lubię jednak żywić nadzieję.

Mimo frustracji, jaka mnie opadła, byłem w stanie zauważyć dwie rzeczy, które zawsze mnie brały, ilekroć przybywałem do Afryki: piękne światło i wspaniałe błękit nieba. Jakby chmury zostały tu zakazane.

Nie trwałem jednak długo w tym stanie kontemplacji. Gdy tak-sówka skręciła z portu lotniczego na wschód w kierunku szosy N2, walczyłem z pokusą, by polecić kierowcy wcisnąć gaz do dechy. Przecież w ten sposób wcale nie wystartuję wcześniej. Musiałem wziąć się w garść i brać wszystko na spokojnie. Szło tak, jak miało iść.

Kierowca sprawiał dość sympatyczne wrażenie, lecz tutaj pełno było przerażających historii o pasażerach wywożonych pod miasto, częstowanych w głowę kulą 9. mm i rabowanych do czy-sta. Postanowiłem jednak dać temu facetowi kredyt zaufania.

- Pozwól zerknąć na twój atlas drogowy. - Wcisnąłem się między fotele, zrównując się z nim. - Chciałem zobaczyć, jak może wyglądać okolica.

Podał mi atlas. Ernivale było po drugiej stronie Somerset West, około czterdziestu kilometrów na wschód od Kapsztadu. Posiadłość leżała między dwoma pasmami górskimi a linią brzegową False Bay.

Oddałem mu mapę.

-Wygląda jak Szwajcaria.

-Człowieku, klimat jest śródziemnomorski - powiedział z dumą kierowca. - Deszcz w zimie. To dlatego robimy takie wspaniałe wina.

Pot zbierał mi się u podstawy kręgosłupa. Otworzyłem okno. Okulary przeciwsłoneczne miałem w torbie, w bucie, więc musiałem mrużyć oczy, które nadal mnie piekły, a moje ciało wyhodowało warstwę tłuszczu, jakiej nabywa się w czasie długich lotów i przy stałym napływie gorącego, nieświeżego powietrza pompowanego po to, abyś za dużo nie chciał od personelu pokładowego. Do szczęścia brakowało mi więc jedynie wieczoru spędzonego w zadymionym barze z jakimś zrzędzącym, starym pilotem, który popijając, będzie mi opowiadał swoje wojenne przygody. Wszystko to przełknę jednak z uśmiechem, jeśli skończy się na tym, że gdy tylko będzie w stanie skoncentrować się na instrumentach pokładowych, zawiezie mnie do Konga.

Sprawdziłem komórkę. Poziom sygnału był dobry, lecz ekran nadal świecił pustką.

2

ojazd do Somerset West zabrał nam dwadzieścia minut, ale też mieliśmy sporo czasu, aby zrozumieć, dlaczego cały ten obszar nosił nazwę Przylądka Winnic. Słońce prażyło tysiące rzędów winorośli ciągnących się aż po horyzont. Żniwa musiały tu być niezłe. Każdy dom pokryty czerwonym dachem, każda ściana czy ogrodzenie doskonale białe. Z miejsca, gdzie siedziałem, niemal czułem świeżą farbę i nigdzie nie widać było plakatów ostrzegających przed AIDS.

Ruszyliśmy w lewo do Erinvale, które okazało się mocno ochra-nianą posiadłością. Ochroniarze przyjrzeni się nam dokładnie przy wjeździe, zanim szlabany poszły w górę i mogliśmy jechać dalej.

Mercedes sunął po gładziutkim asfalcie. Po obu stronach drogi widniały setki hektarów zielonej trawy upstrzonej białymi, piaszczystymi bunkrami. Elektryczne wózki golfowe, prowadzone przez ludzi w żółtych koszulkach polo, wyjeżdżały z podjazdów olbrzymich rezydencji.

Pojechaliśmy drogą prowadzącą wprost do budynku klubowe-go, który mógł spokojnie robić za grand hotel.

Spryskiwacze wyrzucały delikatną mgiełkę na bieżnię, tworząc wszędzie tęczowe łuki. To wszystko wywierało wrażenie. Niewykлучzone, że po szybkim pokonaniu osiemnastu dołków Lex wlewał w siebie jedynie sok pomarańczowy.

Zapłaciłem taksówkarzowi randami, zakupionymi za moje franki szwajcarskie na Heathrow, i z torbą w ręce wszedłem do

repcji. Ściany pokrywały ciemne boazerie. Nade mną leniwie poruszał się olbrzymi wentylator, zawieszony chyba dla dekoracji, ponieważ od chłodzenia była tu klimatyzacja. Wnętrze zostało tak zrobione, aby wyglądało na stare.

Hinduski kamerdyner miał na sobie nieskazitelną białą koszulę, jakby świeżo co wyjętą z opakowania. Zmierzył wzrokiem moją bluzę i džinsy i zrobił krok do przodu.

-Jestem umówiony z Lexem Kallemboschem - oświadczyłem promiennie, mając nadzieję, że nie podejście dostatecznie blisko, aby poczuć mój smród. - Wiem, że Lex jest w barze False Bay.

-Oczywiście, proszę pana - odpowiedział, wyjmując mi bagaż z ręki. - Obawiam się, że jeśli udaje się pan do klubu, musi pan mieć marynarkę i krawat. Mamy tutaj wybór marynarek i krawatów, lecz niestety... - tu wskazał palcem na moją bluzę z ledwie ukrywanym wstrętem.

-Nie macie żadnych koszul?

-Proszę chwilę poczekać. - Zniknął za zasłoną i wrócił z białym pakunkiem. - Bielizna do prania... Bardzo mi przykro, ale...

-Nie ma sprawy. Dziękuję. - Wybrałem specjalnie o trzy numery za dużą, aby mnie nie dusiła, gdy zapnę ją na górny guzik. Kamerdyner będzie musiał pogodzić się z moim wyglądem.

-Proszę za mną, sir... - W grubej sportowej marynarce, pogniecionej białej koszuli i czerwonym pasiastym krawacie wyglądałem jak gwiazdor serialu sensacyjnego z lat siedemdziesiątych.

Zaprowadził mnie do salonu. Przy barze i przy stolikach siedziało około tuzina gości. Boazeria przydawała temu pomieszczeniu kolorytu starego klubu kolonialnego, gdzie emerytowani pułkownicy knuli swoje spiski nad kolejną szklanką dżinu z tomkim i miseczką Bombay Mix do przegryzania albo kumple Marka Tatchera snuli plany szybkiego wzbogacenia się.

Wielkie okna wychodziły na rzutnię. W dali słońce zmierzało już ku horyzontowi.

Jakiś biały w ciemnym garniturze odlepił się od baru i podszedł do mnie z wyciągniętą ręką: - Nick, nieprawdaż? - Akcent był równie ciężki, jak jego nogi i bary. Tacy muszą jeść mięso osiem razy dziennie.

- Lex? - upewniłem się.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Jego twarz była tak spalona słońcem, że skóra na niej miała pęknięcia, a jego włosy tak spłowiały, jakby przez ostatnie pięćdziesiąt lat mył je w domestosie.

Wrócił ze mną do baru.

- Słuchaj, człowieku, nie chcę wiedzieć, jak ci upłynął lot, po wiedz mi tylko, czy masz forszę. - Tu roześmiał się głośno, miałem nadzieję, że żartuje. Jego zęby błyszcząły. Może czyścił je tym samym domestosem? - Jeśli tak, to dostarczę cię do tego zasranego miejsca, a następnie jeśli ty i ta kobieta spotkacie się i będziecie nadal żywi, przylecę po was i wyciągnę was stamtąd.

Pieprzyć pieniądze. Pomyślę o nich za chwilę.

- Kiedy ruszamy? - zapytałem.

Może zaproponuję mu, że Silky zapłaci mu potem podwójnie, coś mi się jednak wydawało, że Lex nie był z tych, co myśleli w kategoriach długoterminowych.

- Napijesz się? - zapytał i dał znak barmanowi. - Dla mnie Cutty Sark.

-Dla mnie woda, pić mi się chce. Z

tyłu dobiegł mnie znajomy głos:

-A dla mnie pół kwarty Castle'a.

Mało co nie wpadłem za kontuar. Lex zaśmiał się do siebie i sięgnął po następną whisky. Sam wyciągnął rękę. Nie miałem pewności, czy chce się przywitać, czy tylko postawić mnie na nogi.

- Jak się masz, Nick? Kopę lat...

Potrząsnęliśmy sobie dłonie, ale ja nie miałem pojęcia, co teraz powiedzieć albo co zrobić. Zbyt często stawała mi przed oczami scena, w której Annabel nurkuje w kierunku ziemi i dzieciak, który wyslizgnął mi się z rąk...

- No tak, chciałem napisać kartkę... gdybym tylko znał, no wiesz...

Wtedy zauważyłem szeroki uśmiech na jego twarzy; wydawał się szczerze zadowolony z naszego spotkania. Był raczej spalony niż opalony, ale starzał się ładnie: rysy twarzy stały się łagodne, a nie ostre.

-Na czym polega twój sekret, Sam? Oil of Olay?

-Nigdy w życiu. Woda święcona!

Powinienem być zgadnąć. Być może wyjaśniało to także przyczynę tego uśmiechu. Sam nadal robił w biznesie przebaczenia.

Lex podniósł łapę wielkości bejsbolowej rękawicy: -Chwileczkę, wielebny. Zanim przystąpisz do kazania, muszę dopilnować, czy Nick jest wystarczająco przygotowany do kwesty. Dziś, grzesznicy, będzie zbiórka na bardzo szczytny cel: Fundusz Emerytalny Lexa Kallemboscha.

Sam był zaskoczony.

- Ty stary diable. Bierzesz od niego za lot, który i tak wykonujesz. Ile?

Zmówili się? Jaja sobie robili?

- Człowieku, biorę stawkę podstawową, dziesięć kawałków, amerykańskich. Nick musi ratować z biedy pewną bogatą pannę, więc powinien podzielić się trochę tym szczęściem, że mu się trafiła taka partia.

Sam się roześmiał. Byłem rad, że uznał to za zabawne. Zastanawiałem się, jakie to jeszcze smaczne kawałki przekazał tam-tamem Stuknięty Dave, zaczynałem teraz żałować, że ściągnąłem tego parszywca z wózka.

-Dycha, co to jest dla ciebie? - zapytał Sam. - Twój rachunek za tonik wyniesie więcej. Coś ci powiem, stary oszuście, jak tylko wrócimy, robimy osiemnaście dołków, i jeśli wygram, puszcze ci to w niepamięć, zgoda?

-Ale ty przegrasz.

- Nie przegram. - Sam odwrócił się do mnie i wypił łyk piwa.
- Gdzie się zatrzymałeś?
 - A gdzieś muszę? Myślałem, że wylecimy dzisiaj.
 - Nie otrzymałem odpowiedzi, na jaką liczyłem.
 - Też muszę się ruszyć, ale dopiero jutro. A Lex czeka na do stawę. - Poklepał mnie po plecach. - Zatrzymaj się u mnie. To niedaleko.
- Wypił do końca piwo, ja sięgnąłem po niewielką butelkę wody, którą dostałem zamiast takiej, na którą liczyłem, czyli litrowej. Sam klepnął też Lexa.
 - Osiemnaście dołków, draniu. Od razu po powrocie.

3

am stał oparty o ścianę szatni, podczas gdy ja przebierałem się we własne ciuchy. Usiłowałem koncentrować rozmowę wokół

SSilky. Sam może mi prowadzić wykłady biblijne, ile tylko chce, ja najchętniej nie ruszałbym żadnej kupy gówna. Taki ten Sam dobry i życzliwy, aż mi było przy nim głupio. Muszę wymyślić jakiś sposób, aby rozmowa nie zesłała na śmierdzące tematy. Zapiąłem dzinsy i skupiłem się na zapinaniu paska.

-Kiedy stąd wyjedziemy? - zapytałem.

-Z domu wyruszymy około piątej i pojedziemy na spotkanie z Lexem. Ładunek powinien być już wtedy gotowy.

-Kiedy Hendrika powiedziała mi, że mamy się spotkać w barze, nie oczekiwałem, że będzie on miejscowym odpowiednikiem Blenheim Pałace.

Zacząłem zakładać przez głowę moją zjełczałą bluzę, zastanawiając się jednocześnie, co mam powiedzieć dalej. -Nie spodziewałem się, że to ty będziesz tu robił>za obstawę, tego Stuknięty Dave w prospekcie nie umieścił.

-A to dlatego, że Stukniętemu Dave'owi wydaje się, że wie, co się tutaj dzieje, a w rzeczywistości nie wie nic. Zna Lexa z jego szalonych czasów, gdy ten chlał whisky, latał z bronią i za ponętymi Bośniczakami, wie może, że gdzieś tu się płaczą, ale ja już od dawna nie zadaję się z Mamonem, a już na pewno nie z tym z hrabstwa Hereford...

Nadal nie wiedziałem, czy Sam stroi sobie żarty, czy wręcza mi oficjalne zaproszenie na poruszenie kupy gówna. Nadal pieprzyłem się z tą bluzą, abyśmy tylko nie spojrzeli sobie w oczy, pozwalając mu w ten sposób wypełnić pustkę; poczułem ogromną ulgę, kiedy to uczynił.

- Tak czy owak, on nie ma pojęcia o tym, co tutaj robimy, to jest prywatne przedsięwzięcie, bardzo prywatne, a i wolimy, żeby takie pozostało.

Wciągnąłem na siebie bluzę i pochyliłem się, aby zasznurować buty. Wiedziałem, że Sam bardzo by chciał, abym zapytał, kim byli owi „my” i co to za „prywatne przedsięwzięcie”. Wcale nie pozbył się tego dzieciaka w sobie.

Bawił się ze mną? Nie było sensu dalej dopytywać się o czas wyjazdu; wyjeżdżamy dopiero jutro rano i już. Nie mogłem zrobić nic więcej, niż dbać o to, by w komórce był zasięg i czekać, że zadzwoni.

Wyszliśmy z klubu. Duża pomarańczowa kula nadal zwisała nad linią dzielącą ziemię od morza. Sam założył ciemne markowe okulary, a ja przystanąłem, aby wyciągnąć z torby swoje tanie plastikowe.

Szliśmy alejką, która powinna zaprowadzić nas na parking. W tym momencie Sam zatrzymał się przed elektrycznym wózkiem golfowym, stojącym w zatoczce. Zauważył moje zdziwienie i powiedział: - Wszystko w porządku. Nie mamy czasu, by iść dookoła.

Wskoczył za kierownicę. Rzuciłem torbę na tylne siedzenie i ruszyliśmy z delikatnym elektrycznym szumem.

Sam nie patrzył na lewo ani na prawo, gdy jechaliśmy po asfalcie, który wił się jak wąż brzegiem pola golfowego.

- Pewnie chciałbyś wiedzieć, co się ze mną stało, gdy wróciłem do Kinszasy - powiedział.

Już, już dotykał kupy gówna.

- Słyszałem, że zostałeś jednym z dowódców patrolu Pana Boga. Myślałem, że od tej pory może będziesz miał już na szyi

koloratkę i w jakiejś szkockiej parafii będziesz celebrował śluby i pogrzeby oraz uprawiał ludowy taniec.

- Wiesz dobrze, że to nie dla mnie - uśmiechnął się szeroko.
- Poza tańcem oczywiście.

Znowu pogrywał. Te gierki miały reguły, których zupełnie nie rozumiałem. A ja chciałbym mieć wszystko poukładane: przeszłość, sytuacja obecna, najbliższa przyszłość, samolot.

Zmierzaliśmy chyba do skupiska wielkich rezydencji i, położonych o jakiś kilometr dalej, niemal nad samym morzem. Przejechaliśmy obok wielkiej siedziby w stylu kolonialnym, z ekstrawagancką żelazną bramą. Czterech mężczyzn właśnie ją malowało, głowy mieli przysłonięte gazetami dla ochrony przed słońcem. Zauważyłem też fontannę pośrodku wyżwirowanego podjazdu.

- Należy do Lexa - pokazał ruchem głowy Sam.

Nic dziwnego, skoro brał dziesięć tysięcy za przejazdkę samolotem. To wyglądało bardziej na Beverly Hills niż na coś związanego z działalnością Boba Geldofa.

- W Bośni, powiadasz...

-Ano, ale wcześniej był w południowoafrykańskich siłach powietrznych. Potem latał na Hunterach dla Rodezyjczyków, walcząc z kolei po ich stronie. A potem to już myślę, że zaczął wozić każdego, kto skłonny był za to płacić. Moje małżeństwo jest zaraz przy *tej* drodze.

To „prywatne przedsięwzięcie” chyba przynosiło niezły dochód. Sam nie gubił wątku. Powrócił do Zairu.

-A ty, Nick? Nadal się zabezpieczasz, będąc agnastykiem? Pamiętasz naszą rozmowę tamtego wieczoru na dachu?

-Tak. Nadal nie spotkałem tego twojego zmyślnego przyjaciela, nikt też nie zawołał do mnie z płonącego krzaka.

- Jest tego przyczyna, ale na razie ci oszczędzę. No to czym więc wypełniasz sobie życie? Rozumiem, że nie przesiadywałem w kościele... - skreślił w szeroką, asfaltową alejkę i zauważył moje zaskoczenie. -Ano, niezłe, co?

Rzeczywiście nieźle. Takie rzeczy widzi się na okładkach magazynów architektonicznych w kioskach na lotnisku. Hektary szkła, drewno i białe tynki, wielospadowe dachy i do tego dorzucony duży, lśniący basen. Dom godny samego biskupa.

- A niech mnie, Sam, powiedz, że jesteś tylko lokajem! - Wskoczył z wózka. - To znaczy, słyszałem, że Bóg nagradza, ale bez przesady...

- Te domy należą do firmy, nie do nas - wyjaśnił.

Poszedłem za nim do olbrzymich, dwuskrzydłowych drzwi. Sąsiedni dom był chyba zaprojektowany przez tego samego architekta, był jednak większy, a tutejsi architekci krajobrazu wyraźnie gustowali w drutach kolczastych z „żyłkami”.

Sam otworzył drzwi i znaleźliśmy się w przedpokoju wielkości salonu. Rozległo się ochocze szczekanie, chrobot łap po kamiennej posadzce i na Sama rzuciły się dwa podobne do szczurów psy. Zrobił to, co robią miłośnicy psów, pozwolił im się przymilac i obślinić ręce i ubranie.

Przemawiał do nich jak do dzieci. Nawet je przedstawił: - To jest Vegas, a to Mimi.

Jeśli oczekiwał, że też się tak czule z nimi przywitam, był w błędzie.

Niezależnie od wszystkiego, byłem teraz zbyt zaprzątnięty wrażeniem, jakie wywarł na mnie sposób urządzenia wnętrza, a na dodatek bawiła mnie myśl, jak bardzo byłby o to zazdrosny Stefan.

Potrząsnąłem z niedowierzaniem głową: - To chyba dobrze, że nie zostałeś pastorem. Służbowe mieszkania kościoła nie umywają się do tego.

-Nick, ja pracuję jako rozjemca.-Wskazał ręką Mimi i Vegas.
- Smycze są dla psów.
- Jesteś w obiegu?

Poszliśmy korytarzem do kuchni. Otworzył olbrzymią, czystą, dwudrzwiową lodówkę w kolorze stali.

-Nie, nie, nic z tych bzdur. To działka Stukniętego Dave'a. To, co my robimy, jest bardziej wyrafinowanym numerem.

Czekał, aż się złamię i będę pytać. A niech to diabli, i tak długo wytrzymałem, poza tym w ten sposób nie zejdziemy na sprawę z Zairu.

- „My” to znaczy kto? Znam ich?

Nareszcie go uszczęśliwiłem.

-W grupie jest jeszcze czterech innych. Jednego znasz na pewno, drugiego może będziesz pamiętał. - Podał mi zimną puszkę Castle. - No dobra, ale opowiadaj. Chcę wiedzieć, co porabiałeś.

W porządku, im dalej od kupy gówna, tym lepiej.

-Trochę tego, trochę tamtego... Przez jakiś czas pracowałem dla Firmy, potem dla jankesów. - Wypełniłem usta piwem.

-Robiłeś coś w Iraku?

-Kto by nie robił?! A ty? Gdzie głównie podtrzymujesz ten pokój?

-Ochrona kopalni w DRK. Lecimy do granicy z Rwandą i stamtąd, z głównego obozu, prowadzimy operacje w Kongu. - Na chwilę zgasł mu wzrok i miałem wrażenie, że czerwień jego cery lekko się zmniejszyła. - Tam jest koszmar, Nick. Trzeba pilnować kopalń, trzeba pilnować osiedli. - Dotknął mojego ramienia, widać było, że mówi to prosto z serca. - No, ale opowiedz mi o tej swojej dziewczynie.

Bawiąc się puszką, zastanawiałem się, czy mu powiedzieć prawdę. Nawet jakby mnie w coś wrabiał, musiałem jednak wiedzieć, czy na pewno znajdę się na pokładzie tego samolotu. Następną rzeczą było pozebrać. Może tego ode mnie nawet oczekiwał.

- To nie jest żadna praca, Sam. Ona jest dla mnie ważna. Muszę ją wy dostać z Nuki.

Potrząsnął z wolna głową: - Oj, niezdrowe to miejsce. Wszystkich tam szlachtują, tych z lewa, prawa i tych z centrum. Ale cię tam zabiorę.

- Nie wiem, co byłbym bez niej począł. - Cholera, skąd mi się to nagle wzięło? Skończyło się chyba u mnie trzymanie takich spraw w ukryciu.

Sam przyjrzał mi się z wyraźnym niepokojem, ale w końcu wybrał ponownie pocieszenie w postaci poklepania po plecach i zmienił temat.

- Pomartwimy się tym jutro. Teraz pokażę ci dom.

Zaprowadził mnie do prywatnego kina. Olbrzymi ekran plazmowy zajmował całą ścianę. Stało przed nim dwanaście foteli produkcji La-Z-Boza, w rogu schowany był barek.

- Mam teraz własny kościół. Kształcimy, leczymy, ochraniamy i staramy się, aby myśleli dużo o Panu.

Obecnie, kiedy poruszano temat Boga, nie zmykałem już, gdzie pieprz rośnie. Dawno temu odkryłem bowiem, że życie wieczne było niczym innym jak kocykiem bezpieczeństwa dla ludzi, którzy nie mieli pojęcia, o co w tym pieprzonym życiu chodzi i chcieli uwierzyć, że w tym wszystkim krył się jednak jakiś sens, niezależnie od tego, czy byli chrześcijanami, żydami, czy świadkami Buddy, Jehowy i Dnia Siódmego. A jeśli chodzi o mnie, to na szczęście byłem zbyt głupi, by troszczyć się o sens życia. Chciałem jedynie przetrwać, jak najdłużej się da.

Przyjrzałem się fotografiom wiszącym na ścianie za barkiem.

- To ma być ten kościół? - zapytałem.

To, co ujrzałem, było skupiskiem lepianek pokrytych palmowymi liśćmi. W kilku miejscach przy wejściach wisiały krzyże. Na pierwszym planie gromada dzieci po kolana w błocie, siłowała się z kozą.

- Niezupełnie. To jest Nuka, sierociniec, który też prowadzi.

- Nadal nie rozumiem, jak godzisz Boga z tą twoją prywatną działalnością. Bóg i broń? - spytałem, wskazując na otaczający nas zbytek. - Gdzie jedno z drugim się łączy?

- Nie należy tego tak oceniać. Te dwie rzeczy są ze sobą do pogodzenia. Co począłbym bez pieniędzy? Ten dom nic nie znaczy.

To nie jest moje i nigdy moje nie będzie. Jest tylko częścią pracy, a pracę traktuję bardzo poważnie, gdyż dzięki niej docieram do ludzi, którzy potrzebują mojej pomocy, oraz dostarcza pieniędzy na prowadzenie kościoła, na prowadzenie Nuki. - Zauważył wyraz mojej twarzy i podniósł rękę. - Owszem, w pobliżu leży kopalnia. Nie martw się, znajdziemy tę twoją dziewczynę.

Wyszliśmy na taras z widokiem na morze. Słońce zamierzało teraz utopić się na dobre. Jakaś kobieta nakrywała do stołu dla dwóch osób. Kryształowe szkło, błyszczące świeczniki, duże lniane serwetki.

Sam był zadowolony.

- Pomyślałem, że wyjmemy firmowe srebro i posilimy się kilkoma daniami z kukurydzy oraz wypijemy Milo. A potem może być film. Bardzo romantycznie, no nie?

4 Niedziela, 11

czerwca, godzina 5.58

puściliśmy dom prawie godzinę temu, a ja byłem w dobrym humorze, choć moja komórka nawet nie pisnęła przez całą noc.

OPrzynajmniej zbliżałem się już do miejsca, w którym chciałem się znaleźć. Przechaliśmy przez pole golfowe, minęliśmy ochronę i wyjechaliśmy w ciemność na drogę z tłucznia. Po dwudziestu minutach skręciliśmy i po kolejnych dziesięciu minutach należący do firmy Iśniący, nowy bmw X5 Sama zaczął podskakiwać na ziemnej drodze. Nad horyzontem pojawiła się drzazga brzasku.

Za przydymionymi oknami słuchaliśmy wczesnoporanego radiowego talk-show. Jedynym dodatkowym dźwiękiem był delikatny szum klimatyzacji. Radio doniosło, że dzisiejszego popołudnia w Stellenbosch odbędzie się degustacja wina, aleja znałem co najmniej trzy osoby, które nie będą tam obecne. Zanim organizatorzy imprezy odkorkują pierwszą butelkę, Sam, Lex i ja powinniśmy się znaleźć na granicy między Rwandą a DRK, około pięćdziesięciu kilometrów od Nuki.

Wdychałem zapach nowiutkiej skóry foteli. Sam i ja spędziliśmy wieczór przy rostbeefie i świetnych winach. Zdaje się, że zrobił się z niego koneser. Nie uwierzyłbym w taką transformację, gdyby nie to, że nie wszystko uległo w nim zmianie. Nadal uważałem, że to Bóg stworzył Ziemię, on zaś musi uratować dusze

wszystkich ludzi. Nawet kasetą DVD, którą oglądaliśmy po obiedzie i którą sam nagrał, zawierała nawoływanie o wsparcie.

Uwierzyłem mu, kiedy powiedział, że dom, a nawet bmw nic dla niego nie znaczą. Cały wieczór spędziliśmy na wspominkach - jak pozostał w Afryce po 1985 roku i jak pracował dla różnych organizacji pomocy. Ani razu nie zapytał mnie o ten Zair i nie próbował nawet skierować rozmowy na ten temat.

Nagle zdałem sobie sprawę, że po prostu muszę z nim o tym pomówić.

-Sam?

-Co? - regulował klimatyzację.

-To, co się stało w tym śmigłowcu, ten chłopak, potrzebuję o tym pogadać.

-Wiem - nadal patrzył prosto przed siebie.

-Nie byłem w stanie go utrzymać, wyślizgnął mi się, cholernik.

-Rozumiem.

- Nie mogłem nic pomóc Annabel. Czy widziałeś, co ten Standish zrobił?

Sam przytaknął. O Standishu nie padło tego wieczoru ani słowo. I dobrze, bo pewnie nadal bym teraz siedział i na niego złorzeczył.

-Gdy dzieciak spadł, było już za późno, abym opuścił śmigłowiec.

-Tak, wiem.

-To dlaczego mam poczucie winy? - przerwałem na chwilę. - Czy też to wiesz?

-Ponieważ nie możesz zapomnieć widoku ciał tych dzieci. Wiem, że tak jest, bo ja też nie mogę. Właśnie z tego powodu moje życie związane jest z tym miejscem. Chcę odkupić zabijanie dzieciaków. Muszę dopilnować, aby te szczeniaki, które są nadal zagrożone, nie musiały cierpieć jak te, które zabiłszy. Ale ty, Nick, nie musisz czuć się winny. Nie wiedzieliśmy tego, co teraz

wiemy. To jest tylko taki mój prywatny sposób radzenia sobie z tym.

-Dzięki.

-Nie dziękuj, synu. Czy chcesz wiedzieć, jaki los spotkał innych?

-Nie - skłamałem. Zawsze chciałem się dowiedzieć, co stało się z tym chłopcem.

-Naprawdę nie chcesz?

-Wiem, że Annabel nie przeżyła. Nie jestem pewny, czy chcę usłyszeć resztę.

Wzięliśmy zakręt.

- OK. Daj mi znać, gdy będziesz na to gotów. - Stuknął w kierownicę, mówiąc: - A my tymczasem już jesteśmy.

Zauważyłem grupę budynków z pustaków ze sterzącymi antenami i talerzami łączności satelitarnej. Resztę horyzontu zdominowały masywne sylwety dwóch samolotów transportowych An-12.

An-12, który był rosyjską wersją naszego Herculesa C130, miał tę samą sylwetkę co większość maszyn taktycznego lotnictwa transportowego, z olbrzymim ogonem, będącym w istocie rampą załadunkową.

Jedynie istotne różnice sprowadzały się do obfitego przeszkleń kabiny pilotów, co sprawiło, że samolot wyglądał jak niemiecki bombowiec Heinkel z czasów drugiej wojny światowej. Antonów miał też zainstalowane dwa działka 23 mm w sterzącej z tyłu kadłuba wieżyczce, to zaś wyglądało tak, jakby dupie samolotu przyprawiono dziób Kaczora Donalda.

Rampa była opuszczona na podjazd. Dookoła uwijało się kilka ciężarówek, dowożąc ładunki, na które, jak sądzę, czekał Lex.

Podstarzałe Antenowy były relikdami z czasów zimnej wojny, a obecnie zostały rozproszone po byłych komunistycznych państwach afrykańskich, które dałoby się wymienić, a także takich, których wyliczyć już nie sposób. Gdy podjechaliśmy bliżej, okazało się,

że ten spłowiały ciemnozielony potwór pochodził z matuszki Rosji: na stateczniku pionowym nadal widniała duża czerwona gwiazda.

Sam widać domyślał się, jak zabrzmie moje następne pytanie, gdyż uśmiechnął się, mówiąc: - Wyglądają niesamowicie, no nie? Lexowi trafiły się tanio dwie sztuki. Jedna w ruchu, druga w rezerwie - wskazał palcem samolot stojący z boku pasa. - Mały przebieg, własność pewnej ostrożnej damy. Sam rozumiesz.

Podjechaliśmy bliżej budynku, parkując obok czarnego miejskiego dzipa marki Porsche. Sam pokręcił głową. - To przedłużenie penisa Lexa, na moje oko to oczywiste.

Wysiadł z samochodu. Słońce nie wyszło jeszcze ponad linię drzew i było zimno.

Podeszliśmy do bagażnika. Sam podniósł klapę, wyjął swój zielony plecak i niebieską plastikową walizeczkę na kółkach, w rodzaju tych dostosowanych do przewożenia w kabinie samolotu. Była tak nowa, że miała jeszcze etykietkę na uchwycie. Zawiesiłem na ramieniu swoją torbę i zapytałem: - Czy on bierze dodatkowo za nadwagę bagażu?

Znad ciężarówki dostawionej do wjazdu widziałem sterczący dziób Kaczora Donalda. Działka były nadal na swoim miejscu. Wczesnoporanne słońce odbijało się od porysowanych okien z pleksi, wieżyczki ogonowej i od okazałych, mosiężnych ogniów pasów mocujących.

Lex zeskoczył do nas, by się przywitać. Wetknął słuchawki telefonu satelitarnego za pas i patrząc w niebo, zatarł ręce: - Ładnie się znowu zrobiło, no nie? - Ta odzywka, popularna wśród ludzi pracujących w gorącym klimacie, była stara jak świat, niemniej mnie rozbawiła.

Zerknąłem mu za plecy na długie aluminiowe kontenery ustawiane w środku samolotu. Dowożono je na wózkach widłowych na paletach i podnoszono na rampę. Sądząc po rozmiarach, każdy kontener musiał ważyć tonę.

- Lex, co to za ładunek?

-Żywność, woda, takie rzeczy, nic więcej. Dostawa dla chłopaków, mówię ci, tam jest tyle steków, że mógłbym otworzyć całą sieć restauracji.

-To ileż to osób pracuje dla tej firmy kopalnianej?

-Chłopie, nie nudź mnie takimi rzeczami - odwrócił się. - Ja tu tylko macham drążkiem sterowniczym. Wolę nic nie mówić, bo potem może być na mnie.

Zniknął ponownie gdzieś na rampie. Chciałem zapytać Sama o prawdziwą zawartość kontenerów, ale się opamiętałem. Jednego byłem pewien: wybornych kotletów to one na pewno nie zawierały.

Bmw i porsche zostały odstawione dalej.

-To Lex nie wraca tu po dostarczeniu ładunku?

-Musi lecieć gdzieś indziej. Ja sam wracam dopiero za kilka tygodni.

Odezwał się silnik, zapach paliwa lotniczego wypełnił mi nozdrza. Zastartował drugi silnik i stadko wystraszonych ptaków zerwało się z gałęzi. Wózek odjechał i poszedłem za Samem w stronę rampy. Moje buty zazgrzytały na warstwie ciemnoczerwonego, grubego piachu pokrywającego podłogę. To drugie miejsce, do którego latał Lex, musiało chyba być na Marsie. Z wnętrza usunięto wszystkie zbędne urządzenia, chociaż swoją drogą i tak nigdy ich pewnie dużo nie było. Nie było nic do siedzenia, metalowy kadłub maszyny nie był niczym wyłożony. Samolot załadowany był na wysokość człowieka aluminiowymi kontenerami i skrzynkami izotermicznymi.

Wskazałem na jedną taką dużą niebieską skrzynkę: - Nic nie mów, spróbuję zgadnąć. Czy tam są steki?

- Tak. Steki, jajka. To cholerna robota, ale lecąc z nową dostawą, wieziemy parę świeżych piwek.

Zauważyłem kilka skrzynek Castle. Sam się uśmiechnął: -Ano, byłem w sklepie PRL

Silniki zakaszłały i wszystkie cztery śmigła ruszyły. PRI to była sieć zaopatrzenia dla wojsk, z której korzystał Pułk, nigdy jednak

nie rozszyfrowałem znaczenia tego skrótowca. Sklep taki istniał w każdym garnizonie i wiadomo mi było jedynie, że gdy była dostawa, ludzie jeździli tam tłumnie i wracali obładowani połową supermarketu. Normalnie zaopatrzenie było co siedem albo dziesięć dni i można było wtedy poprosić o Colgate i co najwyżej Ambre Solaire, za co płaciło się pod koniec pobytu w terenie.

Ładowniczy wcisnął się między nas a kontenery, na uszach miał wielkie słuchawki, przy ustach pokaźny mikrofon. Sprawdzał szarpnięciami, czy wszystkie pasy dobrze trzymają.

-Sarij ilu ich tu pracuje?

-Oj, za mało, Nick, ciągle za mało.

Rampa podniosła się z jazgotem. Ładunkowy podłączył się z mikrofonem do gniazdka w ścianie i szybko coś zagadał. Pewnie do Lexa na drugim końcu linii.

Śmigła rozkręciły się na dobre.

Przez okrągły prześwit widziałem, jak wzbijamy za sobą tuman kurzu. Teraz rozumiem, dlaczego odprowadzili dalej swoje nowiutkie, błyszczące samochody.

Sam rzucił mi kłęb zielonego jedwabiu spadochronowego z poplątanymi sznurkami, sam zajął się rozplątywaniem własnego. Jakbym ponownie znalazł się w Pułku, na pokładzie C-130, może z tą różnicą, że skoro było nas tylko dwóch, nie będziemy stawać do walki o zajęcie najlepszego miejsca. Takie miejsce było właśnie przy rampie, bo tam nic nie stało i można było wygodnie zawiesić hamak.

Śmigła zawyły, samolot zadrżał. Potoczyliśmy się po pasie startowym.

Pochyliłem się do ucha Sama: - Jak długo to potrwa?

- Siedem godzin - musiał krzyczeć, abym mógł go usłyszeć.

- Możesz się spokojnie przespać.

Samolot transportowy taki jak nasz potrzebuje pasa startowego długości około siedmiuset metrów. Po paru sekundach, gdy podwozie oderwało się od ziemi, huk silników zelżał.

5

uch samolotu kołysał łagodnie hamakiem Sama. Spadochronowy jedwab otulał go tak ściśle, że wyglądał jak wiszący zielony kokon. Sam leżał w hamaku już od godziny i chyba chrapał, ale nie mogłem tego słyszeć ze względu na ryk silników.

Rładowniczy usiadł z Lexem, więc za towarzystwo miałem jedynie kontenery oraz worki i kartony zjedzeniem, których było ze dwa razy więcej niż kontenerów. A także śpiwór Silky - użyłem go do okrycia się, ponieważ w takich samolotach na wysokości dwunastu tysięcy stóp zawsze jest zimno. Wyżej chyba nie lecieliśmy, bo kabina była bezciśnieniowa i dawno byśmy już zaczęli umierać z powodu niedotlenienia.

Huk silników tłumił każdy inny dźwięk. Wyrzależem za okno i przyłożywszy do nosa śpiwór, wciągnąłem głęboko jego zapach, nadal pachniał nieznacznie jej cytrynowymi perfumami. Pod nami rozciągał się las tropikalny, z tej wysokości wyglądał jak pole brokułów.

Potrzebowałem zrobić kupę. Obróciłem się w hamaku tak, że wypadłem z niego razem ze śpiworem. Otarłem dłonie o dzinsy, aby zetrzeć z nich czerwony piasek i poszedłem w kierunku przeciętej na pół beczki po nafcie, stojącej pod ścianą przy rampie. Opuściłem spodnie i usiadłem na dwóch leżących na beczce deskach.

Te aluminiowe kontenery - i towarzysze mojej podróży - bardzo mnie fascynowały. Coraz bardziej zachodziłem w głowę, co

mogły zawierać. Nie była to jedynie zwykła ciekawość. Chciałem wiedzieć, w co się wpakowałem, na wypadek gdyby po wylądowaniu coś się posrało. Słyszałem o nielegalnym przerzucie broni z Bałkanów do środkowej Afryki. Jeśli ten samolot pełen był starych kałasznikowów i min przeciwpiechotnych, nie byłoby co wyjaśniać Rwandyjczykom, że ja tylko podróżuję autostopem.

Kiedy skończyłem, nalałem do beczki chloru z pięciolitrowej bańki, raczej żeby zlikwidować smród niż zarazki, i zacząłem przeciskać się wzdłuż stosów pudeł ze skondensowanym mlekiem. Rozerwałem wierzch kartonu i uprzednio wstrząsnąwszy, poczęstowałem się jedną puszką. Płyn był słodki i ciepły. Wojsko popełniło wielki błąd, kiedy wycofało tę pozycję z pakietów przydziałowych. Przez środek kabiny ustawiono ze dwadzieścia jasnoniebieskich pięćdziesięciogalonowych beczek paliwa lotniczego, które jak kręgosłup podtrzymywały cały zgromadzony wokół nich i nad nimi ładunek.

Doliczyłem się także około dziesiątki kartonów whisky Cutty Sark. Przyjmując, że każdy karton mieści dwanaście butelek, oznaczało to transport stu dwudziestu butelek. Kto wie, może Lex znał jakiegoś zalkoholizowanego słonia.

Ruszyłem dalej, tak aby Sam nie mógł mnie widzieć i znalazłem się przy przegrodzie do kabiny pilotów. Leżała tam sterta kilkuset brudnych, pustych worków po ryżu. Na kilku z nich mogłem odczytać namalowane szablonem oznaczenia. Kiedyś zawierały dary żywnościowe albo z USA, albo z UE, ale to było wiele lat temu. Teraz służyły do innych celów. Wiedziałem przynajmniej, skąd pochodzi ten cały syf pokrywający podłogę, a teraz także moje ręce i dżinsy.

Obok leżało czterdzieści, a może pięćdziesiąt piętnastokilogramowych worków ze sztucznym nawozem. Zauważyłem także dwanaście wielkich, czarnych beczek z ropą do diesli. Całkiem jak mały sklep kwatermistrza. Znalazł się tu nawet komplet kijów golfowych w czarnej torbie ze skóry. Chyba stanowiły tu normal-

ną część podręcznego bagażu pilotów. Nie sądziłem, że w dżungli jest aż tyle pól golfowych, ale widocznie zagorzałym golfiarzom ich brak nie przeszkadza. Graliby gdziekolwiek. Widziałem kiedyś dwóch facetów grających w golfa, podczas gdy w tle ewakuowano ambasadę USA w Sajgonie. Zdesperowani ludzie zwisali ze śmigłowców, próbując uciec przed Wietnamczykami z Północy, a ci dwaj martwili się, czy trafią małą piłeczką do dziury.

Jednakże bardziej interesowały mnie kontenery. Wieko tego leżącego na samej górze znajdowało się na poziomie mojego podbródka. Odpiąłem zamki na wieku, ale zanim tam zajrzałem, już wiedziałem, co zawiera. Zapach szczególnego rodzaju smaru mówił swoje. Przez pół życia wahałem go w zbrojowniach całego świata, nie można go było z niczym pomylić.

Zajrzałem do środka. Pod starym, kudłatym kocem ujrzałem zużyty metal broni i rozpoznałem ją po kształcie. Pęk karabinków szturmowych AK i co najmniej jeden ukaem opatulony luźno w stare, szarobrazowe koce.

Zamknąłem pojemnik i zabrałem się do następnego. Podniosłem wieko i odsunąłem koc. Tym razem znalazłem tylko jeden egzemplarz broni, a mianowicie cekaem kalibru 12,7 milimetrów. Taki sprzęt widziałem ostatnio w materiałach filmowych z majowej defilady Dnia Zwycięstwa, obok żołnierzyka w rosyjskim czołgu. W skórzanej pilotce wychylał się z wieżyczki czołgu i z poważną miną salutował stojącemu na trybunie Jelcynowi. Te cekaemy to był bardzo ciężki ekwipunek, ten miał obrotowy trójnóg, który ułatwiał manewrowanie podczas prowadzenia ciągłego ognia.

Zobaczyłem już wystarczająco dużo.

Zamknąłem wszystko i zawróciłem do luku ładunkowego. Lex mógł awansować do pierwszej klasy i świat zadymionych barów miał już za sobą, ale nie miałem żadnej wątpliwości, że obecnie wykonywał drugą z kolei najstarszą profesję na tym kontynencie. Czy Sam, mówiąc o pracy dla firmy wydobywczej, po prostu mi ściemniał?

Dotarłem do hamaków, ale nie wlażłem już do swojego. Jeden z elementów nie pasował mi do klasycznego równania i zastanawiałem się, czy przypadkiem nie znajdował się tuż pod moim nosem. Na cały interes składają się zawsze trzy rzeczy, jedno miejsce równania jest już wiadome - oznaczone jest słowem „uzbrojenie”, drugie też odhaczam - to ma nalepki z wizerunkiem starego okrętu.

Brakowało mi jednego jedyne go elementu.

Nawet nie sprawdzałem, czy Sam śpi, to zabrałoby czas i prawdopodobnie nawet by go zbudziło. Poza tym i tak nic nie widziałby ze swojego miejsca.

Kłęczałem pod jego hamakiem i otworzyłem niebieską walizkę. I brakujący element się znalazł: rulony rwandyjskich franków o wysokich nominałach.

To nie była żadna ochrona górników i ich społeczności, ale zwykłe staroświeckie podżeganie do wojny. Daj facetom spluwy, zapłać im gotówką i gorzałą utrzymuj ich w zadowoleniu. Reguły nie uległy zmianie od czasów Dzikiego Zachodu.

Sam jęknął. Zamknąłem szybko walizkę i zamieniłem się w zielony kokon. Hamak zahażał się, gdy Antonów się przechylił. Czy obchodziło mnie, co oni tu sobie kombinowali? Bynajmniej. Schowałem nos w śpiworze i wciągnąłem w płuca zapach perfum Silky.

6

stawanko!

Otworzyłem oczy, jeszcze półprzytomny, gdy niewidoczna ręka szarpnęła za sznur hamaka. Szeroki uśmiech ładowniczego znajdował się jedynie centymetry od mojej twarzy, a wnosząc z oddechu, musiał podczas lotu palić jedną z tych egzotycznych roślin Przylądka. Dobrze przynajmniej, że nie był potrzebny do obsługi któregoś z cekaemów. Wywinąłem się z hamaka. Sam był już na nogach. Rozczochrany, ze zmiętą twarzą. Prawdopodobnie nie wyglądałem lepiej.

Nie mogłem przestać myśleć o ładunku, nie wiedziałem też, gdzie będziemy lądować. Jeśli to było jakieś oficjalne lotnisko, idę o zakład, że Lex i Sam mieli wielkie chody gdzieś na górze. Może tam właśnie miały dotrzeć Cutty Sark albo parę zwitków banknotów.

Dobrze, że nie miałem z tym wszystkim nic wspólnego. Nie wiedziałem, czy ich motywy były złe, dobre, czy też żadne. Wiedziałem jedynie, że mieszanka broni, whisky i pieniędzy była wyjątkowo lotna. Spojrzałem przez okno. Słońce oświetlało szereg ciągów wodnych, które wiły się jak wąż przez moje pola brokułów, między nimi jednak ukazały się teraz kratery wielkości małych miast - ogromne, pomarańczowoczerwone blizny, jakby dżungla zachorowała na trądzik. Tam w dole, gdzieś wśród setek kilometrów kwadratowych zieleni ciągnącej się po horyzont, znajdowała się Silky. Może na jakimś szlaku, może płynąca w dół

rzeki, aby dostać się do Nuki z kocami albo z jakimś innym chłamek, który zabrała dla tubylców.

Odczepiłem linkę spadochronową od rozporki w kadłubie samolotu i zwinąłem jedwab w kłębek. Kiedy podałem go Samowi, ten potrząsnął głową, mówiąc: - Zatrzymaj to, może ci się przydać.

Schowałem jedwab do torby.

Antonów podchodził do lądowania, chciałem więc zobaczyć, gdzie lądujemy i jaki czeka na nas komitet powitalny.

Brokuły zamieniły się w szczyty wielkich drzew i niebawem koła uderzyły o pomarańczowoczerwoną ziemię.

Wzdłuż pasa startowego, tylko parę metrów od końcówek skrzydeł stały namioty i chaty pokryte blachą falistą, a o wiele więcej siedzib kryło się w lesie za nimi. Z palenisk, na których warzono strawę, snuł się dym. Na skraju pasa migały małe sylwetki ludzkie.

Kucnąłem na rampie, przecierając oczy i przywracając im życie; ładowniczy pojawił się ponownie i rzucił każdemu z nas po butelce wody. Odchyliłem głowę i pomiędzy wstrząsami podwozia samolotu toczącego się po pasie pociągnąłem kilka ciepłych łyków. Para zaświerzbionych psów próbowała dotrzymać nam kroku, jakby myślały, że opony są zrobione z Pedigree Chum.

Wzdłuż pasa startowego w dwudziestometrowych odstępach stały przepołowione beczki, które wyraźnie zawierały paliwo. Wyglądało więc na to, że Lex lądował tu również nocą.

Sam także patrzył przez okno.

- Widziałem, że weszyleś, co jest w skrzyniach... - powiedział z uśmiechem. - Idę o zakład, że myślisz teraz, że wszystko, co mówiłem wczoraj o kościele i sierocińcu, to bajka, nawet ta ko palnia. Czyżbyś myślał, że to tylko zabawa w wojnę?

- W dużym stopniu - wskazałem głową na ładunek. - Przecież...

- Nick, ja cię nie okłamywałem. Owszem, nie powiedziałem ci o pewnych szczegółach, ale to wszystko. Kopalnia jest nieustannie zagrożona, a więc i sierociniec też. Aby jej więc bronić, musimy rozszerzyć naszą działalność i zebrać więcej ludzi.

Nie trwało długo, zanim śmigła zwolniły ruch i samolot się zatrzymał. Teraz tylko jeszcze bardziej niepokoiłem się o Silky płaczącą się w okolicach Nuki.

Widziałem już dobrze chaty i namioty. W Afryce zdecydowanie ulubionym kolorem był intensywny kobalt.

Psy w końcu nas dogoniły i ujadły pod kabiną pilotów, gdzie wyłączono właśnie silniki. Nie miały pewnie odwagi zaatakować opon zębami. Na pas startowy wbiegły za piłką nożną jakieś bosonogie dzieciaki i zamierzały kontynuować tam swój mecz.

Ładowniczy nacisnął guzik i rampa zajęczała. Przez powstającą szparę wtargnęło do wnętrza światło dnia. Rampa uderzyła o ziemię. Sam i ja ruszyliśmy w dół na spotkanie litej ściany żaru.

Część czwarta

Tym razem żadne ciężarówki nie zawarzały z tyłu samolotu. W ruch poszły mięśnie. Ponad trzydziestu mężczyzn wchodziło z trudem na rampę. Nosili poszarpane, brudne przepaski na biodrach i koszulki, niektórzy mieli na nogach lekkie sandały lub kalosze. Kilku paradowało nawet w gumowych czepkach kąpielowych. Mieli je, więc nosili. Wszyscy, odziani lub nie, byli umorusani, a skóra na ich łokciach i kolanach była biała i popękana.

Gdy samolot się zatrzymał, powitał nas z ożywieniem komitet powitalny much. Zacząłem wymachiwać rękami wokół twarzy; pozostali ze spokojem pozwalali tym cholernicom robić, co chcą.

Ładowniczy krzyknął po francusku na mężczyzn, rozumiem, że chciał ich w ten sposób zagonić do rozładunku. Jedynym wyposażeniem, które widziałem, była para taczek, w jakich wozi się warzywa na rynek. Gdy prowadzono je do samolotu, dzieciaki na

nie wskakiwały i zeskakiwały z nich.

Szliśmy wzdłuż pasa startowego, mając po prawej ręce skupisko chat i skleconych byle jak bud. Stosy pustych czerwonych worków po żywności pochodzącej z darów leżały na poboczu, przywalone kłodami drewna.

Zaświerzbione psy były teraz zajęte rozpędzaniem stadka kilku starych, chuderławych kur. Z drzew zwisało pranie. Kilka z tych okrągłych chat wykonano z puszek po piwie, ochlapano mułem i pomalowano następnie na niebiesko. Dachy z blachy falistej były zdecydowaną nowością.

Sam pomachał ręką kobietom i dzieciom, które odmachały mu z uśmiechem, wołając: - Mister Sam, mister Sam!

Wszędzie stały stosy jasnozielonych i żółtych kanistrów na paliwo, przy każdej chacie wisiały pęki plastikowych jednolitrowych butelek na wodę. Wszystkie przedmioty wyglądały na kompletnie zużyte.

Minęliśmy grupkę młodych mężczyzn, którzy popijali coś i palili papierosy; z ramion zwisały im czeskie kałachy. Brązowe plastikowe okładziny tej broni próbowały naśladować rosyjskie drewno, ale bez skutku. Odprowadzali nas wzrokiem. Byli ciekawi, co to za nowa biała twarz w osadzie.

W powietrzu unosił się zapach palącego się drewna i gotowanych potraw.

- Stare czasy się przypominają, no nie? - zapytał Sam, śmiejąc się i machając ręką. Zaczynało to wyglądać jak jakaś królewska przechadzka. - Ci ludzie mieli szczęście. Liczba Palestyńczyków i Izraelczyków zabitych w ciągu sześciu lat wyniosła około czterech i pół tysiąca. Tutaj to za mało nawet na jeden długi weekend. Tu zginęło ponad cztery miliony ludzi.

-Wiesz, co ludzie mówią o rekordach? -Nie.

-Że są po to, aby je na nowo bić.

Sam wolał zignorować to, co uznał za dowcip w złym guście, gdyż otoczyło go więcej rozradowanych dzieci, które teraz uwijały się wokół niego. Ścisnął ich ręce i głaskał po głowach. Dzieciaki wyglądały na zdrowe. Białka oczu miały naprawdę białe, gdyż ich pożywienie zawierało białko.

- Chyba cię lubią- powiedziałem ze śmiechem.

- One wiedzą, że ja też wiem, co się w nich dzieje - powiedział, pukając palcem w jakąś młodą głowę. - Kiedy miałem pięć lat, umarła moja matka, a ojciec uderzył w gaz i zapomniał wrócić do domu. Mieszkałem w przytułkach do czasu, aż wstąpiłem do wojska.

Gdy mój ojciec nas opuścił, marzyłem wprost, żeby wylądować w sierocińcu. Zamiast tego miałem pijanego ojczyma, który lał mnie i moją matkę. Ale i tak go rozumiałem.

Przepychaliśmy się przez tłum.

-Czy nie sądzisz, że ONZ powinien postarać się wykonać swoją część roboty, aby ostatecznie ukrócić tę rozpierduchę? I co z takimi organizacjami pomocowymi jak Mercy Flight?

-Są bezzębne. Przynajmniej większość. - Rozejrzał się za słońcem i wskazał na zachód. - Granica z DRK jest w tę stronę, dwanaście kilometrów stąd. Tam to dopiero zaczyna się koszmar. Różnorakie ugrupowania rebelianckie walczą między sobą o kontrolę nad kopalniami. Zamieszana jest nawet armia. Wszyscy wszystkim wiszą u gardła. Gwałty, rzezie i nikt nie kiwnie palcem, aby to ukrócić.

Sam ruchem ręki wskazał na dzieci, chałupy, pokryte kurzem kozy i czarne świnie ryjące blocko i robiące uniki, aby wchodzić komuś w drogę, nie dostać kopniaka. - Oni wyrzynają ludzi, by utrzymać atmosferę strachu. Czasami nawet ich zjadają. Tak, dokładnie chodzi o kanibalizm. - Odwrócił się i wskazał na małą dziewczynkę schowaną w tłumie. Nie miała więcej niż dwa-trzy lata i stała z paluszkami wetkniętymi do buzi. - Jej dwie siostry zostały ugotowane i zjedzone. Takie tu prawa. Ta mała uratowała się tylko dlatego, że miała sześć miesięcy i była jeszcze za mało mięsna. Więc ci ludzie zostają tutaj. Chronimy ich, pracują dla nas w podzięce i modlą się w moim kościele.

- Dlaczego tutaj nie prowadzisz sierocińca? Czy tak nie byłoby bezpieczniej?

- W tej chwili mam czternaścioro dzieci. Boją się zostać w Kongu, ale jeszcze bardziej boją się przyjechać tutaj. Boją się wszystkich i wszystkiego. Myślą, że bezpieczniej jest blisko kopalni, no, wiesz, bliżej miejscowych plemion. W końcu jednak jakoś ich tutaj zwiode.

Omiotłem wzrokiem małą, drobną dziewczynkę i spojrzałem na stojący za jej plecami budynek z pustaków i blachy falistej, na który wskazywał Sam. Zauważyłem masywny biały krzyż ponad drzwiami i już wiedziałem wszystko.

Do zbiorników An-12 ręcznie przepompowywano paliwo z jasnyniebieskich beczek przytoczonych w jego pobliże. Tych na pokładzie nie ruszono. Stanowiły rezerwę Lexa.

Ponad dwudziestu ludzi ustawiło się z tyłu rampy, podając sobie z rąk do rąk ładunek z samolotu i układając go na starych drewnianych wózkach. W drgającym od gorąca powietrzu wyciągano niebieskie styropianowe skrzynki termiczne i wrzucano je kobietom na głowy.

Przeszliśmy do starych, podniszczonych namiotów ośmioosobowych na końcu wioski. Wokół stołów na krzyżakach, używając jako siedzeń skrzynek i belek, skupili się mężczyźni, paląc papierosy. Każdy miał przy sobie kałasznikowa, niektórzy ubrani byli po części w wojskowe zielone ciuchy, najwięcej jednak było koszulek piłkarskich i podartych cywilnych ubrań; jedni mieli buty, inni tylko sandały. W tej części wioski nikt nie wykrzykiwał radośnie „Mister Sam!”.

Spoza płótna namiotu wychyliły się jakieś głowy i zaraz znikły. Wszyscy byli spokojni dopóty, dopóki nie ujrzeli walizki Sama. Zabrzmiały rozkazy, wymieniono spojrzenia.

Sam poprowadził mnie od namiotu żołnierzy w stronę końca pasa startowego, gdzie w dżungli ukrytych było wiele większych, nowszych, schludniej szych namiotów. Pomiedzy drzewami rozciągnięto dużą sieć maskującą. Słychać było generatory. Znajdowaliśmy się teraz w lepszej dzielnicy miasta.

- Oto nasz dom - powiedział Sam.

Wyglądało to jak typowy polowy punkt dowodzenia: miejsce przyjemne, sześć dobrej jakości namiotów z zielonego płótna i stary Hindus, zmiatający klepisko miotłą domowej roboty.

Dzieci już wokół nas nie było. Miałem wrażenie, że przekroczyliśmy jakąś granicę, one zaś nie odważyły się pójść za nami. Sam skierował mnie do dużej, nieco zardzewiałej lodówki, ustawionej pod siecią maskującą. Przewód elektryczny wił się wśród drzew, biegnąc w kierunku odległego generatora. Składane drewniane krzesła ustawione były wokół paru stołów, na których stało kilka dużych puszek paludrinu.

- Czy miałbyś ochotę na mrożoną herbatę? Pić się chce.

Kiwnąłem głową, a on otworzył drzwi lodówki. Poczulem na twarzy strumień zimnego powietrza. Czekaając na herbatę, wyjąłem dwie tabletki paludrinu. Nie pamiętałem, czy ten specyfik naprawdę zapobiega malarii, czy jest tylko szkodliwy dla nerek.

Dostałem herbatę, a potem, tak czy owak, połknąłem paludrin, który w końcu dobrze działał na mieszkańców Afryki. Uodparniał ich, gdy byli już po pięćdziesiątce, jeśli oczywiście dożywali takiego wieku. Tutaj nie spotykało się wielu siwowłosych.

Donośny głos zabrzmiał z jednego z namiotów: - To ty, Sam? Czy Stone jest z tobą?

Bez znaczenia, kiedy ostatni raz go słyszałem. To był głos, którego się nie zapomina.

- Ano, jesteśmy obaj. - Sam, idąc po krzesło, położył palec na ustach i powiedział: - Potem ci wyjaśnię.

Właściciel głosu wyłonił się z namiotu, z telefonem satelitarnym przy uchu. Uśmiechnął się, zęby miał nadal w doskonałym stanie, każdy włos na głowie na swoim miejscu. I co najgorsze, robił wrażenie, jakby się w ogóle nie postarzał.

Zerknąłem na to, co nabazgrał na stole. Narysował dwie linie w kształcie litery „T”, nad górną linią literę „S”, na lewo od pionowej linii „R”, na prawo od niej „DRK”.

-OK, jesteście tutaj, w Rwandzie - powiedział, stukając kredką w „R”. - Kopalnia i Nuka znajdują się trzydzieści pięć kilometrów dalej, w DRK, w odległości trzech kilometrów od siebie. Od miesięcy rebelianci przenikają tam z północy, z Sudanu, aby rabować kopalnię - powiedział i dziabnął kredką w „S”.

-Ci rebelianci są z BAO - wyjaśnił mi Sam. Standish spojrział • groźnie i zapytał: - Wiesz, co to?

Kiwnąłem głową. Nadażalem za wydarzeniami w Zairze, który potem stał się Demokratyczną Republiką Konga, przynajmniej w takim stopniu, na jaki pozwalały mi „Times” i „Newsweek”. Dwanaście miesięcy temu wkroczyły tam oddziały Bożej Armii Oporu, ich przywódca Joseph Kony był najbardziej poszukiwanym zbrodniarzem w całej Afryce. Jego oddziały liczące około trzech tysięcy ludzi były tak fanatyczne i bezwzględne jak SS Hitlera. Rok temu Międzynarodowy Trybunał Karny oskarżył Kony'ego i czterech innych przywódców BAO o zbrodnie wojenne.

Kony ogłosił, że posiadał od Boga szczególną moc. Jego zwolennicy i biedni skurwiele, których sterroryzował, uwierzyli, że nikt nie może go zabić. On sam i jego poplecznicy głosili, że walczą o to, by w kraju zapanował Dekalog. Albo przeczytali sobie Biblię po zbyt wielu nocach spędzonych na ćpaniu khatu, albo wiedzieli, że *to* wszystko pic, ale pic nieodzowny, by usprawiedliwić zmasakrowanie ponad dziesięciu tysięcy cywilów. Ci sami ludzie uprowadzili ponad dwadzieścia tysięcy dzieci, przekształcając je w seksualnych niewolników lub morderców, wysyłając wyczerpanych musztrą z bronią w rękę na pierwszą linię jako mięso armatnie, podczas gdy sami chowali się bezpiecznie w krzakach.

Dwa miliony ludzi opuściło swoje wioski, w zagranicznych obozach dla uchodźców szukając schronienia przed ową kombinacją brutalnej masakry i czarnej magii Kony'ego. Ten człowiek

był tak obłąkany, że jakiś czas temu uznał, że rowery służą jedynie do dostarczania informacji do władz o miejscu jego pobytu. Od tej chwili, jeśli złapano kogoś jadącego na rowerze, odcinano mu stopy. Obecnie zainteresował się branżą górniczą.

- Sam, mogę mówić dalej, czy masz jeszcze coś do powiedzenia? - zapytał Standish.

Sam machnął ręką. - Pomyślałem tylko, że Nick powinien wiedzieć, z kim mamy do czynienia. Standish powrócił do swojej mapy.

- Przesłuchania po ostatnim nocnym kontakcie sugerują, że na południe zdąża świeży rzut ludzi Kony'ego. Znajdują się teraz trzy-cztery dni drogi od naszej kopalni. Zdobyć jej jednak abso lutnie nie mogą, gdyż jeśli do tego dojdzie, stracimy wszystko, co ciężko wypracowaliśmy. A zatem plan przedstawia się nastę pująco. Zwykłe patrolowanie zostaje odwołane. Wszystkie siły potrzebne są w kopalni. Gdy tam się znajdziemy, najważniejsze będzie bezpieczeństwo dwóch inspektorów górniczych i ochrona kopalni. Tak więc, Sam, zabierasz swój patrol, gdy tylko mu za płacisz, już został uprzedzony. Ja sam ruszam po tobie z innym patrolem, jak tylko ludzie zostaną zaopatrzeni w żywność i wodę. Będą tu lada chwila. Nie damy się. Nie zdobędą kopalni. Nie mogą jej zdobyć. To proste jak dwa razy dwa.

Teraz zwrócił się do mnie: - A z tobą rzecz wygląda następująco. Pójdiesz z patrolem Sama. Możesz wpaść sobie do Nuki i odnaleźć tę swoją bogatą dziewczyneczkę, ale musisz to zrobić szybko. Będziesz zdany na własne siły. Nie dam ci ludzi, bo byłoby to zbyt ryzykowne. Kiedy już będziesz ją miał, wracasz do kopalni, bierzesz nawigator satelitarny Sama, inspektorów i wracacie tu z nimi jak najszybciej. Lex zabierze was z kraju pod warunkiem, że przyholujecie tu inspektorów. Czy to jasne?

Przytaknąłem, chociaż nie wyliczył tu Tima ani jego pomocników. Nie zamierzałem zamieniać się w Matkę Teresę, ale co będzie, jeśli Silky odmówi wyjazdu bez nich?

-A co będzie z ludźmi z Mercy Flight i tymi, którymi się opiekują? Czy ty ich ochronisz?

Moje pytanie wywołało taki efekt, jakbym zaproponował Standishowi, aby zjadł łajno słonia.

-My jesteśmy ludźmi interesu - stwierdził szorstko. - To nie jest żadna kawiarenka. Za chwilę usłyszę, że mamy jeszcze przygarnąć sieroty Sama.

-Zdaje się, że oni poszukują ofiar trzęsienia ziemi. Twoi ludzie mogli się przecież znaleźć między nimi, prawda? Czy nie byłoby lepiej ewakuować ich do kopalni i zapewnić im ochronę?

Zrobił taką minę, jakbym mu opowiedział najlepszy dowcip, jaki usłyszał w życiu.

- Co, Sam naprowadził cię na drogę cnoty? - Ryknął śmiechem. - Żadnego trzęsienia ziemi nie było. Po prostu ruszył się uskock, gdy wysadzaliśmy w powietrze dziury na otwory wiertnicze. Poza tym nie ma tu miejsca dla dodatkowych pasażerów. Mam do wykonania tylko dwa zadania: ochronić inspektorów górniczych i kopalnię. - Wychylił się przez stół. - Tu nie polski sejm, a czas spędzony w Pułku skończył się już dla nas wszystkich. Chcę wywieźć stąd tych inspektorów jak najszybciej. Tak to wygląda, albo-albo.

To był sygnał, że muszę się z tej działki pertraktacji wycofać, jeśli chcę szybko zobaczyć Silky. Trzymał mnie za jaja i dobrze o tym wiedział.

-W porządku, słucham.

-Mam nadzieję, że dobrze ci za to płacą. Ci głupole od dobroczynności, uszczęśliwiający innych, zużywają tylko tlen. Pełno ich w Afryce. Niczego nie osiągną. Podobnie jak ci misjonarze, prawda, Sam?

Sam parsknął śmiechem i powiedział: - Za grube pieniądze dowozi im się ciasteczka, bekon i jajka, a oni siadają potem na tyłkach i wygłaszają kazania. Nie brudzą sobie rąk. Ich kościoły zainstalowały im nawet telewizję satelitarną, nie tracą więc ani jednej transmisji meczu bejsbolowego.

- Nie tak jak ty, no nie, Sam? - zapytał Standish. - Leczysz, uczysz i ukochujesz tych biednych chłopców...

Sam spojrział na niego przeciągle. Standish usiadł, założył ręce za oparcie krzesła. Sprawiał wrażenie dość zadowolonego z siebie.

Zadzwoił telefon satelitarny, monitor się rozświetlił.

Standish wstał, ale nie kwapił się do odebrania.

- Poczekajcie na mnie obaj. Jeszcze nie skończyłem. - Kiwnął nam głową i odszedł, aby odebrać rozmowę. Widziałem prefiks +41. Pewnie dzwonili z jego banku w Zurychu.

Odwrociłem się do Sama.

-Co się, kurwa, dzieje? Dlaczego mnie przed nim nie ostrzegłeś? I co znaczą te wszystkie pierdoły o inwazji z północy? Myślałem, że jesteś moim kumplem, do kurwy nędzy.

-Później ci wytłumaczę - powiedział Sam. - Kiedy nikt nas nie podsłucha. Z nią będzie wszystko, jak trzeba. Dotrzemy do niej na czas, nie martw się.

Wzięłem parę głębokich oddechów. Nie było sensu się wściekać, nic bym tym nie wskórał. Jeśli ich wywiad miał dobre informacje, piekło rozpęta się dopiero za dwa lub trzy dni, a pokonanie tych trzydziestu pięciu kilometrów powinno zająć tylko kilka godzin.

Po prawej stronie, w pobliżu żołnierskich namiotów, z dżungli zaczęli wylazić jeden za drugim faceci, każdy zgięty w pół pod ciężarem worka z ryżem. Dwóch białych w szortach posługiwało się kałachami, kierując szereg tych ludzkich mułów wzdłuż pasa startowego. Kilku innych, mających stanowić eskortę, odbierało towar i znikalo z nim w namiotach.

- Czy to drugi patrol?

Sam kiwnął powoli głową i biorąc moje wkurzenie za niepokój, powiedział: - Nie martw się, droga jest łatwa. A tak czy owak, będziesz miał ze sobą mój telefon z GPS-em. Jest w nim trasa stąd do kopalni.

- A jak wygląda u ciebie współczynnik strat na godzinę?

Sam potrząsnął głową. Jednym z najlepszych mierników porażenia siebie z sytuacją zagrożenia jest liczba ludzi, jakich tracisz, dzielona przez liczbę godzin spędzonych w akcji, więc takie jego potrząśnięcie głową nie wróżyło dobrze.

- Niekorzystny, od kiedy uaktywniła się BAO. Niecała setka, ale tylko wtedy, gdy dotyczy to dużej liczby ludzi. Z czterema, którzy będą z tobą, przedostaniesz się dość łatwo.

Do tej pory z dżungli musiało wykaraskać się około paruset tragarzy. Jeden za drugim przemierzali pas startowy i wchodzili po rampie do brzucha An-12.

-Sama robota mnie nie niepokoi. - Patrzyłem, jak ludzie schodzą w dół rampy bez ładunku i zmiernają do stosu pustych worków po żywności pomocowej, leżącego na poboczu pasa startowego, potem zaś rozchodzą się pochyleni do swoich chat. - Jeśli coś się ze mną stanie po drodze, chciałbym, żebyś zaopiekował się Silky. Czy możesz to dla mnie zrobić?

-Pod warunkiem, że kiedy będziemy cię grzebać, będę mógł wystąpić w mojej szkockiej spódnicy.

-Dzięki, stary. - Próbowałem wyszczerzyć zęby w szerokim uśmiechu. - Najlepiej będzie, jeśli Standish nie dowie się, co mnie z nią łączy. Udajemy, że takie dostałem zadanie, co?

Gdyby Standish się dowiedział, że zrobię wszystko, aby zapewnić jej bezpieczeństwo, pewnie kazałby mi prowadzić tę jego wojnę w pojedynkę.

Ludzie, jeden za drugim, z ciałami lśniącymi od potu, wyłaniali się z dżungli, zgięci w pół pod ciężarem ładunku i podążali wzdłuż pasa startowego. Gdy docierali na tył koleжки do rampy, opuszczali ręce wzdłuż ud, próbując złagodzić dźwigany ciężar, byli jednak zbyt wykończeni, aby wytrzeć pot spływający z twarzy.

Ci, którzy oddali już swój ładunek, padali na worki w cieniu pod drzewami. Wokół nich krzątała się nerwowo grupka barwnie odzianych kobiet z plastikowymi butelkami napelnionymi świeżą wodą.

Byłem niedokładny w liczeniu. Wąży ludzi zdawał się nie mieć końca. Ludzi wychodzących z dżungli, stojących w kolejce albo leżących nieruchomo pod drzewami, musiało być więcej niż dwustu.

Sam machnął głową w kierunku grupy sześciu strażników cieszących się ze swoich dokonań przed wejściem do jednego z namiotów.

- Nie będą tego robić, jeśli usłyszą, że za parę godzin ruszą z powrotem.

Żołnierze krzyknęli na tragarzy, kobiety i dzieci pisnęły z radości. Ludzie w kolejce nie wydali jednak z siebie żadnego dźwięku. Byli zbyt zmachani, by zrobić coś więcej, niż dojść na chwiejących się nogach pod drzewa.

- Co się więc tutaj wydobywa, Sam. Diamenty?

Sam patrzył właśnie na drugą stronę pasa, gdzie dwaj biali poszturchiwali kałachami tragarzy leżących na ziemi, próbując wyrównać szereg tych skonanych ludzi.

- Rudę cyny. To obecnie najostrzej licytowany metal na Londyńskiej Giełdzie Kapitałowej - czterysta dolarów amerykańskich za pięćdziesięciokilogramowy worek. Największe za soby cyny są właśnie tutaj i w Ameryce Południowej. Widziałeś te stare, wyeksploatowane miejsca, kiedy lecieliśmy samolotem?

- Jak krater po bombie atomowej?

Potwierdził skinieniem głowy. - Tam były kopalnie diamentów. Wojna trwa nadal, ale ta akurat jest dla niektórych powodem do radości.

- Skąd nagle tyle hałasu o cynę? Produkuje się za dużo fasolki w puszkach?

Sam nadal obserwował drugą stronę pasa.

-Popyt i podaż - powiedział, wskazując na kolumnę tragarzy zdążających szlakiem w stronę samolotu. Ci pochyleni biedacy z workami na grzbietach przypominali chrząszcze. - Ta ruda nosi nazwę kasyterytu albo kamienia cynowego. Każdy obwód elektroniczny na tej planecie wymaga cyny, którą się produkuje z rudy. Tutaj zabija się ludzi lub traktuje się ich jak zwierzęta, żeby mamusie mogły oglądać nagrane na wideo wyczyny swoich dzieci na boisku, a dzieci żeby mogły ściągać na swoje pecety Britney Spears. Za każdym razem, gdy ktoś używa komórki, za każdym razem, gdy ktoś korzysta z Internetu...

-Jak wiele tego przerzucasz?

-Okolo dwudziestu ton naraz. Samoloty latają bez przerwy.

-Za takie więc czterysta worków wychodzi kurewsko dużo dolców.

-Obecnie tylko nieco ponad dwa miliony dolarów amerykańskich tygodniowo. Właściciele planują zwiększyć tę nędzę, gdy zrobi się porządek z BAO. O tych fałszywych prorokach może

i będzie głośno, ale prawdziwe pieniądze ukryte są w owych kamiennych bryłkach.

-Kto jest właścicielem?

-Czy uwierzysz, że Chińczyk? Afryka się zmienia, Nick. Ten kontynent nie jest już jakimś pustym placem defilad, dokąd możemy sobie wysyłać żołnierzy. Grupy rebeliantów zabijają i palą dla międzynarodowych korporacji. I wiesz co? Z tego powodu oni są jeszcze bardziej straszni.

-Chińczycy wszędzie się wpięprzają.

-Tak, to czas dla ambitnych. Standish załatwia sprawy z pewnym pośrednikiem.

-Czy to ktoś, kogo znamy?

Sam zaczął się śmiać: - Z pewnością nam o tym powie. Wiesz, jaki on jest: kto ma informację, ten ma władzę. A zresztą, kogo to obchodzi? I tak jesteśmy w stanie wycisnąć z tego interesu wszystko, czego nam trzeba.

Motory Lexa ożyły i koła zaczęły się toczyć. Antonów kołował w mgiełce gorąca, zanim jeszcze nie zamknięto ostatecznie rampy. Wiedziałem dokładnie, co Sam odczuwał. Też nie chciałem tu być dłużej, niż to konieczne. Strumień powietrza z potężnych śmigieł smagał spocone ciała ludzi znajdujących się na pasie startowym, szarpiąc postrzępione koszulki, szorty i oblepiając je kurzem.

Sam musiał już teraz krzyżeć: - Lex leci z tym do Kenii, stamtąd odchodzi statek do Chin.

Brzmiało to nieźle. Gdybym wrócił tutaj z Silky, zabralibyśmy się następnym lotem. Kilka dni odpoczynku na plaży w Mombasie, a potem, jeśli wszystko pójdzie dobrze, odlot do domu.

Sam nie spuszczał ani na chwilę wzroku z dwóch białych mężczyzn. Z jego miny wnosiłem, że jak na jego gust zbyt poważnie traktowali swoje obowiązki organizacyjne.

- Jak długo będziemy w drodze? - zapytałem.

- Z ekwipunkiem czternaście godzin podczas dnia, a osiemnaście w nocy. Bezpieczniej poruszać się nocą. Tym ludziom nie

spodoba się powrót bez możliwości uprzedniego odpoczynku, wolą jednak być na miejscu przed świtem. Jeśli nie będą obciążeni żadnym ładunkiem i nie napotkamy nikogo po drodze, możemy być na miejscu w dziewięć godzin.

Antonów Lexa dotarł do pasa startowego i zakręcił. Silniki zawyły, samolot pochylił się do przodu, zaczął startować w naszym kierunku, ale nawet z pełnym obciążeniem wzniósł się już w połowie pasa startowego. Podskakujące i machające rękami dzieci zostały niebawem pochłonięte przez tumany czerwonego kurzu.

Antonów z rykiem i z zadartym nosem wspiał się w oślepiająco błękitne niebo nad naszymi głowami.

Kobiety pod drzewami nalewały oszczędnie wodę do małych miseczek. Zmęczone palce chwyciły jedzenie i wpychały do głodnych ust.

-Po odpoczynku patrol zwykle wraca z tymi ludźmi wieczorem i po trzech dniach przybywa tu ponownie z pełnym ładunkiem. I wtedy oni znowu się za nich zabierają - machnął ręką w kierunku dwóch białych po drugiej stronie pasa - ale teraz trzeba przypilnować samego źródła.

-Nie masz tego czasami dość? - ruchem głowy wskazałem na biedne domostwa i zmęczonych tragarzy, którzy jedli teraz w cieniu z podniszczonych puszek po konserwach.

Nie zdążył odpowiedzieć. Standish zjawił się ponownie z telefonem satelitarnym w dłoni i zamachał nam anteną przed nosem.

- Rozumiesz dokładnie, co masz robić? - zapytał.

Rozmowa telefoniczna nie poprawiła mu humoru. Może to nie dzwonił jego bankowy powiernik.

- Tak - odpowiedziałem.

- Nie spróbuj mnie zrobić, bo ty i ta bogata dziewczyneczka będziecie musieli sami znaleźć drogę powrotną. - Odwrócił się do Sama. - A ty nie siedź tak, zabieraj się do roboty.

Poszedłem z Samem do jednego z namiotów.

-Muszę ci powiedzieć, bracie, że nie wiem, jak długo jeszcze będę w stanie nastawiać drugi policzek temu dupkowi.

-Mówiłem ci już, Nick, że mam tu własne sprawy. Mam dzieci, które mieszkają obok kopalni, mam kościół, więc muszę go znosić, muszę znosić wojnę, ten cały syf, hipokryzję, chciwość - wszystko, co tylko na mnie spadnie. Bo inaczej kto ochraniałby sierociniec? Kto zabezpieczy te dzieciaki przed porwaniem przez BAO?

Doszliśmy do kłapy namiotu, lecz Sam nie wchodził do środka.

- Naprawdę nie chcesz nic wiedzieć o tamtym chłopcu? - za pytał.

Próbowałem odczytać wyraz jego twarzy.

- Chcę, ale tylko jeśli nie skończył tak jak Annabel.

Sam uśmiechnął się.

- Nic podobnego. Przeżył. Z wielkim trudem, ale przeżył. - Wskazał na przeciwną stronę pasa startowego. - To ten, tam...

4

strony chat maszerował ku nam wielkimi krokami facet wielkości lodówki Sama w domu w Erin-vale. Oczy miał osłonięte ciemnymi okularami w guście Johna Lennona. Machnął ręką w kierunku górników i otrzymał od nich serdeczniejszą odpowiedź niż biali.

- Crucial! - krzyknął rozradowany Sam.

Gość miał około trzydziestki i prócz ledwie zauważalnego utykania na lewą nogę miał się lepiej niż wszyscy inni żołnierze, jakich tu widziałem. Lśniaca ogolona głowa i lśniące ręce świadczyły o dobrym zdrowiu. Jego zielone spodnie robocze wyglądały na nowiutkie, a koszulka pałała bielą jak na reklamie proszku do prania. Nosił kaburę na prawym biodrze jak kowboj, wystawał z niej jakiś rosyjski szpej, być może wołał taki niż targanie ze sobą karabinu szturmowego i babranie smarem ubrania. Na szyi dyndał mu drewniany krzyż.

Sam nie zmarnował tych ostatnich dwudziestu lat.

Szli ku sobie z otwartymi ramionami.

- Jak się masz, Crucial! Mam dla ciebie olej kokosowy.

To tłumaczyło doskonały stan skóry przybysza. Widziałem już wielu Afrykanów nawilżających skórę tym tłuszczem, lecz zazwyczaj były to kobiety. Po wymianie uścisków i poklepywań Sam poprowadził go w moją stronę. - Nick, chcę ci przedstawić Cruciala. Cruciala Umba di Mumba.

Ten zdjął okulary i spojrzał mi prosto w oczy. Poczulem ucisk w żołądku. Miałem nadzieję, że w jego oczach nie zobaczę tego

samego wyrazu, który prześladował mnie nocami, oczu, które mnie błagały, bym nie puścił jego cienkich jak patyki przegubów. Moja ręka zniknęła w jego wielkiej lśniącej dłoni.

-Jestem Nick.

-Wiem - powiedział i jego oczy rozbłysły. - Spotkaliśmy się już kiedyś przecież.

Jego akcent nie był tak silny jak u Południowoafrykańczyka i brzmiał bardziej naturalnie, choć głos miał zaskakująco wysoki jak na takiego olbrzyma. Założyłbym się, że nikt się nie odważył mu tego powiedzieć.

- Miło cię widzieć, Nick. Nie wiedziałem, czego się po tylu latach spodziewać.

Obdarzył mnie najwspanialszym uśmiechem na świecie. Na każdym z dwóch przednich zębów połyskiwał diament. Oczy nie straciły przenikliwości, jakby co noc doładowywał je sobie w jakimś źródle mocy Supermana. Nie miałem pewności, czy był nimi w stanie przeniknąć mnie na wskroś, z pewnością wiedział jednak, że musi zrobić coś, by przełamać pierwsze lody.

- Jasne, człowieku, że to „krwawe diamenty” - powiedział i rozpromienił się cały. - Żadne tam takie niewinne wisiorki Victorii Beckham. O te tutaj trzeba walczyć.

Jakby nie było, te krwawe diamenty były o wiele większe od tego, który kupiłem dla Silky.

- Musimy zapłacić chłopakom i przygotować się - powiedział do Sama.

- Jest tam - odpowiedział Sam i wskazał na mały plecak.

Cruciał lekkim ruchem otworzył klapę.

- Zwołam ich do przeglądu. Wyjął z plecaka kilka tubek oleju i spróbował zasłonić dłonią małe, białe pudełeczko, ale zdążyłem zauważyć na nim drukowaną etykietkę apteczną. Sam wykupił mu także receptę.

Cruciał odszedł w stronę chat.

Sam zaproponował, abyśmy poszli do jego namiotu.

- No co, tak źle nie było?

Chwycił walizkę, a ja ruszyłem za nim. W namiocie było bardziej duszno niż w szklarni, a panujący tam zapach przeniósł mnie z powrotem do lat spędzonych na ćwiczeniach wojskowych, pod namiotami, gdzie w upale żółty ser z mojej dziennej racji żywnościowej zamieniał się w ciecz.

Podłogę stanowiła ubita ziemia, zamieciona. Sam spał na składanym amerykańskim łóżku wojskowym, przykrytym kocem, który wyglądał na nowy. Nad łóżkiem luźno wisiała moskitiera, gotowa, by rozciągnąć ją na ramie. Obok łóżka zauważyłem stos baterii, małe radio i zniszczony stary wentylator przytwierdzony taśmą do drążka wbitego w ziemię.

Trzy oklejone plastikiem paki z litrowymi butelkami wody Evian stały jedna na drugiej w rogu, obok drewnianego stolika, na którym stała kuchenka gazowa, kilka naczyń i patelni. Jego własny ekwipunek - kałasznikow z uprzężą, czterema łukowymi magazynkami i stary, spłowiaty, płócienny plecak wojskowy leżały w nogach łóżka, obok egzemplarza Biblii i półtoracalowej rakietnicy, spoczywającej w brezentowej kaburze. Takie zabawki wyrzucały w niebo pociski magnezowe ponad okopy pierwszej wojny światowej. Płoneły tam przez chwilę, dając sygnał dla oddziałów biednych pieprzonych rekrutów, by wylazili i dali się kosić niemieckim karabinom maszynowym.

-Jak to z nim było? - zapytałem cichym głosem.

-Upadając, połamał obie nogi. Zostałem, aby się nim zaopiekować, a potem poszedł sobie, aby zająć się swoimi sprawami. Odszedł, aby stać się człowiekiem. Zapewniał ochronę dla kilku kopalń diamentów, a pewnego dnia pojawił się tutaj, w kościele.

Rzucił mi butelkę wody i powiedział: - Dobra, Nick. Nie zadręczaj się. To było dawno temu i wszystko dobrze się skończyło.

-Podszedł do klapy namiotowej z walizką w ręce i butelką wody.

-Może zostaw tutaj torbę i chodź, popatrz, jak wygląda wypłata.

Crucial i ja chcemy pogadać z tobą o pewnym naszym kłopotcie.

rzepchaliśmy się przez chaos na pasie. Ponad czterdzieści worków z nawozem zwalono nieporządnie na końcu długiego szeregu beczek z paliwem do silników Diesla. Jakiś człowiek kręcił korbą ręcznej pompy, przelewając ropę do stojących w pobliżu jasnozielonych i żółtych kanistrów, które podstawił mu inny. To były te same kanistry, które widziałem wiszące na chatach.

Zmrużyłem oczy przed słońcem, które parzyło mi przez bluzę ramiona i szyję. Czuję się tak, jakby ktoś przystawił mi reflektor do oczu.

Crucial dołączył do nas, ten przynajmniej miał trochę cienia, jakie dawało kartonowe pudło Prudence Condoms, które dźwigał na głowie.

- Popatrz - Sam stuknął w nie palcem i uśmiechnął się. - One nawet dają ochronę przed promieniowaniem ultrafioletowym.

Od przodu dobiegł nas szum podnieconych głosów.

Obok starych namiotów, jakieś sto metrów dalej, wokół stołów ustawionych w cieniu drzew tłoczyło się około dwudziestu chłopów. Jeden wyglądał jak typowy starszy sierżant - niezależnie od armii, w której służy, ci podoficerowie wyglądają zawsze tak samo. Każdy żołnierz na świecie może takiego zwęszyć już z odległości stu metrów. Starszy sierżant posługiwał się długim, cienkim prętem i pokrzykując, usiłował ustawić ludzi w szeregu, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. W końcu szykowała się wypłata.

Sam miał na głowie zupełnie inne sprawy.

- Muszę ci powiedzieć, Nick, że mamy pewien kłopot i potrzebujemy twojej pomocy.

Cruciał przejął wątek:

- Chodzi o BAO, Standisha i o dzieci, których używają i... - tu przerwał. Zobaczyłem, jak ku nam przepycha się tych dwóch białych z zamiarem wysforowania się przed nas - ... i tych dwóch rodezyjskich psów - dokończył.

Z plecakami wojskowymi, bronią, amerykańskimi butami do poruszania się po dżungli i pełnym ekwipunkiem przy pasach wyglądali, jakby nadal walczyli w którejś z wojen w latach siedemdziesiątych. Ich wysokie, oliwkowozielone szorty były mocno opięte, a uda tak grube, że ocierały się o siebie.

Obaj mieli pod pięćdziesiątkę, może już ją nawet przekroczyli, szerokie twarze, którym przydałoby się golenie, i włosy, którym przydałoby się mycie. Może mieli już dość gorąca, może po prostu czuli nienawiść do wszystkiego, co im się tylko napatoczy, gdyż ich głęboko osadzone, duże brązowe oczy pełne były gniewu. A może byli po prostu głodni? Sprawiali wrażenie, że jedynym czworonogiem, którego nie zjedzą, będzie stół.

Zatrzymali się przed nami i popatrzyli wściekle na Sama. Ten z prawej strony kiwnął głową w moją stronę i zapytał: - A ten kto?

Gęby mieli zniszczone latami spędzonymi w buszu, akcent charakterystyczny dla Afrykanerów.

- To jest Nick.

Nie spuszczała wzroku z Sama. Jak gdyby mnie i Cruciała w ogóle tutaj nie było.

- Czołem - powiedziałem, ale ręki nie wyciągnąłem, wiedząc, że mi jej nie podadzą.

Nadal mnie ignorowali.

- Nikt nam nic nie mówił, że będzie z nami ktoś nowy. Zabrzmiało to jak szczenięcie. Wszystko w nich było agresją. Nawet ich własne nocne koszmary gotowe były się ich bać.

Słyszałem ciężki oddech Cruciala, starającego się zachować zimną krew.

- On nie jest nowy - chciałem to już ukrócić, ale Sam był całą słodyczą - zabieram go do ludzi z Mercy Flight w Nuçe.

Wgapili się w niego.

- Co, jesteśmy teraz pierdoloną organizacją charytatywną?
- Nie czekając na odpowiedź, odwrócili się i odeszli.

Też sobie poszliśmy.

-Czy oni też mieszkają w Erinvale? - zapytałem.

-Ano.

-Musicie się więc świetnie bawić w tym False Bay.

Roześmiał się i klepnął Cruciala w plecy.

-Dobra, nie pozwól im przywalać się do ciebie. - Zwrócił się do mnie, mówiąc: - Miałeś właśnie przyjemność zawrzeć znajomość z panami Batemanem i Tooleyem.

-Który z nich jest którym?

-Żebym to ja wiedział. - Sam przesłał mi wspaniały, szeroki uśmiech. - Tylko ich matki potrafią ich rozpoznać. - Zamyślił się przez chwilę. - A jeśli już chcesz wiedzieć, to ich matki też miałyby za co odpowiadać. Ostatnio sprawy wymykają się spod kontroli, i oni też.

Crucial chrząknął:

- Nic takiego, z czym nie można by było zrobić porządku za pomocą paru serii z 7,62 mm.

Sam znowu klepnął go w plecy. - Wiesz, że to nie jest właściwy sposób. Właściwe natomiast jest pomóc Nickowi.

Popatrzyłem z ukosa na jednego i drugiego, usiłując dociec, do czego to zmierza.

Crucial odsłonił zęby i słońce rozblęślo w jego diamentach.

- Kony mówi, że walczy dla Boga, ale jak? Przy pomocy dzie ci, które umierają w jego imieniu? Niektóre z nich są jeszcze tak małe, że nie potrafią unieść broni, a co dopiero strzelać. Sam wiem, pamiętasz, Nick?

Nie zamierzałem zapomnieć. Wyłączyłem się, aby pomyśleć o jedynej rzeczy, która miała dla mnie znaczenie - o wyruszeniu z patrolem i przedostaniu się do Nuki.

- Praca dla Boga... że też mu to jeszcze uchodzi na sucho... - zamamrotał Sam. - Jeśli jakieś dzieci próbują uciec, to zmusza się pozostałe, aby je zabili. Jeśli tego nie uczynią, same zostaną zabite.

Sam się rozkręcał. Misjonarze byli teraz jego najlepszymi kumplami.

- Dlaczego ktoś po prostu nie pójdzie i nie załatwi tego pierdolonego Kony'ego?

Sam potrząsał głową.

- To byłoby niezłe, ale łatwiej by było znaleźć bin Ladena. Spojrzeli na siebie. Każdy z nich myślał, żeby to zrobić i dlatego wiedzieli, jakie to było trudne.

- Nawet tacy, którzy by do niego dotarli, nie zabiją go - powiedział Crucial. - Tu wszędzie nadal rządzą *kindoki* - no wiesz, czarownicy, a wszyscy są przekonani, że Kony jest głównym *nganga*.

- *Nganga*? Mój kongijski coś ostatnio zardzewiał.

- Inaczej mówiąc, szaman. Nikt nie wystąpi przeciwko niemu, nawet gdyby chciał. Gdy ludzie nie ufają tym, którzy rządzą, ani temu, co im wciskają media, wówczas jedyną rzeczą, w którą naprawdę wierzą, jest przekaz z ust tego, kogo znają. Jeśli więc ktoś jest przekonany, że Kony potrafi widzieć w ciemności i wie dokładnie, gdzie są jego dzieci, to inni też w to wierzą.

Było w tym coś głęboko niepokojącego.

- Tak, to koszmar. Jednak to nie wyjaśnia, dlaczego nie powiedziałeś mi o Standishu i co on ma wspólnego z twoim problemem.

- Przykro mi - powiedział Sam, wzruszając beztrosko ramionami. - Nie chciałem ci mówić, bo mógłbyś z nami jednak nie pójść. Potem, gdy powiedziałeś, że to nie chodzi o pracę, w porządku... przepraszam.

Zatrzymał się i chwycił mnie za rękę.

Crucial także podszedł do mnie bliżej, zdjął te swoje okulary i wpatrując się w moje oczy, powiedział:

- Nick, proszę cię, wysłuchaj nas do końca. Wszystko się tu ze sobą wiąże.

Sam nie musiał już zbierać myśli. Widocznie dawno już gruntownie przemyślał, co chciał mi powiedzieć.

- Więc jest tak: jak już pokonamy BAO w kopalni, mamy plan, aby iść dalej na północ. Będziemy raz po raz dawać im w dupę i odbijemy zajęte przez nich kopalnie. Do tego potrzeba więcej uzbrojonych ludzi, ale w celu przedarcia się do kopalń Standish i ci okropni bliźniacy chcą użyć tych dzieciaków.

Teraz już mogłem zgadnąć, co nastąpi.

- Pomóż nam go powstrzymać.

Sam szedł na całego.

-Popatrz, my też chcemy zdobyć kopalnie, nie ma sprawy, dzięki temu cały obszar będzie bezpieczniejszy i będziemy mogli stworzyć więcej sierocińców, być może po jednym przy każdej kopalni. Oni jednak chcą abyśmy to my przeprowadzili rekrutację, ponieważ dzieci nam ufają.

-Przecież można by go pogonić?

-Próbowaliśmy, ale wiesz, jaki on jest, kiedy sobie wbije coś do łba...

-Dlaczego nie używa tragarzy? Wydaje się, że ma ich tylu, ilu zechce.

-Potrzebni mu są do transportu rudy - wyjaśnił Crucial. -A dzieci... można poświęcić... - Wbił we mnie głęboko wzrok, ten ich wyraz znałem aż nazbyt dobrze. - Jesteś z nami?

Bardzo źle. I nie chodziło tu tylko o poczucie winy. Jeśli są dwie różne frakcje, które mają wykonać jedno zadanie, to zwykle oznacza, że tylko jedna strona wraca bezpiecznie do domu. W tej chwili bardziej niepokoiłem się tym, jakie utrudnienie sprezentują mi Standish i ten jego niewidzialny człowiek, gdy dotrę

tu z powrotem z Silky i inspektorami. Cała sytuacja miała już wszystkie elementy potrzebne do tego, aby skończyła się jedną wielką krwawą rozpięduchą.

-A co robi Lex w tym układzie?

-Nic. Nie miesza się, nie należy do zespołu. Nie obchodzi go nic dopóty, dopóki Standish kupuje broń za jego pośrednictwem i płacą mu za przerzut rudy do Kenii.

Popatrzyłem na nich.

- Przepraszam, czy możemy po kolei? W tej chwili najbardziej interesuje mnie Silky.

Ukryli rozczarowanie, ale idąc z nimi w kierunku stołu, czułem, że na tym nie koniec. Crucial, pokrzykując, zaczął wywracać do góry nogami to wszystko, co osiągnął starszy sierżant. Zaczęła się ceremonia wypłaty. Każdy podchodził do miejsca, gdzie siedział Sam z otwartą walizką, salutował i podawał swoje nazwisko. Wielu z nich nosiło taki sam krzyż jak Crucial.

Nikt ze stojących w kolejce nie miał broni. Była to prawdopodobnie reguła, która miała chronić walizkę przed zakusami. Widocznie tylko Crucial nigdzie się bez broni nie ruszał.

To salutowanie było okropne, jak oddawanie honorów w pułku kadetów złożonym z dziewięciolatków. Znajdowałem się obok Cruciala, który odfajkowywał na liście każde nazwisko, potem przyciskał palec odbierającego zapłatę do poduszki z tuszem i zostawiał odcisk na dokumencie. Żołd wynosił dwieście dolarów przeliczanych na rwandyjski szmal, a do tego duża paczka prezerwatyw Prudence. Wiedziałem, że to zwykle chciejstwo. Po nocy spędzonej w chatkach pewnie wciągają sobie te gumy na łyby, nadmuchują i udają astronautów. Parę kolejnych salutów i starszy sierżant odsyłał ich do namiotu obok nas, skąd wychodzili z butelkami Cutty Sark w ręce. Już żaden khat nie był potrzebny.

Pochyliłem się nad ramieniem Cruciala, mówiąc: - A niech mnie, jak mogę się tu zaciągnąć?

Nie uznał tego za śmieszne.

- Taka tu kultura... - skrzywił się. - Zanim zaczęli pracować dla nas, poprzedni chlebodawcy płacili im gorzałką za pracę w polu. To alkoholicy i musimy im to dostarczać, bo inaczej są do niczego.

Czy on, kurwa, myśli, że chodzi mi o gorzałkę?

- Słuchaj, Crucial, nie byłem w stanie cię utrzymać. Wyślizgnąłeś mi się z rąk. Próbowiałem, ale...

Crucial wydawał kondomy.

- Wiem, człowieku. Ujrzałem to w twoich oczach. Nie mam nic do ciebie. Nigdy nie miałem.

Zacisnąłem dłoń na jego ramieniu. Sprawiał wrażenie, że pojął to przesłanie.

- Nick, wiem, co musiałeś przeżywać. Widzisz, niedogodność cię posiadania w sobie Boga jest to, że On każe ci myśleć bardziej o innych niż o sobie. Wiedziałem, że ten obraz będzie cię prześladował latami. Boja też go miałem przed oczami. Wielokrotnie myślałem o tobie, sam czując winę za to, że czujesz się winny.

- Odwrócił się i uraczył mnie tym swoim brylantowym uśmiechem. - No to chyba teraz w porządku. Koniec z poczuciem winy. Pozbądźmy się tego niesmaku i idźmy dalej, OK?

Zrobiłem to dopiero po kolejnych pięciu minutach. Powiedziałem wreszcie to, co mnie dręczyło i byłem z tego powodu szczęśliwszy, niż mogłem kiedykolwiek przypuszczać. Poza tym na Sama, salutującego i wygłaszającego za każdym razem „Bóg z tobą”, mogłem patrzeć jeszcze tylko przez te pięć minut, bo potem wszyscy już zabierali otrzymane racje.

- Widzimy się potem w namiocie - stuknąłem go w plecy.

Sam nadal przeliczał szmal. - Bierz wszystko, czego potrzebujesz, z wyjątkiem tego, co leży na łóżku. Chyba że chcesz moją Biblię, tę możesz brać zawsze.

6

puściłem cieniste miejsce i powędrowałem z powrotem po dywanie pomarańczowoczerwonego kurzu. Pod drzewami, z siatką maskującą nad głowami, siedziało trzech bladolicych. Standish zajmował honorowe miejsce przy stole, po obu jego stronach siedzieli Straszni Bliźniacy. Pochylali się nad talerzami i kubkami. Za namiotami w chmurze dymu tkwił nieduży Hindus i wachlował jak zwariowany nad przepołowioną wzdłuż beczką po paliwie, przyspawaną do ramy wykonanej ze starych stalowych fragmentów. Tłuszcz skwierczał na całego.

Gdy siedzący przy stole ujrzeli, że nadchodzę, przerwali rozmowę i rozparli się na krzesłach. Gdy pochyliłem głowę, aby nie zawadzić o sieć, Standish odezwał się pierwszy:

- No, właśnie. O wilku mowa...

Teraz głosik miał już inny. To w jego stylu, typowe zachowanie kogoś, kto już osiągnął, co chciał. Kiwnąłem głową Tooleyowi i Batemanowi. Przy odrobinie szczęścia nie będę musiał zadawać się z nimi na tyle, żebym chciał wiedzieć, który jest którym.

- Tych dwóch dżentelmenów nie wiedziało, że się tu zjawisz. Też nie byłem pewien, dopóki Sam mi nie powiedział ubiegłego wieczoru, ale oni wtedy byli w drodze, właśnie natknęli się na wroga, a zatem... W każdym razie jesteśmy ci wdzięczni za pomoc w likwidacji naszych lokalnych nieporozumień.

Kiwnąłem głową i uśmiechnąłem się szeroko, jakbym o niczym innym nie marzył.

Standish przedstawił nas i dał mi ręką znak, bym usiadł. To Bateman był tym, który wtedy na pasie startowym prowadził rozmowę, teraz też pierwszy otworzył usta.

- Myśleliśmy, że jesteś jeszcze jednym kumplem Sama od modłów. - Tu wymienili spojrzenia.

Uśmiechnąłem się.

- Szukałem tylko możliwości przerzutu, to wszystko. Sama i Milesa znam jeszcze z Pułku.

Moja wypowiedź spotkała się z aprobowującym kiwnięciem głową.

- W czasie wojny służyliśmy obaj w RLI. Do ostatniego dnia - powiedział Bateman.

Odwzajemniłem to kiwnięcie, spodziewając się, że nie potraktują tego jako sygnału do żołnierskich zwierzeń, co pachniało mi cholernym nudziarstwem.

Rodezyjska Piechota Lekka (Rhodesian Light Infantry) miała dobrych żołnierzy, ale byli oni też zagorzałymi rasistami. Afrykanerzy, Brytyjczycy, Irlandczycy, Amerykanie, Norwegowie byli tam mile widziani pod warunkiem, że ich skóra miała właściwy odcień bieli. Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. Dla mnie, osiemnastoletniego ochotnika, który służył w Green Jackets, to wszystko wyglądało tak fascynująco i podniecająco, że niemal do nich dołączyłem. Nienawidziłem garnizonowego życia w Tidworth, chwyciłem więc broszurę, jaką mi wręczono w sztabie, z takim entuzjazmem, z jakim Sam łapał za Nowy Testament. Tam mogłem w połyskliwym technicolorze obejrzyć mężczyzn w kamuflażowych mundurach forsujących rzekę - ze słoniem i dżunglą w tle, dla uzupełnienia obrazka. Na nowo przyjętego rekruta, któremu przydzielono do dźwigania ukaem plutonu, to wszystko działało tak jak zaproszenie na największy na świecie plac zabaw.

Nic z tego jednak nie wyszło. Z armii brytyjskiej odchodziło tyłu chłopca, że kto występował o wcześniejsze jej opuszcze-

nie, bezwzględnie dostawał odmowę. Nikt nie opuści batalionu, ponieważ mamy jechać do Irlandii Północnej, a gdy coś takiego wchodzi w grę, wtedy nikomu już nie wolno się wycofywać. Wiedzieliśmy oczywiście, że to bzdura, ale musieliśmy się dostosować. Patrząc teraz na te ich mordy, zdałem sobie sprawę, że dobrze się stało, jak się stało. Bateman wypił łyk piwa.

- Miles wspomniał właśnie, jak Sam zawsze próbował cię na wrócić - i zanim zdążyłem odpowiedzieć, dodał: - Mówię ci, człowieku, że wszystkie te dzieci Boga to bzdura i strata czasu. Czarni tylko biorą i biorą, a potem spierdalają do buszu.

Tooley podniósł w obu rękach kawał ciemnoczerwonego mięsa, odgryzł porcję zębami i żując ją, jednocześnie mówił: - Powiem ci, człowieku, że na tych chłopaków najlepszym sposobem jest obcięcie im włosów i zatrzymanie ich sobie. Jeśli czegoś nie chcą zrobić, to trzeba im powiedzieć, że dasz te włosy szamanom *kindoki*, aby rzucili na nich czary.

Bateman zaaprobował tę wypowiedź ruchem głowy, a Standish uprzejmie zachichotał. Niedobrze. Tooley się rozkręcał, przerzucając mięso z ręki do ręki, by podkreślić w ten sposób mądrość zawartą w każdym ze słów.

- Tam w Rodezji, Nick, to czarni wiedzieli, gdzie ich miejsce. Teraz mają diamenty w pieprzonych zębach i błysk pierdolonego odkupienia w tych swoich szeroko rozwartych, wytrzeszczonych oczach.

Zdaje się, że moje przytakiwanie i uśmiech potraktowali jako aprobatę. Podniosłem rozwartą dłoń. Należało to przerwać jak najszybciej.

- Hej, nie obchodzi mnie, czy ludzie są czerwoni, zieloni czy niebiescy, bogaci czy biedni, czy są muzułmanami, czy też chrześcijanami. Kapujesz? OK? Nic mi do tego całego szajsu.

Popatrzyli na mnie, potem na siebie, nie bardzo pojmując, o czym ja im teraz nawijam. Standish pozostał niewzruszony. Nie

miałem wątpliwości, co w poprzednim życiu wyczyniał na swojej plantacji.

Podszedłem i nałożyłem sobie jakieś duże kawałki czegoś, co skwierczało na tłuszczu, wziąłem z lodówki mrożoną herbatę i poszedłem do namiotu Sama. Piwko by mi nieźle zrobiło, ale nie tuż przed wyruszeniem na patrol z bronią w rękę. Ot, takie stare przyzwyczajenie.

Następnych dwadzieścia minut w namiocie
Sama spędziłem na porządkowaniu
ekwipunku. Pierwsze dziesięć minut zabrało

mi zmuszenie wentylatora do pracy. Nacisnąłem wszystkie przyciski, wyciągnąłem wtyczkę, sprawdziłem bezpieczniki, potem skontrolowałem, czy przewody są przyłączone do generatora. Jak pilot w czasach pierwszej wojny światowej obróciłem nawet śmigło, mając nadzieję, że zaskoczy, aż w końcu dałem spokój.

Zobaczyłem, co zabiera ze sobą Sam, abym i ja zabrał wszystko, co potrzebne. Przeglądając rzeczy, słuchałem, co tam znowu

mamroczą między sobą Standish i tych dwóch rodezyjskich wojaków. Imiona Sama i Cruciala padały gęsto. Moje też wymienili, ale tylko przy okazji rozmowy o przyprowadzeniu z powrotem tych „popaprańców”. Trudno było rozeznaczyć, co to oznaczało, ale brzmiali jak niedorośle brutale na szkolnym podwórku.

Ten rodzaj pracy zawsze wydawał się prowokować takie zachowanie, a ja nigdy nie mogłem dociec dlaczego. Nie ma na świecie zawodowego żołnierza, który by nie uważał, że jego sposób jest najlepszy - a skoro ci za to płacą, to masz się dostosować. Nie po raz pierwszy czułem cholerną satysfakcję, że nigdy nie władowałem się w takie gówno i zawsze byłem na swoim. Gdy wychodziło mi to na dobre, to świetnie, a gdy robił się z tego syf, to przynajmniej wiedziałem, że miałem jakieś panowanie nad własnym losem.

Niebawem usłyszałem wysoki śmiech Cruciala dobiegający z pasa startowego. On naprawdę powinien coś zrobić z tym głosem...

Sam wpadł do namiotu, porwał kałacha i pozostały sprzęt. -Odjeżdżamy za piętnaście minut.

- Masz coś na komary?

Sam machnął kciukiem za siebie: - Wszystko, idź do Jana, tego przy palenisku.

Nie poradzę sobie bez tych rzeczy. Im mocniejsze, tym lepsze. Niektóre popularne marki działają jedynie w piętnastu procentach, to za mało. Przydałoby się coś stuprocentowego. Problem w tym, że wtedy taki środek nie tylko trzyma komary na odległość, ale potrafi też zniszczyć plastik. Jakby go dobrze z czymś mieszać, dałoby się pewnie zdetonować nim ładunek wybuchowy. Sam widziałem, jak komuś stopiły się w ten sposób szkła kontaktowe, bo biedakowi pot zmieszany z takim środkiem napłynął do oczu.

Sam podał mi kałacha, mówiąc: - Nie jest naładowany.

Broń była uświniona smarem i cała pokryta kudłami z koca. Sądząc po zbielałym drewnie kolby i nieistniejącej warstwie chromującej, musiała tu już służyć długie lata.

Sam podszedł do łóżka, przesunął śmigło wentylatora wzdłuż jego osi i urządzenie zaczęło natychmiast działać.

Przeprowadziłem rutynowy sprawdzian broni. Pchnąłem w dół dźwignię zamka, odciągając do tyłu kurek i odsłoniwszy w ten sposób cały mechanizm, mogłem sprawdzić wewnątrz komory naboju - zgadzało się, była pusta. Spuściłem kurek i mechanizm wrócił na miejsce, obryzgując mnie lekko smarem. Nacisnąłem spust.

Sam stał obok, więc machnąwszy głową w kierunku dochodzących głosów, zapytałem: - Co im jest, stary? Ciebie ani Cruciala to oni za bardzo nie kochają, prawda? Tu nie idzie tylko o te dzieciaki, co?

Westchnął.

- Tak jest od czasu, gdy włączyłem do pracy Cruciala. Od początku było nas czterech i woleli tak to utrzymać. Początkowo nie mieli nic przeciwko kościołowi, bo prawdę mówiąc, ułatwiał im rekrutację, gdyż większość ludzi była wierząca. Gdy jednak Standish musiał tu zostawać, aby zająć się liczeniem, potrzebny był ktoś, kto zająłby się patrolami i ochroną obozu. Chcieli wziąć jakiegoś kumpla z RLI. Ja zaś wybrałem Cruciala. Nadaje się świetnie, zna prawie wszystkie tutejsze języki - a my mamy tu ludzi z Rwandy, Konga, Ugandy, skąd tylko chcesz. A Tooley i Bateman znają zaledwie angielski.

- Po prostu ma niewłaściwy kolor skóry, prawda?
Sam wzruszył ramionami: - Oni żyją przeszłością.

am wyjął telefon satelitarny i wyciągnął go w moim kierunku. - Śmiało, zrób sobie przyjemność... Propozycja była zbyt kusząca, aby jej nie przyjąć, ale nie dlatego, że zamierzałem szeptać Silky czule słówka. Chciałem ostrzec ją o niebezpieczeństwie nadciągającym z północy i nakłonić, by wyruszyła bez zwłoki do kopalni.

Sam zabrał swój sprzęt. - Spotkamy się na pasie - powiedział.

Przewinałem menu telefonu, aby się dowiedzieć, jak zablokować wychodzący numer. Nie chciałem, by Silky zobaczyła dwunastocyfrowy numer i zastanawiała się, dlaczego nagle dzwonię przez satelitę zamiast z własnej komórki. Gdyby pomyślała, że jestem w tym kraju, mogłaby zacząć stronić od kontaktu.

Ten sprzęt przeszedł długą ewolucję od lat osiemdziesiątych, kiedy to Standish musiał ustawiać czasę, aby się połączyć. Telefon był teraz tak mały, że mieścił się w kieszeni. Na oprawie uwieczniono pisakiem jego numer, aby zespół zawsze wiedział, który to jest.

Nie miałem kłopotów z numerem Tima - zapamiętałem go. Wystukałem pierwszych pięć cyfr.

-Kto mówi? - rozległ się obcesowy angielski, charakterystyczny dla klasy średniej.

-Tim? To ja, Nick, przyjaciel Silky. Czy mogę z nią mówić?

-Nie ma jej. Będzie wieczorem. Etienne powiedział mi, że chcesz z nią rozmawiać. Zadzwoń do ciebie. Proszę nie używać

tego telefonu do rozmów prywatnych. Ten numer jest tylko dla nagłych wypadków.

-Tim, musisz to...

Za późno. Wyłączył się.

Cholera. A może jej komórka ma zasięg? Spróbowałem, ale nic z tego. Połączyłem się z moją pocztą głosową. Automat odpowiedział, że nie ma dla mnie żadnej wiadomości.

Jasna cholera. Zadzwoiłem znowu pod numer Tima.

Teraz połączyło mnie od razu z pocztą głosową. Powiedziałem mu o BAO i poradziłem, aby wyruszyli do kopalni. To wszystko. Nic więcej nie mogłem zrobić. Skasowałem oba numery w historii rozmów, zebrałem swój ekwipunek i wyszedłem z namiotu.

ylem zlany potem. Środek przeciwko insektom, który dopiero co zastosowałem, spływał mi do oczu i ust. Był niebywale gorzki i palił jak diabli. Spryskałem każdy fragment odsłoniętej skóry, włosy i ubranie. Malaria nadal zabijała tutaj więcej ludzi niż AIDS i nawet Boża Armia Oporu nie mogła z nią rywalizować.

Pas startowy zamienił się teraz w plac defilad, dwa oddziały żołnierzy migotały mi w drgającym od upału powietrzu. Gdy zbliżyliśmy się do nich, Crucial zakomenderował coś po francusku i żołnierze ryknęli jakieś pozdrowienie dla Sama.

Posługując się kawałkiem spadochronowego sznurka, przytroczyłem do pasa ponadpółmetrową maczetę. Wsadziłem też do kieszeni stary kompas przyzmatyczny. Przeżycie w dżungli sprowadza się do ścinania roślinności i posługiwania się kompasem, a jeśli nie posiadasz do tego narzędzi, to masz porządnie przechłapanie. Chętnie zachowałbym sobie telefon z GPS-em Sama. Jeśli sprawy dokładnie by się posrały, z namiarami na pas startowy i na kopalnię byłbym w stanie dotrzeć do Silky na własną rękę.

Zmieniłem dzinsy na oliwkowe od Sama i jako część mojej kampanii antymalarycznej wpuściłem w nie grubą bawełnianą koszulkę z długimi rękawami oraz ściągnąłem paski u dołu spodni.

Usłyszałem w oddali głuchy grzmot. Daleko na zachodzie dojrzała burza. W koronach drzew odezwały się niewidoczne ptaki. Jeden z nich brzmiał jak odgłos zwalniającego pracę serca. Miałem nadzieję, że nie był to zły omen.

Sam zwrócił się do dwóch oddziałów głośno i wyraźnie, wskazując na mnie rozpostartą dłonią: - To jest mój przyjaciel, Nick.

Crucial przetłumaczył, przekrzykując otaczającą nas wrzawę cykad. Francuski był, zdaje się, jedynym językiem, który łączył tu wszystkich.

- On jest żołnierzem, tak jak wy - mówi dalej Sam. - Mamy więc szczęście, że idzie dziś z nami.

Crucial przetłumaczył i żołnierze stuknęli się kciukiem w pierś. Chyba powinienem był stanąć na baczność.

- Dobra - Sam kiwnął głową do Cruciala. - Każ rozpocząć przegląd broni.

Crucial wydał rozkaz. Ponad dwudziestu żołnierzy uniosło broń i odciągnęło z dźwięcznym trzaskiem rękojeści do przeładowania.

Starsi sierżanci przeszli wzdłuż szeregów, sprawdzając komory nabojoye. Czasami rzucali tylko okiem na broń, czasami, jeśli broń budziła ich podejrzenia, wtykali palec do komory. *Równocześnie* każdy żołnierz musiał chuchnąć, by udowodnić, że nie miał kontaktu z Cutty Sark.

Następnie otwierali ekwipunek, by zademonstrować, że nie zapomnieli słuchawek i mikrofonów, że magazynki są pełne i zostały ułożone we właściwy sposób. Osoba praworęczna powinna trzymać magazynki do kałasznikowa tak, by ich łuk zwrócony był w lewo. Srając ze strachu pod ostrzałem, może wtedy łatwo sięgnąć po nowy i bez patrzenia wetknąć we właściwe miejsce. W innym przypadku jest z tym trochę roboty i nie strzela się już tak wydajnie, jak trzeba.

Słyszałem szcęk metalu uderzającego o metal, potem serię stuknięć, gdy kolejny żołnierz po aprobacie sierżanta zatrzasnął zamek.

Gdy Sam zakończył za pomocą kilku przerwyw zabezpieczać przed wilgocią telefon satelitarny, przywołał mnie ruchem ręki.

- Lubią was obu, prawda? - powiedziałem. - Tak mi się przy najmniej wydaje.

Sam sprawdzał teraz przykrywą kabury raketnicy, która zwi-
sała mu z pasa obok maczety.

- Ci ludzie nie będą ci wierni, jeśli nie okażesz im szacunku i nie pokażesz, że o nich dbasz. Pieniądze i alkohol są w porząd-
ku, lecz w ostatecznym rozrachunku oni mają mieć poczucie, że
stanowią część większej całości, że się o nich myśli. I w tym leży
między innymi nasz problem z tymi okropnymi bliźniakami. Oni
tego nie kapują.

Crucial wydał rozkaz starszym sierżantom i oba oddziały z
bronią przy ramieniu ustawiły się rzędem na pasie, następnie
każdy żołnierz odegrał, co ma robić, gdy dojdzie do kontaktu z
wrogiem. W Pułku zawsze przed wyjściem na patrol mieliśmy
odprawę i musztrę w zwolnionym tempie. Każdy musiał wie-
dzieć dokładnie, co ma robić w wypadku napotkania wroga oraz
co będą robić wokół inni. Gdy rozpętuje się piekło, jest to w za-
sadzie jedyna rzecz, która naprawdę się liczy.

Ci ludzie nie mogą strzelić sobie raz, a potem dać dyla. Muszą
przecież przedrzeć się do kopalni. Iść prosto w ogień, nie bać się.
Teraz zrozumiałem, dlaczego najpierw sprawdzano zawartość
komory. Ustawiając się w szyku, kierowali broń we wszystkie
strony - w lewo, w prawo, w górę i w dół. W każdej chwili ich
broń mogła przez pomyłkę wypalić i pocisk trafiłby innego żoł-
nierza, dziecko grające w piłkę, a nawet któregoś z tragarzy, to
zaś oznaczałoby, że wartość ładunku w samolocie Lexa zostałaby
umniejszona o czterysta dolarów.

Psy wyglądały na zadowolone z tego, co się działo; uganiały
się dookoła, szczekając na burzę. Grupka malutkich dzieciaków
naśladowała musztrę z oddali. Sam wysłał więc jednego ze star-
szych sierżantów, by przepędził smarkaczy poza pas startowy.
Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, były pięcioletnie brzdące
udające żołnierzy. To, co ujrzelśmy przed laty poza bramą, nigdy

nie zatarło się także i w mojej pamięci. Zauważył mój wyraz twarzy i kiwnął głową, jakby chcąc zapewnić mnie, że w tej swojej walce nigdy nie da za wygraną.

Kilka kobiet nieopodal pasa startowego wlokło na powrózkach trzy świnie. Gdy kobiety, szurając nogami, stworzyły ścisły krąg wokół zwierząt, niskie, rytmiczne chrząknięcia i kwiki przybrały na sile. Jedna z kobiet chwyciła bagnet i wbiła go kolejno, szybko i skutecznie, w każde ze świńskich gardeł. Inne kobiety zebrały do plastikowych misek tryskającą krew, a potem klasnęły w dłonie i zaśpiewały, jakby znajdowały się na próbie chóru kościelnego.

Żołnierze ponownie skupili się w grupie i do dwudziestu karabinów ze szczękiem włożono dwadzieścia magazynków. Każdy trzymał teraz prawą dłoń gotową do przeładowania. Crucial znów głośno krzyknął rozkaz i odciągnięto do tyłu zamki. Nabój 7,62 mm trafił na swoje miejsce.

Zrobiłem tak jak oni i także szarpnąłem dźwignię bezpiecznika.

Tragarze wiedzieli, co teraz robić. Wstawali i wrzucali na grzbiet to, co mieli do zabrania. Jedni nieśli worki z nawozem, inni jasnozielone i żółte kanistry. Zauważyłem, że jeden czy dwóch zabiera kolejne pudła z prezerwatywami. Gdzież i kiedy będą mieli czas i energię, aby ich użyć? Żołnierze przechodzili rzędem obok kobiet, które nadal śpiewały i tańczyły. Niemal w ekstazie unosiły przed każdym miskę, a oni zanurzali palce we krwi i rozmazywali krew po twarzy. Do kolejki dołączyli nawet ci, którzy nosili krzyżyki. Nie dziwiłem się im wcale - w tak popieprzonym miejscu człowiek potrzebuje pomocy zewsząd.

Poszedłem z Samem na czoło osłaniane przez dwóch kanonierów z ukaemami. Taśmy nabojoye zarzucili na górę, tak aby nie zaplątały się w listowiu.

Na zachodzie błysnęło. Trzy lub cztery sekundy później zagrzmiało. Grzmot niemal natychmiast został zagłuszony przez coś, co brzmiało jak piła łańcuchowa, a dobiegało z namiotów

dowództwa. Pokazał się Jan z pompką i wymachując rękami, rozpylał dym przeciw moskitom, który cuchnął jak spaliny diesla. Przy odrobinie szczęścia Rodezyjczycy zaczadzą się na śmierć.

Sam zlustrował dwuszereg, a potem podniósł rękę i dał sygnał do wymarszu. Rozkaz powitano rykiem aprobaty. Ci ludzie naprawdę kochali tego faceta.

Prześląknęty smarem, wsunąłem się w rząd zaraz za Samem.

Cieszyłem się, że już idziemy. Od tej pory każdy krok zbliżał mnie do Silky.

złak był szeroki i nieźle wydeptany, a do obu poboczy podchodził zwarty zielony gąszcz.

SO wiele bardziej wolałem pierwotną dżunglę niż to cholerstwo. W tej pierwszej drzewa są zdecydowanie wyższe i grubsze, słońce dochodzi z trudem do podłoża, wegetacja jest ograniczona, co oznacza brak poszycia, a więc przeszkodę dla kogoś, kto chciałby z zasadzki dać ci w dupę.

Niebawem zacząłem odczuwać ból między łopatkami. Upłynęło już trochę czasu, odkąd nosiłem coś ciężkiego na plecach, ale nie po raz pierwszy żałowałem, że ktoś nie zdobył się na wynalezienie odwodnionej wody i nic nieważącej amunicji. W plecaku targałem taśmę nabożową z dwustoma nabożami i jedynym sposobem ulżenia sobie było podskakiwać co parę kroków, aby podsunąć pakunek wyżej. Jakby tego było mało, takich niezaaklimatyzowanych jak ja upał i wilgotność powietrza obezwładniały na całego.

Już trzy godziny szliśmy tak w kierunku zachodnim, regularnie sprawdzałem kompas, aby zapamiętać drogę. Jedną z ważnych reguł poruszania się po dżungli uczy, że należy ufać swemu kompasowi niezależnie od tego, co podpowie ci instynkt, gdy siędą baterie telefonu satelitarnego albo przestanie działać.

Już jakiś czas temu przekroczyliśmy granicę Demokratycznej Republiki Konga, a wiedziałem o tym tylko dlatego, że tak powiedział Sam. Nie było żadnych napisów informujących, że

Demokratyczna Republika Konga Wita Ostrożnych Kierowców, ale przecież ani nie było tu żadnych dróg, ani Kongo nie było żadnym gościnnym miejscem.

Widziałem to wystarczająco wyraźnie po twarzach żołnierzy. Głowy im latały w lewo i prawo, jak napędzane motorkiem -usiłowali zlokalizować wroga, zanim on zlokalizuje nas. Z dala słyhać było strzały. Wystraszyło to tragarzy, ale nie mogliśmy nic zrobić poza posuwaniem się naprzód, ja zaś nie miałem nic przeciwko temu.

Co godzinę robiliśmy dziesięciminutowy postój. Żołnierze tworzyli obronę okrężną, dbając o to, aby oczy i broń ogarniały każdy fragment okręgu. Tragarze szukali jakiegoś zagłębienia w ziemi, aby schronić się tam podczas odpoczynku.

Sam prawie się nie odzywał, co tłumaczyłem sobie: „Zamknij się, mam teraz ważniejsze sprawy na głowie”. Sprawdzał godzinę na zegarku wiszącym na szyi i znów poderwał oddział do wymarszu, gdyż słońce zaczynało siadać za horyzontem. Ciemności zapadły bardzo szybko.

Sam zatrzymał się wśród przeredzonych drzew. Reszta oddziału poszła za jego przykładem. Wziął tych dwóch z ukaemami jakieś dziesięć metrów do przodu i kazał im ustawić się na skraju drzew. Zrozumiałem, że za chwilę wyjdziemy na otwartą przestrzeń, w wysoką po pas trawę i zarośla, tylko gdzieniegdzie widać było kępy drzew. Dalej na zachód majaczyło jakieś wzniesienie. Nad nim widać było błyskawice - burza szła szybko w naszą stronę. Przerw między błyskiem a grzmotem już prawie nie było.

Oparłem tyłek o drzewo, łagodząc ciężar plecaka. Sam stanął obok.

- Odpoczywamy dwadzieścia minut, bo dopóki nie przekroczymy otwartej przestrzeni i nie znajdziemy się ponownie pod osłoną drzew, postojów nie będzie.

Ocierając twarz z potu, ponownie usłyszałem wokół siebie brzęczenie i bzykanie owadów.

Tragarze w przygnębieniu popijali ze starych plastikowych butelek. Ja - przeciwnie: przegrzany, bez tchu, łykałem płyn łapczywie. Co chwilę klepałem się po twarzy, by przegonić latające cholerstwo, które chciało się ze mną witać.

Napiłem się dostatecznie i przyjąłem kolejną dawkę środka na insekty. W efekcie zdrętwiały mi wargi, lecz nie było co splukiwać tego świństwa; szkoda została już wyrządzona. Poryw wiatru rozkołysał szczyty koron drzew. Już za chwilę spadnie na nas deszcz. Wielkie, kurwa, dzięki.

Sam ukrył ekran telefonu satelitarnego pod koszulką i włączył go.

-Schodzimy ze szlaku? - zapytałem.

-Nie, chyba że będziemy musieli - odrzekł, wskazując w stronę wzniesienia. - Tu zaczyna się fatalny kawałek. Te wzgórza mają oczy.

-Czy to BAO?

-Ano. - Wyłączył nawigację GPS, a ja podałem mu moją butelkę. - Standish lubi nazywać ich rebeliantami, ponieważ to przysłania fakt, że walczymy z dziećmiakami.

Przez równinę przetoczył się grzmot, a potem zapadła cisza. Miało się wrażenie, że świat wstrzymał oddech. Chwilę później deszcz przewiercił się przez kopułę drzew i pierwsze krople rozprysły mi się na twarzy. Poczulem się bosko.

- Standish posługuje się dziećmi z powodu forsy, czy tak?

Trzasnął piorun i błyskawica skąpała na moment twarz Sama we wspaniałym błękitnym świetle. Nigdy nie widziałem go tak poważnym jak teraz, gdy oddawał mi butelkę.

- Potrzebujemy nieco ponad trzy tysiące uzbrojonych ludzi w terenie, by wykonać robotę tak, jak należy. Wymyślił, że możemy dostać tysiąc dziesięciolatków za stu dorosłych. Potrząsnął głową ruchem zmęczonego człowieka. - To może i uszczęśliwiłoby tego niewidzialnego zleceniodawcę Standisha, ale jest to po

prostu chore. Dlatego musimy przystopować.

Krople deszczu odbijały się o moją głowę i ramiona i aż musiałem podnieść głos, aby przekrzyczeć grzmoty nad naszymi głowami.

- A więc gdzie ja bym się tu nadał? - zapytałem.

- Jest nas teraz więcej. Poza tym masz szansę załatwienia Kony'ego. Praca zespołowa, kochany. I nie zapominaj, co tego rodzaju ludzie potrafią wyczyniać, co dzieje się z ich ofiarami.

-No dobrze, chłopie, ale co się stanie, jeśli Standish i jego ludzie wściekną się i rozstrzygną sprawę za pomocą paru nabojów kalibru 7,62 mm? - Pociągnąłem jeszcze kilka łyków, choć przecież wystarczyło odchylić głowę ku niebu i otworzyć usta.

Potrząsnąłem głową, strząsając deszcz z włosów.

- Moje miejsce jest tutaj. Ofensywa BAO na południe oznacza dwie rzeczy, obie fatalne. Dzieci zostaną zabite lub porwane i wy szkolone. Pytam sam siebie, jak postąpiłby w takiej sytuacji Jezus i wiem, że On pozostałby tutaj, nie licząc się z kosztami, a potem dalej pracowałby nad Standishem, aby go zmienić.

Byłem niemal pewny, że nawet sam Bóg nie potrafiłby tego dokonać, ale uważałem, że teraz nie pora, aby o tym mówić.

Sam patrzył w stronę wzgórze, kolejna błyskawica rozświetliła jego twarz. Czekał na jakąś odpowiedź, która jednak nie nadchodziła. Może oczekiwał jej ode mnie, a może od Człowieka Władającego Grzmotami.

Tragarze zarzucili worki na plecy, strzelcy złożyli dwójnogi od ukaemów i tak umocowali pasy, że broń zwisała im z prawego ramienia horyzontalnie na wysokości pasa. Taśmę z nabojami przerzucili na wierzch.

Sam poszedł na czoło.

Zanim dołączyłem do reszty, podskoczyłem kilka razy na palcach, aby wygodniej ułożyć ładunek na plecach i sprawdziłem, czy dźwignia bezpiecznika w moim karabinku jest dosunięta do samej góry.

Część piąta

1

ęliśmy od godziny jak wąż przez otwartą przestrzeń porośniętą wiałą roślinnością, wśród spektaklu grzmotów i błyskawic, jakiego nie powstydzilby się Ozzy Osbourne. Ulewny deszcz nie ustawał, rozmazując mi widok, ale największym problemem było to, co mieliśmy pod stopami. Ziemia zamieniła się w trzęsawisko.

Takie gęste, lepkie błoto słońce wysuszyłoby do południa, lecz teraz nie mogło nam pomóc. Błoto oblepiało nasze buty grubą warstwą i więcej było ślizgania się niż chodzenia. Ci chłopcy naprawdę ciężko pracowali na swojąCutty Sark i prezerwatywy. Patrolowanie jest niezłą harową, kiedy blocko wsysa ci buty, mokre ciuchy ważą tonę, widoczność spada do kilku metrów, a ty musisz nieustannie wybałuszać ślepią, by spojrzeć wroga, zanim on ujrzy ciebie.

Zatrzymałem się na chwilę, aby po raz kolejny poprawić bagaż, gdy na przodzie otwarto ogień z dwóch ukaemów. Przypadłem na kolana, przyłożyłem kałacha do ramienia, ściągnąłem bezpiecznik w dół do pierwszego kliknięcia, włączającego ogień automatyczny i nacisnąłem język spustowy.

- Kontakt! Kontakt! Kontakt!

Piętnaście metrów przed nami jasne, żółte błyski z wylotów luf pstrzyły ciemności. Potem z dalszej odległości - stu, stu dwudziestu metrów. Trudno to ocenić podczas ulewy.

Strzelcy trwali na swoich stanowiskach i walili wprost z biodra, nie pozwalając wrogowi na podniesienie głów.

Sam już pędził przed siebie, mocno w lewo od strzelców, których odrzucało do tyłu po każdym strzale. Pobiegnęłam za nim.

Gdy do niego dobiełam, stał z bronią przy ramieniu zaraz obok strzelców i wywalał cały magazynek wprost w błyski przed sobą. Zatrzymałam się z lewej strony. Karabinek podskakiwał mi w rękach, gdy wystrzeliłam pięciostrzałową serię, a potem następne, w kierunku błysków z lufy przede mną.

W ciągu kolejnych sekund siła naszego ognia stopniowo wzrosła, bo po obu stronach ustawiali się kolejni żołnierze - zupełnie jak na ćwiczeniach.

Znów nacisnąłem spust. Mechanizm zamka przesunął się do przodu, ale strzał nie nastąpił.

-Mam przerwę!

Karabinek AK miał kilka pięt Achillesa, a ta była jedną z nich. Padłem znów na kolana. Zmiana magazynku w tym sprzęcie trwa wieczność, a ja wołałem w tym czasie stanowić jak najmniejszy cel.

Wcisnąłem spust zatrzasku magazynka, zluzowałem go w obudowie i kołysałem nim dopóty, dopóki nie wysunął się na brzeg obudowy, a stamtąd upadł w błoto.

Głośne rozkazy i okrzyki strachu odbijały się echem w krótkich momentach ciemności między niemal nieustannymi rozbłyskami błyskawic. Wprost odczuwalne były fale uderzeniowe - piorunów i wystrzałów. Deszcz syczał na rozpalonej lufie.

Wyciągnąłem zastępczy magazynek z pojemnika na piersiach, wcisnąłem mały karb na górnej części magazynka do otworu obudowy, zakołysałem magazynkiem, aż wskoczył ostatecznie na miejsce, cofnąłem rękojeść do przeładowania, zmuszając nabój, by wszedł do komory.

Wszędzie wokół mnie szczękały karabinki. Nadlatujące pociski uderzały ciężko o ziemię. Zza jakiejś skały wyleciał ze świstem sznur pocisków świetlnych. Podobnie jak inni nie pragnąłem teraz niczego więcej, niż wykopać największą dziurę na świecie i scho-

wać się w niej, ale starsi sierżanci już na nich wsiedli i wszyscy wiedzieli, co robić chyba lepiej i szybciej niż w zachodnioeuropejskich oddziałach piechoty.

Sam krzyczał na swoich ludzi, nawołując ich do tworzenia grupy ogniowej. Musieliśmy zlikwidować ogień wroga własnym ogniem. Bez względu na to, co miało według Sama nastąpić potem, tę rundę kwalifikacyjną musieliśmy wygrać.

-Nick! Nick! Do mnie! Do mnie!

Biegłem w kierunku głosu i ujrzałem Cruciala i jego ludzi nadchodzących z tyłu.

- Wszyscy z bronią do przodu! Dołączyć do grupy ogniowej!

Podczas gdy Crucial przekazywał swój rozkaz, zrzuciłem z pleców pakunek i wyrwałem ze środka taśmę z nabojami. Sam wrzeszczał na każdego, kto przechodził: - Tworzymy flankę z lewej strony! Ostrzeliwać z lewej.

Ludzie Cruciala zgromadzili się wszyscy w pozycji na kolanach. Wytłumaczył im co i jak, a oni natychmiast zrzucili z pleców pakunki. W świetle błyskawic ich błyszczące od potu twarze wyrażały kamienną rezygnację. Wiedzieli, że coś trzeba z tym zrobić, inaczej obie strony będą tak strzelać, aż któregoś z nich wyczerpie się amunicja, a wtedy przyjdzie jej umrzeć.

Crucial chwycił moją taśmę z nabojami i poszedł do punktu ogniowego.

-Pluton do ataku! - krzyknął do mnie Sam przez deszcz i strzelaninę.

-A co z tragarzami?

-To nie moja sprawa. Każemy im w takich sytuacjach siedzieć i czekać. Jeśli nie mają oleju w głowie, zaczną uciekać. Ty iść nie musisz.

-Jezu, Sam! Przecież muszę dostać się do Nuki... Róbmy po prostu, co trzeba, dobra?

Jego twarz ściągnęła się, ruszył ku lewej stronie grupy ogniowej, krzyknawszy w stronę flanki ostrzeżenie, że przechodzimy. Poszedłem z resztą grupy atakującej. Wszyscy ślizgaliśmy się i potykali w błocie. Cruciał wydał głośno rozkazy grupie ogniowej. Zamierzał dopilnować, aby jego ludzie oszczędzali amunicję, a jednocześnie nie pozwolili podnieść głów przeciwnikom. W ten sposób żaden z nich nie roztrwoni wszystkich naboju w kilka sekund.

Nasz atak będzie atakiem czołowym, musiał taki być ze względu na problem językowy i brak łączności. Grupa ogniowa Cruciała musi trzymać wroga pod ogniem, abyśmy mogli w tym czasie podejść go z lewej strony i zająć pozycję do ostatecznego ataku. Stamtąd zaatakujemy wroga i przebijemy się przez jego pozycje. Jak tylko ruszymy, grupa ogniowa albo zmieni kierunek ognia, albo go wstrzyma, tak abyśmy nie dostali od swoich. To był oczywiście klasyczny przepis na totalną porażkę, która groziłaby nawet dobrze wyszkolonej piechocie, a już szczególnie w ciemnościach i deszczu, niemniej jednak tak to musiało być wykonane. Mamy zabić wszystkich, zanim oni zabiją nas.

Trzymałem się zaraz za Samem, a reszta zaraz za mną. To nie miało nic wspólnego z taktyką, po prostu chodziło o szybkość. Najszybciej, jak się tylko dało, szliśmy w kierunku pozycji ostatecznego ataku. Rozejrzałem się. Byłem wśród nieznanym mi żołnierzom, z którymi być może przyjdzie mi razem umierać.

Zrównaliśmy się z linią ognia nieprzyjaciela, mając go po prawej stronie. Pociski grupy ogniowej Cruciała dziurawiły błoto i rykoszetowały o kamienie.

Sam wyczekał kilka sekund do kolejnej błyskawicy i zasygnalizował wszystkim, by zostali na swoich miejscach, mnie zaś kazał ruszyć ze sobą na rekonesans. Padłem w błoto i poczołgałem się obok niego. Już po chwili spodnie zsunęły mi się z tyłka, do połowy go odsłaniając.

Doczołgaliśmy się na odległość piętnastu metrów do pozycji tamtych. Wyglądało to nie najgorzej: mogliśmy uformować się tutaj i zaatakować. Sam chciałem chyba znaleźć się jeszcze bliżej. Chwyciłem go za nogę i podczołgałem się kawałek, tak aby móc wyszeptać mu do ucha:

- Co do kurwy nędzy? Tak jest dobrze!

Pokręcił głową.

- Muszę wiedzieć, kim oni są. Nie będę zabijał dzieci.

Zostawił mnie i poczołgał się dalej. Nie pozostało mi nic innego, jak podążyć za nim. Wysoko nad naszymi głowami płynął pocisk świetlny naszych. Uderzenia grzmotów były tak głośne, że głużyły ogień wroga, ale nasłuchiwanie nie było mi już potrzebne. Byliśmy tak blisko, że czułem zapach kordytu.

Nasze pociski 7,62 mm fastrygowały ziemię jedynie parę metrów przed nami. Dosłownie czułem drżenie ziemi rozrywanej przez nasze ukaemy.

W końcu chyba do Sama dotarło. Zatrzymał się. Błyskawica oświetliła dwie osoby, które poderwały się i podbiegły do jakiejś kolejnej kryjówki, niecałe dziesięć metrów dalej. Trzymały wysoko swoje kałachy i pruły z nich zawzięcie w stronę naszej grupy ogniowej.

Sam zobaczył wreszcie to, o co mu chodziło. To byli dorośli. Zawróciliśmy.

Ulewa tworzyła teraz nieprzeniknioną zasłonę, co obecnie nie było już takie złe. Nasi ludzie stali się dla mnie widoczni dopiero wtedy, gdy

doczołgaliśmy się do nich, a więc i wróg nie był w stanie nas zobaczyć.

Wszyscy ustawieni byli w jednej linii i chcieli wiedzieć tylko jedno, czy to była linia ostatecznego ataku. Niestety nie, byliśmy jeszcze zbyt daleko.

Przesunęliśmy się w stronę środka linii. Po drodze widziałem pełne niepokoju twarze czekających. Też specjalnie nie skakałem z radości, ale cóż, innego wyjścia, niż iść zgodnie z planem, nie było.

Sam wyciągnął raketnicę z kabury i schylony ruszył do przodu. Reszta poszła grzecznie w jego ślady. Słowa ani znaki nie były potrzebne; robiliśmy to, co robił nasz dowódca. Jeśli on przystaje, też masz stanąć. To najlepszy sposób trzymania się w kupie.

Po drodze zmieniłem magazynek. Poprawiając spodnie, słyszałem z przodu okrzyki podniecenia i strachu - byliśmy coraz bliżej. Zdarzały się też wybuchy nerwowego śmiechu. Kto wie,

może chłopcy faszerowali się w nocy khatem.

Sam zatrzymał się; postąpiliśmy tak samo. Ukląkł w błocie, my też. Wszelkie niepotrzebne myśli i odczucia ulotniły mi się z głowy: deszcz, hałas, grzmot. Nawet Silky przestała istnieć.

Sam padł na ziemię i zaczął się czołgać. Reszta grzecznie zrobiła to samo, więc i ja niebawem płynąłem przez rzekę ciepłego

blota, dbając o to, by mój AK pozostał czysty. Deszcz walił w otaczające nas kałuże, które wyglądały, jakby się w nich gotowało i chłostał mnie po głowie, plecach i udach.

Niebawem znów poczułem kordyt. Dwaj mężczyźni cicho rozmawiali ze sobą w odległości pięciu metrów przed nami, ale potem wszystko zniknęło wśród grzmotów i trwającej nadal wymiany ognia.

Sam wytarł najpierw wodę z oczu, po czym wskazał na ziemię i wykonał nad nią kolisty ruch ręką. To już wystarczyło reszcie ludzi, którzy przekazali sobie ów sygnał po obu stronach linii. Ponieważ zostali dobrze wyszkoleni, teraz każdy już wiedział, że oto dotarliśmy do linii, z której zaczniemy ostateczny atak.

Leżeliśmy nieruchomo, wydawało się, że trwa to godzinami, w końcu Sam ukląkł, podniósł raketnicę i wystrzelił. Gdy raca wzniosła się łukiem w niebo, ludzie wydali z siebie ów ryk, który słyszałem już na pasie startowym.

Magnezja wypaliła się i grupa ogniowa przerwała ostrzał.

Sam zerwał się na równe nogi i krzyknął: - Teraz my! Teraz my!

Ruszyłem kilka kroków na prawo od niego. Sam zaatakował pozycję wroga. Nasi ludzie z lewej strony zrobili podobnie, ci z prawej zaś stanęli w miejscu i osłaniali nas ogniem.

Wrzeszcząc na całego, zatrzymaliśmy się po kilku metrach i otworzyliśmy ogień do wszystkiego, co się ruszało. Teraz z kolei ludzie po prawej podbiegli kilka metrów, padli na ziemię, poczekali z ostrzałem, aż zrobimy następny skok. Ogień z broni i manewr, ogień i manewr.

Na niebie zajaśniała błyskawica. Niektórzy spośród wrogów strzelali chaotycznie, inni uciekali albo na klęczkach błagali o życie.

Znów zatrzymaliśmy się na moment, znowu strzelając do wszystkiego, co się ruszało. Zastrzeliłem dwóch: jednego uciekającego, drugiego, który twardo do nas strzelał. Przyszedł czas

na użycie maczet, na zmianę magazynków nie było czasu. Ludzie nie mogli sobie pozwolić na pozostanie w tyle, musieli pilnować tempa. Gdy atakowaliśmy, wrzaski rebeliantów rywalizowały już z grzmotami. To była rzeź, ale zatrzymać się nie mogliśmy.

Widząc przed sobą sylwetki, nacisnąłem spust i usłyszałem złowieszcze stuknięcie. Magazynek był pusty.

Leżąc, próbowałem zmienić magazynek, ale robiłem to zbyt wolno. Nasza grupa znów ruszyła do przodu.

Sięgnąłem po maczetę, ale Sam krzyknął: - Stop! Stop! Stop!

Udało się - przebiliśmy się przez ich pozycje.

- Stop! Zatrzymać się!

Teraz nastąpiła ta przykra chwila sprawdzenia tych, co zostali trafieni. Dołączyłem do biegającego w tę i z powrotem Sama, machając rękami i krzycząc: - Stop! Stop!

Maczetami dobijano rannych, sporadycznie oddawano do nich strzały.

Crucial dołączył do nas ze swoimi ludźmi. Sam był zajęty odciąganiem dwóch naszych, którzy zawzięcie dźgali jakieś ciała. Skoncentrowałem się więc z Crucialem na odzyskiwaniu kontroli nad grupą i rozkazywaniu, by przeszukali ciała w poszukiwaniu magazynków i amunicji.

Rozległ się radosny okrzyk. Odnaleziono kogoś, kto się ukrywał. Wyciągnięto go spod zwłok. Głowę miał owiniętą czerwoną chustką w grochy, jakby był jakimś królem raperów.

Tragarze schodzili się powoli. Nikt nie wiedział, jak wielu straciło życie, odniosło rany lub po prostu

uciekło. Nie miałem pewności, czy Sam wiedział, ilu ich było na początku i czy miał imienną ich listę. Podejrzewałem, że nie.

Ci, którzy się ostali, wiedzieli, co teraz robić i rozpoczęli zbieranie ciał. Ostatecznie okazało się, że zginęło piętnastu rebeliantów i czterech naszych ludzi. Sam miał słuszość: oni rzeczywiście mieli wysoki współczynnik śmiertelności.

Sam usiadł u stóp rapera, którego przywiązano do drzewa. Deszcz spływał po jego nagim ciele. Raper miał szeroko otwarte, rozbiegane oczy. Wiedział, że za chwilę otrzyma bilet w jedną stronę, więc żebrał o litość. Błaganie o darowanie życia jest zawsze zrozumiałe, niezależnie w jakim brzmi języku.

-I co dalej, Sam?

-Ułożymy ciała w jednym miejscu, a następna grupa je pochowa.

-Mam na myśli tego faceta.

Podszedł do nas Crucial. Rzucił karabinek i wziął do ręki maczetę. Musiała mu się zapewne spodobać raperska chusta, bo teraz też ją nosił.

Sam odsunął mu się z drogi. Crucial zamachnął się porządnie i uderzył jeńca w udo płazem maczety.

Jedyną rzeczą głośniejszą od jego krzyku było kolejne uderzenie pioruna. Ale krzyki nie mogły mu pomóc. W buszu nie było przy-

cisku dzwonka alarmowego, a nawet gdyby był, w tych czasach nikt, kto miał rozum w głowie, nie przyszedłby mu z pomocą.

Crucial krzyknął mu prosto w twarz pytanie. Odpowiedź nie zadowolila go widocznie - albo nie to chciał usłyszeć, albo to, co usłyszał, nie było wystarczające.

Zamachnął się po raz drugi, ale tym razem nie uderzył w udo i nie płazem maczety. Trzy odcięte palce upadły w błoto. Pod przesłuchiwanym ugięły się nogi, ale sznur, którym przytwierdzono go do pnia, nie pozwolił mu upaść.

Crucial ponownie krzyknął mu coś prosto w twarz. Grupa uderzeniowa, która wróciła od strony grupy ogniowej ze swoimi plecakami, przyglądała się teraz temu beznamyślnie. Owszem, okropne, ale taka jest wojna, taka rzeczywistość. Żaden z nich - nasz albo wróg - nie walczy tu o to, by móc sobie potem pograć w scrabble albo założyć kółko dyskusyjne.

Żołnierz robi to, co robi. Ten biedny skurwiel powinien powiedzieć nam wszystko, co wie, to może wielu uratować życie. Crucial miał świetną metodę, którą i ja również stosowałem wobec rzeczy, które mogły mnie potem zacząć prześladować: „Po prostu wytrzymaj potem dokładnie usta, pozbądź się niesmaku i idź dalej”.

W końcu Crucialowi udało się coś sensownego z niego wydobyć. Odwrócił się od dygoczącego i błagającego o litość jeńca i zagadał do Sama takim tonem, jakby dzielił się z nim najnowszą prognozą pogody. Istnieją trzy rodzaje informacji, które należy wydobyć z jeńca w warunkach polowych: Jaka jest liczebność sił wroga? Jak są uzbrojeni? Jakie mają plany? Istniał też sposób, by takie wiadomości uzyskać szybko.

-Oni są z BAO - powiedział Crucial, zamachnął się maczetą i stuknął nią w ramię jeńca. Ten krzyknął i skurczył się w oczekiwaniu na więcej.

-Ci ludzie szli z kopalń diamentów. Kony powiedział swoim, żeby kierowali się na północ i połączyli tam z główymi jego siłami. Są w drodze.

Sam był głuchy na błagania o litość: - To chyba jedna z tych grup, na którą natknęli się ostatniej nocy Straszni Bliźniacy. Wydobądź z niego wszystko, co się da.

Crucial odwrócił się i uderzył jeńca w głowę, a potem poprawił dobrze wymierzonym ciosem klingi maczety. Celem było znowu udo, ale tym razem uderzył ostrym końcem. Skóra została rozcięta na głębokość kilku centymetrów. Głowa jeńca opadła gwałtownie, osunął się pod wpływem strachu i bólu. Gdy Crucial krzychał coś wprost w twarz przesłuchiwanego, niebo rozerwała kolejna błyskawica, czyniąc z nich obu jakby serię obrazów martwej natury.

Odpowiedzi jeńca nadal nie podobały się Crucialowi.

Odszedł kilka kroków od drzewa, odwrócił się i z rozmachem, mocno przyłożył jeńcowi płaską stroną maczety w twarz. Usłyszałem trzask łamanej kości, ale żadnego krzyku, jedynie okropne rżenie, gdy ten próbował złapać oddech przez wypełnione krwią i śluzem usta i nos. No tak, nie byłoby możliwe ozdabianie sobie zębów „krwawymi diamentami”, gdy chciało się dotrzymywać postanowień konwencji genewskiej.

Przystrzyżone ogrody i kryształowe kieliszki w Erinvale były teraz o lata świetlne stąd, Crucial, podtrzymując spuchniętą i pokrzwawioną głowę jeńca, ponownie zakrzychał coś do niego. Nie doczekawszy się odpowiedzi, wbił ostrze w krocze tego człowieka i szarpnął do góry.

Crucial oderwał się od rapera. Obrócił zakrwawioną maczetę na płask i spłukał ją w strumieniach deszczu.

Żołnierze myszkowali wokół, zupełnie niezainteresowani tym, co się stało. Byli zbyt zajęci obcinaniem włosów zabitym, niemal ich skalpując i rozglądaniem się, co zostało jeszcze do ukradzenia ze zwłok, które tragarze już zdążyli obrobić.

- Oni są blisko, zbyt blisko - powiedział Crucial, wznosząc swój drewniany krzyż, aby deszcz obmył go z krwi jeńca. Podeszedł do nas. - Wczoraj zaatakowali wsie jakieś trzydzieści

kilometrów na północ od kopalni. Jest ich tam trzystu, może czterystu. On nie wie dokładnie, ilu ich jest, ale wie, że Kony zbiera wszystkich swoich ludzi, aby uderzyć na nas. Jesteśmy ostatnią dużą kopalnią na jego liście.

Wrócił do jeńca.

Pomyślałem raz jeszcze o Silky. Mogłem już pożegnać się z nadzieją na te trzy lub cztery dni.

Crucial przyglądał się jeńcowi, który już nie oddychał.

- Jest jeszcze gorzej. Wielu ludzi zdążyło także z południa, aby dołączyć do głównych sił. Dzisiejszej nocy możemy się więc jeszcze natknąć na inne grupy. - Odwrócił się do nas. Jego diamentowe zęby rozbłysły w świetle błyskawicy. - Dobra, przynajmniej tych szesnastu mamy już z głowy.

Sam kiwnął głową.

- W porządku, przygotuj grupę. Ruszajmy. Musimy jak najszybciej dostać się do Nuki i zabrać stamtąd ludzi do kopalni.

Tu się z nim zgadzałem. Straciliśmy trochę czasu, a BAO nie. Crucial odwrócił się, by skrzyknąć wszystkich, ale z lewej strony zrobiło się jakieś zamieszanie. Grupka tragarzy zgromadziła się wokół dwóch ciał, bijąc je i kopiąc. Jeden z wrogów jeszcze żył, ruszał się, a po głosie sądząc, był bardzo młody.

Sam i Crucial podbiegli z krzykiem, aby powstrzymać tragarzy.

Patrzyłem, jak przepychali się przez zgromadzonych. Tłum rozstał się, odsłaniając wątłego chłopca, który nie miał więcej niż jedenaście albo dwanaście lat. Głowę miał chyba większą od reszty wychudzonego ciała.

Crucial wyciągnął go spod zwłok, pod którymi się ukrywał i powłókł dalej od tłumu tragarzy, których Sam próbował uspokoić. Crucial przemawiał do niego wolno i delikatnie, zdawało się, że dzieciak się uspokaja, ale nagle chwycił przytrzymujące go ramię i wbił zęby w biceps.

Crucial zwinął w pięść drugą, swobodną rękę i uderzył. Głowa chłopaka odskoczyła na bok, ale jego zęby nadal tkwiły w ciele.

Pobiegłem do nich, ale Sam był tam pierwszy. Crucial przyłożył jeszcze raz. Głowa chłopaka poleciała do tyłu i grzmotnęła o ziemię. Wypłuł kawałek ciała Cruciala, poderwał się i znów zaatakował. Sam wepchnął go kopniakiem w błoto i nadepnął mu na szyję, aby mieć go pod kontrolą.

Crucial siadł na tyłku, krzycząc. Ukrył twarz w dłoniach, uprzytomniłem sobie, że płacze.

Sam zerwał mu z głowy chustę i podał. Crucial wytarł sobie twarz i owinał chustą ranę.

Chłopak wierzgał pod butem Sama, usiłując ugryźć go w nogę-

- Nauczono ich tego. Jeśli któryś z tych dzieciaków próbuje uciec, inni muszą zagryźć go na śmierć. Muszą odejść od ciała ofiary z kawałkiem mięsa w zębach. Jeśli tego nie zrobią, sami stają się ofiarami. - Wcisnął dzieciaka coraz głębiej w błoto. -Nick, musimy to ukrócić.

Crucial, cisnąc mocno ranę, zaczął przemawiać łagodnie do chłopca. Sam patrzył na mnie przez kurtynę deszczu.

- Niektóre z tych dzieci, zanim zabierze się na północ, zmusza się nawet do zabicia własnych rodziców. Potem wracają, aby

z nami walczyć, i obaj widzieliśmy, jak kończą nieprawdą?

Chłopiec nadal usiłował walczyć, Crucial nadal próbował przemówić mu do rozumu. Sam myślał tylko o jednym: - Jeśli nam nie pomożesz, Standish będzie miał tysiące takich tylko po to, by świat mógł co pół roku zmieniać swoje telefony komórkowe na lepsze.

4 Poniedziałek, 12

czerwca, godzina 7.08

chowałem znów mój kangurzy zegarek pod kamizelkę, pozwalając mu dyndać z szyi na sznurku przywiązany do karabinka. Gruba, szara chmura burzowa z ubiegłej nocy nadal okrywała niebo. Słońce nie mogło się przez nią przebić, ale na ziemi nie zrobiło się wcale chłodniej. **S**Wilgotność powietrza była tak duża, że czułem się, jakbym siedział we wnętrzu szybko-wara. To lepkie błocko długo jeszcze nie wyschnie.

Gdy stawiałem nogi w ciężkich, oblepionych błotem butach, moje płuca zachowywały się jak po morderczym treningu. Gdy z gałęzi nad naszymi głowami zrywały się stada ptaków, woda spadała na nas kaskadami. Przynosiło mi to wtedy ulgę.

Sam nie mógł zadzwonić do Standisha i poinformować go o potyczce dopóty, dopóki nie minęły najgorsze wyładowania elektryczne i mógł go bezpiecznie wyjąć z prezerwatywy.

Standish i bliźniacy posuwali się do przodu i byli jakieś dwie godziny za nami. Wyobraziłem sobie Batemana i Tooleya biegnących dokoła i popędzających patrol kopniakami, praniem po pyskach i groźbami o rzuceniu uroku *kindoki*.

Szedłem jak John Wayne, który właśnie zsiadł z konia po tygodniu spędzonym w siodle. Mokre spodnie obtarły mi uda, skóra była czerwona i poraniona. Miałem także potówki w dolnej części pleców, które rozdrapywał niesiony bagaż. Sam uznał, że

wyglądały jak mapa reliefowa Himalajów, ale cóż było robić? Siedzieć i płakać?

Przez całą noc w ciemności dochodziły sporadyczne strzały z północy. Teraz znowu z daleka wzniosło się w niebo kilka rakiet i zniknęło w niskich chmurach. Crucial miał rację: oni powinni być tutaj niedługo.

Dotarliśmy do hałaśliwej, wezbranej rzeki z długim na jakieś trzydzieści metrów mostem z bali, który utrzymałby z łatwością ciężki pojazd, gdyby kiedyś taki tutaj dotarł. Nie patrząc nawet na nas, mijały nas grupki idących z naprzeciwka przerażonych mężczyzn i kobiet z tobołkami.

Spojrzałem pytająco na Sama.

- Strzelanina, to się przestraszyli. Górnicy zostaną, bo wiedzą, że nie mają dokąd iść. A ci? Chcą tylko uciekać i trudno ich za to potępić.

Zobaczyłem przed sobą schodzącą do rzeki płaską dolinę o prostopadłych brzegach. Miała kształt podkowy, jakby ktoś przejechał po niej olbrzymią łyżką do lodów i wybrał kawałek na deser. Wokół pięły się w górę szeregi wzgórz i pagórków. Wysokie drzewa zniknęły. Gołe błoto sprawiało wrażenie, że to miejsce zostało zbombardowane, spalone napalmem i dla pewności jeszcze raz zbombardowane, było podobne do tych kraterów, które widziałem z pokładu An-12.

Stąpaliśmy po ziemi, o której zapomniał czas. Całą dolinę przekopano od góry do dołu. Ludzie pełzający w błocie przypominali mi fotografie australijskich Aborygenów pomalowanych gliną, widziałem takie w dzieciństwie. Brakowało mi tylko przelatującej obok eskadry pterodaktyli.

Wszędzie, na prawo i lewo, ludzie znikali w dziurach wykopanych w czerwonej ziemi. Jeden z mężczyzn chwycił kawał skały podany mu przez dziurę, którą można się było ledwie przecisnąć. Z jego kolan i łokci kapąła krew. Odwrócił się i umieścił skałę w starym trzciniowym koszu stojącym obok.

Wyobraziłem sobie nagle graczy giełdowych zawzięcie licytujących się o ten właśnie kawał skały, gołymi rękami wyszarpnięty ziemi przez tego biedaka. A przecież to nie był wcale koniec łańcucha. Zanim surowiec ten dotrze do fabryk, aby w końcu sprawił radość zakochanym w swoich synkach-piłkarzach mamusiom na babskich wieczorkach, jego cena wzrośnie tysiąckrotnie.

Widok naszego patrolu uspokoił pilnujących żołnierzy. Ukaemy leżały obok nich na ziemi lub były oparte o skały. Tutaj nic specjalnego się nie przydarzyło.

Chłopak miał nadal skrepowane z tyłu ręce i sznur owinięty wokół szyi, dzięki czemu Sam miał go pod kontrolą. Crucial przemawiał do niego łagodnie przez całą noc. Początkowo mały opierał się jak zwierzę schwyte w pułapkę, ale łagodny głos tego dużego człowieka w końcu go nieco uspokoił. Pewnie zrozumiał, że nic mu się nie stanie - dopóki nie będzie miał samego Boga na karku.

Wlekliśmy się przez dolinę, widząc jedynie coraz więcej tego całego spustoszenia. Dym unosił się z małych ognisk. Wokół zgromadzili się ludzie. Niektórzy palili, niektórzy mieszały zawartość poczerńiałych garnków. Inni leżeli po prowizorycznymi osłonami, wykonanymi z plastikowej folii i worków pod ryżu. Dookoła nich siedzieli żołnierze z kałachami na kolanach i rozmawiali z nimi.

Z lewej strony, z górnej części doliny rozległ się okrzyk. Jedna grupa rozproszyła się natychmiast. Pod moimi stopami zadudniła ziemia, a sekundę później eksplozja rozerwała szyb, z którego lunęły na dół odłamki skał i błoto. Teraz zrozumiałem, czemu służyły nawozy sztuczne i olej napędowy.

Trudno detonujący materiał wybuchowy ANFO (mieszanka saletry amonowej i paliwa napędowego) służył jedynie do wypieprzenia w ziemi wielkich dziur. Aby doszło do wybuchu, nawóz musiał zawierać przynajmniej piętnaście procent saletry i niewiele już krajów produkowało go w takim stężeniu. Używało się go nie tylko w górnictwie i przemyśle wydobywczym, mógł się nim

także posłużyć każdy szanujący się terrorysta, który przeszedł podstawowe szkolenie lub miał dostęp do Internetu. ANFO jest kruszący; wysoko wybuchowe środki raczej niszczą na pył i nie nadawałyby się do zlikwidowania np. konwoju wozów przejeżdżających nad paroma przepustami.

Chmura czerwonego, ulatniającego się błota osiadała powoli; Sam nawet się nie obejrzał. Ruszyliśmy szlakiem dołem doliny, aż znaleźliśmy się w jej środku. Na pagórku, w odległości około czterystu metrów, w krzywiźnie podkowy, widać było rzędy namiotów i dym ognisk.

- Którędy do Nuki? - zapytałem.

Sam odwrócił się w kierunku, z którego właśnie przyszedliśmy.

- Pójdiesz w górę rzeki, a ja spróbuję zorganizować pierścień obronny. Wysłałem do sierocińca kilku tragarzy, aby sprowadzili tutaj dzieci i wieśniaków. Ty przyprowadzisz grupę Mercy Flight, OK?

Zawróciłem we wskazanym kierunku. Szlak prowadzący w górę rzeki był zniszczony, co oznaczało, że błoto było tam głębsze. Wkrótce słyszałem tylko mlaskanie moich butów i huk rwącej wody.

Potykałem się i ślizgałem, ale w końcu o co chodziło? Sama droga nie była ważna, ważny był jej cel.

Nie byłem sam na szlaku. Dogoniłem kilku tragarzy, którzy teraz gnali do domu na tyle szybko, na ile pozwalały im ich utrudzone nogi. Mimo że wyczerpani, pragnęli przeprowadzić swoje rodziny w bezpieczne miejsce.

Zanim dotarłem do pierwszych chat, czułem się, jakbym odwalił dziesięć kilometrów, a nie trzy. Rozejrzałem się. Żadnych budynków z pustaków, tu panowało tylko drewno, trzcina, liście palmowe i muł. Wokoło grzebały osowiełe kury. Pas startowy wydawał się teraz samym środkiem Manhattanu.

W gardle czułem okropne drapanie, jakbym nałykał się chrupka. Bolały mnie plecy, poraniona skóra na nogach paliła bardziej

niż pęcherze na stopach, ale dotkliwiej bolało mnie to, że nie wiedziałem, czy Silky była tu, czy nie. Jedno z dwóch, albo była, albo jej nie było. A przez ten cały czas ludzie z BAO zbliżali się coraz bardziej. Z buszu dobiegało echo wielu wystrzałów, sprawiając, że tragarze przebierali nogami trochę szybciej.

Brnąłem przez błoto ze ściskiem w dołku, podobnym do uczucia, które miewałem, gdy będąc uczniakiem, chciałem zdążyć do domu, zanim na blokowisku spuści mi manto gang przeciwników.

Wkroczyłem do wioski. Przerażeni ludzie gapili się na mnie.

- Mercy Flight! - krzyknąłem. - Czy ktoś zna Mercy Flight? Białych ludzi? Tima? Silky?

5

ercy Flight?

Nikt wokół mnie nie pokusił się o odpowiedź - zobaczyłem tylko przerażone miny, a potem tyły głów, bo wszyscy odwrócili się i pouciekali. Tak nie mogło się stać tylko dlatego, że miałem obłąd w oczach. Powodem tego musiał być odgłos odległej strzelaniny, po którym nastąpiło nadejście białego człowieka z kałsznikiem.

Pokryte plamami świerzbu kury umykały przede mną, gdy idąc, ślizgałem się w błocie. Przestraszone buzie zerkały spoza nóg matek, aż wreszcie i one zniknęły w półmroku chat. Woda deszczowa ściekała z palmowych drzew - w tej wilgoci nie miała jak wyparować.

Wieś ginęła w długiej zapadlinie pełnej błota i zrujnowanych chat. Wyglądało to tak, jakby ten, kto uprzednio bawił się w kopalni łyżką do lodów, również i tutaj użył swojego sprzętu kuchennego. Tym razem chwycił nóż do chleba i wyciął sobie nim z ziemi kromkę na śniadanie. Powstały uskok musiał pochłonąć większą część wioski.

Kilka zabloconych osób grzebało w ruinach. Dotarłem do samego prawego końca tego, co pozostało jeszcze po domostwach. I choć nie widziałem chat z obrazków w domu Sama w Erinvale, to znalazłem to, po co tu przyszedłem.

Zobaczyłem duży, kiedyś pewnie biały namiot polowy, ustawiony na skrawku otwartej przestrzeni, mokry i przechylony. Boki były podwinięte. Na dachu wymalowano ręcznie wielki

czerwony krzyż, jakby to miało w czymkolwiek pomóc. Pod namiotem, na suchej ziemi leżało lub siedziało, kołysząc się, około sześćdziesięciu osób. Byli to głównie starzy mężczyźni i kobiety, których większość miała brudne, zakrwawione opatrunki, ale wśród nich znajdowało się też kilkoro dzieci.

Wokół namiotu stały podobne do eskimoskich igloo tymczasowe schronienia, sklecone z gałęzi, palmowych liści, worków po ryżu i plastikowej folii. Jedna z ofiar sporządziła sobie kule z dwóch kijaków i kuśtykała teraz w kierunku namiotu.

Schodząc ze wzgórza, potykałem się i ślizgałem, wyęzając wzrok w poszukiwaniu bieli wśród czerni. Miałem jeszcze do pokonania około sześciu metrów, gdy w końcu ją zauważyłem. Stała w samym środku namiotu i wydawała koce z trzymanego w rękach pakunku. Poczulem ukłucie podniecenia.

- Silky!

Gdy tłum rannych mnie zauważył, podniósł lament. Silky nie słyszała mnie, zareagowała jednak na niepokój podopiecznych.

- Silky!

Obfity deszcz przykleił mi włosy do twarzy. Mijała nas jeszcze jedna burza.

Spojrzała, mrużąc oczy, aby lepiej zobaczyć tego kogoś, kto szedł w jej kierunku przez ścianę wody.

-To ja, Nick!

Wyszła w błoto ze zdumioną miną. Czyżby nie słyszała mnie lub nie widziała, że to ja? Może nie zdołała mnie rozpoznać spoza tych włosów, w mokrym ubraniu, z trzydniowym zarostem i kałachem na ramieniu, a może tylko nie mogła przetworzyć tej niewiarygodnej informacji.

-Silky! To ja!

Pokonywałem ostatnie metry, a ona stała i gapiła się. Jakiś facet wyszedł za nią z namiotu. Miał długie, czarne, kręcone włosy zawiązane w koński ogon, a na twarzy miał o wiele większy zarost niż ja.

- Nick? - Silky opadła szczęka. Nadal patrzyła na mnie, nic nie rozumiejąc.

- Ja tylko przelotem, to co, nastawisz wodę na herbatę?

Czekałem, że jej twarz złagodzi szczęśliwy uśmiech, ale nic takiego nie nastąpiło.

- Ale... zostawiłam ci przecież wiadomość...

Zatrzymałem się jakieś pięć kroków przed nią. To nie była pora na miłość ani na poważną dyskusję o przyszłości. Jej oczy przeslizgiwały się po mojej zmoczonej postaci, by spocząć w końcu na trzymanym przeze mnie kałachu.

- Porozmawiamy o tym później. Ludzie z BAO zaraz tu będą.

Ona i jej towarzysz, którym, jak przypuszczam, był Tim, mieli na sobie ciemnozielone spodnie robocze i koszulki z wieszaka pracowników miejscowej pomocy socjalnej. Z kieszonki Timowi wystawał czubek telefonu satelitarnego w przezroczystym plastikowym pokrowcu. Temu przerwy nie była potrzebna.

Znalazł się teraz przy niej. Był drobnej, niemal delikatnej budowy.

- Ty jesteś Nick?

Przecież przed chwilą to od niej usłyszał.

- Posłuchacie, zaraz będą tu rebelianci z BAO. Lepiej, żebyście natychmiast poprowadzili ludzi do kopalni.

Tim nie ukrywał obrzydzenia moją bronią i wszystkim, co w jego rozumieniu reprezentowałem. W jego głosie był spokój, ale również pewność.

- Myślisz, że nie wiemy, co się tu dzieje? Nie potrzebuję twoich ostrzeżeń ani tego, byś tu z nimi przybiegał. Popatrz tylko wokół - wskazał na pobandażowanych ludzi.

To był zdecydowanie Tim. Rozpoznałem go po głosie. Biorąc pod uwagę jego wzrost, powinien zamienić się strunami głosowymi z Crucialem. Znał sytuację, ale co z tego? To nie pomoże tym w namiocie.

- Tylko im powiedz, aby jak najszybciej wyruszyli do kopalni.
- Wyciągnąłem rękę do Silky. - Chodź, idziemy.

Nie włożyła swojej dłoni do mojej.

- Nigdzie nie pójde, Nick. Ci, którzy mogli się poruszać, już odeszli. Gdybym odeszła, ci ludzie zostaliby opuszczeni. Nie mogę im tego zrobić ani Timowi. Rozmawialiśmy o tym. Zostajemy tutaj i podejmujemy ryzyko.

Deszcz walił w płótno namiotu jak w bęben.

Wskazałem na czerwony krzyż na szczycie namiotu, mówiąc: -Czy myślisz, że ten znak cię uratuje? To nie jest jakiś hollywoodzki film, gdzie wszystko kończy się dobrze, a potem następuje miły zachód słońca. Czy sądzisz, że tamci skurwiele pomachają wam rączkami i pomaszczą dalej tylko dlatego, że łątasz paru miejscowych? Będą ich gwałcić i zabijać, a potem zrobią to samo z tobą. Jak sądzisz, dlaczego tutaj jestem, do cholery!?! Naprawdę myślisz, że przeszedłem taki kawał drogi, żeby wypić z tobą herbatkę?

Silky i Tim wymienili spojrzenia. Ona może właśnie dopiero co tutaj przyjechała, ale widać było, że łączyło ich coś specjalnego. Byli starymi przyjaciółmi, to pewne. Aby się porozumieć, nie potrzebowali nawet słów, wystarczyły spojrzenia.

No i co z tego? Teraz najważniejsze było wydobycie jej z tej zasyfionej dziury. Powiniennem uspokoić się i spróbować innej taktyki.

- Posłuchaj, chodź ze mną do kopalni, chodźcie oboje, bardzo proszę. Tamtejsi ludzie zapewnią wam ochronę. Wieśniacy już idą. Nie możesz tutaj zostać, to samobójstwo.

Popłynęła łza. Silky się przestraszyła. To dobrze. Miałem nadzieję, że przypomni sobie wszystkie plakaty wiszące na ścianie w jej biurze i dojdzie do wniosku, że mam rację.

Tim zareagował spokojnie, ale zdecydowanie.

- Po pierwsze, to te bestie z kopalni są powodem, dla którego ci ludzie żyją w strachu. Oni gwałcą, niszczą ziemię, zmuszając tych ludzi do takiego życia, jak to tutaj.

Deszcz nadal bębnił w dach namiotu, lecz żadną miarą nie potrafił zagłuszyć okrzyków bólu ludzi znajdujących się pod nim.

Tim położył dłoń na ramieniu Silky, ona zaś przylgnęła do niego. Próbowiałem tego nie widzieć, ale na próżno.

Tim zwrócił się do niej: - Nick ma rację. Idź z nim. Będziesz bardziej bezpieczna w kopalni.

Wspaniale. Zwyciężył zdrowy rozsądek.

Zacząłem się odwracać, trzymając za sobą wyciągniętą rękę, powiedziałem:

- Chodź.

Nie wzięła jej.

-Nie, Nick, nie idę. Nie mogę.

Cholera jasna. Zaczynałem tracić cierpliwość. Odwróciłem się i zrobiłem dwa kroki w jej kierunku. Nie mogłem jej przecież zagrozić, że ją zastrzelę, jeśli ze mną nie pójdzie. Jediną alternatywą było wywlec ją stąd w jakiś sposób.

Za obojgiem w namiocie zauważyłem grupę dzieci stłoczonych pod kocami. Najstarsze mogło mieć około dwunastu lat.

- Czy to są dzieci z sierocińca?

Tim spojrzął na nie i kiwnął głową.

-Straciły swoje chaty w uskoku, a kiedy usłyszały strzały, przyszły do nas.

-Posłuchajcie oboje. Musicie zaprowadzić je do kopalni - powiedziałem i wskazałem na Silky: - Spójrz za siebie, popatrz na dzieci. Kiedy przyjdą rebelianci, nie tylko zabiją dorosłych, ale zatrzymają sobie te maluchy. Tim, masz coś przeciwko temu, aby popatrzeć, jak będą gwałcić dziewczynki, a chłopców zamienią w maszyny do zabijania? - potrząsnąłem z niedowierzaniem głową. - Naprawdę chcesz na to pozwolić? Jestem pewien, że ci biedni malcy będą wynosić was pod niebiosa za to, że choć straciliście życie, odważnie nie opuściliście posterunku.

Tim spojrzął na ludzi w namiocie. Wiedział, że mam rację.

Nie popatrzawszy nawet na mnie, wszedł do namiotu i zawołał do wszystkich po francusku.

Silky zakryła oczy dłońmi.

- Nie powinienes był tu przychodzić, Nick. To tylko komplikuje sytuację.

Naprawdę? Zgoda, sytuacja jeszcze bardziej się skomplikuje, jeśli zechce zostać i uroczyście przywitać rebeliantów.

6

namiocie cuchnęło gównem i środkiem bakteriobójczym, ale przynajmniej ziemia nie była taka mokra. Zamieszanie wzrosło, gdy starzy mężczyźni usiłovali stanąć na nogach, a stare kobiety jęły zawodzić, gromadząc dobytek. Ci, którzy mogli chodzić, tłoczyli się wokół Tima, by zapytać go, co ich dalej czeka. To będzie trwało wieczność.

Z dala dobiegł odgłos serii szybkich wystrzałów z broni automatycznej, które słyshałem nawet wśród wrzawy, jaka mnie otaczała, a potem nastąpiła długa seria. Oni byli już blisko, coraz bliżej.

Podszedłem do Silky stojącej z dwoma innymi w podobnych co i ona strojach. We trójkę pomagali jakiemuś dziadkowi spakować trochę szmat i garnek. Położyłem dłoń na jej ramieniu:

- Ty i ja musimy już iść. Niech reszta idzie za nami. Wszyscy wiedzą dokąd. Mają po prostu iść wzdłuż rzeki.

Nawet na mnie nie spojrziała, nadal pomagając starcowi. Wyglądała tak odmiennie z mokrymi, brudnymi włosami, po długim marszu i z paznokciami upapranymi w błocie. Słaby cytrynowy zapach zastąpiony został przez odór wilgotnej odzieży i potu.

- Ja zostaję, Nick, dopóki nie wyruszą wszyscy.

Stałem wkurzony, podczas gdy ludzie zdierali pokrycia swoich igloo i bud, a potem ładowali to na grzbiety. Kij im w oko, poradzą sobie. Chciałem ją tylko stąd zabrać, zaprowadzić do kopalni, odebrać tamtych dwóch facetów i ruszać.

Poderwałem z ziemi jedno z dzieci tak ostro, że prawie cisnąłem nim w powietrze. Zgarnąłem tobołki ze szmatami i mu je wepchnąłem.

-*Allez, allez, allez!* Idziemy!

W końcu kilku ostatnich chodzących rannych wstało i wyszło. Nie trzeba już było dwa razy im powtarzać, jak dostać się w bezpieczne miejsce.

- Szybciej! Idziemy! Idziemy!

Brnęli przez błoto w kierunku rzeki, a ja w tym czasie wypychałem wystraszone dzieciaki spod namiotu.

Tim uganiał się wokół, szukając takich, którzy wyglądali na tyle zdrowo, aby chwycić worek ryżu lub coś, co się może przydać.

Nastąpiła jeszcze jedna, głośniejsza i przeciągła seria wybuchów, które nie miały nic wspólnego z pracami wydobywczymi - zbliżali się rebelianci.

- Tim, wyruszamy! Idziemy!

Upłynęło jeszcze dwadzieścia minut, zanim ostatni pacjent stanął na nogach i zamieszanie ustało. Wreszcie każdy wiedział, o co chodzi i każdy miał zapewnioną pomoc. Kilkoro malców było tak niesprawnych, że nie mogli maszerować samodzielnie, choć ranni nie byli. Mieli nabrzmiałe brzuchy i byli wychudzeni. Ostatecznie wzięto je na płachty z płótna albo po prostu na ręce, tak jak i jakąś chudą kurę lub inną cenną rzecz.

Chciałem chwycić Silky za rękę, by zaprowadzić ją na czoło kolumny, ale była zbyt zajęta pomaganiem innym. A niech ich... Dlaczego nie pójdzie sobie już teraz z Timem, dlaczego nie jest zadowolona, że wszyscy idą do kopalni, pod jej opiekę?

Nieźle na nią wściekły stałem i przepuszczałem kuśtykających ludzi. Dlaczego Silky wystawiła się na tak wielkie niebezpieczeństwo i tym samym zmusiła mnie, abym tu przyjechał i ją stąd zabrał? Co działo się w jej głowie? Dlaczego wyjechała bez słowa? Przecież byliśmy ze sobą.

I dlaczego miałem takie uczucia? Nakręcałem się, a przecież powinienem być szczęśliwy, że ją odnalazłem...

Znowu strzały. Strzelano nadal po drugiej stronie rzeki, ale wyraźnie coraz bliżej nas; chyba dostawało się tym biedakom przekraczającym rzekę. To kazało mi zapomnieć o sprawach z Silky.

Pieprzyć i ją, i tę całą sytuację.

Zszedłem ze szlaku i przedzierając się przez liście, usiłowałem wydostać się na czoło. Agresja była jedyną rzeczą, która mogła mi poprawić samopoczucie i tylko w ten sposób będę mógł przepchnąć ich do kopalni. Jeśli cena, jaką miałem zapłacić za pokazanie jej siebie od tej strony, miałyby zdecydować o tym, że z nami koniec, to niech tak będzie. Przynajmniej ostatecznie się przy życiu, aby mnie porzucić.

Część szósta

1

anim pierwsza fala uchodźców dowlokła się na skraj doliny, minęło ponad dwie godziny. Poważnie chorzy i ranni wlekli się dużo dalej za czołówką, ale przynajmniej przestało na nich padać. Wysforowałem się na przód kolumny, w razie gdyby czekał na nas jakiś komitet powitalny. Kto wie, jacy teraz ochraniali okolicę i jakie mieli rozkazy.

Gdy znaleźliśmy się u wlotu doliny, wysoko po obu stronach trwał ożywiony ruch. Patrol ustawiał pozycje obronne - szańce w kształcie podkowy z czerwonych kamieni. Nie wytrzymałyby one uderzenia z cięższej broni, granatnika lub pocisku 7,62 mm z ukaemu, ale dawały namiastkę bezpieczeństwa, poza tym chłopcy mogli zarzucić na nie jakieś płachty, które w trakcie niekończącego się być może oczekiwania na wroga chronić ich będą przed deszczem. Razem z żołnierzami ochraniającymi kopalnię liczba obrońców wynosiła trzydzieści-czterdzieści osób. Gdzie Standish i jego ludzie? Powinni już tu dawno być.

Wszedłem dwieście metrów w głąb doliny. Główne obozowisko mieściło się na pagórku, kolejne dwieście metrów dalej. Żołnierze zaprzestali na chwilę budowy szanów i patrzyli na nas z obu flank, jakby niepewni o co chodzi.

- Nick! Nick!

Wołanie dobiegło mnie z prawej strony. Crucial zbiegał poślizgiem ze wzgórza. Klapnął na dupę, ale utrzymał pogryzioną rękę w powietrzu, aby ochronić ją przed urazem, którego rana by nie zniosła.

Gdy w końcu dotarł na dno doliny, wyglądał jak jeden z górników: we włosach, nawet na brwiach miał pomarańczowe błoto. Również krzyż wiszący na jego szyi i nowy opatrunek na ramieniu były upaprane w błocie. W całej postaci tylko białka oczu zachowały swój naturalny kolor.

-Co się stało? Nie było cię kawał czasu. Spojrzał na mnie i dodał: - Gdzie jest twoja kobieta?

-Gdzieś z tyłu, z resztą swoich podopiecznych. Są wśród nich także dzieciaki i chorzy.

- Crucial był równie tym uszczęśliwiony, co ja wkurzony.

-Nie spodoba się to Standishowi.

-Wiem, wiem, ale pies go jebał. Jeśli ci ludzie nie dołączą do was tutaj, w kopalni, zostaną wymordowani. Gdzie mam ich ulokować?

Spojrzał na wąż ludzi, zastanawiając się, co ma zrobić z przyszymi.

- Gdzie jest Sam?

Wskazał ruchem głowy na namioty.

- Wróć tu za dwie minutki.

Odwróciłem się i poszedłem nad rzekę, by odnaleźć Silky. Moje nogi zrobiły się ciężkie. Od wczorajszego popołudnia byłem na pełnych obrotach. Potrzebowałem odpoczynku, ale w najbliższym czasie nie było na to szans. Z tego całego Mercy Flight robiła się raczej ciężka wyrypa jak w SAS-ie na selekcji niż wygodny lot.

Dotarłem do rzeki i oparty o skałę przyglądałem się ludziom wlokącym się noga za nogą. Zobaczyłem Silky z ubłoconą połową ubrania, musiała gdzieś upaść; jej włosy były upačkane pomarańczowym błotem.

Czekałem, aż podejdzie - obolały i zmachany nie miałem siły na nic więcej. Miejsca otarcia chyba krwawiły. Dopóki padało, woda obmywała je i chłodziła, teraz jednak oblepiony byłem potem i brudem, koszula ocierała o pęcherze, zupełnie jak części nie-nasmarowanego mechanizmu broni.

Poczułem się jeszcze gorzej, gdyż zobaczyłem teraz Tima, który wyłonił się za nią, zajęty ponaganiem maruderów. Na jego widok nie byłem w stanie powstrzymać się od ponownego myślenia o nas. Stefan miał słuszość. Nie wiedziałem o niej tak wiele. Kto wie, może rzeczywiście miała zwyczaj uciekać przed sprawami, które nie układały się po jej myśli? Może nie znaleźliśmy się zbyt dobrze. Ona wpada w panikę, gdy widzi mnie z bronią, ja dla odmiany obrażam się, że nie rzuca mi się w ramiona i nie gadamy sobie o przyjemnych sprawach.

Pieprzyć to. Nie chciałem już więcej o tym myśleć. Mieliśmy zadanie do wykonania.

Kiedy nadeszła, czułem się dziwnie. Nie chciałem mówić jej nic osobistego. Stała się nagle raczej jakąś koleżanką z pracy niż kobietą, z którą spałem.

- Pierwsza grupa weszła i jest w porządku. - Tu zrobiłem przerwę. - Z tobą wszystko dobrze? - Jakby odpowiedź miała brzmieć: „Ależ oczywiście, a z tobą?”.

Nie spojrzała na mnie, nie zrobiła nic, co wskazywałoby, że coś nas łączy, zbyt skupiona na pomaganiu kobiecie na szlaku.

- Tak, dziękuję.

Pozostałem z nianie po to, by ją objąć czyjej pomóc, ale tylko po to, żebyśmy razem przekroczyli strefę obrony i weszli do doliny.

Dotarliśmy do reszty grupy, teraz kierowanej przez Cruciala, do małego wklęsnięcia w dolinie po jej prawej stronie. Ludzie sadowili się w wykopach, niektórzy nawet w sztolniach.

- Silky, postaraj się wypić trochę wody, bo się odwodnisz. Zaraz przyjdę, dobra?

O rannych i chorych się nie martwiłem. Byli już jako tako zabezpieczeni. Martwiło mnie tylko to, że ona jest odwodniona. Będzie musiała wypić tak wiele płynu, że popłynie jej uszami. Jeszcze tego nie wiedziała, ale przed nami był uciążliwy dzień. Jeśli myślała, że w tej cholernej dziurze będzie odgrywać Matkę Teresę, to się myliła.

2

dy opuściłem obozowisko świeżo przybyłych i poszedłem do namiotów, Tim kroczył w dół doliny z dzieckiem na każdej ręce i płaczącą matką obok. Podziwiałem jego spokój i fachowość. Gdybym był jednym z tych biednych dzieciaków, chciałbym być blisko niego. To skłoniło mnie do pomyślenia o nim i Silky, a właściwie o tym, na ile możliwe było, że są lub mogą być razem. Wprawdzie takiego pytania zadać nie zamierzałem, ale chciałem znać odpowiedź.

Ponownie uciałem ten wątek. Miałem zadanie do wykonania, mówiłem sobie, idąc do namiotów. Górnicy, zgromadzeni wokół pustych worków po saetrze i jasnozielonych oraz żółtych bańkach z olejem do silników dieslowskich, łączyli nawóz sztuczny z paliwem, jakby mieszały w olbrzymich kotłach z owsianką, bo za chwilę przyjdą tu Trzy Misie i ich Złotogłowa. Trzeba było wszystko skończyć, zanim znów spadnie deszcz. Mieszanka musiała być absolutnie sucha, gdyż nawet jedna kropla wody pozbawiała ją właściwości wybuchowych. Nie mieli też wiele czasu, aby przełożyć mieszankę do worków i przenieść je na pozycje, zanim wszyscy popieprzeńcy z BAO, znajdujący się w promieniu pięciuset mil, zbiegną się tutaj do doliny.

Dotarłem do podnóża lekkiego wzniesienia, na którym postawiono namioty i poczłapałem w błocie w ich kierunku. Na ścieżkę rzucono w odstępach skalne bryły, aby uczynić ją mniej śliską, ale niewiele to pomagało.

Punkt dowodzenia został mądrze umieszczony. Wskazywał na i o rozległy widok na całą dolinę oraz na odległą o czterysta metrów rzekę, a także na drzewa w odległości trzydziestu-czterdzie-stu metrów za nią.

Przyjrzałem się obronie Sama. Ten stary chytry Szkot nadal wiedział, jak to się robi. Może i powierzył sprawy swojego zbawienia Panu Bogu, ale wyraźnie nie spieszył się, by wystawiać Go na próbę. Tu trzeba było postępować według podręcznika.

Chcąc obronić dane miejsce, nie dorabiasz do niego wielkich frontowych drzwi, jak to robią na filmach. Ilu byś nie ustawił obrońców u wejścia do doliny, i tak zostaniesz błyskawicznie załatwiony. Zamiast tego rozmieszczasz obronę w głębi całego obszaru. W ten sposób nie tylko twoje pozycje nie są widoczne dla nieprzyjaciela oraz zabezpieczone przed jego ogniem, ale osłaniasz również ogniem wejście do doliny i obszar położony wyżej. Jeśli któryś z szanów zostałby zdobyty, to pozostałe mogą nadal prowadzić ogień, bo są wszędzie.

Sam zapewne wyznaczył każdemu z nich sektor, w którego ramach mają prowadzić ogień. Mają się go trzymać, w przeciwnym wypadku mogliby zacząć strzelać do swoich, znajdujących się przed nimi. Wszystkie sektory będą do siebie przylegać, pokrywając siecią cały teren. Sektory strzeleckie ukaemów będą na nie zachodzić, aby wzmocnić rażenie w rogach.

Jaka to przyjemność, że najlepszy przyjaciel Boga nadal wiedział swoje! Mimo to cieszyłem się w duchu, że nie będzie mnie tutaj, gdy wszystko się zacznie. Teoria teorią, ale w praktyce Sam nadal potrzebował więcej ludzi, by powstrzymać atak, bo nawet wliczając w to oddział Standisha, miał do dyspozycji najwyżej stu. Jeśli ten raper mówił prawdę, szło już na nas ponad czterystu chłopów, a z południa nadciągało ich jeszcze więcej. Mnie, Silky i tym dwóm inspektorom wcale nie będzie łatwo nie wleźć im w drogę, nie mówiąc już o trzymaniu się od nich na właściwą odległość.

Szczyt pagórka wyglądał jak pole bitewne z czasów pierwszej wojny światowej. Grupa górników kopała cztery rowy strzeleckie z widokiem na dolinę. W błocie ustawiono z pół tuzina namiotów, a wijące się między nimi ścieżki pozarzucono splątanymi gałęziami, które w tych warunkach, jak się domyślałem, miały robić za kładki.

Z boku, w odległym końcu wzniesienia zobaczyłem, jak Sam chodzi w górę i w dół z przyciśniętym do ucha telefonem satelitarnym. Już otworzyłem usta, aby do niego zagadać, ale ruchem ręki nakazał mi, abym się zamknął. Podszedłem bliżej i usłyszałem, że wiadomości nie były dobre.

- Ilu zginęło? - Oczy mu się zwięziły. - To niedobrze, bardzo niedobrze. Jest obok mnie... OK. - Sam podał mi telefon, dodając: - Standish do ciebie - i ruszył wielkimi krokami na krawędź wzgórza, wykrzykując serię poleceń po angielsku, które ktoś da lej tłumaczył.

-Halo!

Standish był zadyszany, biegł. Jego głos raz brzmiał jak głęboki bas, to znów jak dyszkant, co przypominało strojenie instrumentów przed koncertem rockowym.

- Słuchaj... Dziesięć kilometrów na wschód od was natrafiliśmy właśnie na duży oddział BAO. Idą na północ, wcale nie kierują się do kopalni. Planują raczej najpierw połączyć się z innymi. Możesz więc natknąć się na inne grupy zdążające z południa. Ale zmiany planu nie ma. Jeśli inspektorzy nie stawią się na pasie startowym, wy też nie odleciecie.

Cokolwiek by powiedzieć o Standishu, powodzenie wcale go nie odmieniło. Był nadal samolubnym skurwielem.

Telefon zamilkł, a ja przyłączyłem się do Sama, który stał z trzema mężczyznami na krawędzi wzgórza, wychodzącej na zachodnią część doliny. Podchodząc bliżej, u ich stóp zobaczyłem tego chłopca, siedzącego na kawałku pnia. Z szyi zdjęto mu już sznur, który teraz łączył jego lewy przegub z lewą stopą. Prawą

nogę miał przywiązaną do palika białego w ziemię. Wolną ręką wyjadał ryż ze starej, porzuczonej puszki.

Sam wydał jasne i zwięzłe rozkazy, gdzie należy sypać nowe szańce, gdyż te, które były już gotowe, trzeba było porzucić. Gdy podszedłem bliżej, w najbliższym namiocie ujrzałem dwóch Chińczyków siedzących na łózkach polowych. Jeden był okrągły i tłuściutki, drugi zaś spięty i wychudzony, ale obaj mieli oczy wielkie jak spodki. Na ich twarzach widniał tygodniowy rzadki zarost, podobny do czarnych kielków soi. U ich stóp stały dwie walizy od Louisa Vuittona, a na innym łóżku, za nimi, leżały cztery granatniki. Obok stały drewniane skrzynie z pociskami, ustawione jedna na drugiej.

Sam kręcił się obok.

- Dlaczego tak długo? Tam były jeszcze dzieci? - zapytał.

Skinąłem głową i machnąłem kciukiem na wszystkich wieśniaków i maruderów z Mercy Flight. - To nie spodoba się Standishowi. Niezły kocioł.

Sam podał mi telefon.

- Teraz to on ma inne sprawy na głowie, prawie wszyscy jego ludzie padli, poza nim, Batemanem i dwoma innymi. A jeden z nich jest na dodatek ranny.

- Tooley zginął?

Sam przytaknął.

- Teraz przynajmniej nie będzie kłopotu z odróżnieniem ich od siebie. - Pojąłem już, dlaczego szańce miały być teraz gdzie indziej. Brakuje ludzi, aby je obsadzić. Sam musiał pozmieniać sektory ogniowe i porozmieszczać ludzi w jeszcze większych odstępach.

- Czy słyszałeś ogień stamtąd? Są, chłopie, coraz bliżej.

Sam spojrział w dolinę i na linię drzew.

- Ano. Może to tylko przespiegi, bo chcą zobaczyć, co tu jest grane, a może jacyś idioci pogubili się w drodze na północ, a khat tak im zacządził umysły, że jest im wszystko jedno, dokąd idą.

- Ponownie zwrócił się twarzą do mnie. - Ale to i tak nic w porównaniu z tym, co spadnie na nas. W jego twarzy widoczne było napięcie.

-Gdzie ta twoja dziewczyna?

-Silky jest tam, w tym zapadlisku, gdzie zbierają się wszyscy uciekinierzy. Czy tych dwóch Chinoli to inspektorzy? - zapytałem, wskazując palcem na tych w namiocie.

Kiwnął głową.

Obok najdalszego namiotu stał czarny plastikowy kanister.

Woda była słonawa, cuchnęła chlorem, ale napiłem się, uważając, aby nie rozlać. W warunkach polowych marnowanie wody jest gorszym grzechem niż sranie komuś na widoku, podczas gdy ten zajęty jest jedzeniem.

Odstawiłem kanister i westchnąłem głęboko.

- O, dupa blada.

Sam uśmiechnął się nieznacznie i powiedział: - Lepiej, abyś przygotował się do wymarszu. Z zamknięciem mostu czekamy tylko na Standisha.

Wypiłem jeszcze kilka łyków, a potem poszedłem na drugą stronę do poczeriałego aluminiowego gara stojącego nad ogniem na kilku kamieniach. Podniosłem pokrywę i ujrzałem gęstą, kluchowatą breję brązowego ryżu. Chwyciłem jedną ze starych puszek i nałożyłem sobie jedzenie czerpakiem.

- Nick, doprowadź ich na pas startowy i zrób coś z tą dziewczyną. Ale przyrzeknij mi, że pomyślisz o mojej ofercie, to dla mnie ważne. - Wskazał na chłopaczka. - Uwierz mi, to będzie coś znaczyć także dla niego i jemu podobnych. On, poza wszystkim, ma na imię Sunday.

Przeżułem kolejną porcję brei i ogarnąłem wzrokiem pełną ruchu dolinę. - Poradzisz tu sobie?

- Pozycję mamy dobrą. Powalczymy, zobaczymy. Nie zostawię dzieci na pastwę tych bestii, a już na pewno nie na łasce Standisha, więc sprawa jest prosta. Albo zwyciężymy, albo zgi-

niemy. Ty rób, co masz robić, ale pamiętaj o mojej propozycji. Stanowilibyśmy świetny zespół...

Przywołał ruchem ręki dwóch Chińczyków, a ci wyszli z namiotu, trzymając kurczowo swoje bagaże. Uraczyłem się kolejną porcją z gara i wskazując na ich walizy, powiedziałem: - Pozbądźcie się tego.

Popatrzyli na mnie, na siebie, a potem na Sama.

- Oni nie kapują - powiedział Sam. - Masz po prostu dużo gestykulować i dużo krzyczeć. Tak jak oni.

Położyłem na miejsce pokrywę gara, a potem wyszarpnąłem jednemu z nich walizę i rzuciłem na ziemię, mówiąc: - Żadnych bagaży - i zwróciłem się do Sama: - Miejmy nadzieję, że ktoś z nas dożyje do jutra.

- Oj tak, synu - odrzekł, zmuszając się do uśmiechu. - Jeśli nam się to nie uda, to ten tam na górze miałby się chyba z czego tłumaczyć.

W takich chwilach jak ta nie podaje się nikomu ręki ani nie bierze w ramiona. Tego rodzaju pierdoły zachowuje się na zjazdy, śluby i pogrzeby.

Zacząłem schodzić ze wzgórza. Po kilku krokach obejrzałem się za siebie. Sam powrócił do tego, w czym był najlepszy, czyli do wojaczki, a Jin i Jang, trajkocząc coś do siebie, otwierali walizki.

Zanim dotarłem na dno doliny, już zjeżdżali za mną ze wzgórza z wypchanymi kieszeniami.

3

zedłem dalej doliną z potykającymi się z tyłu Jinem i Jan-giem. Po lewej stronie, na położonym wyżej szańcu zobaczyłem Cruciala. Wbijał w ziemię długą, świeżo chyba urwaną z drzewa, cienką gałąź. Obok stał żołnierz trzymający naręcze podobnych gałęzi. W pierwszej chwili pomyślałem, że to musi być rodzaj kamuflażu, potem jednak zrozumiałem, że wyznaczał w ten sposób punkty ogniowe z każdego boku szańca. Crucial chciał mieć pewność, że naciskając na spust, ci chłopcy nie trafią nikogo ze swoich.

Gdy tak szedłem, tuż przede mną wychynęła z dziury w ziemi głowa jakiegoś chłopaka, dźwigającego kawał skały wielkości arbuza. Obok siedziało dwóch starych mężczyzn, którzy rozbijali młotami zgromadzone skałki na mniejsze kawałki.

U wejścia do doliny rozległy się okrzyki po francusku i ludzie zaczęli uciekać. Sekundę później ziemia zadudniła i zadrżała pod moimi stopami. W powietrze wyleciało mnóstwo belek i drewnianych odłamków, ja zaś skoczyłem w bok, gotowy na atak. Po chwili rozejrzałem się dookoła. Każdy powrócił do swojej pracy. Życie toczyło się dalej, pewnie wysadzono kolejną sztolnię.

Gdy zapadła cisza, usłyszałem ponaglający krzyk Sama, dobiegający ze wzgórza. Nie rozumiałem, o co chodzi, ale Sam był nieźle wkurzony.

Szedłem do wgłębienia, gdzie schronili się uchodźcy z Nuki, niektórzy nadal brnęli przez dolinę. Silky i tych dwóch z Mercy

Flight szli obok, niosąc im rzeczy i podtrzymując. Tim był dalej z tyłu, przykrywał kocem starą kobietę leżącą bez ruchu na ziemi. Na koniec nasunął jej koc na twarz. Przepchnąłem się przez tłum do Silky.

- Wyruszamy.

Nie zadała sobie nawet trudu, aby na mnie spojrzeć.

- Co? Nie możemy ich znów przynieść.

Nie było czasu na dyskusje. Chwyciłem ją za rękę, dając w ten sposób do zrozumienia, że wyciągnę ją stąd siłą, jeśli będę do tego zmuszony.

- Inaczej zginiesz tutaj. Zabieram cię do Rwandy, w bezpieczne miejsce.

Szedł do nas Tim. Na jego twarzy malował się niepokój.

- A ty, jeśli chcesz coś pieprzyć, lepiej nie otwieraj w ogóle dzioba - podniosłem palec.

Jednak podszedł bliżej. Puściłem Silky i ruszyłem w jego stronę, coś we mnie chciało konfrontacji, aby zobaczyć, co zrobi. Uderzenie go nie byłoby niczym trudnym.

Cruciał zeskoczył z podwyższenia terenu i wylądował pomiędzy nami.

- Spokojnie, Nick, wszystko w porządku.

Tim minął Cruciała, ignorując kompletnie nas obu.

- Powinnaś pójść, Silky - powiedział do niej łagodnie. - Tu nie jest bezpiecznie, a będzie jeszcze gorzej. - Zwrócił się do mnie i powiedział: - Mam obowiązek opieki. Tych ludzi już wystarcząco latami krzywdzili górnicy, BAO i inni. Ja nie mogę ich teraz opuścić, ale masz rację. Ona musi iść.

Odwróciłem się do Silky, zirytowany jego pieprzoną szlachetnością. Położył delikatnie ręce na jej ramionach.

- Pozostanie tutaj nie ma sensu. Idź, bardzo cię proszę. - Jego ręce leżały na jej ramionach chwilę dłużej. Wreszcie Silky pochyliła głowę i kiwnęła nią. Uściskali się, a następnie Tim się odwrócił i wszedł w tłum. Najwyraźniej też nie miał serca do pożegnań.

- W porządku, idziemy.

Wepchnąłem oglądającej się za siebie Silky puszkę z jedzeniem, mówiąc: - Zjedz to w drodze. Chwyciłem ją za rękę i ruszyliśmy w stronę rzeki. Crucial krzyknął do nas:

-Czekaj, człowieku, nasi już wysadzili most!

-Jakoś przejdziemy, stary, nie martw się - powiedziałem i zaciśniłem chwyt. -I pomyślę o tym, co mi powiedziałeś.

Machnąłem głową na Jina i Janga, a oni posznurowali za nami.

4

ostu już nie było. Pozostały po nim tylko po dwie kłody filarów przy brzegach. Na drodze leżały porozrzucane fragmenty głównego przęsła. Ludzie Sama starali się jak najlepiej, aby utrudnić BAO przekroczenie rzeki. Niestety, może ktoś się za bardzo pospieszył albo źle przetłumaczył, ale zrobili to za wcześnie.

Wyciągnąłem aparat nawigacji satelitarnej. Był to mały, poręczny Magellan w ciemnozielonym, gumowym pancerzu. Te urządzenia wymagają zazwyczaj kilku minut, by dostroić się do satelitów. Kiedy będzie już gotowe, wbiję namiar na pas startowy.

Przypatrywałem się trzydziestu metrom rzeki, dzielącym nas od drugiego brzegu.

Wezbrana ulewnym deszczem rzeka kolorem niewiele różniła się od doliny; będziemy musieli przeprowić się przez nią w jakimś miejscu, ale nie tutaj - tu była zbyt szeroka i rwąca. Jedyne, co mnie bawiło, to myśl, że Standish będzie musiał się przeprowić przez nią w odwrotnym kierunku.

Wróciłem do Silky, gdy zmusiła się do przełknięcia ostatniego kęsa mulistego ryżu i odstawiła pustą puszkę na poboczu szlaku.

- Czy w Nucę jest jakiś most? - zapytałem.

Potrząsnęła głową.

- Jeśli był, to i tak przecież byłby już zniszczony, prawda?

- Spojrzała na Jina i Janga, którzy jak idioci, z kieszeniami wy-

pchanymi tym, co uratowali ze swoich waliz, rozmawiali na uboczu. - Kim są ci ludzie?

-To inspektorzy. Domyślam się, że ich wykształcenie musiało być zbyt kosztowne, aby tu przepadli.

-Mówicie po angielsku?

Patrzyła na nich, lecz to ja zaprzeczyłem ruchem głowy, i w tej samej chwili Chińczycy zrobili to samo.

- Zniszczyli wioskę. Nienawidzę ich.

Nie był to czas na dyskusje.

-Słuchaj, potrzebna mi jest twoja pomoc. - Dobrze było ponownie zająć się robotą. Powiedziałem jej o pasie startowym, co miał wspólnego z kopalnią, jak daleko się znajdował i dlaczego mieliśmy się do niego dostać.

-Jeśli napotkamy kogoś z BAO, musisz robić dokładnie to, co ci powiem, OK? Będziesz się bała, nic w tym nienormalnego, ale nie wpadaj w panikę. Nie pozwól, aby strach cię obezwładnił; rób po prostu to, co ci powiem. To jedyny sposób, aby wyjść z tego cało.

Grunt wznosił się łagodnie przez jakieś dwadzieścia metrów, a potem już bardzo stromo. Ściągnąłem bagaż z pleców i pozbyłem się go. Nie było tam nic, co mogłoby mnie ochronić przed deszczem czy służyć do jedzenia, nie było wody do picia ani suchej odzieży.

Ponieważ Magellan nadal nie wytyczył trasy, postanowiłem w każdym razie iść brzegiem na południe, w górę rzeki, w przeciwną stronę niż Nuka. Tak czy owak, musieliśmy się przeprawić na drugi brzeg, a potem już Magellan może pytać tych swoich kolesiów w kosmosie, jak mamy iść.

Trzymałem się około pięciu metrów od szlaku. Dla rebeliantów brzeg byłby naturalnym traktem. W dżungli to rzeki służą za drogi, a duże rzeki za autostrady.

Z bronią w pogotowiu, z bezpiecznikiem ściągniętym o dwa oczka w dół, nastawionym na ogień pojedynczy, odnajdywałem drogę przez gąszcz, tak aby z brzegu nikt nas nie dostrzegł.

Penetrowałem wzrokiem dżunglę, ale myśli moje uciekały gdzie indziej. Co będzie z nami po powrocie? Silky nie była zachwycona moim widokiem, a szła teraz ze mną tylko dlatego, że Tim miał wystarczająco oleju w głowie i łąnamówił. Jeśli miałby nastąpić koniec między nami, to w takim razie pieprzyć wszystko - równie dobrze mógłbym wrócić tu i przyjąć propozycję Sama. Może przypilnowanie, aby ten szczeniak nie zszedł na złą drogę, pomoże mi wrócić do siebie.

Po upływie godziny dotarliśmy do olbrzymiego drzewa z bocznymi korzeniami, przypominającego grubą rakiętę z sześcioma dużymi statecznikami. Całe drzewo pokryte było gąszczem pnączy i mchu. Zamachałem w kierunku jego podstawy i pokazując Chińczykom rozpostartą dłoń, powiedziałem: - Pięć minut.

- Jakby mieli to zrozumieć.

Dopiero po chwili, gdy Silky usiadła pod drzewem, oparta o pień, klęknałem obok niej z bronią wycelowaną w kierunku rzeki.

-Jak tutaj trafiłeś? - zapytała Silky. Nie mogła złapać tchu, ale była spokojna. Jedną z rzeczy, którą zawsze u niej lubiłem, było to, że nie traciła głowy, gdy zaczynało się robić gorąco.

-Znam kilku ludzi prowadzących kopalnie.

- Jak możesz ich znać? Przecież to najemnicy, prawda?

Mój wzrok był skoncentrowany na rzece.

- Nie... Zresztą, kto to może wiedzieć... znam ich jeszcze z wojska.

Wiedziałem, że wychyla głowę, aby uchwycić moje spojrzenie, ale teren przede mną był zbyt interesujący, by oderwać od niego wzrok.

- Czy nie sądzisz, że tak naprawdę to nie wiem o tobie za wiele? Sprawilo mi niemal ulgę, że przeszła od razu do sedna.

- I chyba ja o tobie też. Zdaje się, że nie wiemy o sobie wiele rzeczy - zawahałem się. - Nie wiedziałem, że masz dyplom lekarski. Nie wiedziałem również, że zmywasz się, gdy tylko uznasz, że sprawy się zbyt komplikują albo nie idą po twojej

myśli. I pieprzysz, co inni sobie myślą. Wkurzyłaś mnie nieźle. Czy ty uważasz, że tu odchodzi jakaś gra?

Jin i Jang sprawiali wrażenie jeszcze bardziej wystraszonych niż wówczas, gdy wydzieriałem się na nich przy okazji bagażu. - Nie martwcie się - posłałem im uśmiech. - Nic złego wam się nie stanie. Ani się obejrzycie, a już Jan będzie rozpalał dla was grilla.

Silky nie słuchała. Gapiała się na mnie. - Stefan?

Ostatecznie odwróciłem się, broń trzymając jednak wycelowaną tam gdzie wcześniej.

-To Stefan ci powiedział, prawda? Co jeszcze ci mówił?

-Nic, doprawdy. Ale z tych niewielu informacji wyniosłem, że prawie cię nie znam...

Nie mogliśmy tracić więcej czasu. Martwiłem się, jak sforsujemy rzekę. Nie było nawet żadnego śladu zwięzienia między brzegami. Wstałem i poczekałem na resztę, po czym poszliśmy dalej. Przyszło nam przebijać się przez gąszcz dopóty, dopóki nie znajdziemy miejsca odpowiedniego do przeprawy na drugi brzeg, by potem ruszyć na wschód.

Sprawdziłem GPS. W końcu zaczął działać. Wpisałem pas startowy jako punkt docelowy i Magellan natychmiast poinformował nas, że mamy przepłynąć się przez rzekę, a potem iść na wschód.

P rzedzieraliśmy się w górę rzeki przez kolejną godzinę. Wykonywałem to, co należało do mnie: obserwowałem, nasłuchiwałem i od czasu

do czasu sprawdzałem nurt w poszukiwaniu odpowiedniego

miejsca do przeprawy. Przypominało mi to sprawdzanie w

kominie, czy święty Mikołaj już przybył. Na próżno. Koryto było

nadal za głębokie, za szerokie, a prąd zbyt rwący.

Musieliśmy się zatrzymać na kolejny odpoczynek. Jin i Jang byli zjebani. Wyprowadziłem ich dalej od brzegu i ruszyliśmy pod górę do gęściej zarośniętego skrawka dżungli. Schroniliśmy się za porośniętym mchem martwym pniem kolejnego drzewa z bocznymi korzeniami, które wyglądało tak, jakby przewróciło się na krótko przed odejściem z tego kraju Belgów. Klęknąłem na podściółce z opadłych liści i błota, by ubezpieczać nas od strony rzeki, a Jin i Jang pacnęli na tyłki, zasapani i spoceni. Poszeptali

między sobą i Jin wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów marki John Rolfe. Pokazałem na migi palenie i potrząsnąłem przecząco głową. Jin wykombinował sobie, że zrozumiał, o co chodzi i poczęstował mnie papierosem, a potem zaczął coś trąkotać do Janga. Położyłem palec na wargach i dodałem: - Ciii... Palenie wzbronione! Nie gadać! - Pojęli dopiero wówczas, gdy chwyciłem paczkę i ją zgmiotłem.

Wyciągnięta na liściach Silky wygięła szyję do tyłu i obserwowała moją twarz. W tej jej głowie musiało kłębić się od myśli.

. dlaczego tutaj przyjechałaś? - zapytałem.

Uniosła odwrócone dłonie i ściągnęła ramiona. - Ja po prostu...

Zmarszczyłem brwi i bardzo wolno położyłem palce na ustach. Jej ruch nie był jedynym, który przyciągnął moją uwagę. Kątem oka zobaczyłem coś w pobliżu rzeki. Bardzo ostrożnie sprawdziłem dzwignię bezpiecznika, by upewnić się, że została ściągnięta w dół i starając się nie robić zbędnych ruchów, opadłem za osłonę pnia.

Po drugiej jego stronie rozległ się krzyk, a potem śmiech. Kilka sekund później nastąpił kolejny, tym razem już bliżej.

Nadal klęczałem za pniem. Moje oczy biegały dookoła jak na sprężynach, jakbym mógł ujrzeć coś za potężnym pniem drzewa. Bo cóż innego miałem jeszcze robić? Na razie kałasznikow nie był najlepszą bronią, było nią za to dobre ukrycie się. Otworzyłem usta, aby uciszyć odgłosy wewnątrz mnie. Musiałem chłonać i przetworzyć każdy dźwięk otoczenia. Ostry wybuch pocisku 7,62 mm rozdarł ciszę, a po nim nastąpiła eksplozja skrzydeł setek ptaków, trzepocących się i skrzeczących w koronach drzew.

Wśród drzew rozległ się kolejny wybuch śmiechu. Jin i Jang popiskiwali do siebie leżąc na brzuchach, z twarzami w liściach, a ich palce ryły błoto, jakby byli w stanie wygrzebać sobie nimi bezpieczne, duże kryjówki. Oddychając uważnie przez usta, uniosłem powoli głowę i, używając liści zwisających z gałęzi jako osłony, wyjrzałem poza wiatrołom.

Przy rzece, za zasłoną zieleni, zauważyłem ruch; było ich wielu, może z dziesięciu albo piętnastu. Szli w dół rzeki. Gdybyśmy byli bliżej szlaku, weszlibyśmy prosto na nich. Snuli się po całej okolicy w grupkach po dwóch lub trzech, bez żadnego porządku, choć wszyscy byli uzbrojeni. To musieli być ludzie Kony'ego idący z południa. Pokrzykiwania i trzaski stały się głośniejsze. Jeden z facetów zapalił dwa papierosy i podał jednego koledze. Dym zawisł małymi chmurkami pod koroną drzew.

Znowu schowałem głowę, przykleknąłem i zbliżywszy usta do ucha Silky, wyszeptalem: - Czekamy. Nie ruszaj się.

Przechyliłem się w stronę Jina i Janga i szturchnąłem ich delikatnie, aby odwrócili głowy i otworzyli oczy. Pokazałem im na migi, że mają być cicho. Położyłem palec na wargach i obdarzyłem ich przesadnym uśmiechem, usiłując w ten sposób uspokoić ich tętno. Spojrzeli na mnie jak na wariata.

Pierwsza grupa głosów przybliżała się, a potem słabła, w miarę jak ich właściciele oddalali się w kierunku kopalni. Ponownie poczułem zapach tytoniu.

Na razie wszystko szło pomyślnie. W najbliższym otoczeniu nie słyhać już było żadnych głosów, nie szeleściły liście po drugiej stronie pnia.

Oddychałem wolno i płytko. Jin i Jang dygotali, usiłując utrzymać nerwy pod kontrolą. Ich twarze były napięte, a powieki mocno zacisnięte. Może myśleli, że jeśli niczego nie widzą, to ich też nikt nie widzi? A może z całej siły próbowali wyprzeć to, co się działo, a czego nie byli w stanie przyjąć.

Silky leżała zwinięta na ziemi. Oczy miała szeroko otwarte, ale nie po to, by chłonać, co tu się działo. Wbijała je we mnie.

Odezwały się głosy, bliżej od tych na drodze - kilku facetów coś do siebie szeptało. Czyżby kierowali się śladem, jaki musimy pozostawić?

Podrzuciłem broń do klatki piersiowej i zanim położyłem palec wskazujący na osłonie języka spustowego, pchnąłem delikatnie bezpiecznik do pierwszego kliknięcia.

W takich sytuacjach moja głowa zawsze się wyłączała. Nie wiem, czy to kwestia treningu, doświadczenia, czy też byłem tak wielkim głąbem, by myśleć o czymś innym niż o tym, że tkwię w gównie po pachy i niebawem przyjdzie mi zginać, więc mogę sobie pozwolić.

Jeden głos był tak blisko, że równie dobrze mógłby mówić do mnie. Był niecałe dwa metry i zbliżał się. Już za moment facet będzie mógł zobaczyć mnie za pniem. Niech to szlag!

Zerwałem się na równe nogi i wycelowałem z broni, nie przy-
mykając drugiego oka. Zarejestrowałem trzy postaci i opadłem

w dół, do półprzysiadu. Nacisnąłem spust i strzeliłem w niewyraźne twarze przede mną. Pierwszego faceta położyłem od razu. Jego krew trysnęła mi w twarz, zamazując obraz pozostałych dwóch po prawej stronie. Zamachali rękami, próbując zdjąć z pleców karabiny. Już poderwałem mój wyżej, by ich położyć - i wstrzymałem ogień.

Jeden z nich był dzieciakiem.

Celując w ziemię u jego stóp, odstrzeliłem płat ściółki. Mężczyzna uciekł, a dzieciak znieruchomiał, dygotał tylko z szeroko rozwartymi z przerażenia oczami. Próbował unieść broń. Strzeliłem mu pod nogi raz jeszcze i wtedy pojał.

Reszta ludzi na szlaku jakby oszalała - wrzaski, krzyki, bezładne strzały...

Odwróciłem się do Silky i Chińczyków: - Uciekajcie, tam na górę, już! Kilka minut temu Jin i Jang byli na granicy ostatecznego wycieńczenia, teraz lecieli jak na skrzydłach.

Zwracając się powtórnie w stronę rzeki, opróżniłem w jej kierunku magazynek. Przez te kilka sekund, podczas których zmusi to tych facetów do trzymania nisko łbów, Silky i Chińczycy odbiegną już kawałek...

Nie mogłem się powstrzymać, aby nie sprawdzić, kto leżał po drugiej stronie pnia.

Wyrząłem, z bronią nadal w pogotowiu. Jego twarz przeistoczyła się w miazgę potrząskanych kości i mózgu, ale niewielki tors miał typowy wydęty brzuch niedożywionego dziecka.

Oddałem jeszcze jeden strzał, po czym pogałem tropem Silky, zmieniając po drodze magazynek.

6

ołowa facetów za nami chyba nawet nie wiedziała, że zostali ostrzelani. Owszem, słyszeli strzały i wygarnęli na ślepo z własnej broni. W porządku. Im większe zamieszanie, tym lepiej. Jeśli jednak zdołamy dostać się na wzgórze, zejdziemy z linii ich ognia.

PDogoniłem pozostałych i przejąłem prowadzenie. Musiałem ustalić tempo biegu. W lewej ręce trzymałem karabinek, prawą wyciągnąłem za siebie, gotową do złapania Silky za dłoń. Jin i Jang musieli dać sobie radę sami.

Nie słyszałem już wystrzałów i krzyków ani czegokolwiek poza własnym oddechem. Moje nogi przestały mi ciążyć; biegłem jak olimpijczyk.

Ta euforia nie trwała długo. Usłyszałem za sobą przeszywający okrzyk.

Ktoś został trafiony.

Odwróciłem się i w błocie ujrzałem Jina z plecami wygiętymi w łuk, łapiącego powietrze. Wierzgał nogami, jakby odpędzał od siebie atakującego psa.

Jang pochylał się nad nim, dygocząc. Łzy spływały po jego pyzatej twarzy, gdy wykrzyknął coś po chińsku do swego towarzysza. Nie miałem zielonego pojęcia, co to znaczyło. Równie dobrze mógł mu kazać przestać świrować i biec dalej albo zamawiać chińskie żarcie na wynos.

Jin został postrzelony dwukrotnie: w ramię i w plecy. W klatce piersiowej widniała duża rana, którą wyszedł pocisk. Próbował

walczyć, szarpiąc rękami i głową, ale jego nogi kopały coraz słabiej.

Zanim podszedłem do niego, wydawał z siebie ostatnie tchnienie. Dotknąłem ramienia Janga: - Musimy iść!

Poza jego plecami widziałem sylwetki zdeorientowanych, krzyczących i strzelających ludzi, którzy pojawiali się ze wszystkich stron.

Pociski rozpruwały liście i fastrygowały ziemię obok nas. Kopniakiem zmusiłem go, aby się ruszył. - Jazda! Idziemy! - Pociągnąłem go za sobą i zacząłem biec, potem puściłem go i złapałem za rękę Silky. On był dużym chłopcem, poradzi sobie, ona to co innego.

7

ilky potknęła się i upadła twarzą na ziemię. Jang przemknął obok nas w panicznej ucieczce. Gdy ją chwyciłem, z nosa płynęła jej krew.

S Zagłębialiśmy się w dżunglę, usiłując dogonić Janga, który nie miał zamiaru zatrzymać się z niczyjego powodu. Jak pociąg--widmo.

Ślizgaliśmy się po mokrym mchu i potykaliśmy o kamienie, z trudem łapiąc równowagę. Upadłem i uderzyłem mocno kolanami o kant skały, poczułem palący ból. Wszędzie latały kule, dziurawiąc wokół nas drzewa.

Silky podciągnęła mnie z powrotem na nogi. Dyszałem ciężko, płuca z trudem łąpały powietrze.

Za nami usłyszałem przeciągłą salwę z broni automatycznej. Wściekle okrzyki niosły się echem przez dżunglę.

Ruszyliśmy znowu. Cholera wie, gdzie podział się ten cały Jang. Nie zamierzałem tego sprawdzać. Teraz najważniejsze było oddalić się od nich, a nie badać, co kto robi.

Osiągnęliśmy wzgórze i ruszyliśmy w dół, uwolnieni niespodziewanie od tego koszmaru za nami, choć niezawodnie czekał nas kolejny.

Gdy schodziliśmy w dół, szum wody stał się wręcz ogłuszający. Silky zmagala się ze sobą.

Potem przyszło nam się zatrzymać.

Droga została zablokowana przez czerwony, błotnisty nurt. Czyżby miała to być ta sama rzeka, która omijała wzniesienie

obok kopalni? Niech to wszyscy diabli! Tak naprawdę nie miało znaczenia, skąd płynie. Trzeba się było przeprowić.

Próbowałem znaleźć jakieś bezpieczne miejsce do przeprawy. Chyba nie miałem się co wysilać. Gdybym chciał mieć nadzieję, że prąd jest gdzieś słabszy, wystarczyło popatrzeć na powyrywane z ziemi fragmenty drzew, gnające z nurtem. Tej wody nigdzie nie da się bezpiecznie przekroczyć.

Przeszukałem wzrokiem brzeg w poszukiwaniu Janga, ale nie było po nim śladu. Cóż, czekać nie mogliśmy.

Wyciągnąłem kamizelkę na spodnie, po czym poluzowałem na dole nogawki. Ciężar wody zebranej w zagłębieniach ubrania może nieźle człowieka obciążyć - i zatopić.

- Wyjmij na wierzch koszulkę, Silky. Szybko.

Siedziała w pozycji płodowej, obejmując ramionami nogi. Z nosa płynęła jej krew, ściekając na zabłocone spodnie. Mniej więcej pół metra dalej woda gniewnie rozbijała się o skały. Spojrzała najpierw na rzekę, a potem na mnie i powiedziała: -Nie. Nick, nie damy rady.

Nie zamierzałem tego słuchać. Widziałem, jak pływała w zatoce Lugano. Jak tylko chłopcy pojawią się na wzgórzu, sama wskoczy do wody.

Zbadałem przeciwległy brzeg wzdłuż prądu po lewej ręce, próbując zgadnąć, w którym miejscu możemy wylądować. Widocznych było około dwustu pięćdziesięciu metrów rzeki, która potem skręcała i zniknęła mi z oczu. Brzeg po przeciwnej stronie wznosił się na jakiś metr nad wodę i było się czego złapać - rwąca woda odsłoniła w czerwonej ziemi zarośla i korzenie drzew. Musiałem założyć najgorsze: tuż za zakrętem znajdował się pewnie olbrzymi wodospad, a więc mamy jedynie owe dwieście pięćdziesiąt metrów, by przebyć rzekę.

Silky stała z głową ukrytą w dłoniach. Wiedziała równie dobrze jak ja, że przepłynięcie rzeki jest jedynym sposobem na wydobycie się stąd.

Wyrzuciłem do rzeki oprzyrządowanie, karabin i maczetę. Ich ciężar mógł mnie zabić, a maczeta zranić albo zaczepić o coś i pociągnąć w otchłań. GPS schowałem do kieszeni, zobaczymy, czy przetrwa tę ostateczną próbę ogniową.

Wyciągnąłem rękę i razem wkroczyliśmy do wody. Nawet nie myślałem o jakimś ciągu dalszym. I tak nie miałem wpływu na to, co potem się stanie. Woda obmywała skały i nie dało się w żaden sposób stwierdzić, jak tam jest głęboko.

Walczyłem z prądem dopóty, dopóki woda nie sięgnęła mi do pasa, a Silky do piersi. Postawiwszy kolejny krok, znalazłem się w rwącej wodzie, której całe tony napierały na moje nogi, co w każdej chwili groziło utratą równowagi. Schwyciłem mocno Silky, nie bardzo wiedząc, czy w ten sposób pomagam sobie, czy jej, lecz gdy podniosłem drugą nogę, siła prądu wyrwała ją spode mnie i zmiotła nas w dół rzeki.

Straciłem dłoń Silky.

Teraz każde musiało toczyć własną bitwę.

Z szeroko rozwartymi ze strachu oczami wpatrzyła się we mnie. Walczyliśmy o pozostanie na powierzchni i skierowanie się ku drugiemu brzegowi, lecz prąd ściągał mnie pod wodę.

achając nogami, wyostałem się ponownie na powierzchnię, zmuszając się do zaczerpnięcia powietrza przez nos, ale i tak zakrztusiłem się błotnistą wodą.

MPrzez moment widziałem Silky walczącą o utrzymanie głowy na powierzchni, potem ponownie poszedłem pod wodę. Gdy wynurzyłem się, walcząc o odrobinę powietrza, usłyszałem ją gdzieś z przodu.

-Nick! Nick!

Rozejrzałem się, ale w wodzie nic nie było widać.

Znowu prąd porwał mnie w dół i znowu w płucach miałem trochę więcej rzeki; gdy szukałem po omacku drogi na powierzchnię, prąd zaniósł mnie prawie do przeciwnego brzegu. Jego siła jednak nie osłabła. Na tym odcinku rzeka skręcała w lewo, a ja znajdowałem się na zewnętrznej części skrzywienia, gdzie siła wody była największa. Porwał mnie wir i cisnął o brzeg. Wyciągnąłem obie ręce, szukając czegoś, czego mógłbym się uchwycić.

Zmusiłem się do otwarcia oczu, ale bardzo mnie szczypały. Gdy tak działałem na ślepo, lewa ręka trafiła na coś solidnego. Zacisnąłem dłoń, lecz cokolwiek to było, złamało się. Kolejną rzeczą, na jaką natrafiłem prawą ręką, był korzeń zwisający nad brzegiem. Prąd okręcał mną wkoło i przycisnął ponownie do brzegu, aż moje nogi dotknęły dna. Trzymając się korzenia, kilka razy odetchnąłem głęboko. W dole rzeki nic się nie ruszało, prócz pojedynczych gałęzi i rumoszu, jakie przyniosła woda.

- Silky! Silky!

Zmagalem się z ciężarem wody tak długo, aż prawą ręką uczepilem się korzenia wyrastającego wyżej nad brzegiem. Podciągnalem się w górę tak, że w wodzie zostały tylko nogi.

Nagle znalazłem się na brzegu, ciężko dysząc. Gdy powróciła mi władza w nogach, stanąłem na czworakach, a potem na chwiejnych nogach.

Ruszyłem do zakrętu i z każdym krokiem nadal nie widziałem płynącej dalej rzeki. Sto metrów przed zakrętem zwalone po tej stronie olbrzymie drzewo prawie sięgało drugiego brzegu.

Na jego końcu zwisała Silky uczepiona gałęzi. Od bezpiecznego miejsca dzieliło ją tylko kilka metrów.

Zwalczyłem w sobie chęć, by natychmiast gnać do niej. Silky powinna nadal trzymać się gałęzi. Wycofałem się w zarośla i przywarłem do ziemi jakieś dwadzieścia metrów od tego miejsca, aby jeszcze raz wszystkiemu się przyjrzeć. Rebelianci mogli już wcześniej zbadać to miejsce, a nawet posłużyć się drzewem do przedostania się na drugą stronę. Byłoby więc naturalne, żeby sprawdzić jeszcze raz, bo być może i my o tym miejscu wiedzieliśmy. Drzewo runęło niedawno, od pioruna, który przepołowił pień. Jego metrowy fragment nadal sterczał z ziemi, odsłaniając swój czysty i jasny rdzeń kontrastujący z czarnymi śladami uderzenia pioruna. Będę musiał przepłynąć pięć metrów. Ostatnie spojrzenie i z rozbiegu zanurkowałem w wodę, w nadziei, że udam mi się przebyć te metry albo że prąd zwróci mnie ku drzewu.

Porwał mnie prąd, machając jak wariat rękami, brnąłem do przodu. Uderzyłem w pień w miejscu jego złamania i złapałem go, próbując nie pozwolić prądowi, by porwał mnie dalej.

Łapiąc z trudem powietrze, podciągnąłem się w górę i wgramoliłem na drzewo. Na odpoczynek nie było czasu. Poczogałem się najszybciej, jak potrafiłem, w stronę przeciwnego brzegu.

Oburącz złapałem jakąś gałąź i przygiąłem ją swoim ciężarem. Szarpiąc i wykręcając, udało mi się w końcu ją oderwać od pnia. Nie zawracałem sobie głowy obraniem jej z liści.

Silky nie powiedziała ani słowa, patrzyła tylko na mnie błagalnym wzrokiem. Ten dzień w plenerze zdecydowanie był nieudany.

Siadłem okrakiem na pniu i ściągnąłem spodnie.

-Złap to zębami! - próbowałem przekrzyczeć ryk żywiołu. Użyłem gałęzi, aby podsunąć Silky jedną nogawkę spodni zawiązaną na końcu, by łatwiej było ją schwycić. Na drugiej także zawiązałem węzeł.

-Słyszysz mnie? - krzyknąłem.

Otrząsnęła włosy i twarz z wody. Skupiła się na nogawce, która teraz była jej liną ratunkową.

Trzymając jeden koniec spodni, drugi zawiesiłem nad jej głową. Nie było mowy, aby nawet jedną ręką puściła pień - prąd by ją wtedy porwał. Najpierw musiała złapać nogawkę zębami. Manewrowałem nogawką tak długo, aż wreszcie jej się to udało. Jej mina wskazywała, że nie wypuści materiału.

- Popatrz na mnie, Silky! - musiała teraz dokładnie rozumieć, o co mi chodzi. - Gdy powiem, musisz puścić gałąź i złapać nogawkę obiema rękami. Rozumiesz?

Przytaknęła.

Owijając moją nogawkę z węzłem wokół nadgarstka, napiąłem mięśnie.

- Teraz! Już!

Puściła gałąź, łapiąc jednocześnie nogawkę obiema rękami. Gdy prąd przejął nad nią moc, szarpnięcie było tak silne, jakby cała sfera psów pociągowych ruszyła z saniami. Trzymałem mój koniec ze wszystkich sił.

-Wywijaj nogami! Wywijaj!

Prąd wody porwał ją wahadłowym ruchem w stronę brzegu jak rybę złapaną na wędkę. Chwyciła się jakiejś gałęzi, aby odzyskać równowagę, ja padłem na piersi i złapaliśmy się za ręce. Nie trzeba było jej pouczać, co ma robić dalej. Przetoczyłem się, ona zaś weszła po mnie jak po drabinie. Chwilę później leżała już bezpiecznie na twardej ziemi; kaszlała i łapała powietrze.

Podciągnąłem się na nogi i podniosłem z ziemi spodnie.

- Chodź. Musimy się gdzieś schować.

Wstała i zaraz upadła. Prawą kostkę nogi miła obrzmiała i czerwona.

Pochyliłem się, wziąłem ją na barana, jej głowa opadła na moje ramię, ja zaś, zataczając się, ruszyłem pod górę w kierunku drzew. Silky przysunęła swoją twarz ku mojej i szepnęła: - Dziękuję, Nick.

Powinna oszczędzać oddech. Byliśmy z powrotem na niewłaściwym brzegu rzeki.

9

nalazłem osłonięte miejsce i posadziłem Silky pod jakimś drzewem z olbrzymimi korzeniami. Sam też oparłem się o pień, wciągając łapczywie powietrze w płuca, rozglądałem się i

Znasłuchiwałem.

Przez huk pędzącej rzeki nie przedzierały się żadne odgłosy strzelaniny ani żadne krzyki. Przemknęli mi przez myśl Jin i Jang.

-Czy czujesz palce u nóg? Poruszaj nimi, sprawdź.

-Nick, nie zapominaj, że jestem lekarzem -jednak spróbowała poruszyć palcami i skrzywiła się. Był to dobry objaw, bo jeśli czuła ból, to znaczy, że krążenie funkcjonowało, jak należy.

Upał i wilgoć dawały mi nieźle w skórę. Wyciągając GPS z kieszeni, głośno myślałem: - Zobaczymy, czy to ustrojstwo jest wodoodporne, czy nie. -Nawet nie wiedziałem, czy w ten sposób mam ją, czy siebie samego uspokoić.

Ekran był pęknięty, do środka dostała się woda. Przyrząd był więc .do niczego. Schowałem go do kieszeni. Może uda mi się rozebrać go na części i wysuszyć, ale to będzie możliwe dopiero po dotarciu z powrotem na pas startowy. Nawet gdybyśmy spróbowali szczęścia oraz przedostali się po zwałonym pniu i przebyli owe pięć metrów wody, pas startowy był za daleko, abym dał radę dotrzeć do niego z Silky na plecach.

Silky pochyliła się, by obejrzyć but, jakby miała rentgen w oczach. Dotknąłem jej ramienia, mówiąc: - Zmiana planu.

prawdziłem zegarek wiszący na szyi. Mieliśmy popołudnie, przed nami około sześciu godzin dziennego światła. Będę ja musiał nieść, wiedziałem więc, że wkrótce nie dam rady nawet mówić.

S- Aby zejść mi z oczu, dlaczego musiałaś wybrać akurat takie miejsce? Czy na przykład Włochy nie mają wystarczająco dużo pięknych rzek, w których można by się poplukać? - próbowałem brać to lekko, ale nikogo tu przecież nie byłem w stanie oszukać.

Pokryte czerwonym błotem włosy przylegały jej płasko do głowy. Próbowала, ale nie dała rady spojrzeć mi w oczy. Zaczęła bawić się jakimś listkiem.

- Wszystko, co Stefan ci powiedział, to prawda. Tak, Nick, ja uciekam. Od wszystkiego. Zawsze taka byłem. Przecież właśnie w ten sposób spotkaliśmy się, pamiętasz ?

Przynajmniej teraz spojrzała mi w oczy przez chwilę, a ja mogłem odwzajemnić uśmiech. Melbourne - tani hostel naprzeciwko stacji Flinders Street. Wszedłem do recepcji, a Silky stała przed tablicą ogłoszeń, na której wisiała moja oferta wzięcia pasażera do Sidney w zamian za podzielenie się kosztami benzyny.

„Nie chcesz z nim jechać - powiedziałem, wskazując palcem ogłoszenie konkurenta. - Nieźle przynudza, a poza wszystkim facet lata z siekierą i morduje ludzi. Byłoby ci o wiele lepiej z tym oto - pokazałem na siebie. - Przystojniejszy i nie jest mordercą”.

Odwróciła głowę od tablicy. „A jaką wybrał broń?”.

„Lody śmietankowe. Bezpłatny rozek przy każdym tankowaniu - oznajmiłem i wyciągnąłem rękę: - Mam na imię Nick”.

Podawała mi swoją: „Silke”. Podobał mi się jej niemiecki akcent. „Jaki warunek powinien być spełniony, aby twoja oferta zawierała również tłuczone orzechy i syrop?” - jej angielska gramatyka była lepsza niż moja.

I tak to się zaczęło. Wrzuciła swoją deskę surfingową na dach mojego busika i pięć dni później, po przegadanych w fantastyczny sposób tysiącach mil drogi oraz czterech lodach waniliowych i paru owocowych dzieliliśmy już nie tylko wydatki na benzynę.

Przestała się uśmiechać.

- Mama miała zwyczaj gładzić moje włosy. Za każdym razem, gdy o niej myślę, czuję zapach jej perfum, nawet teraz. - Skubnęła listek. - Kiedy umarła, uciekałam. I uciekałam tak daleko przed wszystkim, co zbyt skomplikowane albo żeby nic nawet nie zdążyło się skomplikować. Udawałam, że żadnego problemu nie ma, a jeśli nie myślałam o nim, to go rzeczywiście nie było.

Chciałem zapytać, czemu to ja nie mógłbym zostać jej powiernikiem, ale przecież znałem już odpowiedź - nigdy nie byłem materiałem na dobrego słuchacza.

Pochyliła się, by dotknąć obolałej kostki.

- Przepraszam, Nick. Musiałam przemyśleć pewne sprawy.

Kłęknałem obok i pogłaskałem jej policzek.

-W porządku, następnym razem jedź jednak w tym celu do Butlins, dobra? - powiedziałem. Nie zrozumiała tego. Kto wie, może w Niemczech nie mają takich wiosek wakacyjnych.

-Co mówisz?

-Nic. To taki angielski dowcip - zawahałem się. - Domyślam się, że Tim też nie jeździ tam na wakacje, co?

Wytrzymała teraz moje spojrzenie i zobaczyłem łzy w jej oczach.

- Chciałam go zobaczyć. To nie tak, jak myślisz. Ale teraz jestem tutaj, no, wiesz... Zobacz, co on usiłuje zrobić. Czy napraw-

dę możemy tylko wrócić do Lugano albo do Sydney lub gdzie indziej, pić cappuccino i czuć się wspaniale?

Wstałem powoli, nie mając ochoty na dalszy ciąg tej rozmowy.

- Poczekaj tutaj, pójdę sprawdzić, co słychać.

Wspiąłem się na wzniesienie, rozglądając się, nasłuchując i uspokajając samego siebie w tej trudnej chwili. A tak naprawdę chciałem wykrzyczeć jej w twarz: - Więc przyjechałaś tutaj, aby porozmawiać z nim o nas, podczas gdy mogłaś to zrobić ze mną przy herbacie, a nie tutaj, gdzie wre wojna, a ja musiałem zabić jakiegoś smarkacza!

Zatrzymałem się. Nie słyszałem nic poza tym krzykiem w mojej głowie, ale zobaczyłem ruch w dole nad rzeką gdzie dopiero co byliśmy.

Zerknąłem w niebo i sprawdziłem kompas. Słońce stało bezpośrednio nad nami, jakkolwiek było tylko piłką próbującą przebić się przez chmury.

Spojrzałem na północ. Jeśli będziemy trzymać się wzniesień, to z czasem wrócimy w dolinę, pod warunkiem, że nie natrafimy na jakichś wrogo nastawionych ludzi. Tak czy owak, nie zamierzałem czekać do zmierzchu.

Tco robiłem przez ostatnie półtorej godziny, nie wymagało filozofii. Dźwigając Silky na plecach, czułem się, jakbym znowu taszczył stu pięćdziesięcio-kilowy plecak podczas selekcji w górach Brecons. Wszystko, co miałem do zrobienia, to marsz przed siebie z obciążeniem i jak najszybsze stawianie kroków.

Trzymałem się z dala od wzniesień terenu, gdzie zazwyczaj wiedzie szlak, posuwając się tylko u ich podnóży, by ukryć własną sylwetkę. Drogę pokonywałem partiami, w odcinkach po mniej więcej pięć metrów, wykorzystując, jak najlepiej się dało, wszelkie osłony, po czym przystawałem, aby się rozejrzeć i ponasłuchiwać oraz aby zaplanować następny ruch. Szukałem najskuteczniejszej osłony, najmniejszej liczby gładów na trasie, gęstych zarośli i wszystkiego, o co bym mógł się przewrócić. Silky nie opuszczała moich pleców. Skoro już raz tam się znalazła, łatwiej było ją tam pozostawić.

Zatrzymałem się, oparłem dłonie o drzewo i pochylony próbowałem zbalansować ciężar na plecach oraz wyregulować oddech. To wszystko nie miało końca. Nasłuchiwałem i szperałem wzrokiem między drzewami i zaroślami, szukając nieregularnych

kształtów, rozbłysków, cieni, układu obiektów w przestrzeni, sylwetek albo ruchów.

Pot spływał mi z czoła i podbródka wprost na ściółkę jak woda z topniejącego sopła.

Ptaki świergotały w koronach drzew, a cykady uruchomiły swoje tymbale. Przez wszystkie lata spędzone w dżunglach nigdy

nie widziałem żadnej z tych bestii, ale zawsze dawały o sobie znać, gotowe opanować świat.

Silky ześlizgnęła się, podpierając się na zdrowej lewej nodze, może chciała dać mi chwilę wytchnienia, może sama chciała odpocząć. Opuszczała się ostrożnie na ziemię, wspierając się plecami o pień drzewa i trzymając lewą nogę w pogotowiu, jakby prawa miała okazać się niesprawna, w końcu usiadła w błocie.

Byłem zbyt zmęczony, by zmienić pozycję, stałem więc, nasłuchując i rozglądając się. Wyjąłem także kompas, aby sprawdzić naszą pozycję. Bolało mnie wszystko, wszystko było za ciężkie. I każde skrzydlate stworzenie, poczynając od drobnicy wielkości główki od szpilki, lądowało na mnie. Spojrzałem w dół na Silky i zobaczyłem, że również jej nie oszczędzało: na twarzy i szyi miała ślady po ugryzieniach wielkości narośli u czarownicy.

Łeb mi pękał, w gardle drapało, jakbym się najadł tego gruzu, którym Cruciał powinien potraktować swoje gardło, aby pozbyć się piskliwego głosu. Wiedziałem, że byłem odwodniony i że muszę natychmiast coś z tym zrobić. Te objawy były ostatecznym ostrzeżeniem pani Natury. Potem nastąpi załamanie.

Klepnąłem Silky w ramię, oferując jej pomoc we wstaniu. Stado ptaków zerwało się gdzieś z drzew, ale na tyle daleko, że mnie to nie zaniepokoiło. Starłem się obliczyć, jak daleko jeszcze oraz ile czasu zabierze droga. Zanim nie natknęliśmy się na wroga, szliśmy około godziny, od tamtej pory posuwaliśmy się wolno około półtorej. Powinniśmy więc być w połowie drogi do kopalni, może trochę dalej.

Myślałem o potyczce z rebeliantami, a raczej o chłopcu, któremu skasowałem twarz. Wiedziałem, że jeśli teraz wrócimy do kopalni, prawdopodobnie będę miał okazję zrobić to komuś znowu.

Silky spojrzała na mnie i zapytała: - Czy wszystko w porządku?

- Tak - odpowiedziałem. Przygotowałem się do wzięcia jej ponownie na barana: - No, chodź.

Wdrapała się na mnie, jak tylko mogła najzgrabniej, nie szło jej to, zresztą nie tylko ona była wykończona. Poprawiłem ją sobie

na plecach, jakby była plecakiem, gotując się jak do ostatniego odcinka trzydziestokilometrowego biegu. Łapiąc ją za uda, podskoczyłem, by dobrze zrównoważyć obciążenie. Jej nogi zaszkrotały o rany na plecach i mało co nie krzyknąłem z bólu. Nic jednak nie dało się z tym wszystkim zrobić, musiałem wytrzymać. Pochyliłem się i jeszcze raz przytrzymałem ciężar, aby otrząsnąć z głowy krople potu. Ustaliłem kolejny odcinek drogi i ruszyłem.

Nie bardzo wiedziałem, co mam myśleć albo czuć o tej całej ucieczce Silky. Gdy jednak usłyszałem przed nami wystrzał z broni, ta kwestia przestała grać jakąkolwiek rolę.

Nie mogłem się zorientować, skąd padły strzały, bo dźwięk odbijał się o drzewa; mogły równie dobrze przyjść prosto z przodu albo lekko z prawej strony.

Stałem nieruchomo z otwartymi ustami i usiłowałem nasłuchiwać. Silky oddychała głośno prosto w moje ucho.

- Ciii... Wstrzymaj się.

Ponowna nieregularna strzelanina, potem kilka pojedynczych wystrzałów, a ja nadal nie wiedziałem, skąd dokładnie dobiegały.

Poprawiłem Silky jeszcze raz i powlokłem się dalej, bo cóż mi pozostało. Strzelanina była bez znaczenia - pociski nie trafiały ani w nas, ani nawet gdzieś w pobliże, a gdybym zatrzymywał się z powodu każdego usłyszanego strzału, nigdy byśmy nigdzie nie doszli.

Straciłem poczucie czasu i odległości, w głowie miałem zamęt, a na wargach białą pienistą ślinę.

Jakieś dziesięć metrów przed nami rozległ się przesywający krzyk. Padły strzały, długie ich serie, wszędzie latały pociski, wwiercając się w ziemię i drzewa. Nie miało znaczenia, czy te pociski były wymierzone w nas, czy ci faceci tylko się czegoś naćpali, skoro i tak nieźle mogły nas podziurawić.

Osunąłem się na ziemię, a razem ze mną upadła Silky, uderzając podbródkiem o tył mojej głowy.

Przesunąłem się na prawo w dół, ciągnąc za sobą piszczącą z bólu Silky.

trzelanina się skończyła, ale krzyki nie umilkły - dobiegały z przodu, z wyżej położonych partii dżungli. Korzystając z hałasu, przesuwałem się nadal. Im dalej będziemy, tym lepiej.

SPełzłem w półprzysiadzie, trzymając Silky za rękę, a właściwie ciągnąc ją przez błoto. Byłem bardziej skoncentrowany na hałasie niż na kierunku, w którym zdążałem, więc nie zauważyłem tego, o co się potknąłem.

Moje pojawienie się spowodowało, że w powietrze zerwało się tysiące rozgniewanych much, wirujących z mocą tornada.

Wtedy właśnie ujrzałem jedną parę stóp, ale dwa ciała.

Silky spostrzegła to samo nieco później i otworzyła usta w niemym przerażeniu.

Zabici zostali niedawno, bo krew nie zdążyła jeszcze skrzepnąć. Kawały skalpu zerwano z głów już po śmierci, choć ręce i nogi odrąbano prawdopodobnie jeszcze za życia ofiar.

Muchy powróciły do świeżego mięsa. Przyjrzałem się torsom leżących, by stwierdzić, że za paskiem dzinsów jednego z nich tkwił magazynek, a skoro tak, to gdzieś mogła być też broń.

Przekroczyłem leżące kończyny, wyjąłem magazynek i podałem go Silky. - Poszukaj - powiedziałem cicho. - Może coś jeszcze się znajdzie. Uważaj na krew.

Odeгнаłem ponownie muchy - znów wleciały w powietrze z jazgotem piły łańcuchowej w tunelu aerodynamicznym - i przeszkąłem ziemię pod korpusami.

Pod drugim ciałem tkwił kałasznikow. Chwyciłem go, lecz nie dał się ruszyć z miejsca. Muchy powróciły na ciała, które wyglądały teraz, jakby się ruszały. Silky wzdrygnęła się. Pewnie widziała już w życiu niejednego trupa, ale raczej żaden nie został potraktowany maczetą jak te tutaj.

W końcu wyszarpnąłem karabin i upadłem na plecy na ziemię. Magazynek został przestrzelony, więc jednym uderzeniem uwolniłem go, karabin był odbezpieczony, odciągnąłem tylko zamek i sprawdziłem, co było w komorze. Jedna kula. Zasuнаłem zamek i zabezpieczyłem broń.

Zacząłem się czołgać, gestem nakazując Silky, aby robiła to samo. Nie potrzebowała powtórnego zaproszenia. Słyszałem, że wymiotowała, ale sądząc po dźwięku, zwróciła raczej niewiele.

Przejdzie jej to. Odebrałem od niej magazynek i przyciskając naboje, upewniłem się, że był pełny. Wetknąłem go na miejsce i sprawdziłem jeszcze, czy siedział stabilnie.

Musieliśmy iść w stronę kopalni, próbując uniknąć niebezpieczeństw. Zeszliśmy jakieś dwadzieścia metrów niżej. Silky więcej ślizgała się, niż kuśtykała. Zatrzymałem się, sprawdziłem pozycję słońca i ruszyłem dalej na północ.

Uszliśmy zaledwie około stu metrów, gdy usłyszałem głosy.

Były stłumione, więc nie mogłem się w nich połapać. Opadłem na ziemię, potem zacząłem pełznąć, czując, jak ciało pompuje adrenalinę. Silky robiła wszystko, co w jej mocy, aby za mną nadążyć.

Z lewej strony wzniesienia znowu dobiegły niewyraźne ludzkie głosy.

Silky znajdowała się jakieś trzy metry za mną, nasłuchując, oczekiwałem więc, aż się ze mną zrówna.

Na górze nie było słychać żadnego ruchu, żadnej bieganiny, tylko głosy.

Dałem Silky znak, by została na swoim miejscu.

Nawet nie czekałem na jej odpowiedź czy skinienie głową. Chciałem dostać się bliżej źródła głosów i znaleźć jakieś wyjście

z tej matni. Z prawą ręką na uchwycie, palcem w gotowości na cynglu, lewą podtrzymując broń, jak kot począłem bardzo wolno posuwać się na łokciach i kolanach.

Zatrzymałem się, chłonąc wszystko oczami i uszami. Czemu nie wyszli sprawdzić, czy udało się im nas położyć trupem? Jeśli tkwili w jednym miejscu, na swoich pozycjach, mogli to być ludzie Sama. Tamci zabici z pewnością nimi nie byli. Ten, spod którego zabrałem broń, miał na sobie koszulkę z wizerunkiem Eminema oraz džinsy.

Pokonałem kolejne kilka metrów w stronę wzniesienia, błoto i zwiędłe liście zbierały mi się na piersi wielkim wałem. Teraz mogłem już usłyszeć to, co chciałem. Zawróciłem i poczołgałem się z powrotem do Silky.

Przybliżyłem wargi do jej ucha i wyszeptałem: - Myślę, że jesteśmy blisko kopalni. Chcę, abys zawołała do nich po francusku. Powiadom ich, że jestem Nick, przyjaciel Sama i Cruciała.

Przygotowałem się do strzału, na wypadek gdyby ruszyli w jej stronę.

- Teraz.

Zastanawiała się przez chwilę, co ma powiedzieć i odezwała się. Odpowiedziano jej po francusku. Zrozumiałem tylko *ami* i *matin*.

- Co oni mówią?

-Ciii..., daj mi posłuchać... Mówią, żeby do nich wyjść. Ani mi się śniło. Mowy nie ma bez potwierdzenia, kim są.

- Każ im opisać, jak wygląda Sam. Zapytaj, jaki ma kolor włosów.

Zrobiła to i uśmiechnęła się, tłumacząc odpowiedź.

- Mówią że jego włosy są pomarańczowe jak ziemia. Czy on jest rudy?

To mi wystarczyło.

- Powiedz im, że wychodzimy i jest nas dwoje. Kobieta jest kontuzjowana i będzie niesiona. Powiedz to tak, aby zrozumieli, zanim wyjdziemy.

Silky powiedziała im, co trzeba, a ja wziąłem jana barana i zacząłem iść pod górę.

- Krzyknij do nich, że właśnie wychodzimy.

Pochyliłem się przed pokonaniem wzgórza i ruszyłem, machając rytmicznie rękami, aby utrzymać tempo. Gdy stanęliśmy na szczycie, ujrzeliśmy dwóch mężczyzn, stojących w napięciu przed dobrze zamaskowanym szańcem.

Trzymali swoje kałasze wycelowane, palce gotowe do przyciśnięcia spustu.

Podszedłem bliżej i już widziałem tyczki z gałęzi, którymi Crucial wyznaczył sektory ogniowe. Ci tutaj musieli stanowić patrol pierwszej linii obrony, który ma w porę ostrzec przed wrogiem.

Część siódma

jednej z tyczek przymocowano sznur łączności, który prowadził w dół. Jeden z facetów szarpnął nim kilkakrotnie, drugi wyprowadził mnie z szańca, Silky miałem nadal na plecach. Teraz sznury szarpano w kolejnych szańcach, aż do wewnętrznego kordonu.

Na Prowadzący mnie zaczął też głośno ostrzegać innych, tak aby nie zaczęto do nas przypadkiem strzelać, co w moim mniemaniu było bardzo mądrym posunięciem.

Po prawej stronie, od strony rzeki dochodziły pojedyncze strzały. Nogi miałem teraz tak ciężkie, że aż zaczynałem się zataczać. Po około stu bardzo wyczerpujących krokach dotarliśmy do punktu, gdzie kończyła się zieleń i zaczynała pomarańczowa ziemia.

Znajdowaliśmy się teraz mniej więcej w połowie doliny. W dole pod nami żołnierze przebiegali tam i z powrotem, a wśród ogólnego poruszenia górnicy, posuwając się z trudem wśród skał, kopali tunele w ziemi. Jakies dwieście metrów dalej widać było przygarniętych uchodźców z Nuki. Jedni siedzieli lub leżeli w błocie, inni kryli się w jamach wykopanych wśród skał.

Nasz przewodnik skierował nas na ścieżkę wiodącą do namiotów, sam zaś powrócił do swego szańca. Zauważyłem Sama przemierzającego wzgórze i wydającego polecenia swoim ludziom.

Kopano teraz cztery okopy głębokości około półtora metra, szerokości metra i długości dwa i pół metra, a ponieważ usytuowano

je na krawędzi wzniesienia, można z nich było bronić zarówno doliny, jak flanak. Ale ci chłopcy potrafili kopać! Za każdym okopem utworzono kanał w kształcie wachlarza na wszystko, co wyrzuci z siebie do tyłu granatnik. Poszedłem wzrokiem za linią ścieżki i zdałem sobie sprawę, że cała dolina nie była tworem naturalnym - została wydłubana w zboczu wzgórza, i to nie za pomocą koparki, ale przy użyciu ANFO i gołych rąk.

Zbocze było strome i nie było siły, abym je pokonał z najcięższym w świecie bagażem na plecach oraz na uginających się nogach.

- Będę musiał iść tyłem, inaczej się nie da. Trzymaj się mocno.

Odwrociłem się i z dłońmi, kolanami i stopami w błocie począłem schodzić ścieżką w dół jak z drabiny.

- Zatrzymaj się! - Silky zeszła z moich pleców i siadła. - Tak będzie szybciej - powiedziała i zaczęła zjeżdżać na siedzeniu, trzymając uszkodzoną stopę w powietrzu, a używając rąk i zdrowej kończyny do sterowania.

Zjechaliśmy w dół około trzydziestu-czterdziestu metrów, wprost do namiotów. Poradziłem sobie z kolejnym władowaniem Silky na grzbiet, pokonaniem kilku kroków w pobliże kociołka nad dopalającym się ogniskiem.

Dołączył do nas Sam. Rozmawiał przez telefon satelitarny i miał kiepską minę.

Posadziłem Silky obok ogniska i uniosłem pokrywę kociołka. Podałem jej drewnianą łyżkę gruzłowatej brei i kiwnąłem głową w stronę kanistra, mówiąc: - Zacznij może od tego. To nie Perrier, ale woda jest czysta.

Sam milczał i słuchał. Nie wyglądał na zaskoczonego, że widzi nas znowu.

-Nick wrócił - oznajmił i odsunął od ucha telefon, abym mógł słyszeć.

-Standish jeszcze nie przeszedł rzeki?

Sam zaprzeczył ruchem głowy. - Z raną idzie mu się niemrawo, a oni idą za nim.

-Czy wie, że most został wysadzony?

-Niestety tak...

Wziął telefon.

-Co z inspektorami? Są z tobą? - Standish ledwie dyszał.

W tle słychać było strzały, jakieś jęki, a potem krzyk Batemana: - Zamknij się, pierdolony Kafirze!

-Nie. Jeden do piachu, a drugi się zgubił.

-O, kurwa!

Zobaczyłem Sundaya, teraz na uwięzi u wejścia do namiotu Jina i Janga. Wokół niego walały się kawałki papieru, spojrzał na mnie dziwnie tymi swoimi wielkimi, czarnymi oczami. Jakby wiedział, co zrobiłem z tym szczeniakiem tam przy drzewie.

Odwrociłem się, starając się skoncentrować na Standishu.

- Znam miejsce, w którym będziesz mógł przejść rzekę. - Opowiedziałem mu o przewróconym drzewie i szańcu na wzniesieniu. - Daj znać, kiedy przekroczysz rzekę. Zawiadomimy patrol.

Standish się rozłączył.

Sam sprawdził czas na zwisającym mu z szyi zegarku.

- Próbowaleś i to musi wystarczyć. Niech Standish tłumaczy resztę swojemu szwajcarskiemu bossowi. Nie spodoba mu się to z pewnością, to już piąty inspektor, który nie przeżył. Dwóch zginęło tutaj, trzech zmarło z chorób. Chińczycy również nie będą tym zachwyceni. Ale w tej chwili to nie jest nasz problem, prawda? Zostały niespełna cztery godziny jasności. Po zmroku zwykle zaczynają się tu dziać różne rzeczy. Niech więc Standish coś zrobi z tym rannym i się pospieszy.

Wróciliśmy do Silky, która próbowała podnieść do ust ciężki kanister z wodą.

- Spieprzyła sobie nogę w kostce. Będę musiał coś z tym zrobić.

Sam kiwnął głową i powiedział: - Znajdź mnie, jak tylko się z nią uporasz. Mam dla ciebie robotę.

2

ie tylko Silky potrzebowała pokarmu i płynu. Czułem się nie najlepiej. Byłem wykończony, w głowie dudniła mi jakaś szalona orkiestra wojskowa. W Lugano biegałem codziennie i trenowałem w domowej siłowni Stefana, nie byłem więc pozbawiony kondycji, ale to nie ma znaczenia, kiedy człowiek jest odwodniony i skatowany.

Zaczerpnałem kolejną porcję tej paskudnej ryżowej brei. Silky skończyła pić i oddała mi kanister.

- Wrócę za chwilę - powiedziałem i poszedłem do chłopca.

Dopiero teraz zauważyłem na arkuszach rysunki wykonane pastelowymi kredkami. Teraz Sunday rzeczywiście wyglądał jak uczeń, co jeszcze pogarszało sprawę. Rzuciłem mu moją puszkę z ryżem, a on złapał ją i zaczął chciwie wyskrobywać.

Kiedy wróciłem, Silky spojrzała z zaciekawieniem i zapytała:

- Kto to?

- Sunday. Młodociany żołnierz, którego złapaliśmy ubiegłej nocy.

Kiedy podniosłem kanister do ust, Silky wstała i pokuśtykała do chłopca. Czułem, jak płyn spływa przelykiem i napęlnia żołądek.

Moja informacja nie wywarła na Silky wrażenia. - Mój Boże, co wy robicie!?! Przecież to nie jest pies!

Próbowałem usiąść bez udziału mięśni nóg, które dawały znać, aby ich absolutnie już nie używać. I wtedy zrozumiałem, o co jej chodziło.

-To nieludzkie!

-Stop, stop, stop! - Poderwałem się i pobiegłem za nią. Ból przeszedł. - Nie podchodź do niego! - Dopadłem ją, gdy właśnie znajdowała się w dobrej odległości, aby zostać ugryziona.

- Wczoraj wygryzał ludziom z ciała mięso kawałami. Zostaw go, niech się oswoi.

-Nick, to przecież dziecko.

-Dostaje pić i jeść. Krzywda mu się nie dzieje. Chodź.

-Odprowadziłem ją z powrotem do ogniska. - On tu nie jest jedyny potrzebujący.

Gdy usiadła, wyciągnąłem jej nogę i oparłem sobie o udo. Rozwiązałem sznurowadła i delikatnie zdjąłem but. Opuchlizna nabrała teraz siarkowożółtego koloru.

Zbadałem ją najdelikatniej, jak potrafiłem.

-Czy czujesz, że coś jest złamane?

-Niewiele czuję poza bólem - wzruszyła ramionami. - Nie znalazłbyś mi jakiegoś ibuprofenu czy czegoś w tym rodzaju? I bandaży albo czegoś podobnego?

-Poczekaj - odrzekłem. - I pamiętaj, nie zbliżaj się do tego dzieciaka.

W jednym z namiotów znalazłem apteczkę i położywszy sobie ponownie jej nogę na udzie, zacząłem bandażować stopę w kostce pięciocentymetrowym bandażem. Ona ciągle mówiła, co mam robić. Podejrzewam, że jako dyżurny sanitariusz patrolu opatrywałem w życiu o wiele więcej ran niż ona jako początkujący lekarz, ale nie zamierzałem z nią dyskutować.

Siedziała, podpierając się rękami za sobą. Zabandażowałem nogę do połowy podudzia, aby kostka była porządnie ustabilizowana. Przydałby się tu zimny kompres, ale jakoś nie było go na zbyciu. Nie miałem zamiaru w tym celu marnować wody pitnej albo zbliżyć się do rzeki, gdy w jej okolicy pełno było ludzi BAO.

Dobrze mi robiło zajęcie się jej nogą, a właściwie przyjemnie mi było potrzymać ją w dłoniach.

- Zaraz wezmę cię do jednego z tych namiotów. Przede wszystkim potrzebujesz wody, pożywienia oraz odpoczynku.

Myślamy była gdzie indziej.

-Tim?

- Zaraz go odnajdę, ale najpierw zajmę się tobą.

Przełożyłem jej rękę przez moje ramię, złapałem ją wpół i pomogłem dojść do najbliższego namiotu. Opadła na łóżko, ja zaś chwyciłem ze dwa złożone koce i zrobiłem z nich podpórkę pod chorą nogę.

-Czy nadal czujesz palce? Poruszaj nimi.

Zrobiła to.

-A czy czujesz to? - Uszczypnąłem ją w palec.

Potwierdziła kiwnięciem głowy.

- Powiedz mi, jeśli będziesz czuła ukłucia albo mrowienie. Będę musiał wtedy poluzować bandaż.

Nie wiedziałem, czy ją pocałować, czy lepiej sobie pójść.

- Wróć za chwilę, zgoda? I mówię poważnie: zostaw Sundaya w spokoju. - Odwróciłem się, podniosłem kałasznikowa i odszedłem.

Znalazłem Sama na szlaku, wrzeszczącego na ludzi, którzy nie rozumieli jego fatalnej francuszczyzny, wygłaszanej na dodatek z wyraźnym akcentem z Glasgow.

-Jesteś gotów zrobić coś pożytecznego? - zapytał.

-Silky leży w łóżku. Pewnie będzie chciała pójść na dół i pomóc Timowi, ale uważam, że powinna leżeć. Czy dowodzisz z tego miejsca?

Kiwnął głową.

-Chciałbym ją zatrzymać tutaj na górze.

-Nie zamierzam zamieniać się w niankę. I tak mam pełne ręce roboty.

-Chcę, aby była bezpieczna. Nic więcej.

-Taaa, jakby... - zaczął się śmiać. - Czy ona mówi po francusku?

3

amowi oczy biegały wokół głowy, ale skupił je na mnie, gdy opowiedziałem mu o drzewie wyrwanym z korzeniami, a także o tym, że Standish ma zatelefonować, kiedy znajdzie się po naszej stronie rzeki.

S-Jeśli rzeczywiście mu się to uda. Teraz potrzebny mi jesteś do zajęcia się ANFO. Chłopcy wiedzą, jak to zrobić i zdetonować, ale nie mają pojęcia, gdzie to umieszczać. Potrzebne mi jest coś, co zatrzyma wroga przed frontowymi drzwiami - powiedział Sam, wskazując ręką na rzekę i drzewa na drugim brzegu. - Wiesz, jaka jest obecnie sytuacja. O zmroku zaatakują nas od czoła.

-Ale będą mieć po drodze rzekę, co opóźni atak.

-Ano, może. Ale tak czy inaczej, przeprawią się przez nią. Prawdopodobnie robią to już w tej chwili. Wszystko zacznie się z chwilą, gdy będzie zapadał zmrok. Zawsze tak robią, jakby mieli krowie gówno w głowie zamiast mózgowicy.

Uśmiechnąłem się mimowolnie.

Wskazał na ludzi mieszających olej napędowy z saletrą.

- Na lewo od tej grupy jest wykop. Idź tam i sprawdź, jakie mamy zapasy. Potem, jak już wszystkich porozstawiam, przyśle do ciebie Cruciala, OK? Trzeba to będzie zrobić w try miga, Nick. Potem chcę, byś przyszedł do namiotów i asystował mi przy do wodzeniu eksplozjami, kapujesz?

Nie czekał na odpowiedź; wiedział, że się zgodzę. Ruszył do swoich obowiązków, ja zaś podążyłem do chłopaków z ANFO.

Dolinę wypełniały odgłosy przygotowań, które zagłuszył uka-
em na wzniesieniu z lewej strony. Pocisk smugowy przemknął
łukiem ponad drzewami po drugiej stronie rzeki. To nie był nie-
przyjaciel, to tylko próba ognia. Obserwowałem, jak jeden ze
strzelców poprawiał regulator na przodzie komory nabojoyej,
zmniejszając szybkość odpalania pocisków.

Przyspieszyłem kroku. Jedni pochyleni nad beczkami zajęci
byli rozdrabnianiem nawozu, inni czekali w pogotowiu, by do-
łać paliwa. Nie było żadnych miarek ani wag, a całość mieszało
się ręcznie. Po prostu łączono składniki i porządnie je mieszano
- chłopcy musieli być prawdziwymi specami od środków wybu-
chowych. Na dodatek naprawdę wyglądało na to, że wiedzą, co
robią, a gotowych mieli już około trzydziestu paczek.

Za moimi plecami oddano strzał z granatnika; odwróciwszy
się, zdążyłem jeszcze zobaczyć smugę dymu nad namiotami na
wzniesieniu. Obserwowałem, jak silnik wynosi granat w powie-
trze w kierunku części doliny w głębi. Nie zobaczyłem już, gdzie
spadł, aby wybuchnąć w powietrzu gdzieś wyżej poza krawędzią
doliny. Dobry pomysł. Pewnie Sama.

Gdy dotarłem do wykopów, Sam krzyknął, abyśmy zajęli po-
zycje. Gdy rozkaz obiegł echem całą dolinę, żołnierze przerwali
zajęcia, zarzucili na siebie rynsztunek, po czym zniknęli w szań-
cach, by zająć pozycje ogniowe.

Górnicy podnieśli na moment głowy, ale szybko powrócili do
pracy, jakby nic się nie stało. Widzieli już to wszystko nieraz, a
poza tym byli prawdopodobnie bezpieczniejsi w sztolniach niż
my. Za chwilę będą jednak musieli odłożyć narzędzia: dostać je
miałem ja, niezależnie od tego, czy im się to podoba, czy nie.
Jeśli będzie trzeba, żołnierze karabinami zmuszą ich do tego.
Potrzebne mi było wszystko, co metalowe, i to już.

Przestój nie będzie długi, wkrótce wrócą do pracy, bo jak tylko
zapanuje spokój, Standish załatwi, by Lex szybko dokonał zrzutu
nowych kilofów i łopat.

Popatrzyłem na skraj doliny, skąd przyszliśmy z Silky. Patrol, na który się wtedy natknęliśmy, stawał do pozycji w pogotowiu. Sam wskoczył do jednego z szańców i upewnił się, że jego załoga wie, w jakim sektorze ma prowadzić ogień. Będzie przepytywał i sprawdzał każdego oddzielnie, już leżącego w pozycji strzeleckiej, kontrolując nawet ustawienie lufy broni. Ponieważ celowniki w kałasznikowach umocowane są wysoko na lufie, możesz myśleć, że celujesz w coś odległego o kilkaset metrów, w rzeczywistości lufę masz skierowaną prosto w błoto przed sobą. I jak robi się trochę gorąco, tak właśnie może u tych ludzi wyglądać strzelanie.

Większość ich będzie musiała strzelać na siedząco, nie tylko dlatego, że trzeba zmieniać magazynki, ale głównie z tego powodu, że magazynek do kałasznikowa jest tak długi i zakrzywiony, że przeszkadzałby w celowaniu. Wbija się po prostu w ziemię i w pozycji leżącej nie da się przyłożyć karabinku do ramienia. To wszystko nie obchodziło Michaiła Kałasznikowa- zaprojektował przedmiot, który miał strzelać automatycznie w rękach tysięcy pomyłonych Rosjan, atakujących wroga na otwartej przestrzeni.

Rozkaz ustawienia się w gotowości bojowej nie był wydany jedynie po to, aby skontrolować żołnierzy; Sam chciał mieć pewność, że kryta będzie każda piędź ziemi - błota, zarośli lub drzew - i to dookoła. Byliśmy zdecydowanie na krawędzi.

Wykop w zboczu wzgórza był wielkości garażu na trzy samochody. Gdy się tam znalazłem, uderzyła mnie duchota i zapach marcepanu. Panowało tam takie gorąco, że aż klej kapał z rolek lassotaśmy, porozrzucanych po ziemi i ubabranych w czerwonym gruzie.

Zielone drewniane skrzynki granatników z napisami w języku chińskim opróżniono i odsunięto na bok. Były też tam skrzynie z napisami po rosyjsku i wyraźnymi cyframi 7.62. Poczułem się tak, jakbym się cofnął w czasie i jeszcze raz brał udział w zimnej wojnie.

Drewniane bębny z nawiniętym ciemnobrązowym lontem ułożono w poczwórne wysokie warstwy. W pobliżu, w parcianej torbie leżało urządzenie detonacyjne. Sprawiało wrażenie, jakby trafiło tutaj wprost z kowbojskiego filmu, przypominało sprzęt, za pomocą którego Jessie James wysadzał tory kolejowe, zanim obrabował pociąg. Tragarze, załadowawszy na samolot Lexa zawartość worków, rzecz jasna nie wracali do kopalni z pustymi rękami. Za każdym razem musieli uzupełniać ów warsztacik anarchisty.

Po uzupełnieniu wody w organizmie poczułem się nieco lepiej, ale to i tak było za mało. Nadal w głowie dudniła orkiestra dęta.

Z zestawu materiałów wybuchowych wybrałem sobie każdego po trochu na później, gdy już ładunki zostaną rozmieszczone.

Wszedł Crucial, wyjmując tabletki z foliowego opakowania, pakował je sobie do ust bez popijania. Każde opakowanie zawierało rzędy białych, niebieskich i żółtych pastylek. Niezły koktajl.

Włosy i brwi nadal miał w zeschniętym błocie, lecz z jego twarzy zniknął pot. Rana krwawiła, zabarwiając ubrudzony błotem bandaż na ciemnoczerwony kolor.

Nie było czasu na pierdoły, powiedziałem więc: - Słuchaj, Crucial, potrzebuję ludzi do mieszania tego całego szajsu - i klepnąłem worek z saletrą. -Wszystko, co już przygotowali oraz tę resztę muszą mieć przy rzece, u wlotu doliny. Zacznijmy od układania ich po - patrząc stąd - prawej stronie, dobra?

Crucial krzywił nosem na panujący zapach. Może nigdy jeszcze tu nie był.

- Przypomina mi to zapach ciasta, które Sam upiekł raz w misji na Boże Narodzenie, gdy byłem mały. Jaki masz plan?

Wziąłem w rękę szpulę lontu.

- Zgotować im niezapomniane przywitanie. W postaci największych na świecie odłamkowych min kierunkowych.

Błysnęły - nawet w ciemności - diamenty w jego zębach:

-Będzie zabawa! - On naprawdę miał z tego radochę.

-Chyba coś z tobą nie tak - potrząsnąłem głową.

Crucial uśmiechnął się jeszcze szerzej: - A co mam do stracenia?

Nie miałem czasu na odpowiedź.

- Chcę, aby wszyscy górnicy oddali swoje kilofy i łopaty. Wszystko, co metalowe, nawet garnki i patelnie. Te miny mają być duże, mają zaszkodzić. Jeśli oni nie będą chcieli oddać narzędzi, wetknij im w dupę lufę albo dwie, to zrozumieją. Czy tamto miejsce jest osłaniane?

Skinął głową.

Wyruszyłem tak szybko, jak mogłem, czyli raczej wolno. Gdy znalazłem się powtórnie na dnie doliny, z nosem pełnym marcepanowych oparów, z rękami pełnymi kałasznikowów, bębniem z lontem i drewnianą skrzynką kruszącego materiału wybuchowego, znowu chwiałem się ze zmęczenia. Orkiestra wojskowa nie przestawała grać mi w czaszce, a na domiar wszystkiego coraz trudniej mi było wyciągać buty z błota. Stopy ciążyły jak wypakowane do ostateczności wojskowe plecaki.

Gdzieś z tyłu Crucial wrzeszczał na górników i mieszaczy saletry. Sam ganiał od szanca do szanca, sprawdzając sektory ogniowe. Gdy skończy, chłopcy będą mogli przyjąć pozycję spoczynną, ale zostaną na swoich miejscach z całym rynsztunkiem, w pełnej gotowości.

Przeszedłem na teren, gdzie zgromadzono tłum uciekinierów z Nuki. Nigdzie nie było śladu Tima, ale miałem pewność, że on i jego ludzie zajęci byli gdzieś swymi podopiecznymi. Do zebranych dołączyła grupa tragarzy, niektórzy z rodzinami. Wyglądało na to, że chodzących rannych nakłaniano do schronienia się w kopalnianych szybach; niektórzy już tam byli, jak londyncyzy w metrze podczas niemieckich ataków na Anglię. Nie protestowali, wiedząc równie dobrze jak my, że zaraz rozpęta się piekło.

Dzieciaki Sama wyglądały tak samo jak wówczas, gdy zobaczyłem je po raz pierwszy: siedziały obok siebie zawinięte w koce. Podobnie jak Sunday, przyglądały się wszystkiemu, co działo się wokół, ale ich pozbawione wyrazu oczy wskazywały, że są chyba przybyszami z innej planety. Co by nie mówić, to musiało być przytłaczające, okropne miejsce.

Mój plan z minami kierunkowymi był nieskomplikowany - musiał taki być ze względu na brak czasu, a poza tym proste rozwiązania lepiej się sprawdzają w praktyce.

Zamierzałem sporządzić tylko dwie olbrzymie miny, używając ANFO oraz tyle metalu, ile uda mi się skruszyć, następnie umieścić je w ten sposób, że zakosztuje ich każdy, kto szedłby wzdłuż rzeki albo przez rzekę.

Miny kierunkowe nie są wyszukane. Nawet te fabryczne, produkowane przez Amerykanów, są po prostu ładunkami wybuchowymi o kształcie, który pozwala wyrzucić masę stalowych kulek do przodu, jak śrut z dubeltówki. Klasyfikowane są jako niewielkie miny przeciwpiechotne, ale te, które zamierzałem skleić, będą wielkie i przeciwko wszystkiemu.

Szedłem ku wejściu do doliny, walcząc ze słabością w nogach i z bólem głowy. Być może kłopot z nimi nie brał się z odwodnienia; może powodowało go to, że nie potrafiłem przestać myśleć o tym, co Sam powiedział mi o szwajcarskim bossie Standisha i jego chińskich powiązaniach.

4

tyłu formował się ludzki szereg, w którym każdy wózek załadowany był plastikowymi workami z materiałem wybuchowym.

ZKrzyknąłem w górę do posterunków w szańcach, że wyruszam do ujścia doliny. Chciałem, aby dokładnie wiedzieli, kto będzie przechodził przez ich sektory ogniowe. - Przechodzę! Przechodzę! - po czym gestem kciuka i machaniem rękami dziękowałem im za uwagę.

Potrzebne mi były dwa niezbyt głębokie doły, po jednym z każdej strony. Założenie było takie, że w momencie zdetonowania miny płytki dół powstrzyma większą część głównej siły eksplozji i spowoduje, że umieszczony z przodu szrapnel polecą prosto w nadciągającą armię nieprzyjaciela. Kłopot polegał na tym, że mieszanka saletry i paliwa tworzy materiał wybuchowy o niskiej sile eksplozji. Szybkość spalania jest powolna i wynosi poniżej sześciu tysięcy metrów na sekundę. Z tego właśnie powodu taki materiał wybuchowy używany jest w kopalniach i do wysadzania lejów. Materiał wybuchowy o dużej sile eksplozji, który miałem w skrzynce pod pachą, eksploduje niemal natychmiast i wytwarza falę uderzeniową, którą można skierować ku wrogowi.

Przy większej ilości materiału silnie wybuchowego, czyli HE, mógłbym skonstruować ładunki z beczek po oleju napędowym -umieścić na ich dnie HE, nasypać metalowego złomu aż po czubek i skierować je w strefę rażenia. Jednak w wypadku materiału o-ni-

skiej sile eksplozji musiałem spróbować ograniczyć siłę wybuchu i skierować ją w jedną stronę. Ładunek i tak wyrwie kawał ziemi ze zbocza, ale przy odrobinie szczęścia uda mi się większość siły wybuchu skierować do przodu - prosto w nos BAO.

Nigdy wcześniej nie robiłem niczego z tego typu materiałów wybuchowych, zawsze wykorzystywałem środki silnie wybuchowe. Niemniej jednak nadal było dla mnie logiczne, że między samym środkiem wybuchowym a metalem - który, mam nadzieję, uda mi się zebrać i tam umieścić - musi być jakiś bufor, w tym wypadku gruba na przynajmniej trzydzieści pięć centymetrów warstwa błota. Bez niej bowiem wysoka temperatura wytwarzana w momencie wybuchu stopiłaby po prostu metal na wielką rozżarzoną kulę - co może być pomocne przy próbie przebicia pancerza czołgu, ale nie wtedy, gdy chce się doprowadzić do ogólnej dewastacji wszystkiego wokół.

Miałem nadzieję, że owa warstwa izolacyjna da gazom w minie jedną nanosekundę na wytworzenie ciśnienia, zanim się przebiją, wyrzucając po drodze odłamki metalu w kierunku ludzi z BAO w całej strefie rażenia. Część tej energii zostanie oczywiście zużyta na zrobienie dość okazałego krateru, ale miałem nadzieję, że uda mi się skierować przynajmniej sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt procent fali ciśnieniowej na zewnątrz na wszystkie cele.

No nic, nie było co dalej rozważać. Istniał tylko jeden sposób, aby się dowiedzieć, czy to zadziała.

Polazłem w górę i w dół po pochyłości po prawej stronie wejścia. Idealna dziura powinna znajdować się przynajmniej trzy metry nad dnem doliny, aby rozrzut obejmował całą strefę rażenia.

Szukałem też optymalnego kąta, chciałem bowiem, aby gdy ładunek zostanie zdetonowany, jego rozrzut sięgnął dwieście metrów nie tylko przodu doliny, ale także brzegu rzeki w stronę Nuki oraz drzew po jej przeciwległej stronie.

Zamierzałem zrobić dokładnie to samo po drugiej stronie wejścia do doliny, wtedy rażenie rozciągnie się na teren, którym

szedłem z Silky w górę rzeki. Podobnie jak strefy ogniowe ukamieńców nakładały się na siebie jak okręgi w diagramie Venna, tak w rezultacie nałożenia się stref wybuchu min w ich zasięgu nikt nie powinien przeżyć.

Znalazłem coś, co było raczej wykopem niż szybem, pasowało więc wyśmienicie. Wykop wyglądał tak, jakby porzucono go, natrafiwszy na jakąś szarą skałę albo komuś się po prostu znużyło. Tak czy owak, jama pozwalała doskonale ukierunkować eksplozję. Gdyby był to szyb, większość siły eksplozji poszłaby w grunt.

Jama wyglądała na czyjeś siedlisko. Niedopałki w ogrodzonym kamieniami niewielkim palenisku i nieodzowny w tych stronach aluminiowy garnek. Na ziemi leżało kilka koców. Kimkolwiek byli mieszkańcy, gdy skończę tu gruntowny remont, będą musieli zgłosić się ponownie do jakiejś agencji mieszkaniowej.

Jama miała jakieś trzy metry szerokości, przy wejściu wysoka na mniej więcej dwa i na dwa głęboka. Położyłem się na środku, aby sprawdzić, jakie będą kąty eksplozji. Produkty spalania będą szukały sobie najprostszej drogi wyjścia, początkowo skierują się więc do przodu, następnie rozszerzą się na prawo i lewo, w górę i w dół - trochę tak jak śrut w strzelbach facetów w tweedowych ubrankach pozwala im sądzić, że ukatrupili bażanta, bo są świetnymi strzelcami.

Pot spływał mi po twarzy, a wszystkie gnaty bolały tak, jakbym złapał grypę. Na domiar złego na lewym przedramieniu rosła mi piekąca gruda, którą rozdrapywałem przez ubranie. Kusiło mnie, aby poleżeć sobie dłużej i dojść do siebie.

Chciało mi się lać. Nie powinienem już tracić więcej płynu, ale musiałem to zrobić. Rozpiąłem rozporek i spryskałem błoto. Mocz był ciemnożółty i cuchnący, co oznaczało, że byłem nadal niebezpiecznie odwodniony.

Jeden rząd worków chciałem umieścić w głębi pod ścianą, a na nim drugi. Chodziło mi o reakcję łańcuchową. Worki muszą leżeć

ciasno, tak aby się stykały ze sobą, lecz znowu nie za ciasno. Jak się wszystko ściśnie za bardzo, może nie dojść do wybuchu.

Pojawił się Crucial z dwoma żołnierzami i pierwszy worek znalazł się na swoim miejscu. Z szyj zwisało tym ludziom tyle taśm z nabojami, że ważyły chyba więcej niż oni sami. Przygięci pod ich ciężarem wlekli za sobą karabiny za uchwyty.

Z twarzy Cruciala zniknął już uśmiech, było za to na niej mnóstwo potu. Wokół ust miał warstwę białej piany. Nie tylko ja potrzebowałem tu płynu.

-Oni będą osłaniać obie drogi dostępu ze szlaku - oznajmił Crucial tym swoim dyszkantem. - Gdy zaczną strzelać, wracaj prosto w dolinę i pozostaw obronę im, OK? Przejmę teraz robotę.

-A co z metalem? Chcemy złożyć ładunki.

Odwrócił się i poinstruował po francusku swoich odchodzących już ludzi.

- Nie martw się, jest w drodze. Ja zostanę z tobą. Poukładaj tylko wszystko, człowieku, a ja już zrobię resztę.

Powietrze stało się gęste od pochrząkiwań i stękania, gdy ludzie pochylali się, składając ciężkie ładunki na ziemię. Umieściłem na spodzie osiem worków, na nich jeszcze osiem, a potem sześć. Wyglądało na to, że będę mógł dodatkowo ustawić trzy rzędy na przodzie.

W porządku. Crucial miał rację. Powiniennem zająć się własną działką, jemu zaś pozwolić martwić się tym, co należy do niego.

Czekałem na kilka ostatnich worków, które miały zostać wniesione i złożone w jamie. W sumie powinno ich być czterdzieści lub

niedużo więcej - wystarczyłyby do rozpieprzenia całej Izby Gmin.

Chłopcy od saletry zajęci byli produkowaniem kolejnych

wsadów, które - skoro już się rozkręciliśmy - wystarczyłyby do

zburzenia Westminster Abbey.

Otworzyłem skrzynkę z HE. To, co w niej znalazłem, było niestety tym, co Chińczycy tylko tak nazywali, choć, nie powiem, robiło efekt. W chwili gdy podniosłem pokrywę, w powietrze uniosła się fala marcepanowego zapachu, a mnie jeszcze bardziej zakręciło się w głowie.

Brytyjski PE4 lub jego amerykański odpowiednik C4 był nietoksyczny i bezwonny, ale z tym świństwem tutaj, wyprodukowanym w chińskich czy wschodnioeuropejskich fabrykach, to nie były przelewki: dostarczał użytkownikom bólu głowy stulecia.

Materiał był ponadto czuły na wstrząsy i mógł wybuchnąć pod wpływem uderzenia pociskiem o dużej prędkości. Nawet pocisk z granatnika, wybuchający niespełna pół metra dalej, wytwarzał wystarczająco dużą falę uderzeniową, by wszystko to diabli wzięli. Środek więc nie za dobry, gdyby się chciało, nie będąc zbyt sprawnym w celnym strzelaniu w głowę, załatwić jakiegoś uzbrojonego w bombę samobójcę - ale robił łubudu, a o to mi chodziło.

Podniosłem pierwszą z trzech zielonkawych jednokilogramowych kostek. Chwila kontaktu materiału z posiekaną i poobcieraną skórą moich rąk sprawiła, że poczułem się, jakby użądlił mnie rój pszczół.

Gniotłem zieloną bryłę, aż zrobiła się ciepła i miękka, i już po chwili nabrała konsystencji ciastoliny Playdoh. Nadałem jej kształt niezbyt okrągłej kuli i porobiłem w niej moimi sztywnymi paluchami wgłębienia, aż przypominała świeżo rozpakowaną, gotową do spożycia czekoladową pomarańczę marki Terry.

Sięgnąłem po szpulę lontu nasyconego innego rodzaju środkiem wybuchowym o dużej sile eksplozji. Nie widziałem, jakim i czyjej produkcji. Miałem tylko nadzieję, że ten lont zainicjuje kulę HE, którą z kolei wcisnę do saletrzano-paliwowej mieszanki. Zachodnie lonty dostarczano w zwojach długości sto pięćdziesiąt do dwustu metrów, nie wiedziałem jednak, jak długi był ten, którym dysponowałem, choć wyglądał na dłuższy.

Zawiązałem sporo węzłów na jego wolnym końcu, aż zrobił się z tego okazały kłęb. Okleiłem go następnie kulą HE i odłożyłem na bok. Poszukałem ręką szczeliny między workami i wetknąłem kulę w ich ostatni rząd. Rozwinąwszy lont ze szpuli, owiązałem nim jeden z worków na przodzie, aby go w ten sposób zakotwiczyć. Nie chciałem bowiem, aby jakieś przypadkowe pociągnięcie za lont wyrwało węzeł z kuli. Sprawdziłem delikatnie, czy pętla trzyma, jak powinna. Jeśli impuls inicjujący podróżuje za długo i natrafia na jakąś przeszkodę, niekiedy potrafi po prostu się zatrzymać, podobnie jak woda w wężu ogrodowym. Cała energia inicjująca musi mieć możliwość swobodnego przepływu.

Wyszedłem tyłem z jamy, odwijając lont, aż dotarłem do mojego kałasznikowa. Wziąłem karabinek i skrzynkę z HE pod pachę i potykając się, pobrałem na drugą stronę wejścia do doliny.

Kiedy zauważyłem Cruciala, krzyknąłem na niego: - Hej, potrzebuję ludzi z łopatami. - Z tym całym szajsem w rękach próbowałem pokazać mu na migi człowieka kopiącego w ziemi. - Przyślij ich tutaj!

Odwinąłem jeszcze więcej lontu, skontrolowałem, czy się nie skrecił i zasuplił, po czym poszedłem szukać miejsca dla drugiego ładunku wybuchowego.

6

łaśnie z nie tak znowu daleka dobiegły pojedyncze wystrzały z broni palnej, gdy zjawił się Cruciał prowadzący sześciu nieźle wkurzonych górników z łopatami i kilofami. Nie byli zachwyceni pomysłem pozbawienia ich narzędzi, ale wyjaśniłem, o co mi chodzi i resztę pozostawiłem Cruciałowi.

W

Sam posprawdzał już szanice, więc żołnierze rozluźnili się ponownie, ileż można utrzymywać się w stanie najwyższej uwagi. Mieli jednak zostać na swoich pozycjach, choć nie w gotowości strzeleckiej. Mimo to nie pozwoliłem sobie na nieuprzedzenie ich krzykiem, że idę w ich stronę.

Rozwijając kolejną porcję lontu, przymknąłem na chwilę moje zaklejone brudem oczy. Co za cudowne uczucie! Mógłbym tak trzymać je zamknięte jeszcze godzinami.

Gdy otworzyłem je ponownie, zobaczyłem Tima idącego w kierunku wejścia do doliny. A on myśli, że dokąd idzie, do cholery!?

-Tim! Tim!

Nie zatrzymał się, spojrzął tylko na mnie i wskazał ponad świeżo złożone worki z ANFO.

- Nie idź tam! Zatrzymaj się!

Nic z tego. Krzyknął tylko: - Nuka - i poszedł dalej.

Minął worki z materiałami wybuchowymi, doszedł do szlaku, skręcił w lewo i ruszył wzdłuż rzeki.

Ludzie w szańcach patrzyli na niego jak na wariata, którym chyba po prostu był.

- Tim, poczekaj! Poczekaj!

Rzuciłem bęben i skrzynkę i pobiegłem. Jakby na podkreślenie tego, co chciałem mu uświadomić, z drugiego brzegu rzeki dobiegła seria z broni automatycznej. Strzelano z pewnej odległości, ale jak na mój gust wcale nie tak daleko.

Zawołałem go po imieniu.

Stanął wreszcie. Koszulkę miał mokrą od potu, dyszał ciężko. Popędziłem do niego.

- Muszę wracać, Nick. Potrzebuję przynieść więcej zapasów. Wiem, co się będzie działo. Muszę mieć mój worek.

Pokręciłem głową.

- Są zbyt blisko. Niebawem zaatakują. Zacznie się to z chwilą zapadnięcia zmroku.

- Muszę zaryzykować. - Wytarł pot z twarzy wierzchem dłoni i poszedł dalej.

Szedłem obok niego i tłumaczyłem mu, przekrzykując ryk rzeki. - Słuchaj, chłopie, przepraszam, że wtedy się tak najeżyłem. To było głupie. Nie powinienem tego robić.

Poślizgnął się i wylądował na kolanach. - Najeżyłem? Co masz na myśli?

- Nic. Nie przejmuj się. - Kucnąłem obok niego, by stanowić jak najmniejszy cel.

Podziękował skinieniem głowy.

- Jak ona się czuje? Ten facet z diamentami w zębach powie diał, że wróciliście.

- Czuje się dobrze. Skręciła nogę w kostce.

Wyraźnie mu ulżyło.

- Powiedziałem jej, że powinna była zostać w Lugano i najpierw z tobą porozmawiać, zanim przyjedzie tutaj. Mam nadzieję, że między wami wszystko się układa - uśmiechnął się do mnie, wstał i ruszył dalej.

Szedłem za nim.

- A co z tobą?

Przystanął i rzucił na mnie spojrzenie. Z drugiego brzegu sły-
chać było strzały.

- Nigdy nie skrzywdziłbym jej, Nick. Nigdy. - Spojrzał przed
siebie i powiedział: - Muszę przynieść mój worek. Powinieneś
wracać i zrobić to, co masz do zrobienia. Ja sobie poradzę.

Powstrzymałem go ruchem ręki.

- Jeszcze jedno... Stefan. Czy on jest pośrednikiem tej kopal-
ni?

Spojrzał na mnie zdziwiony, że o tym nie wiem.

- Stefan zawsze kręcił się tam, gdzie panuje śmierć, korupcja
i cierpienie.

Zawróciłem. Ja cię kręcę! To nie tylko o Silky tak niewiele
wiedziałem. Czy to Stefan telefonował do Standisha? A co z tymi
Chińczykami? Czy powierzyli Stefanowi kontrolę nad kopalnią
i tak długo nie martwią się tym, co się tutaj dzieje, jak długo
otrzymują statkami transporty rudy cynowej?

A jeśli wiedział o tym Tim, wiedziała też Silky.

Wszystko wskazywało na to, że raczej wcześniej niż później
będę miał okazję, by z nią o tym porozmawiać. Gdy
powracałem w dolinę, Silky, oszczędzając stopę, kuśtykała
właśnie dookoła nasypu kilka metrów od naszego ładunku. Na jej
twarzy malował się niepokój. - Tim! Dokąd on idzie?

7

ty wyprawiasz, do jasnej cholery? Chowaj się!

-Dokąd poszedł Tim?

-Ukryj się!

Cchwyciłem ją i zawlokłem pomiędzy wykop z materiałami wybuchowymi i usypisko. Próbowiała ochronić chorą nogę, ale jej udręczona mina wskazywała, że nic z tego nie wyszło.

-Poszedł po jakieś klamoty. Niedługo wróci.

-Do Nuki? Czemu go nie powstrzymałeś? Dlaczego nie poszedłeś razem z nim? - Nie potrafiła ukryć przerażenia, gdy patrzyła w stronę rzeki. - Oni będą tutaj w każdej chwili. Słyszałam, jak Sam to mówił.

-On jest dorosły. Namawiałem go, aby został, ale nie chciał. Powiedział, że sam odpowiada za to, co robi.

-Dlaczego nie poszedłeś z nim, aby go chronić?

-Wiedział, że muszę wrócić, aby pomóc w obronie, w przeciwnym razie nikt z nas nie wyjdzie stąd żywy - powiedziałem, wskazując na jej podopiecznych z Nuki. - Z nimi włącznie.

-Znasz dobrze dżunglę, prawda?

-Nie ma teraz czasu - to rzeczywiście nie była stosowna pora, choć sam miałbym do niej kilka pytań. Podniosłem się i poszukałem wzrokiem Cruciala.

-Wracaj do Sama. Poproszę kogoś, aby...

-Nie pójdę, Nick. Chcę mieć pewność, że Tim jest bezpieczny. Poza tym potrzebna jestem jako tłumacz, prawda?

Zauważyła moje zastanowienie. - Możesz tracić cenny czas na kłótnie albo zająć się tym, co masz do zrobienia. Będę pomocna, też chcę żyć, uwierz mi.

Miała rację. Liczyła się każda chwila. Odwróciwszy się, po raz kolejny zaoferowałem jej miejsce na moich plecach. Następnie złapałem kałacha i poszliśmy w kierunku pierwszej miny.

Crucial biegał po dolinie, krzycząc na górników, by oddawali swoje narzędzia. Nie zamierzał przemawiać im ani do serca, ani do rozumu. Ich szereg wił się teraz w stronę wykopów przed nami, obładowany młotami, szpadlami, garnkami, patelniami, chochlami i innym żelastwem.

Dotarliśmy do miny.

-Dobra, odpracuj teraz tę przejażdżkę. Powiedz im, by zaczęli ładować przyrządy do wykopu. Ciasno i po sam sufit. I powiedz, by nie dotykali brązowego przewodu leżącego w błocie.

-Brązowego przewodu?

-To lont. Koniecznie powiedz ludziom, aby go nie ruszali, dobra?

Silky przekazała moje polecenie, ale oni nadal nie byli szczęśliwi z pomysłu.

- Powiedz im, że później dostaną nowe narzędzia. Ale teraz potrzebny jest każdy kawałeczek metalu.

Schowaliśmy się. Pochyliłem głowę, by widzieć wykop z prawej strony. Nie sprawdzałem godziny, bo to naprawdę nie miało znaczenia; czas się nie liczył dopóty, dopóki nie zapadnie zmrok. Jedyne, co mogłem zrobić, to pospieszyć się z minami.

Siedziała zaraz poniżej, u moich stóp, dobrze schowana. Byłem tak zmęczony, że oczy mi się same zamykały.

Podciągnąłem rękaw, by sprawdzić ślad po ugryzieniu na przedramieniu. Gula podeszła treścią, w środku powstał twardy, okrągły wrzód wielkości monety pięćdziesięciocentowej. Bardzo chciałem go wycisnąć, rozdrapać, zrobić z nim cokolwiek. Przecięcie go sprawiłoby mi ulgę, ale wiedziałem, że była to prosta droga

do zakażenia. Lepiej było niczego nie ruszać. Przetarłem twarz, zadowolony, że wrzód nie stał się jednak jakimś kolejnym wypełnionym ropą wulkanem, gotowym do erupcji.

Leżałem na brzuchu, z podbródkiem wspartym na złożonych rękach i patrzyłem, jak sprawy nabierały kształtu.

Ludzie Cruciala wrócili na miejsce, więc Silky wydała im polecenia. Nie chcieli czekać; zwalali na kupę swoje narzędzia i wracali w bezpieczne miejsce w dolinie.

-Nick?

- Co takiego?

Wyraz jej twarzy uległ zmianie. - Opowiedz mi o dżungli. Powiedz, jak zrobiłeś te bomby. Opowiedz mi o sobie. Chyba mam prawo wiedzieć, no nie?

Nie spuszczałem oka z wykopu.

- Chciałem ci to powiedzieć już w Lugano, ale... nigdy nie było okazji. A może bałem się, że to cię wystraszy i odejdiesz ode mnie.

- W tym całym zwariowanym świecie jedno jest pewne - uśmiechnęła się do mnie - że to nigdy nie nastąpi.

powiedziałem jej o tym, jak byłem dzieckiem i mieszkałem na londyńskim osiedlu z przybranym tatuśkiem, który w kółko prał po głębie mnie i mojąmatkę. Opowiedziałem, jak zostałem zatrzymany oraz odstawiony do zakładu poprawczego i jak aby z niego wyjść, wstąpiłem do wojska w wieku szesnastu lat. Potem dostałem się do SAS, czyli jednostki do zadań specjalnych, by ostatecznie przyjąć pracę w Firmie. Z czasem tak mi tam dawało wszystko do wiwatu, że w końcu ją rzuciłem - chyba tylko po to, żeby teraz dać się wrabiać Amerykanom.

Słowa wylewały się wreszcie ze mnie jak woda z sikawki.

-Wykonywałem robotę, której żaden normalnie myślący człowiek w ogóle by nie przyjął albo nikt nie wziąłby za nią odpowiedzialności, gdyby się coś spieprzyło - zaśmiałem się z własnej naiwności. - Płacono mi gotówką, nawet nie miałem konta w banku, o życiu już nie mówiąc.

-Nick, dlaczego dałeś się tak wykorzystywać? - po wyrazie jej twarzy widać było, że nie rozumiała. Czy w ogóle była w stanie? Miała to szczęście, że zawsze patrzyła na rzeczy z właściwej strony lunety.

Spojrzałem na wykop, w który ładowano kolejne porcje tego świństwa.

- Myślę, że to był jedyny znany mi świat - wzdrygnąłem się. - Taki był układ rzeczy, jak dla tych dzieciaków, czekających teraz za rzeką na rozkaz pozabijania nas tutaj. Ale w końcu, nareszcie, obudziłem się i poszedłem sobie.

-Do Australii?

-Tak. - Spojrzałem na nią, oczy jej błyszczały.

-Więc oboje znaleźliśmy się w Australii, bo uciekaliśmy?

-Posłała mi smutny uśmiech.

Ześlizgnałem się na jej poziom.

- Ta kopalnia... - Łza spłynęła po jej policzku. - Ci biedni ludzie, żyjący jak ci tutaj. I wszystko z powodu Stefana.

Objąłem ją ramieniem.

- Tim mi wszystko powiedział. - W tym momencie nie obchodziło mnie kto, dlaczego i gdzie coś posiadał. Najważniejsze było być z nią.

Podniosła z ziemi kawałek czerwonej skały i przyjrzała się jej, jakby myślała, że przez omyłkę trafiło się jej zeschnięte psie gówno.

- Wiem, co to takiego, Silky. Wiem, do czego służy.

Upuściła kamień na ziemię.

- Dzięki temu, że Stefan jest dla tych ludzi potworem, ja żyję sobie w luksusie... Ale przyjazd tutaj, nie siedzenie tylko w biurze i gadanie... Zdałam sobie sprawę, że muszę uciec. Tym razem uciekałam do czegoś. Nick, ja tu muszę zostać.

- Czy ci ludzie wiedzą, kim jesteś?

Pokręciła głową.

- Wie tylko Tim. Nawet Stefan nie ma pojęcia, gdzie jestem. Pewnie myśli, że surfuję na Bali albo siedzę w jakimś kurorcie.

Górnicy nadal rzucali narzędzia w pobliżu rosnącego stosu zapasu materiału wybuchowego do drugiej miny. Kilku przywlekło nawet beczki po paliwie. Byli umorusani błotem i brudem. Ich życie sprowadzało się do jedzenia zwirowatego ryżu i wyciągania gołymi rękami skał z ziemi. I po co? Po to, byśmy w pełni mogli doświadczyć dobrodziejstw połączeń 3G?

Silky wiedziała zbyt dobrze, o czym myślałem.

- Pojebane, nie?

Huk wystrzałów z kałasznikowa wypełnił powietrze. Dobiegały z dołu rzeki, od strony Nuki.

Nastąpił trzeci strzał, a potem czwarty. Górnicy z krzykiem rozbiegli się, aby się ukryć. Ukaemy odpowiedziały ogniem w kierunku drzew na przeciwległym brzegu. Cruciał krzyknął rozkaz i

karabiny maszynowe zamilkły. Prawdopodobnie nie było do czego strzelać, a należało oszczędzać każdy pocisk.

Silky spojrzała na mnie: - Tim!

Zerwałem się na równe nogi.

- Poczekaj tutaj! Ukryj się i nie ruszaj z miejsca!

Sprawdziłem wzrokiem drugą stronę doliny, wzdłuż rzeki.

Jakieś trzydzieści metrów w dół rzeki zauważyłem ruch.

Człowiek ten nie czołgał się, ale wierzgał na plecach, jak odwrócony na skorupę żółw.

- Nick, widzisz go? Nic mu się nie stało?

- Nie widzę. Czekaj tu, nie wychodź z ukrycia. - Chwyciłem kałasznikowa i popędziłem przez dolinę, adrenalina dodała skrzydeł moim zmęczonym nogom.

Crucial znalazł się przede mną, biegł wzdłuż lewej strony doliny w kierunku jej wejścia. Zawołałem go. Spojrzał i przyłożył rękę do ucha.

- Ogień osłonowy! Jest trafiony! Mamy jednego trafionego!
- gdy przypadając do ziemi spotkaliśmy się wzrokiem, pokazałem mu ręką gdzie.

Cruciał ściągnął dwóch strzelców, którzy teraz biegli z dyndającymi na szyjach taśmami nabojuowymi, a pot tryskał im z twarzy.

Zjechałem na tyłku z wysypiska i krzyknąłem do Cruciała: - Sprowadzę go! Przypilnuj, żeby tych dwóch nie zabiło mnie, kiedy będę biegł!

Poczekalem, aż Cruciał ustawi na usypisku dwa ukaemy, wycelewując je na szlak i drzewa na drugim brzegu.

Szykując się do biegu, wziąłem kilka głębokich oddechów. W filmach bohater nigdy nie przeżywa nawet chwili wahania, by rzucić się w ogień dla ratowania kogoś, aleja byłem bliski posrania się ze strachu.

Skoro byłem na tyle głupi, by biec ratować Jina, z pewnością zrobię to dla kogoś bliskiego sercu Silky. Jeśli to rzeczywiście był Tim, chyba nie mógłbym jej spojrzeć w oczy, gdybym teraz po niego nie poszedł. Poza wszystkim, i ja sam któregoś razu mogę wpaść w podobne tarapaty i też będę potrzebował pomocy.

- Widzisz go? Żyje? - krzyknąłem do Cruciała.

Nie odpowiedział.

W końcu zrobił to tak spokojnie, jakbyśmy właśnie podglądali sobie rzadkie ptaki.

- To człowiek z Mercy Flight. Porusza się, ale coś słabo. Wiesz co? Mnie się wydaje, że krzyczy, ale nie słyszę dobrze, bo rzeka wszystko zagłusza.

I po cholere chciałem to wiedzieć!?

- Gotowy? Ukaemy gotowe?

W odpowiedzi ukaemy po prostu otworzyły ogień.

Zawahałem się na moment, obserwując, czy pociski nie fastrygują szlaku, a potem wystartowałem do biegu.

Cruciał wszystko kontrolował. Jego ludzie ostrzeliwali drzewa na tamtym brzegu. Od pierwszej linii drzew, za którą leżał Tim, odrywały się kawały drewna wielkości w sam raz do kominka.

Pochyliłem głowę i sunąc przez błoto, dotarłem do niego.

Swiat zewnętrzny przestał istnieć. W głowie miałem pustkę, ale wzrok skupiłem na postaci leżącej na plecach, wygiętej w łuk, jakby próbowała przybrać jakąś niesamowitą figurę jogi. Prawa noga

Tima wyglądała źle.

Ostatnie kilka metrów pokonałem ślizgiem jak bejsbolista zmierzający do bazy. Uderzyłem go w bok, aż krzyknął z bólu. Dobry znak: nadal odczuwał ból i oddychał.

Nie poruszył się jednak po tym uderzeniu, a to był zły objaw. Chłop był w kiepskim stanie. Byłoby lepiej, gdyby chociaż rzucał się i krzyczał, bo w ten sposób dostarczyłby płucom tlenu.

Teraz zrozumiałem, dlaczego był tak dziwnie wygięty. Na plecach miał przytroczony worek z zielonego żaglowego płótna, w którym było chyba pół tony rzeczy.

Położyłem się płasko za nim, tak aby znalazł się bezpiecznie między mną a linią drzew. On już przecież został trafiony.

Jego prawa noga przypominała surowe mięso na hamburgery. Telefon satelitarny, który miał w kieszeni spodni na udzie, też nie wyglądał najlepiej, roztrzaskany tym samym pociskiem, który

trafił w niego. Powieki miał mocno zaciśnięte, wykrzywił twarz w bezgłośnym grymasie bólu.

- Nigdy nie przypuszczałem... Nigdy... - mamrotał niewyraźnie.

O podprowadzeniu go nie było mowy. Pociągnąłem za pasek worka, by sprawdzić, czy był tam zaczep. Znalazłem całkiem

elegancki karabinek. Odczepiłem go, pociągnąłem jego ciało i Tim stoczył się z worka. Jęknął głośno, zagłębiając się w błoto. Przykleknąłem obok jego piersi, próbując podnieść go i odwrócić, tak abym mógł po strażacku przerzucić go sobie przez ramię. Do tego potrzebna mi była jego pomoc.

- Złap mnie, do cholery, chwyć się i nie puszczaj.

Na czworakach, z Timem przewieszonym przez plecy i ramiona, próbowałem wstać z błota, aby móc złapać jego nogi i ruszyć. Nie udało mi się to jednak. Nie miałem siły.

Gdy zamiast tego usiłowałem czołgać się z nim na plecach, ukaemy rzygały długimi seriami w kierunku drzew. Jednak błoto sięgało mi do połowy ramion i nie mogłem podnieść kolan. Zacząłem się podciągać, udało mi się unieść podbródek na jakieś dwadzieścia centymetrów od ziemi. Zaczerpnąłem powietrza. Moje wysuszone gardło doskwierało mi jak otwarta rana. Znowu czułem pianę na wargach, ale nic to - już niedługo to wszystko się skończy. Musiałem tylko wyciągnąć się z tego błota.

Słyszałem, jak Tim mamrocze: - Worek! Worek! - Tak bardzo usiłował go chwycić, że o mało nie spadł mi z pleców.

Obróciłem się, na ile to było możliwe, by móc złapać ten pieprzony worek za uchwyt. W końcu nawinął jakoś pasek na rękę.

Worek żeglarski był co najmniej tak ciężki, jak wyładowany do ostateczności plecak wojskowy. Nie udźwignąłbym obu. Byłem zdezorientowany, kręciło mi się w głowie. Spróbowałem znowu.

Posuwałem się z wolna, dźwigając na plecach Tima, Tim ciągnął worek żeglarski, jego zdrowa noga wlokła się w błocie, a ranna dyndała obok mego tyłka. Za każdym razem, gdy się poruszaliśmy, Tim krzyczał z bólu, gdy odłamki kości ocierały się o siebie.

Podniosłem głowę i zauważyłem samotną czarną postać, biegnącą szlakiem w naszym kierunku. Po chwili tuż przede mną z pluskiem pojawiły się buty Cruciala. Crucial pochylił się, ja zaś usłyszałem jego wytężony oddech, gdy uwalniał moje plecy od ciężaru.

Odwrócił się i poszedł z powrotem. Podniosłem się z błota, złapałem worek, zapiąłem ponownie karabinek i w biegu zarzuciłem sobie worek na plecy.

Gdy w końcu zwałem się bez sił za usypiskiem, Crucial już robił swoje. Zanim dotknął Tima, nasunął sobie na dłonie rękawy koszuli. Był spokojny, spokoju natomiast nie można było zauważyć po drugiej stronie wejścia do doliny. Silky stała na jednej nodze, odsłonięta. Nie słyszałem, co krzyczała, wszystko zagłuszał huk karabinów, z których strzelano nie wiadomo do kogo.

Crucial pochylał się nad rannym. Nie musiałem go pytać, w jakim stanie był Tim. To było widać. Crucial nie obejrzał się, ale na pewno słyszał, jak krztusząc się, rzygałem żółcią i odrobiną ryżu. Nic innego w żołądku nie miałem.

Odotoczyłem się na plecy, aby odpocząć.

- Co z tobą, Nick? Jesteś ranny?

Machnąłem ręką do Silky, aby się schowała.

Karabiny maszynowe posłały kolejną serię nad naszymi głowami.

- Stop! Stop! Oszczędzać amunicję! - Powtarzałem gest podcinania gardła, próbując zwrócić na siebie uwagę. Sam miał rację - BAO zapewne tylko wysłała patrol, próbując się zorientować, jaką mamy obronę, patrol może nawet robił szkice, aby łatwiej zaplanować wieczorną akcję. Pewnie ich przeceniałem, ale jak dotychczas udało mi się przeżyć właśnie dlatego, że zawsze zakładałem, że nieprzyjaciel jest lepszy ode mnie.

Zerknąłem na zegarek: za dwie godziny zapadnie zmrok. Leżałem nadal na plecach, próbując uspokoić oddech, a jednym okiem obserwowałem Silky. Podniosłem rękę, aby ją zatrzymać tam, gdzie była.

-Tim! Tim!

- Poczekaj! Zostań tam, gdzie jesteś!

Nigdy nie uda nam się odbyć dłuższej i treściwej rozmowy przez tę rozpadlinę u wejścia do doliny.

Crucial wyprostował powykręcaną jak u szmacianej lalki nogę Tima i ułożył ją wzdłuż zdrowej. Tim zawył jak pies. Usłyszano go pewnie po drugiej stronie rzeki. Łapał oddech krótkimi, szybkimi łykami, próbując znieść ból.

Crucial odezwał się łagodnie: - W porządku, wszystko OK. I tak tu nic nie możemy zrobić, musi boleć.

Było jednak coś, co interesowało Tima bardziej niż ból.

-Worek... Worek...

Wyciągnąłem rękę za siebie i wymacałem uchwyt.

-Crucial, w worku są przybory lekarskie.

-Potrzebne mi są rękawiczki chirurgiczne. Znajdź jakieś... -

Crucial nawet nie odwrócił głowy.

Silky nie była już w stanie wytrzymać krzyków Tima. Wyszła z ukrycia i kuśtykała teraz dnem doliny.

- Zostań na miejscu! Nie ruszaj się!

Nie posłuchała.

Nie było czasu na dyskusje. Zerwałem się na nogi i zacząłem biec, przynajmniej tak szybko, jak ona wlokła się z tą kontuzjowaną nogą.

- Ognia! Ognia! - krzyczałem do obsługi karabinów maszyny nowych.

Wyobrażałem sobie, że pędzę sto mil na godzinę, ale moje nogi dawały radę jedynie połowę tego.

Biegłem z wyciągniętą ręką i wołałem:

- Chodź! Szybko!

Była prawie w połowie drogi, gdy ukaemy wykonały moje polecenie, waląc w drzewa na drugim brzegu.

Zatrzymałem się z ręką wyciągniętą za siebie, jak biegacz sztafetowy czekający na pałeczkę. Chwyciłem Silky za rękę, przyciągnąłem ku sobie, pochyliłem się i przerzuciłem ją sobie z ręcznicę przez ramię.

Tylko dzięki adrenalinie udało mi się na miękkich nogach wrócić do Cruciala.

adal myślisz, że to zabawa? - zapytałem, zrzucając ją z pleców obok Cruciala, który nadal klęczał przy Timie. Miał już rękawiczki i teraz usiłował je założyć. Silky poczołgała się wokół niego i była wyraźnie przerażona mieszaniną krwi i kości, którą zastała. Wybuchnęła płaczem: -Och, mój Boże... Musi się opanować.

- Bóg mu nie pomoże - wymamrotałem.

Crucial spiorunował mnie wzrokiem: kto wie, może nie lubił, gdy ktoś źle traktuje jego szefa.

-Ona jest lekarzem, zajmie się nim teraz - powiedziałem, a on odsunął się i ściągnął rękawiczki.

-Nick, mamy co innego do roboty.

Silky uklękła z drugiej strony Tima, oddychając głęboko, aby wziąć się w garść. Tim próbował ją pocieszyć, uśmiechając się poprzez ból i mówiąc niewyraźnie, że wszystko jest OK. Czyżby na pewno...?

Pogrzebałem w torbie.

- Mamy tu jakieś płyny, które można by mu podać? Gotową kroplówkę?

- Nic takiego. Tylko leki pierwszej pomocy i opatrunki.

Silky zabrała się do roboty. - Tim, muszę powstrzymać krwawienie, rozumiesz?

Tętnica udowa nie była naruszona, bo inaczej krew tryskałaby z Tima litrami, ale jeśli będzie nadal tak krwawił, w końcu przyjdzie szok i śmierć.

Crucial zatrzymał już najgorsze krwawienie przez ciasne obandażowanie rany, co miało także pomóc w unieruchomieniu złamania. Swoją drogą, mógłby ten Tim jeść trochę więcej frytek i nabrać przez to nieco sadła, wtedy Crucial miałby gdzie zastosować ucisk. A tak - za dużo połamanej kości, za mało tkanki mięśniowej.

- Nick, musimy iść, człowieku. Musisz jeszcze porobić miny, a ja muszę przynieść więcej ANFO.

Silky już zdążyła zrobić opaskę uciskową i założyć ją Timowi na udo. Wetknęła kawałek patyka pod pętlę i zaczęła nim obracać.

Rozejrzałem się. We wszystkich szańcach panowała pełna gotowość, ich załogi rwały się do strzelania.

- Musimy przenieść go do namiotów.

Silky zakręciła patykiem ostatni raz. Taki ucisk nie powinien trwać dłużej niż piętnaście minut, potem należy pozwolić krwi na przepływ, w innym przypadku ryzykuje się, że obumrze także zdrowa tkanka znajdująca się pod opaską uciskową. Brak tlenu może spowodować obumarcie całej kończyny. Zaczyna ona wtedy źle pachnieć, a potem trzeba ją amputować -jeśli jeszcze jest na to czas.

Tim już nie wytrzymał: twarz miał wykręconą z bólu, oczy i szczęki mocno zaciśnięte. To było dla niego za dużo, co chwila wydawał jęki i drapał palcami błoto.

Crucial wyrzucił z siebie kolejną porcję instrukcji. Rozkazy te podano dalej i w szańcach ustała pełna gotowość. Żołnierze usiedli i zapalili papierosy.

-Musisz skończyć robić miny - zwrócił się teraz do mnie.

-Tych dwoje trzeba dać do namiotów.

-Przypilnuję, ale do tego czasu musisz przerzucać worki sam.

Nikt inny nie ma odwagi tu przebywać.

- Poza tobą.

Odwrócił się i pobiegł do kopalni.

Silky przysunęła właśnie zdrową nogę Tima do rannej kończy-
ny, co go oczywiście zabolalo jak jasna cholera, ale w tej chwili
nie to było dla niego najważniejsze, najważniejsi byli pacjenci.
Chwycił Silky za ramię.

-Musimy dostać się do nich, a potem...

Otarła pot z jego twarzy.

-Tak, potem.

Zaczęła bandażować razem obie jego nogi. Będzie go teraz
można przenieść w bezpieczniejsze miejsce, choć nie tam, gdzie
chciałby się znaleźć.

Podszedłem do nich i powiedziałem: - Słuchajcie, muszę już
iść. Crucial przyśle tu paru chłopaków do pomocy w niesieniu.

Silky była bardzo skupiona na zakładaniu opaski uciskowej,
ale kiwnęła głową.

Gdy się odwróciłem, Tim wykrztusił: - Nick?

-Co?

- Dziękuję.

Silky podniosła głowę i obdarzyła mnie takim uśmiechem, za
który dziesięć dni temu przeszedłbym boso po płonących wę-
glach. Kto wie, może jeszcze bym to zrobił...

- Tak, dziękuję ci za wszystko, Nick... - powiedziała cicho.

Starczy. To nie była chwila na wręczanie medali. Poprawiłem
kałacha i krzyknąłem do chłopaków obsługujących karabiny
maszynowe, aby ich przedzić, że właśnie nadchodzę.

dobre miejsce na minę nie było trudno. Cała okolica zryta była dokumentnie, w taki albo inny sposób. Zacząłem taszczyć worki, idąc tą samą drogą, którą wcześniej dotarłem do Tima i Silky, minąłem to miejsce, potem wzniesienie i już byłem przy wejściu do doliny. Po tej stronie wykop w zboczu, niewiele mniejszy od tego, który już zapełniłem, znajdował się na wysokości sześciu albo siedmiu metrów.

Crucial zawołał do chłopców od ANFO, znajdujących się w dolinie, aby zabrali się do przynoszenia mi kolejnych worków i metalu. Perspektywa tej roboty nikogo specjalnie nie ucieszyła.

Zacisnąwszy oczy z wysiłku, zarzuciłem sobie na plecy kolejny worek. O moje obolałe ciało się nie martwiłem, adrenalina zrobi swoje, niepokoił mnie natomiast nieustanny, pulsujący ból głowy.

Niech szlag trafi całe to BAO, tych niedorosłych żołnierzyków, po prostu wszystkich. Znowu wycofałem się w mój mały świat. Chciałem jedynie skończyć tę babraninę i jak najszybciej zabrać się stąd.

Gdy ponownie zszedłem ze wzniesienia, nad Timem i Silky pochylał się Crucial.

-Niech go zanosą do namiotów.

-Nie, Nick - Silky wstała. - Chcemy wracać do naszych podopiecznych.

-Mogę im nadal pomagać - dobiegł z dołu głos Tima.

- Silky, słuchaj... - powiedziałem i spojrzałem też na Tima -... i ty, Tim - wskazując jednocześnie na rosnący stos worków z materiałem wybuchowym. - Z tamtego otworu wkrótce buchnie tona tego szajsu. Musisz znaleźć się przy namiotach, razem z nami.

Zanim skończyłem, Silky pokręciła głową.

- Zdajemy sobie sprawę z tego, co może się wydarzyć. Właśnie dlatego nie możemy pozostawić tych ludzi.

Przybiegł Sam z czterema żołnierzami. Wszyscy łapali powietrze i pocili się na potęgę.

- Co wy sobie tu wyobrażacie!? Że to jakiś klub towarzyski!? - Zerknął na Tima. - Wszystko OK?

Tim przytaknął.

-A więc do namiotów! Do czego ty w tym miejscu możesz się przydać? Wszyscy ranni będą przenoszeni do namiotów. Ramiona masz zdrowe, więc możesz ich opatrywać. Idźcie tam oboje, bez dyskusji. A ty - wskazał na mnie - montuj to w try miga.

-Standish już przyszedł?

-Ano, dopiero co. Pomóż mu - zwrócił się do Cruciała. - Ja już zajmę się tą dwójką.

We dwóch zaczęliśmy wywlekać worki z materiałem wybuchowym w górę zbocza.

Worki ważyły o wiele więcej niż przepisowe piętnaście kilogramów, bo przecież dodano do nich paliwo, a każdy wydawał się trochę cięższy od poprzedniego. Dźwigając na ramionach kolejne worki, Cruciał sprawiał wrażenie, jakby miał zamontowanego automatycznego pilota, ale dobrze wiedziałem, co zajmowało mu myśli.

-To co, pomyślałeś o zostaniu, Nick?

-A gdzież tam, człowieku. Nie mam czasu, żeby się wysrać, a co dopiero myśleć. Poza tym nie pora na to. Musimy to wynieść.

Dotarliśmy do wykopów i zaczęliśmy układać worki warstwami jak poprzednio.

- Wiesz co, Nick? Zawsze jest dobry moment, aby pogadać o robieniu czegoś dobrego.

Można by było ułożyć je również w trzech warstwach - gdybyśmy się pospieszyli, a on przestał trajkotać.

- Róbmy może, co? Za dużo czasu raczej nie mamy.

Powróciliśmy na dół. Całe to nagabywanie zaczynało mnie już irytować.

-Chłopie, mówisz o czynieniu dobra, a wiesz przynajmniej, co tu się wydobywa? Czy ci biedni ludzie dostają przynajmniej za to pieniądze?

-Oczywiście, dwa dolary za worek.

- Całkiem nieźle za coś, co sprzedawane jest za czterysta.

Crucial się zaperzył.

- Ty, słuchaj, gdyby to była kopalnia pod kontrolą BAO, nic by nie dostawali. Pracowaliby pod groźbą rozstrzelania, a ci, którzy nie pracowaliby wystarczająco ciężko, byliby rozstrzeliwani. Tutaj tak nie jest. Górnicy są w stanie wykarmić rodziny. Sam i ja musieliśmy o to nieźle zawalczyć.

- Co, kolejna oszczędnościowa inicjatywa Standisha? Dźwigaliśmy kolejne worki. Nawet z ponad piętnastoma kilo gramami na plecach potrafił wzruszać ramionami.

Po raz kolejny zaatakowaliśmy wzniesienie.

-Czy ciebie to jednak nie wnerwia? Ci ludzie żyjący w koszmarnych warunkach, podczas gdy taki tłusty skurwysyn jak Stefan zbija na nich miliony?

-Ja tylko martwię się o dzieciaki, Nick. Wiem, co się z nimi dzieje, wiem, przez co muszą przejść. A na resztę nie mam wpływu. Mogę jedynie nadal robić to, co robię. Świata całego nie zmienię, ale mogę przyczynić się do małej jego zmiany tutaj.

Już chyba nie miałem nawet czym się pocić. Łapiąc z trudem powietrze, oparłem się o stos worków. Zostało ich jeszcze około trzydziestu pięciu, a niedługo zapadnie zmrok. Musimy się, cholera, spieszyć.

Kazanie Cruciala nie przyczyniło się do poprawy stanu mojej głowy i co jakiś czas ścierałem z ust pianę. I on, i ja wyglądaliśmy jak dwie ofiary wściekłej. Potrzebowaliśmy pilnie płynu, lecz jeszcze pilniejsze było uporanie się z ładunkami.

Zaczęliśmy machać łopatami, ale Crucial wcale nie zamierzał porzucić tematu.

-Byłem dokładnie jak Sunday. Porwano mnie z mojej wsi, wykorzystano, uczyniono nieludzkim. Zamieniono w mordercę.

-Sunday ci to wszystko powiedział?

-Jeszcze nie mówi. Jego umysł jest zbyt zdrętwiały. Najpierw namawiamy dzieci do malowania obrazków, gdyż tylko w ten sposób mogą wyrazić siebie. Większość ich maluje to samo: jak ludzie z BAO atakują ich wsie, a potem je porywają. Sunday namalował swoją spaloną chatę i jak musiał zabić własnych rodziców.

-Ty też musiałeś zabić swoich?

Zatrzymał na chwilę swoją łopatę pełną błota, uniesioną w półruchu, ale się nie odezwał. To zresztą wystarczyło mi za odpowiedź.

- A co myślisz o skoszeniu tych dzieci, które idą na nas wieczorem.

Pokręcił spokojnie głową.

- Wiem, że zabijałeś dzieciaki, Nick. Byłem przy tym, pamiętasz? To była także poważna sprawa dla Sama. Właśnie dlatego jest teraz tutaj. To poddało próbie jego wiarę. Jak Pan Bóg mógł pozwolić, aby coś takiego się wydarzyło?

O Bogu to ja nie chciałem słuchać, Crucial dobrze o tym wiedział. Uniósł swój krzyżyk i ucałował go.

- Jeśli muszę zabić, by uratować życie, to trudno, choć nie myśl sobie, że łatwo mi to przychodzi. Najgorsze ze wszystkiego jest skazanie dziecka na śmierć nie za jego własne winy. Będę musiał z tym żyć aż do spotkania ze Stwórcą a potem nastąpi rozliczenie.

Nadal przerzucałem błoto. Część mnie samego zazdrościła Cruciałowi pewności co do istnienia bram raj. Nie zobaczą ich. Miałem bilet na jazdę w zupełnie innym kierunku.

Zamilkłem, lecz wiedziałem, że jeszcze nie skończył.

- Nick, możesz tylko zrobić to, co robi Sam i ja. Po prostu pomóż nam pomóc innym, a potem, kto wie, może Pan obdarzy cię pokojem.

Pozwoliłem mojej łopacie, by mówiła chwilę zamiast mnie. Przez moment zobaczyłem ponownie odstrzeloną przeze mnie twarz tamtego dzieciaka, a sama tylko perspektywa robienia wkrótce podobnych rzeczy spowodowała, że obraz ten zatrzymał się w mojej głowie na parę sekund dłużej, niżbym sobie tego życzył.

- Słuchaj, chłopie, jeśli zaraz nie skończymy tych min, do tego twojego spotkania z Panem Bogiem może dojść o wiele wcześniej, niżbyś chciał...

okończenie kopania, sprowadzenie złomu, przygotowanie i rozmieszczenie ładunków zabrało nam niemal godzinę.

Zachodzące na końcu doliny słońce, choć nie mogło wygrać wojny z chmurami, przedzierało się przez nie, jak tylko mogło.

DPrzeprowadziłem lonty z obu wykopów, które łączyły się ze sobą za usypiskiem, tam gdzie wcześniej złożono Tima. Lonty miały różną długość; jeden biegł przez całą szerokość wejścia do doliny, drugi wiódł w górę na pagórek po tej stronie. Taka różnica długości mogła niekiedy sprawiać pewne problemy. Byłoby idealnie, gdyby lonty były jednakowe i ładunki zdetonowały równocześnie. Jednak nasze znajdowały się w osobnych wykopach, nie istniało więc specjalne ryzyko, że pierwszy, detonując o ułamek sekundy wcześniej, spowoduje uszkodzenie drugiego. Dla każdego baowca, który znalazłby się w jego zasięgu, byłoby to i tak jedno wielkie głośne łubudu.

Lont z miny po naszej prawej ręce musieliśmy razem z Crucialem zakopać w błocie, tak aby uniknąć sytuacji, że noga któregoś z wpadających z wrzaskiem do doliny baowców odłączy lont od detonatora.

Aby osiągnąć jak największy efekt, Sam chciałby pewnie, by pierwsza fala nieprzyjaciela weszła w sektory strzeleckie szanćców, potem dopiero wydałby rozkaz zdetonowania min. W ten sposób wybuch położyłby tych, którzy poruszali się wzdłuż brze-gu oraz znajdujących się u wejścia do doliny. Zabiłoby się ich

więcej i szybciej. Może wtedy pojawiłaby się szansa, że jednak ujdziemy z życiem. Crucial wracał właśnie z magazynów z przewodem detonującym, zapalnikiem oraz urządzeniem do detonacji. To Sam podejmie decyzję, w którym momencie przycisnie się guzik i rozgałęzionym przewodem detonującym popłynie prąd. Impuls elektryczny spowoduje, że zapalnik zapali lont biegnący do kul z HE w samym środku min. W niecałą sekundę wszystkie dowody naszej ciężkiej pracy powinny przestać istnieć, a razem z nimi niezła liczba żołnierzy BAO.

Już koncentrowałem się całkowicie na właściwym montowaniu, tak aby mieć pewność, że miny wybuchną. Już odsuwałem od siebie myśl, że wśród ofiar tych min prawdopodobnie znajdują się również dzieci.

Crucial przyniósł rzeczy z magazynów.

- Zanim dołączę do Sama, pójdę zobaczyć się z dziećmi, OK?

Kiwnąłem głową. Nie był mi potrzebny. Teraz była to robota dla jednej osoby - także dlatego, że coś mogłoby pójść nie tak i wtedy wszystko wybuchnie przedwcześnie.

- Sprowadź tylko jeszcze strzelców do środka.

Crucial krzyknął w stronę szanów. Ktoś wyskoczył stamtąd jak na sprężynie i począł przekazywać dalej polecenie.

Nie zamierzałem robić nic, aż wszyscy znajdą się po bezpiecznej stronie min. Czekając, skrzyłem w palcach oba końce przewodu detonującego i wetknąłem je w błoto. Uziemienie należało do stałej procedury z uwagi na to, że w przewodzie mógł pozostać prąd w takiej ilości, która w momencie podłączania zapalnika byłaby w stanie doprowadzić do inicjacji wybuchu.

Crucial stanął za mną, czekając, aby wszyscy zajęli swoje pozycje. Przebiegło to spokojnie. Nie było też strzelaniny ani wrzasków, a tylko nieustanny głos cykad zdobywających cały świat.

- A ten dzieciak, którego skazałeś na śmierć? Mówię o Sundayu. Nie patrzyliśmy na siebie.

-Skąd wiedziałeś?

-Nie trzeba tego umysłu, aby się zorientować. Lekarstwa, strach, aby nie zarazić Tima, i to całe pieprzenie typu „a co ja mam do stracenia?”.

Stał, wpatrując się w dolinę, nieruchomo jak słup.

-To nie ból sprawił, że krzyknąłem, gdy on mnie ugryzł. To wyobrażenie sobie jego ust pełnych mojej krwi. Zaraziłem go HIV, Nick. Zabiłem go.

-Dawno to złapałeś?

-Gdy wypadłem ze śmigłowca, Sam zawiózł mnie na pogotowie do Kinszasy. Zrobili mi transfuzję z zakażonej krwi.

-Nie jestem lekarzem, ale Sunday ma większe szanse, że uderzy weń piorun. Twoja krew obwodowa jest zakażona, lecz w niskim stopniu, a poza tym było tylko jedno ugryzienie. Można mu zresztą zrobić testy. Co się zaś ciebie tyczy, to nowe leki utrzymują ludzi latami przy życiu. Masz jeszcze dużo czasu, zanim zasiądziesz do rozmowy z Panem.

Pokiwał głową, a potem się uśmiechnął.

- Mówię to sobie ciągle, ale dobrze to usłyszeć też od kogoś drugiego. Dzięki, Nick.

Ja cię kręcę, wyglądało na to, że dziś rozdawałem wszystkim pigułki szczęścia, jakby zaraz miały wyjść z mody.

- Nie ma za co, chłopie. Też się chciałem przy tym pocieszyć. W końcu, gdybym cię nie upuścił...

Teraz z kolei ja skoncentrowałem się nadmiernie na linii drzew. Wcale nie chciałem, aby widział moje oczy.

- Zabiłem dzisiaj kolejnego dzieciaka. Strzeliłem mu prosto w twarz.

Crucial położył swoją potężną łapę na moim ramieniu.

-A twoje miny zabijają następne dzieci. Dlatego właśnie musisz zostać i nam pomóc. Musimy przypilnować, by ludzie pokroju Standisha czy Kony'ego nigdy już nie mogli osiągnąć tego, co chcą tu zrobić.

Znajdował się tak blisko mnie, że widziałem cieniutką linię cementu, w którym osadzone były jego diamenty i czułem jego palący oddech.

- Musimy to powstrzymać, Nick.

Przyszli ludzie z obsługi ukaemów. Crucial odszedł bez słowa, a ja zabrałem się do roboty.

Zaraz miałem się przekonać, czy właściwie uziemiłem przewody.

Zabrałem się za zapalniki, które leżały luzem w torbie, co jest największym koszmarem sapera. Dwadzieścia aluminiowych rurek długości mniej więcej połowy papierosa, z każdej wystawały dwa cienkie, niepołączone ze sobą druciki długie na metr. Jeśli się ich nie połączy, mają właściwości anteny i mogą przyjąć sygnał radiowy albo zareagować na elektryczność atmosferyczną, a to wystarczy, aby spowodować detonację. A skoro w tym rejonie burze elektryczne nie były niczym nadzwyczajnym, wszystko to mogło nastąpić w każdej chwili.

Wyjąłem jeden zapalnik, rozplatałem ponownie przewody detonacyjne i nie zważając już na resztę, połączyłem jeden z nich z pierwszym drutem zapalnika.

Jeśli w przewodach detonacyjnych był jakiś prąd, popłynie on do zapalnika w chwili podłączenia drugiego drutu. Może nie odebrałoby mi palców, ale w dupę bym pewnie trochę dostał.

Zamknąłem oczy i zetknąłem ze sobą dwa końce.

Część ósma

1

ic nie wybuchło. W przewodzie nie było żadnych pozostałości napięcia.

NSkręciłem ostatnie dwa druty, odwinąłem z bębna parę metrów przewodu detonującego i położyłem zapalnik od strony, z której miał nadejść nieprzyjaciel.

Na koniec musiałem jeszcze sprawdzić samo urządzenie detonujące, bo dopiero wówczas będę pewny, że cały system działa poprawnie.

Przekręciłem drewniany uchwyt o ćwierć obrotu zgodnie z ruchem wskazówek zegara w celu uwolnienia go z obudowy i szarpnąłem do góry. Skrzywiłem się, gdy mechanizm zapadkowy umieszczony w obudowie zaterkotał jak grzechotka kibica sportowego.

Przycisnąłem zdecydowanie, czując opór. Trzonek uchwyty wskoczył z powrotem na miejsce, wytwarzając prąd dla dwóch przyłączy, wypychając przy tym z górnej części obudowy śruby wraz z nakrętkami. Patrzyłem, jak igła na wskaźniku skacze do czerwonego pola. Prąd mógł być nadal słabutki, ale to i tak mnie pocieszyło.

Przekręciłem uchwyt do pozycji zamkniętej, odczepiłem końcówkę przewodu detonującego, który nadal owinięty był na bębnie i umocowałem ją na przyłączy. Przymocowałem nakrętki motylkowe i szarpnąłem lekko przewodami, aby upewnić się, że trzymały należycie.

Ponownie wyciągnąłem uchwyt do góry, po czym przycisnąłem.

Z drugiej strony usypiska rozległ się głośny trzask, podobny do tego, jaki wydaje rozrywający się poddźwiękowy pocisk 9 mm.

To całe sprawdzanie było czasochłonne i upierdliwe, ale w tych sprawach liczyły się detale i nie zamierzałem ani się spieszyć, ani dawać się poganiać. Gdy Sam da sygnał do zdetonowania min, będę musiał mieć pewność, że zabezpieczyłem się na każdą okoliczność.

Obwód był sprawny. Przewód nie został uszkodzony na szpuli, a urządzenie detonujące mogło wysłać prąd wystarczający do pokonania oporu dwóch omów w zapalniku. To było niewiele w sensie wyzwolonej energii, puszczenie bąka miało jej więcej, ale mogły się pojawić przeszkody. Nie wiedziałem bowiem, jaki prąd wytwarza aparat detonujący, gdyż ten pochodził z zamierzchłych czasów, a przewód mógł być za długi i tracić napięcie, zanim dotrze do miejsca przeznaczenia.

Zebrałem przewód i to, co zostało z zapalnika. Usunąłem druty zapalnika, ponownie skręciłem ze sobą końcówki przewodu detonującego, również na drugim jego końcu, wyjąwszy go uprzednio z urządzenia detonującego. Chciałem, aby ponownie zostały uzziemione, zanim zabiorę się za podłączenie świeżego zapalnika.

Uchwyciłem oba lonty biegnące od min. Daleki odgłos burzy na wschodzie kazał mi pomyśleć o tym, jak dobrze byłoby teraz mieć zatyczki - niewielkie gumowe uszczelki, które chroniły lont przed dostaniem się do środka wody. Wilgoć może wtargnąć na dobrych parę centymetrów przez obcięte końcówki lontu i zniszczyć w nich materiał wybuchowy. I jeśli coś takiego może się stać, to prawdopodobnie właśnie tu się stanie. Pomyślałem nawet o wybraniu się na poszukiwanie jakiejś prezerwatywy, ale nie było na to czasu.

Umieściłem zapalnik na lontach w odległości piętnastu centymetrów od ich końcówek i złączyłem wszystko, nie szczędząc

klejącej się od gorąca lassotaśmy, tak aby wszystko niezawodnie do siebie przylegało.

Klej spływał z izolacji. Rolka taśmy i lonty raz po raz wyślizgiwały mi się ze spoconych rąk. W skroniach nadal mi waliło i widziałem wszystko jak przez mgłę. Już niedługo zacznę tracić koordynację oczu i rąk, a potem padnę. Natychmiast potrzebny mi był płyn.

Wokół mnie nadal słyszeć było wszechobecne cykady, przede mną, zaraz za wejściem do doliny, huczała rzeka. Jedynym innym dźwiękiem był mój charczący oddech i szum owadzich eskadr, które gotowały się do desantu na moim karku.

Przed sobą miałem tylko ludzi z BAO.
Zastanawiałem się, czy zgromadzili się już na naszym brzegu i czy teraz tylko czekają, podobnie jak nasi. Kto wie, może znajdowali się kilkaset metrów z każdej strony wjazdu do doliny i zaprawiali się teraz dodatkowymi porcjami khatu, a może forsowali rzekę, posługując się linami. Kilku mogło utonąć, co niemal pewne, szczególnie młodzi i mniejsi, którzy ledwie potrafili udźwignąć broń, a co dopiero dać radę prądowi rzeki.

Ta cała sytuacja była w najwyższym stopniu pojebana. W jakimś modnym barze w City handlarz w białych skarpetkach

sprawdza teraz pewnie w swoim ręcznym pececie ceny cyny, ja zaś sprawdzam sobie połączenie między zapalnikiem a lontem.

A gdy bierze żonę i dzieci na obiad do eleganckiej restauracji na West Endzie, czy pomyśli chociaż raz o Sundayu i jemu podobnych? Takiego wała, nawet nie ma pojęcia o jego egzystencji. Crucial miał jednak rację. Nie ma co się takimi przejmować.

Świata zmienić nie mogę, ale tę jego małą część może tak...

Lonty połączone były z zapalnikami właściwie, wszystko gotowe. Owinąłem przewód detonujący wokół kamienia, aby był napięty, lecz pozostawiłem oba druty, które miały łączyć go z aparatem splecione ze sobą, aby nie pobrały po drodze jakiejś statycznej elektryczności.

Nie potrzebowałem ostatniej porcji materiału HE, jaka pozostała w skrzynce, ani reszty zapalników. Poskręcałem tylko ich

druty i dorzuciłem wszystko do min. Nie będę miał przecież następnej okazji do ustawienia tego całego ścierwa.

Urządzenie detonujące przerzuciłem sobie przez ramię. Mechanizm detonacyjny powinien pozostać pod moją kontrolą dopóty, dopóki nie przekażę go Samowi. Dzięki temu nie będzie żadnych pomyłek.

Zarzuciłem kałasznikowa na lewe ramię i rozpocząłem marsz powrotny do doliny.

Drewniana szpula zaturkotała, gdy pociągnąłem za sobą przewód.

Trzy mając się boku doliny i wykorzystując każdą osłonę, szedłem tyłem, aby się upewnić, że przewód nie zapętała się, co mogłoby przeszkodzić w przepływie prądu.

Słońce, nadal w chmurach, rzucało jednak spoza moich pleców groźnie posepny cień. Wewnątrz szańców żołnierze jeszcze nie byli w pełnej gotowości, ale nadal w pełnym rynsztunku i z bronią na kolanach. Na szczęśliwych nie wyglądali; podobnie jak wszyscy pozostali woleliby zobaczyć tu jakieś posiłki.

Słyszałem rozmowy, czułem dym papierosowy, lecz cała okolica wydawała się jakby spokojna. Górnicy nie mieli już czym pracować, siedzieli więc w swoich norach w milczeniu, żywiąc nadzieję. Żołnierze zaś srali pewnie ze strachu na myśl, co wkrótce nastąpi.

Wiedziałem już, że zbliżam się do zapadliska z uchodźcami. Dzieci płakały, a kobietom w jakiś sposób udawało się lamentować i rozmawiać jednocześnie. Większość ludzi z Nuki była

dobrze schowana, w wykopach albo w sztolniach. Jeden z załogi Mercy Flight latał w tę i z powrotem. Bez uśmiechu, pozdrowił mnie szybkim machnięciem ręką.

Dzieciaki Sama nadal siedziały razem w swojej jamie, nadal otulone w koce, jakby dawały im one jakąś dodatkową ochronę. Muchy siadały nieustannie na ich buziach, ale dzieciom brakowało energii, aby je spędzać. Gapiły się tylko w przestrzeń w otępieniu.

Nie mogłem złapać tchu. Po kilku krokach zauważyłem, że szpula jest pusta, przewód się skończył.

Rzuciłem szpulę, odwróciłem się i z aparatem nadal na plecach, jak tylko mogłem najszybciej, pognałem do wykopu z magazynem broni. Zabłocone spodnie przyklejały mi się do ciała, a stopy były cięższe niż kiedykolwiek. Cały mój organizm wołał o płyn. Przez moment zamarzyłem, że siedzę w barze z oszronioną szklanką piwa i chyba mam w tle plażę.

Skarciłem się w myśli: nie pękaj, zamknij się i rób, co do ciebie należy.

Chwyciłem w wykopie inną szpulę z przewodem detonującym i zawróciłem. Idąc, próbowałem połączyć ze sobą oba druty, ale moje dłonie były zbyt śliskie.

Zanim dotarłem do pustej szpuli, z trudem chwytałem powietrze. Opuściłem się na kolana i wymacałem kawałek koszulki, który był wystarczająco czysty, by wytrzeć nim spocone ręce, a nie uświnić ich błotem. Powtórzyłem całą procedurę uziemiania z nowym kablem i już byłem gotowy, by połączyć obie końcówki nowego przewodu ze starym.

Wiele lat temu Chińczycy uchodzili za speców od naprawy przewodów telegraficznych na amerykańskim Środkowym Zachodzie, w równym stopniu jak sławni byli jako wynalazcy prochu i pieniędzy. Metodę naprawy, o której mowa, nazwano chińskim warkoczem. Musiałem tylko zawiązać pierwsze dwa końce tak, jak zawiązuje się sznurowadło, a potem przepchnąć przez pętlę końcówki i skrócić. Jeśli taki węzeł był wystarczająco mocny, aby utrzymać wiszący między słupami drut telegraficzny, to tym bardziej pasował on mnie.

Z namiotów dobiegały pokrzykiwania Sama. Nie słychać było dokładnie, o co mu chodziło, ale mogłem się tego domyślać: coś w stylu „Ruszać się, do kurwy nędzy”, tylko bez tego rzucania kurwami.

Pieprzyłem się z tymi przewodami, nie pozwalając sobie na pośpiech, aż ostatecznie je połączyłem. Sprawdziłem, czy dobrze trzymają i cisnąłem przewody w błoto, a potem zakotwiczyłem nowy przewód wokół innego kamienia, złapałem go i poczłapałem tyłem w kierunku głosu Sama.

4

łonce było teraz już ledwo widoczne nad podkową doliny, przegrawszy jednak walkę z chmurami. Miejsce, gdzie przygotowywano mieszanekę wybuchową, leżało teraz w cieniu - śmietnisko pustych beczek, patyków i porwanych worków po nawozie. Jednej z beczek nie zużyto i na powierzchni paliwa, w warstwie czerwonego pyłu pływały teraz niedopałki papierosów.

Poszedłem dalej w stronę namiotów. Za rzeką grzmiało. Sam wydał jakiś niezrozumiały dla mnie rozkaz i w szańcach zawrzało.

Stał na brzegu podwyższenia i wskazywał na drugi okop.

- Chcę to mieć ze sobą tam.

Podniosłem przewód i machnąłem nimi jak szlauchem, tak aby przerzucić go ponad przodem okopów. Gdybym go nadal ciągnął za sobą, mógłby się skręcić albo porwać.

Zatrzymałem Sama, kiedy już odchodził.

-Gdziejest Silky?

Wskazał na pierwszy namiot. Wewnątrz, pod ciężącym od wody brudnym płótnem było ciemno, lecz uchwyciłem okiem jakiś ruch. Twarz Silky ukazała się na krótko w prześwicie nad wejściem i zanim zniknęła ponownie w głębi, obdarzyła mnie przelotnym półuśmiechem.

W następnym namiocie siedział nadal spętany Sunday, otoczony arkuszami papieru. Domyśliłem się, że obecnie znalazły się na nich rysunki przedstawiające okropnie chudych ludzi strzelają-

cych z karabinów do jeszcze chudszych ludzi w chatach, a także wycieńczonych, leżących ludzi z wypływającą z nich bardzo realistycznie przedstawioną krwią.

Crucial wynurzał się raz po raz z wykopu jak grabarz, chwytając ze stosu granaty do granatnika i przerzucał je do trzeciego okopu.

Złożono tam już około dziesięciu granatów głowicami zwróconych do góry, w rogu stała gotowa do użycia wyrzutnia. Aby nie zabłocić broni, dno okopu wyłożono drewnem i gałęziami. Granatniki to było wszystko, czym dysponowaliśmy, a co mogło przypominać artylerię, stąd też umieszczono je w tym właśnie miejscu. Strzelanie z nich od razu nie przyniosłoby wiele korzyści, ponieważ nie posiadaliśmy pocisków odłamkowych, które poczęstowałyby wroga szrapnelami w promieniu ponad stu metrów. Nasze pociski przeciwpancerne służyły do przebijania opancerzonych pojazdów. Wystrzeliwane seriami, w tej właśnie chwili załatały amerykańskie czołgi w Iraku. Z broni tej strzelało się łatwo, a użyta z bliska, była na dodatek wyjątkowo celna. Rebelianci, zanim oddali strzał, zwykle podchodzili do celu na odległość osiemdziesięciu metrów. Pierwszy granat zrywał zewnętrzny pancierz reaktywny czołgu. Drugi, wymierzony w to samo miejsce, przebił pozostałe warstwy zbrojenia i likwidował wszystkich.

Tutaj, jeśli wystrzelono by je dokładnie w cel, uderzałyby w błoto, a ziemia chłonięła główny impet. Sam zamierzał więc zastosować wybuch w powietrzu. Wtedy granaty wybuchały samoczynnie po około pięciu sekundach, a im dalej od wejścia do doliny umieszczone były wyrzutnie, tym większa była szansa, że fala uderzeniowa powstająca przy wybuchu zabije pokaźniejszą liczbę miłośników khatu.

Gdybyśmy zostali zaatakowani ze wzgórza, można będzie z nich strzelać ponad brzeg doliny; granaty będą wtedy eksplodować w momencie schodzenia w dół po niewidocznej dla nas stronie. Nie będzie to miły dzień dla kogoś, kto się tam znajdzie.

5

tandish i Bateman pochylali się nad kociołkiem. Ogień wygasł już od dawna, na dnie było trochę zastygłej mazi, a oni grzebali w niej, jakby nie jedli od paru dni. Obok nich stał Sam, nie ukrywając pogardy, jaką dla nich żywił.

SPo raz pierwszy w życiu Standish wyglądał nieporządnie. Włosy miał zmierzwione, zaś pozostałością ucieczki przez busz po kontakcie z nieprzyjacielem były długie, cienkie zadrapania na twarzy, szyi i ramionach. Obaj byli umordowani, upaprani w błocie i przemoczeni do suchej nitki. Muchy bzyzczały im nad głowami, nie dbając specjalnie, czy siądą na jedzeniu, pocie, czy na krwi.

Teraz, gdy się ściemniało, cykady dostawały już chyba świra. Poza tym jedynym jednostajnym dźwiękiem była rzeka oraz dalekie odgłosy burzy. Baowcy nie strzelali, nasi siedzieli cicho, nawet ludzie z Nuki zamilkli.

Standish i Bateman nie byli tu jedynymi spragnionymi i głodnymi. Podszedłem do nich nadal z urządzeniem detonującym na ramieniu.

Podniosłem jeden z czterech stojących teraz przy ognisku kanistrów z wodą. Wylot był upačkany ryżem z ust ostatnio pijącego, ale mi to nie przeszkadzało. Tabletki dezynfekujące nadały wodzie smak, jaki musiała mieć woda w basenie miejskim, do którego jako dzieciak zwykłem sikać, ale również i to mi nie zawadzało. Piłem długo, wielkimi łykami, czując, jak woda spływa do żołądka, i przestałem tylko dlatego, że straciłem oddech. Sam czekał, aż skończę.

- Weź ze sobą.

Standish nadal wygrzebywał ryż z okopconej puszkii po konserwach i ręką pakował go sobie do ust. Daleko mu było teraz do manier panujących w klubie gwardii królewskiej.

- Zginał ten chudy doradca, prawda?

Odstawiłem ostrożnie kanister, tak aby nic nie wylać.

-Tak.

- Po przeprawie przez rzekę znaleźliśmy tłustego. Miał odcięte ręce i nogi. - Gniew wykrzywił mu twarz. - Miałeś ich stąd wy prowadzić, tylko tyle. A co, kurwa, zrobiłeś? Zastąpienie ich kimś innym jest bardzo kosztowne, kretynie. Jak to się rozniesie, żaden pieprzony Chinol, nawet z połową rozumu, nie będzie chciał się dzieć miesiącami w takiej dziurze! - machnął ręką wokół i po wrócił do swojego ryżu.

Pies go jebał. Nie warto było zaczynać. Gdy już się stąd wydo- staniemy, zawsze znajdzie się na to czas.

Wpompowałem w siebie więcej wody. Tu nie chodziło o przy- jemność, to była konieczność.

- A co z resztą patrolu? - spojrzałem na Sama, od niego ocze kując odpowiedzi. - Z rannym i tym drugim?

Sam wskazał tył głowy Standisha, na której jego blond włosy nie wyglądały już jak nietknięte. Minę miał taką, jak gdyby właś- nie gotował się do jej rozłupania.

- Zabił ich.

Postawiłem kanister na ziemię.

-Co?!

- Opóźniali marsz, więc ich zastrzelił. - Sam próbował kontro lować gniew. - Jak zwykle.

Standish zerknął w górę. Miał to w dupie.

- Posłuchaj, słuchajcie obaj. Rannego i tak zamierzaliśmy zo stawić swojemu losowi. Ten drugi nie chciał... To był jego brat, może kuzyn, coś w tym rodzaju.

Sam schylił się, zgiął niemal w pół, by spojrzeć Standishowi w twarz, ale ten jebaniec koncentrował całą swoją uwagę na ryżu.

- Pozwól, że coś ci powiem, Sam - chrząkał między kęsami - śmierć rozwiązuje wszystkie ludzkie problemy. Nie ma czło wieka, nie ma problemu. Proste jak drut.

- Czy ty myślisz, że uda ci się wywinąć, cytując Stalina?

Nawet Bateman nie był tym wszystkim zachwycony, siedział nisko pochylony nad kociołkiem, z kałachem leżącym w poprzek kolan. On sam mógłby być fizycznie do dupy, ale jego broń była sprawna. Tak czy owak, ten facet był zawodowcem.

- Chłopie, wiesz dobrze, że to było kurestwo. Powinniśmy ich tu przyprowadzić. I dopóki pracujemy razem, nie rób mi tego więcej, ty parszywy, bezduszny wychowanku angielskich szkół publicznych. Nigdy więcej nie zostawię człowieka na pewną śmierć, obojętnie kim będzie. Jak jest jednym z nas, to trzeba go brać. - Bateman spojrzał złym okiem na szańce - a jeśli te dupki dowiedzą się o tym, to będzie problem. Nawet duży. Człowieku, oni wiedzą, że nikt inny nie przyjdzie im z pomocą. Zobaczysz, uciekną, gdy tylko zrobi się ciemno. Bez *kindoki* nie masz nad nimi żadnej kontroli.

Standish rzucił w błoto pustą teraz puszkę z takim lekcewazę niem, z jakim pewnie zabijał tych dwóch ludzi.

- Jedyne nasz kłopot leży w tym, że brakuje ludzi do utrzyma nia kopalni. To proste jak dwa razy dwa.

Wstał i chwycił karabin, również jak on czyściutki. Przynajmniej facet miał jakieś zasady, nawet jeśli przestrzegał ich tylko wtedy, kiedy było mu to potrzebne.

6

Standish ruszył w stronę rowów strzeleckich, jakby wiedział, dokąd ma teraz iść.

S- Stop! - Sam wskazał na ten, do którego biegł przewód detonacyjny. - Będziesz tutaj ze mną. Nick, ty bierzesz lewą flankę. - Odwrócił się i wskazał na Batemana: - Ty bierzesz prawą flankę. A ty, Crucial, wiesz, dokąd masz iść.

Za doliną przetoczył się grom, po chwili na horyzoncie ukazała się błyskawica. Burza dojdzie do nas już za chwilę. Jakby wczorajsza ulewa postanowiła wpaść jeszcze raz z pomocną dłońią. Standish i Bateman udali się do wyznaczonych okopów. Nie zaskoczyło mnie wcale, że Bateman tak posłusznie wykonał polecenie. Był może skurwielem, ale nadal był zawodowcem. Zdawał sobie sprawę, że Sam wie, co robi, nie potrzebował więc wątpić w celowość jego rozkazów. Także z tego samego powodu nie podobało mu się, że Standish odstrzeliwuje własnych ludzi. To nie miało nic wspólnego z moralnością; to, co robił Standish, było po prostu nie po żołniersku.

Sam ruszył do namiotu Sundaya. Zrównałem się z nim.

-A co z Silky i Timem?

-Będą w środku razem z tobą. Zabiorę Sundaya. Powiedział to jasnym, wyraźnym tonem. Wróciliśmy jakby do pracy zespołowej, tak jak przed laty. Wyciągnął rękę po aparat detonujący, a ja zdjąłem go z ramienia, mówiąc: - Potrzebna będzie druga szpula. Połączenia przewodów jeszcze nie są sprawdzone. Kiwnął głową.

-Zaraz to zrobię. - Założył rzemień na ramię i odszedł.

-Sam, potrzebne mi są magazynki. Został tylko jeden.

Wskazał na namiot, przed którym stał kocioł z ryżem. - Tam znajdziesz kilka. Przyślę Cruciala, żeby pomógł ci przy Timie. Dałem nura pod zasłonę. W środku było ciemno. Silky siedziała w brezentowym fotelu reżyserskim u wezgłowia Tima. Patrzyli na mnie wyczekująco. Jego nogi były nadal zabandażowane razem. Krew przeciekała przez opatrunki. To wyglądało źle.

Uśmiechnąłem się do niego i zapytałem: - Czy w twojej torbie są jakieś środki przeciwbólowe?

Potwierdził ruchem głowy.

-To dobrze. Będą ci potrzebne. Przyszedłem zabrać cię do okopów. Będziesz tam bezpieczniejszy.

-Oni zaraz nadejdą, prawda? - Tim głupi nie był.

-Na to wygląda.

-Przerabiałem to już wcześniej. A co z wieśniakami i moimi ludźmi tam na dole?

- Wszystko w porządku. Siedzą spokojnie w ukryciu. To wszystko, co możemy dla nich zrobić.

Parę metrów dalej, po drugiej stronie zasłony, Standish wybuchnął: - Co tu się, kurwa, dzieje? Zabierać mi go stąd! Silky odwróciła głowę.

- Kto to?

-Nikt. - Wyjaśniłem, że był drugi patrol, z którego po potyczce z nieprzyjacielem pozostało dwóch ludzi. Przemilczałem resztę.

Silky masowała koniuszkami palców skronie. -Ci biedni ludzie... Tim chwycił jej rękę, aby ją pocieszyć, ale ona spojrzała na mnie.

- Nick, przepraszam, że byłam taką głupią cipą, gdy się tu spotkaliśmy. Nie miałam pojęcia o całej sytuacji. Miałaś absolutnie rację, że tutaj wszyscy będziemy bezpieczniejsi. Wybacz mi.

Głupia cipa? Dziwnie było usłyszeć znowu to określenie, którego nie słyszałem chyba od czasów szkolnych. Zwłaszcza tutaj.

-Nie ma sprawy...

-Oni idą tutaj, aby zaatakować kopalnię, czy tak?

-Tak, chcą ją zdobyć.

Tim aż się skręcał z frustracji.

- Czuję się bezużyteczny. Chcę coś zrobić. Cokolwiek...

Do namiotu wszedł Crucial i stanął po prawej stronie blisko mnie. Cuchnął. Prawdopodobnie śmierdzieliśmy wszyscy.

- Najlepsze, co możesz zrobić, to pomóc nam i trzymać się mocno tego łóżka.

Crucial i ja stanęliśmy naprzeciw siebie.

- Raz, dwa, trzy - i do góry!

Dźwignęliśmy go, a Tim zrobił to, co mu poradziłem. Ruszyliśmy przed siebie, Tim skrzywił się z bólu.

- Powiedziałem ci przecież, żebyś brał pigułki, no nie?

W końcu wycisnąłem z niego uśmiech.

Silky poszła za nami, niosąc worek. Gdy wyszliśmy z namiotu, Standish był już w okopie. Sam stał nadal w korytarzu, który miał przejąć na siebie siłę odrzutu, trzymając na sznurze Sundaya.

W następnym okopie miał być Crucial, Bateman zajmował ten najdalej po prawej stronie. Już się przygotowywał. Z bronią przy ramieniu sprawdzał kąty strzeleckie i różne pozycje strzelania, upewniając się, że lufa o nic nie zaczepi.

Standish natomiast przygotowywał się pieczołowicie do tego, aby stanowić jak najmniejszy cel, ale to wcale nie łagodziło jego wściekłości.

- Więcej ich tu jeszcze? A ten, to kto znowu?

Wkroczyłem, nie dając Samowi szansy: - My tu jesteśmy właśnie tym kawiarnianym towarzystwem idiotów, o którym mówiłeś. W dolinie mamy nawet wieśniaków, a na dodatek są też tutaj dzieciaki Sama. I wiesz ty co? To nawet czyni twoje małe naparzenie się z baowcami warte zachodu.

Ponieśliśmy dalej Tima. Pieprzę, i co on mi zrobi? Zbije mnie?

puściliśmy Tima na ziemię obok korytarza na tyłach granatnika. Crucial zrozumiał, o co chodzi. Podał mi do góry

O oprzyrządowanie granatnika i przesunęliśmy delikatnie Tima do miejsca, gdzie już mogłem wskoczyć do okopu. Następnie wnieśliśmy go do wnętrza.

Ważne było, aby Tim leżał na łóżku polowym. Stanowiło dobre oparcie dla nóg oraz sprawdzi się wtedy, gdy zacznie padać i okop zamieni się w bagno - wyściełanie dna drewnem nic przecież wówczas nie pomoże. Musieliśmy chronić go przed zakażeniem, jak długo się da, inaczej ta jego noga zacznie gnić.

Nie obyło się bez jęków i zgrzytania zębami, lecz w końcu został ułożony. Po obu końcach łóżka zostało jedynie około trzydziestu centymetrów wolnej przestrzeni.

Crucial wrócił do swojego okopu, a ja poleciłem Silky, aby ułożyła granaty wzdłuż nóg Tima. Spojrzałem na Tima z powagą i rzekłem: - Przykro mi chłopie, na zewnątrz ich trzymać nie mogę.

- A kładź je sobie, gdzie chcesz - wzruszył ramionami.

Wnosząc z jej miny, Silky nie była zachwycona przeładunkiem materiału wybuchowego o wysokiej sile detonacyjnej. Uderzyłem granatem o granat, by pokazać, jakie są bezpieczne.

- Nie bój się, nie ugryzą. Możesz nawet nimi rzucać. A gdy je już przeniesiesz, możesz usadowić się przy głowie Tima, wepchnij tam też worek. I pamiętajcie, trzymajcie głowy pod osłoną wału.

Zabrała się do pracy, kuśtykając na zwichniętej nodze.

Wróciłem do namiotu, aby zabrać cztery magazynki oraz kilka przemoczonych pudełek kartonowych produkcji rosyjskiej, zawierających po dwadzieścia naboji 7,62 mm.

Po powrocie do okopu podniosłem granatnik na sztorc w kącie i ułożyłem po pięć naboji z każdej strony łóżka. Teraz ciągnęły się Timowi od stóp po pachy.

Znajdująca się za pojemnikiem na nabój rura stabilizująca nie zawierała jedynie ładunku odpalającego granat z wyrzutni oraz silnika raketowego, rozpędzającego pocisk na cel. Tam też mieścił się zestaw lotek stabilizacyjnych rozkładanych w locie. Choć wersji tych gówieńek było chyba tyle samo, ile było krajów, które je produkowały, w zasadzie jednak ich budowa sprowadzała się do dwóch dużych lotek, mniej więcej w połowie rury, mających na celu utrzymanie kierunku lotu pocisku, oraz mniejszego ich zestawu z tyłu, powodującego rotację, tak że granat leciał jak piłka w futbolu amerykańskim.

Tego rodzaju sytuacjami rządziła logiczna kolejność: moja broń, mój ekwipunek i czas. Ponieważ nie widać było żadnego ekwipunku ani nie było czasu, liczyło się tylko to pierwsze.

Wiekno skrzyni z granatami do RGppanca zostało usunięte i umieszczone na nasypie, aby zabezpieczyć broń przed błotem. Wyjąłem magazynek z kałasznikowa i położyłem go na wieku. Opróżniłem komorę z naboju i rękawem wyczyściłem wszystkie ważne części broni. Koszula ocierała mi ciało jak wełna rriels Iowa, ale niestety nikt tu w okolicy nie oferował prysznic ani golenia. Z reguły broń jest nadal sprawna, nawet gdy uświniona, ale zanieczyszczony mechanizm w środku zawsze kończy się jej zablokowaniem.

Silky skuliła się u wezgłowia Tima. Niemal dotykali się głowami, i muszę przyznać, że było im do twarzy ze sobą. Silky przyglądała mi się, jak otwierałem każdy z magazynków, aby sprawdzić, czy były pełne, jeśli nie, to je dopełnić, a także ewen-

tualnie oczyścić z brudu. Widać było, że nie skupia się na tym, co jest teraz i tutaj. Miała na to za łagodny wyraz twarzy. Myślała o czymś innym, na pewno nie o broni, ranach czy BAO.

Bardzo dobrze, boja też byłem myślami gdzie indziej.

Burza się zbliżała. Za nami nad wzniesieniem widoczna była już tylko srebrna kreska światła. Wykorzystałem ją, aby włożyć magazynek, zarepetować i zabezpieczyć broń, na koniec ułożyć pozostałe magazynki rzędem przy spiętrzonych granatach obok stóp Tima.

- Przypilnuj ich, dobra? - Chciałem wydobyć z niej kolejny uśmiech. Nie dowiem się, czy mi się to udało, ponieważ w środku było już kompletnie ciemno.

Przyjąłem pozycję strzelecką i poszedłem za przykładem Batemana: sprawdziłem, czy będę mógł wygodnie manewrować kałachem, zwłaszcza w tak ograniczonej przestrzeni. Nie mogłem się poruszać wzdłuż całego okopu, więc musiałem trzymać się jednego końca. Cała sztuka sprowadzała się do tego, aby trzymając się możliwie jak najniżej, stanowić jak najmniejszy cel, a jednocześnie mieć szeroki kąat strzelania. Łatwo powiedzieć...

Poczułem powiew na twarzy - wspaniałe uczucie. Wiatr przybierał na sile, zaraz będzie padać.

Następną rzeczą do sprawdzenia był granatnik. Była to w zasadzie prosta konstrukcja - stalowa rura o średnicy 40 mm, długa na niespełna metr. Jej środkowa część otulona była drewnem, które miało chronić strzelającego przed gorącem. Od przodu wkłada się rurę stabilizującą aż do miejsca, w którym tkwi pocisk. Tył rury jest rozszerzony, by chronić przed podmuchem, co niespecjalnie działa, oraz zredukować odrzut, a to już robi lepiej.

Na wierzchu były dwa składane metalowe celowniki, jeden na samym końcu, drugi mniej więcej w jednej trzeciej odległości od końca rury. W zamierzeniu miały to być celowniki optyczne, ale może Lex odsprzedał je jakiemuś facetowi, który posługiwał się pociskami fragmentacyjnymi.

Pod spodem znajdowały się dwie rękojeści. W przedniej był spust, a dalej bezpiecznik - o podobnej zresztą konstrukcji jak w ukaemie - oraz dźwignia do przeładowania. Sam zapłon był mechaniczny, nic specjalnego, działający na tej samej zasadzie co iglica w rewolwerze, gdy uderza w spłonkę naboju. Tylna rękojeść służyła jedynie za wsparcie i pomoc podczas mierzenia w cel.

Wszystko bardzo proste, bardzo tanie i nieważące więcej niż ukaem, nawet z granatem w środku. Nic więc dziwnego, że dziewięćdziesiąt procent bojowników wołało ten rodzaj broni.

Załadowawszy granat, położyłem sobie wyrzutnię na ramieniu i skontrolowałem, czy przypadkiem w trakcie strzelania nie pozbawię życia Silky i Tima w korytarzu przeciwpodmuchowym. W tego rodzaju broni nigdy nie używałem bezpiecznika, bo mu nie ufałem. Gdy potrzebowałem oddać strzał, po prostu odciągałem rękojeść do przeładowania do tyłu i naciskałem spust.

Byłem gotowy.

Rzuciłem ostatnie spojrzenie na dolinę rozpościerającą się przede mną, zapisując jej obraz w pamięci, zanim otoczy ją ciemność. Wzniesienie na szczycie podkowy mieliśmy za plecami. Nasza pozycja znajdowała się na zboczu, lecz nadal wyżej względem dna doliny. Od min dzieliło nas czterysta metrów dokopy. Tłum przybyszów z Nuki ulokowany został z lewej strony, około dwustu metrów dalej. Sama dolina miała kilkaset metrów szerokości.

Na wzniesieniu z lewej strony mieściły się cztery szańce, oddalone od siebie o jakieś pięćdziesiąt metrów i na różnych wysokościach, by zmaksymalizować kąt prowadzenia ognia. Z prawej strony w podobny sposób rozmieszczono kolejne cztery szańce.

Z mojej wysokości osłaniałem nie tylko całą pochyłość biegnącą do doliny, lecz także lewą flankę.

Sam i Standish oddaleni byli ode mnie około pięciu metrów, z Sundayem gdzieś poza zasięgiem mojego wzroku. Obaj mogli strzelać nie tylko do przodu, w kierunku napastników, lecz pro-

wadzić z łatwością ogień po lewej flance i przenosić go, choć już w mniejszym stopniu, na prawo.

Rów strzelecki pod nimi po prawej stronie, oddalony od nich o pięć metrów, był rezydencją Cruciała. Przyglądałem się, jak ustawia swój RGppanc, ładując granat do odpalacza. On także mógł prowadzić ogień na napastników, z możliwością przenoszenia go na prawo.

Jeszcze dalej pozycję ogniową zajmował Bateman, z kałachem gotowym do strzału. Osłaniał prawą flankę. Wszyscy mogliśmy strzelać w górę, w kierunku wzniesienia za nami, tam żadnych szanów nie było. Wszystkie nasze sektory ogniowe nakładały się na siebie, nie potrzeba nam było tyczek do ich wyznaczenia. Do cholery, przecież wiedzieliśmy, co robimy.

Na razie więc pozostało jedynie oglądać nastrojowe świetlne przedstawienie, jakie wraz z nadciągającą burzą rozgrywało się przed nami.

-Kiedy oni przyjdą? - odezwała się Silky, nie adresując specjalnie pytania. Tak czy inaczej, odpowiedziałem jej:

-Wkrótce. Może za piętnaście minut, może za pół godziny, za godzinę... Kto to może wiedzieć?

Część dziewiąta

1

Godzina 19.46

Nad nami otworzyło się niebo. Deszcz walił w moją głowę i ramiona, ale to była ulga, a nie męka. Woda płynęła kaskadami po mojej

twarzy, wpadając do otwartych ust, ja zaś piłem ją i piłem.

Zachciało mi się sikać i po prostu to zrobiłem - nie było przecież ryzyka, że zaplamie sobie spodnie. Pochyliłem się tylko, aby stwierdzić, że mocz pachniał już tak źle jak wtedy, gdy odlewałem się przy minach, po czym podniosłem kanister do ust, aby szybko uzupełnić ubytek. Następnie podałem wodę Silky, tak aby i Tim mógł się napić.

Staliśmy w gotowości już prawie dwadzieścia minut, jedyne, co mogliśmy robić, to mieć oczy otwarte i czekać albo przyglądać się, jak nasze palce miękną od deszczu.

Niebawem dowiemy się, czy wróg nadciąga, czy nie. Może mianowicie zrobić jedną z dwóch rzeczy: wpaść z hukiem do doliny lub próbować po cichu przeniknąć do jej środka, aż natrafi na opór. Tak czy inaczej, z szańców zaczniesz strzelanie do wszystkiego, co znajdzie się w ich sektorach ogniowych.

To Sam zdecyduje, kiedy zdetonuje się miny. Chcemy, aby po-

łożyły jak największą liczbę baowców, a resztę pozostawiły zdeorientowaną, biegającą w bezładzie w rejonie naszego rażenia. W ciemnościach nie będzie to wcale łatwe.

-327-

W jakiś sposób udało się Timowi usiąść na tyłku, aby osłonić twarz przed deszczem. Oparł się o Silky, sięgnął do torby, pogrzebał w niej przez chwilę i wyciągnął jakiś środek przeciwbólowy. Silky podała mu deszczówkę w stulonej dłoni.

Trzasnęła błyskawica, napełniając dolinę wspaniałą błękitną poświatą. Spojrzałem w kierunku okopów. Wzdłuż linii obrony^x zarysowały się sylwetki głów, ramion i broni. Tamci ludzie robili to samo, co ja: patrzyli i czekali.

Z dwóch przednich szańców otwarto jednocześnie ogień.

Kilka sekund później bliżej rzeki błyski z luf wyglądały jak olbrzymie świetliki.

Z obozowiska uciekinierów dobiegł lament i okrzyki.

Do strzelaniny dołączyły kolejne dwa szançe, odpowiadając na ogień BAO, który mógł być ukierunkowany, równie dobrze jednak baowcy mogli po prostu strzelać w ciemno.

- Czekać, czekać - krzyknął Sam.

Na razie nie było do kogo celować, a nie chcieliśmy, aby tamci się zorientowali, że jeszcze mają tu nas. Siedzieliśmy więc cicho.

Grzechot strzałów przetoczył się echem wokół doliny, gdy wszyscy na przedniej linii otworzyli już ogień. Pociski smugowe naszych strzelców płynęły w dół, ku wejściu do doliny. Niektóre z nich, trafiając w skały, rykoszetowały w górę i ginęły w niskich chmurach.

Rozległ się potężny grom i błyskawica oświetliła całą dolinę. W jej świetle zobaczyłem rój postaci. Zabrali się do wkraczania do doliny. Nie byłem w stanie zauważyć, czy byli to dorośli, czy dzieci, ale była ich ponad setka, a przecież to dopiero początek.

Poniżej mnie Tim mówił spokojnie do Silky: - Wszystko będzie dobrze. Będzie dobrze...

Po prawej stronie Sam trzymał dłoń na dźwigni.

- Jeszcze nie! Jeszcze nie!

Zdałem sobie sprawę, że upomina samego siebie.

Kilka pocisków trafiło w nasze stanowisko. Zrobiłem unik i krzyknąłem w dół do Silky:

- To przypadkowe strzały! Nie celują w nas, bo nie wiedzą, że

tutaj jesteśmy. Będzie dobrze, tylko nie wstawaj.

A Sam nadal swoje:

-Jeszcze nie! Jeszcze nie!

-Teraz! - krzyknął w końcu.

Dostrzegłem, jak wpatrzony w ciemność wciska dźwignię.

2

ic się nie wydarzyło.

- Gówno! Gówno! Gówno!

Byłem już w połowie drogi poza okop.

N - Nick! Co się dzieje? - Silky wpadała w panikę.
- Poczekaj tutaj. Nie ruszaj się. -A już ci to zrobi...
Zdażyłem wygramolić się w chwili, gdy Sam ponownie

przy

ciskał dźwignię.

Nadal nie było detonacji. Traciliśmy szansę. Pobiegłem do niego i wskoczyłem do korytarza przeciwpodmuchowego za nim.

- Zrobię z tym porządek! Lecę wysoko po lewej, OK? Górą po lewej.

Standish machał ze swego okopu i rzucał mięsem: - Co się, kurwa, dzieje? Czy tam się coś spieprzyło? Ty pierdolony kutasie! Napraw to!

Olałem go i poczekałem, aż Sam da mi znak, a potem wyskoczyłem i pobiegłem z powrotem do mego okopu. Niżej błyskały lufy i grzechotały wystrzały. Znalazłem się w błocie korytarza przeciwpodmuchowego i wrzeszczałem wśród tego hałasu: - Silky, przyjdź tutaj! Pomóż mi! Pomóż!

Sięgnąłem po załadowany granatnik.

-Pośpiesz się, chodź tu! - Położyłem w bloku wyrzutnię i wyjąłem kolejne trzy granaty. Odwróciłem się do niej, mówiąc: -Włóż mi je głęboko za koszulkę.

Przyklekła za mną, manipulując pociskami.

- Do diabła! Pośpiesz się! Wsadzaj i już!

Lotki pocisku zadrapały gołe mięso, w które zdążyły już przestoczyć się moje otarcia skóry na plecach, powodując palący ból. Silky zdołała włożyć tylko dwa granaty, koszulka nie wytrzyma więcej.

- Daj mi swój pasek! Szybko! Szybko!

Palce trzęsły jej się z pośpiechu. Tim mógł jej pomóc, tylko do niej przemawiając:

- Spokojnie, Silky, w porządku, patrz tylko, co robisz, a uda ci się na pewno.

W końcu uwolniła się od paska. Złapałem go, owinałem wokół klatki piersiowej i zapiąłem. Te dwa granaty już nie wypadną.

Popchnąłem ją z powrotem do rowu strzeleckiego i poszedłem. Kombinacja adrenaliny i poczucia winy sprawiły, że gnałem jak Superman. Pędziłem ścieżką w dół do doliny, zsuwając się, ślizgając i kilkakrotnie padając w błoto jak długi. O granatnik się nie martwiłem. Deszcz splucze z niego błoto, a poza tym takie rzeczy wiele potrafią znieść.

Dotarłem do doliny, przebrnąłem między wykopami i beczkami i pogałem w górę. Chciałem dotrzeć za tylne szanice, aby mnie stamtąd przypadkiem nie ustrzelono. Z pagórka za moimi plecami odpalano ze świstem granatniki, pociski miały wybuchać w powietrzu u wejścia do doliny.

Nie dbałem o to, co było przede mną. Chciałem tylko pokonać przestrzeń dzielącą mnie od celu. Trzymając granatnik oburącz, pędziłem w górę jak kozica.

Po drodze udało mi się zarejestrować chaotyczny ruch w dolinie. Rozpoznawałem tylko kształty i cienie. Czy to byli górnicy, uciekinierzy z Nuki, baowcy albo wszyscy naraz? Trudno powiedzieć.

Dotarłem bliżej i przekonałem się, że to byli górnicy. Co oni, kurcze, robią? Przecież ich tu wszystkich wybija.

3

rzechodzę! Przechodzę!

Zbliżałem się szybko do szańców na tyłach, nikt mnie już nie mógł zatrzymać. Nadal ostrzegałem głośno, że idę.

P Usłyszeli mnie, ale nie mieli pojęcia, co się dzieje. Poderwali się do strzału, musiałem nieść granatnik w wyciągniętych rękach, mając nadzieję, że zrozumieją ten sygnał. Inaczej zastrzelą mnie i już.

Udało się, pokonałem kolejne sto pięćdziesiąt metrów bez szwanku. Błyskawice przerzedziły się, nadal jednak oświetlały towarzystwo ładujące się w głąb doliny. Ich sylwetki były też widoczne na zboczach, przebiegały pierwszą linię szańców.

Jeszcze kilka granatów wystrzelonych z pagórka pomknęło ze świstem w dół i eksplodowało u wejścia do doliny. Ogłuszające echo wybuchu niesło się dookoła. Jeden granat przeleciał tak blisko mnie, że poczułem wir powietrzny, jaki wytworzył.

Znajdowałem się powyżej obozowiska przybyszów z Nuki. Niżej byli baowcy. Kobiety zawodziły. Jakiś mężczyzna wył jak pies.

Na parę sekund błyskawica zamieniła noc w dzień.

Ten wyjący człowiek zwinął się w kłębek. Dwie postaci stały nad nim i siekały go maczetami. Odciągano kobietę za kobietą.

Musiałem iść dalej, musiałem zdetonować miny.

Dopiero po kolejnych dziesięciu metrach miałem właściwy widok na wejście do doliny.

Zszedłem do kłęzek. Dysząc, postawiłem metalowe celowniki na wyrzutni. W ciemności i przez tak mały otwór nie było dobrej

widoczności, niemniej jednak wystające celowniki pomagały w ustaleniu celu. Niebo ponownie zrobiło się czarne.

Nadal klęcząc, podźwignąłem granatnik na ramię, prawą ręką przyciskałem spust na przedniej rękojeści.

Kolejne krzyki z rozgrywającego się niżej koszmaru. Nie chciałem nawet patrzeć.

Lewą ręką wymacałem tylną rękojeść. Ze wzrokiem nadal skupionym na wysypisku ustawiłem oba celowniki w jednej linii, na cel.

Z palcem wskazującym na spuście, oddychając głęboko, czekałem na następny błysk.

Wyłączyłem się z całego tego burdelu wokół. W przeciwnym razie nie byłbym w stanie skupić się na tym, co teraz miałem zrobić.

Skoncentrowany całkowicie na wysypisku wyobrażałem sobie pojemnik z materiałem wybuchowym HE i wszystkim innym w środku, przypominając sobie dokładnie jego położenie. Zacisnąłem mocniej rękojeść granatnika.

Wywołałem w myśli trajektorię pocisku i czekałem na kolejną błyskawicę. Sprawdziłem, czy dźwignik przeładowania opuszczony jest w dół i z palcem na spuście kontrolowałem oddech, aby nie poruszyć odpalacza nawet na cal.

Nastąpił kolejny oślepiający niebieski błysk, a ja ujrzałem to, co chciałem zobaczyć.

Nacisnąłem spust.

Broń zadrżała razem ze mną. Silnik napędowy zaskoczył, gdy padałem w błoto.

Pocisk uderzył w skrzynkę z materiałem wybuchowym i eksplodował, a ułamek sekundy później nastąpił wybuch min w wykopach.

W dole poniżej zadrżała ziemia. Fala uderzeniowa przetoczyła się przez dolinę, a może nawet całe kilometry dalej.

Cisza, jaka następnie zapanowała, trwała może trzy albo pięć sekund. Potem znowu rozległy się krzyki.

4

wyciągnąłem spod koszulki jeszcze jeden granat, zatrzasnąłem go w odpalaczu, wycelowałem w wejście do doliny, podniosłem broń prawie pionowo i wystrzeliłem.



Podmuch poszedł prosto w zagłębienie z uciekinierami. Nie sprawdziłem, czy ktoś znajdował się poniżej mnie - wszystko jedno, teraz i tak go już nie było.

Sięgnąłem za plecy, załadowałem ostatni pocisk i odpaliłem.

Nad nami rozszalała się burza. Leżałem w błocie i patrzyłem na moje dzieło zniszczenia. Miny zrobiły swoje, ci, co przeżyli, wycofywali się. Pierwszą rundę wygraliśmy.

Baowcy wycofywali się w stronę rzeki, strzelając, niektórzy nadal wlekli za sobą pochwycone kobiety.

Porzuciwszy granatnik, pobrnałem do następnego szańca, bo tam był ukaem, skoro wcześniej poszedł stamtąd pocisk smugowy.

Spadający na wzgórze potop tworzył szereg spływających w dół rwących potoków. W jednym z nich straciłem grunt pod nogami i woda poniosła mnie kilka metrów, zanim zdołałem się z niego wykaraskać. Musiałem wspiąć się ponownie w górę i ciągle głośno ostrzegać ludzi w szańcach, że przechodzę.

Po przeciwnej stronie doliny nie widać było żadnych błysków ognia karabinowego. Na pozostałych flankach także nie prowadzono ognia.

Szańiec, do którego dotarłem, został opuszczony. Natknąłem się na dwa ciała przewieszane przez ukaem; pozostali musieli chyba uciec.

Uwolniłem karabin i podniosłem za kolbę, z podajnika zwisało nadal około dwudziestu taśm nabojoych, zebrałem ich tyle, ile uda mi się ich unieść zawieszonych na szyi. Może było ich z pięć. Gdy tylko ruszyłem, zaczęły mi się zsuwać ze spoczonej szyi, musiałem przytrzymać je lewą ręką.

W drodze powrotnej wywaliłem się wielokrotnie, już chyba bardziej z powodu desperackiej potrzeby dotarcia na miejsce niż z powodu zdradliwości terenu.

Dno doliny ożyło ponownie. Baowcy strzelali na oślep, nawet do siebie wzajemnie. Nie wiedzieli, co jest grane, my zresztą chyba też nie. Po prostu pierdolnik.

Rozkładając dwójnog, opadłem w błoto i wycelowałem w to strzelające zbiorowisko. Deszcz siekł. Taśma wciskała mi się w kark, niemal uniemożliwiając podniesienie głowy i właściwe wycelowanie. Przysunąłem sobie broń do ramienia. Odciągnąłem rękojeść do przeładowania, uważając, aby cały zamek poszedł do tyłu, następnie pchnąłem wszystko na miejsce. Złapałem za kolbę, sprawdziłem, czy broń jest odbezpieczona i lewą ręką przytrzymując taśmę niemal równo z podajnikiem, nie zamykając jednego oka, skoro cel był tak blisko, wymierzyłem do postaci niespełna pięćdziesiąt metrów dalej.

Nacisnąłem spust.

Trzy strzały, a potem jeszcze i jeszcze.

Serie były powolne, co było korzystne, bo oszczędzałem amunicję i celniej strzelałem.

Jeszcze seria...

Kropiłem do każdego dorosłego, który nosił broń.

Zaczęli się wycofywać, ale towarzyszyła im lufa mojej broni, a błyskawice wskazywały cele. Zobaczyłem kolejną kobietę zmuszaną do posłuchu i odciąganą z nimi.

Cholera jasna... Ją również będę musiał zabić.

No cóż, robiłem wszystko, co w mojej mocy.

5

ierzychający w panice ludzie wpadali na siebie. Kilkoro dzieci bieгло z rozpostartymi rękami, wymachując dłońmi, luźnymi w nadgarstkach. Nie miałem pojęcia, czy to były dzieci od baowców, dzieciaki Sama, czy też z Nuki. Uciekający tratowali piętząc się ciała i gnali przed siebie.

PWystrzeliłem jeszcze jedną serię. Deszcz syczał na rozpalonej lufie.

Znów nacisnąłem spust i... nic.

Zaciął się!

Trzymając nadal taśmę z nabojami lewą dłonią, dociskając kolbę do ramienia, odciągnąłem rękojeść. Na przywrócenie sprawności broni we właściwy sposób nie było czasu. Po prostu nacisnąłem spust i zamek razem z rękojeścią powędrował do przodu, ze środka komory podawczej wytrysnęło błoto, które dostało się tam z ubrudzonej taśmy.

Udało mi się wystrzelić tylko kilka pocisków i sytuacja się powtórzyła. Ponownie więc odciągnąłem zamek i wystrzeliłem do kolejnej poruszającej się uzbrojonej postaci.

W uszach dudniło, słyszałem jednak brzęk pustych łusek spadających na kupkę w błoto.

Baowcy wyraźnie już się wycofywali, lecz ja strzelałem dalej. Ostatnia taśma zniknęła w ukaemie, zamek skoczył do przodu i tam pozostał.

Skończyła się amunicja.

Zabezpieczyłem broń, odjąłem ją od ramienia, dwoma palcami prawej ręki nacisnąłem przyciski po obu stronach górnej pokrywy i popchnąłem ją do góry. To był odruch. Takie rzeczy robiłem od szesnastego roku życia.

Zdjąłem z szyi jedną ubłoconą taśmę. Łapiąc ją na wysokości piątego naboju od końca, samą taśmą do góry, przerzuciłem ją sobie przez wierzch dłoni, następnie dalej do podajnika. Wsunąłem ją tylko na kilka milimetrów, aż zatrzymała się na stalowej krawędzi, zatrzasnąłem wieko i dla pewności walnąłem pięścią.

Przyjąłem ponownie pozycję strzelecką i wysłałem kilka serii do ostatnich wycofujących się postaci.

Cele zniknęły z pola ostrzału. Czas na zmianę pozycji. Po trzydziestu sekundach i tyluż krokach, znowu leżąc w błocie, przytknąłem broń do ramienia i posłałem długą serię. Do pokonanej strefy ruszyły leniwym łukiem pociski smugowe.

Do ciężkiej francy, nigdy bym w to nie uwierzył!

Kolejne zacięcie się karabinu.

Otwarłem ponownie broń, oczyściłem ją, jak mogłem najlepiej, następnie zużyłem resztę taśmy naboju. Ładując nową, nasłuchiwałem i patrzyłem, jak ostatni z baowców opuszczają dolinę. Przerwali nagle ogień i sekundy później byli już poza moim polem widzenia, po obu stronach wejścia do doliny. Przegrupowując się, próbowali pewnie dociec, co u licha tu się stało.

Położyłem się na brzuchu oraz obejmując kolbę ramionami i układając policzek na złożonych dłoniach, łapałem oddech, gorąca lufa karabinu parowała i syczała w deszczu.

W uszach przez cały czas mi dzwoniło, słyszałem jednak krzyki i jęki rannych i umierających.

Potem nastąpił głośny skowyt powszechnej paniki i ludzie zaczęli biec w stronę rzeki; górnicy, kobiety, nawet kilku starców z Nuki, wszyscy trzepotali się jak kury ze świeżo odciętymi głó-

wami. Myśleli tylko o ucieczce i nie zatrzymali się, by pomyśleć, że znajdują się w odległości kilku sekund za uciekającymi baowcami.

Nie mogłem nic z tym zrobić. Jeśli im się uda, to dobrze. Według mnie, ich szanse były jednak mizerne.

6

ymiana ognia ustała, ustał także deszcz. Uciekający uciekli, umierający umarli. Chmury ustępowały. Dolina ucichła, skapana teraz w widmowym, szaro-niebieskim świetle.

W

Wstałem i obejmując taśmę lewym ramieniem, ruszyłem z powrotem do granatnika.

Widziałem małe figurki zgromadzone w zapadlisku. Z tej odległości przypominali hobbitów, czekających na gadające drzewa, które nadejdą, by zabrać ich z tego piekła. Czworo ich stało spokojnie ze swym dobytkiem, a dwóch okryło kocami głowy i ramiona. Wokoło leżały ciała tych, których dopadła śmierć: mężczyźni, kobiety, dzieciaki Sama, baowcy - tylko wybierać - wszyscy na poły zanurzeni w błocie, z kończynami sterczącymi w nieprawdopodobnych pozach.

Zostawiłem odpalacz i ześlizgnąłem się w dół. Najbliższy dzieciak wgapił się we mnie, nogi pod nim zadygotały.

- Cześć, mały - powiedziałem z uśmiechem.

Broń trzymałem na biodrze, zwróconą do przodu, z przedramienia zwisało mi piętnaście taśm z nabojami.

Rozejrzałem się wkoło. Nieopodal leżało ciało jednego z Mer-cy Flight, jego głowa przypominała gotowane jajko z odciętym czubkiem.

Coraz więcej ludzi gapilo się na mnie.

Minąłem ich i przeszedłem wzdłuż zapadliska, sprawdzając, czy wśród ciał nie ma więcej małolatów.

Znalazłem dwóch. Padli dosłownie jeden na drugiego, zaraz przed wejściem do rozpadliny, przy próbie ucieczki. Nie tylko oni, w środku leżały kolejne trupy. Poszedłem dalej z bronią nadal opartą o biodro.

Spod koców wychyliły się trzy małe główki. Uśmiechnąłem się.

-Mister Sam? - wskazałem głową pagórek. - Mister Sam? Mister Crucial? Mister Sam? - Dzieci patrzyły na mnie tępo, oczami wielkimi jak talary.

-Mister Sam? Dobry wujaszek Tom Cobbley? Chodźciez tu, do cholery! - zawołałem.

Reakcji nie było.

Kiwając dzieciom głową, przekroczyłem ciała ich dwóch kolegów przy wejściu.

- Mister Sam i Mister Crucial, tak?

Odciągnąłem jeden z koców. Dzieciak wstał, drugi poszedł w jego ślady.

- W porządku? Chodźcie tu, wychodźcie. Mister Sam, prawda?

Posłużyłem się bokiem ukaemu, aby nakierować ich do reszty grupy w zapadlisku.

- Mister Sam? Monsieur Sam? Monsieur Sam? - powtarzałem.

Teraz miałem już ich siedmiu, choć żaden nie odpowiadał na moje wołania o Samie. Znowu odchyliłem koc z jakiejś głowy.

- Słuchaj, Mister Sam... Musimy znaleźć pana Sama, prawda?

Złapałem jakiś przegub, chudy jak patyk, i coś mną wstrząsnęło. Jakbym cofnął się w czasie o te ponad dwadzieścia lat - znowu miałem w dłoni dyndającego pode mną Cruciała. Uchwyciłem tę chudą rączkę i zachęciłem, by drugą przytrzymał koniec koca,

który okrywał mu ramiona. Zdjąłem mu go z pleców, skrzyłem i nakłoniłem resztę, by w odstępach złapała za koc. Po jakimś czasie mieliśmy już pociąg złożony z siedmiu wagoników.

Chwyciłem mocno drugi koniec koca.

- Mister Sam, tak? Pójdziemy na spotkanie z panem Samem, panem Crucialem. - Z ukaemem w prawej ręce i z odpalaczem pod lewą pachą przyprowadziłem mój mały zespół na pagórek. Czulem się jak Julie Andrews w „The Sound of Music” i zastanawiałem się, jaką piosenkę zaśpiewać, aby dodała im otuchy. Niestety, żadnej nie znałem.

S

cieżka była teraz rzeką błota, dzieciaki z

całych sił w tych swoich chudych rączkach

walczyły o utrzymanie koca. Sposób z kocem

był tu najlepszy z możliwych, momentami pozwalał mi nawet

dosłownie na holowanie ich w górę. Ważyły tak mało, że gdyby

wszystkie naraz nie były w stanie utrzymać się na nogach, i tak

pewnie udałoby mi sieje podciągnąć.

- Mister Sam, idziemy do mister Sama - wykrzykiwałem nieustannie jego imię, aby je zachęcić, ale nie byłem w stanie rozeznaczyć, czy na to reagowały. Momentami udało mi się zobaczyć którąś z tych twarzątek w świetle wyglądającego zza chmur księżycy, ale na żadnej nie malowała się radość.

Dotarliśmy na szczyt i skierowaliśmy się w stronę namiotów.

Sam pojawił się natychmiast, z kałasznikowem w rękę.

-Ilu ich masz?

-Tylko siedmiu.

Crucial odrywał łagodnie ich palce od brzegów koca, gadając do nich po francusku tonem dobrego wujka.

Gdy skierowaliśmy dzieci do pierwszego namiotu, chwyciłem Sama za rękę: - Słuchaj, nie wiem, co się, kurwa, stało. Sprawdziłem wszystko oddzielnie oprócz tego drugiego przewodu, nie znalazłem żadnych załamania ani zapętleń. Wszystko było w porządku. Musiało nawalić samo urządzenie detonacyjne.

- Nie przejmuj się, zrobiłeś, co trzeba. A tak przy okazji, dobra robota z tymi minami. Ogarnij się i przyjdź do mojego okopu.

Nadszedł czas, by zastosować plan awaryjny. - Zdobył się na uśmiech. - Jakikolwiek by był...

Zostawiłem go więc, nie będąc pewien, czy to jego pocieszenie odniosło jakiś skutek.

Gdy wróciłem na swoją pozycję, stojąc jeszcze nad brzegiem okopu, postawiłem w błocie ukaem, opierając go na dwójnogu i rękojeści oraz układając taśmę na drewnianej obudowie, następnie opuściłem się do okopu w jego rogu.

- Nick? Czy to ty?

Silky nie była w stanie ukryć ulgi, jakiej doznała. - Dzięki Bogu, że jesteś. Już myślałam... -Nic mi nie jest. Z ciemności odezwał się Tim: - Co z wieśniakami?

- Uciekli albo nie żyją. - Pomyślałem, że opuszczę ten kawałek o kobietach. Silky już i tak miała dość wrażeń.

Tim usiadł z wielkim wysiłkiem. - Czy są ranni?

- Muszą być. Przeprowadziłem siedmioro dzieci z sierocińca. Tylko tyle znalazłem żywych. Bardzo mi przykro. Wśród poległych widziałem jednego waszego człowieka z Mercy Flight... O drugim nic mi nie wiadomo.

Tim osunął się na łóżko. - Wyciągnij mnie z tej dziury, Nick, bardzo cię proszę. Chciałbym coś zrobić.

Usłyszałem jakieś głosy dobiegające od namiotów.

- Chwileczkę. Zaraz wracam - powiedziałem i zabrałem karabin.

Sam był przed namiotem razem z Batemanem. Obrócił się do mnie i zapytał: - Czy widziałeś tam na dole naszych żołnierzy?

-Tylko martwych, a żaden z szanów nie prowadził ognia. -Ani jeden?

-Widziałem czołowe szanice po ataku. Są zabici, a reszta uciekła.

- Mówiłem, że ci jebańcy to zrobią... W trudnej sytuacji za wsze spierdalają. Mówiłem, że tym śmierdziuchom trzeba ucinąć włosy, bo to jedyny sposób, aby mieć ich pod kontrolą.

Sam go olał.

- A ludzie z Nuki? - zapytał.

Z namiotu wyszedł Crucial, opowiedziałem im więc, co widziałem. W płótnie namiotu zebrała się woda, zacząłem zanurzać w niej taśmę nabojoyą, aby oczyścić ją z błota.

- Porwano kilka kobiet, gdy próbowały uciekać. - Wszyscy wiedzieliśmy, że to nie dlatego, że baowcy potrzebowali kobiecej ręki do prania i sprzątania.

Crucial oddychał ciężko, niepomiernie wkurzony. Odciałem myśli o tym wszystkim - myślenie nic tu nie pomoże, stało się, trzeba działać dalej.

- Gdzie one są? - zapytała Silky, wyłaniając się z ciemności.

Sam wskazał namiot, więc Silky zniknęła w jego głębi.

- OK, schodzimy w dolinę. Całą broń chcę mieć tutaj na górze, będzie nam potrzebna. Jeśli natkniemy się na jakichś rannych, znosimy ich tutaj. Ale żadnych baowców - oprócz dzieci, dobra?

- Sam klepnął Batemana w plecy. A ciebie potrzebuję, abyś nas osłaniał. Z mojego okopu. Wychodzimy i wracamy z lewej strony, tą samą drogą, którą ty szedłeś.

Zdjąłem z szyi trzy taśmy i podałem je Batemanowi, ten zaś zarzucił je sobie na ramię.

- Zobaczycie, zaraz tu wrócą, jak tylko wylizają sobie rany. Powrócą jak psy. - Patrzył na chmury przemykające po niebie.

- Te skurwiele poczekają do świtu, bo będzie im łatwiej panować nad sytuacją, po tym jak dostali od nas w dupę. A głowy będą mieli pełne khatu - przerwał i odwrócił się do nas - i *kindoki*.

Dopiero wtedy zorientowałem się, że jednego z nas tu brakuje.

-Standish?

-Zostawiłem go w okopie.

Sam już ruszył w tamtym kierunku. Crucial i ja poszliśmy za nim.

Część dziesiąta

tandish opierał się o tylną ścianę okopu z rozłożonymi ramionami, jakby siedział sobie w jacuzzi. Sam i Crucial

wskoczyli do korytarza przeciwpodmuchowego. Ja klęknąłem.

Standish popatrzył na mnie groźnie i zapytał: - Co to było z tymi ładunkami wybuchowymi?

- Nie wiem - powiedziałem, wzruszając ramionami. - Druga szpula przewodu detonacyjnego mogła być zanieczyszczona, a może urządzenie detonacyjne nie wytworzyło dostatecznego napięcia. A może to zapalnik był zepsuty.

Już było po odpoczynku w jacuzzi. Jakby przekręcić pstryczek. Standish podsunął się do góry.

- Mało co nie przegraliśmy. Straciliśmy żołnierzy Sama. Cały ten koszmar to przez ciebie! - akcentował każde słowo wymierzone we mnie paluchem. - Gdybyś wykonał swoją pierdoloną robotę, jak należy, do doliny nie wtargnęłoby pół armii BAO i nadal mielibyśmy do pomocy oddział Sama. - Ogarnął wzrokiem miejsce mojej zbrodni - i nie siedzielibyśmy teraz w takim gównie.

Już chciałem mu powiedzieć, aby następnym razem sam sobie ustawiał te miny, ale wiedziałem, że drażnienie go było bezcelowe.

Przysłała kolej na opieprzanie Sama:

-A teraz mamy tutaj połowę twojego kościoła, może masz jakiś pomysł, jak ich użyć? Ogłuszyć tych oszalałych od narkoty-

ków pogan, śpiewając ewangeliczne pieśni? A może walić ich po łbach egzemplarzami Biblii? Również Sam nie dał się sprowokować.

- Schodzę na dół z tymi dwoma. Potrzebujemy broni. Bateman będzie nas osłaniać z tego ukaemu, który przyniósł Nick. Ty mo

żesz wziąć granatnik.

Standish miał inny pomysł.

- Nie. Zwijamy się stąd pod osłoną ciemności, i to już. Oni zdobędą kopalnię, jest nas za mało do jej obrony. Musimy dotrzeć do pasa startowego, a stamtąd ewakuować się do Kapsztadu.

Usłyszałem podzwanianie taśm z nabojami, które przyniósł Bateman. Wskoczył do okopu i ustawił broń na brzegu.

Sam zachował spokój, ale nie zamierzał się poddać bez walki.

- A co z ludźmi z Mercy Flight? Obaj są ranni, jeden musi być niesiony na noszach. Jak ich przeniesiemy w ciemnościach? Skończy się tak, że straty wśród nas będą jeszcze większe. I jak mamy przekroczyć z noszami rzekę? Mamy dzieci, są przestraszone, pogubią się. Musimy zapanować nad sytuacją bez panikowania i uciekania. Największe szanse mamy wtedy, gdy tu zostaniemy i będziemy walczyć. O świcie spróbujemy się stąd przebić. Jak się uda, to dobrze, jak nie, no to cóż... Wtedy nie będzie to ważne, bo i tak już będzie po nas. Ale to lepsze niż ucieczka i zostawienie tych ludzi na pastwę losu.

Standish machnął pogardliwie ręką.

- Spójrz prawdzie w oczy. Pomyśl o sobie, pomyśl o przyszłości. Musimy wrócić do Kapsztadu i przeorganizować się, musimy zrobić to natychmiast. Wy dwaj - tu wskazał na Sama i Cruciala - możecie sobie pograć w golfa, ja w tym czasie udam się do Szwajcarii, by przygotować plan odzyskania kopalń. Załatwię wsparcie i wszystko będzie działać jak dotychczas. Nic jednak z tego nie będzie, jeśli teraz tu zostaniemy. Zbyt dużo jest do stracenia.

Crucial zacisnął zęby.

- To znaczy zbyt dużo gotówki?

Standish szarpnął się jakieś pół metra do przodu, aby spojrzeć mu w twarz. - Nigdy nie widziałem, abyś jej odmawiał.

Kłęknałem w błocie, opierając karabinek na udzie. Miałem już tego dość.

- Słuchaj no, im dłużej będziecie tak dyskutować, tym dłużej nie będziemy mieli broni tutaj, na górze. Przeprowadzamy się czy nie, ale broń jest nam potrzebna. Może zrobmy to, kiedy mamy jeszcze czas?

Bateman podniósł pokrywę swego ukaemu i oczyścił podajnik.

Standish obrócił się. Jego twarz znalazła się na poziomie kolan Sama.

-Nie ma o czym dyskutować. Rozkazuję ci, abyś natychmiast wyruszył na pas startowy. Zostaw wszystkich. Nie są nam potrzebni. Jeśli pozostaniemy, nic nie osiągniemy, ginąc tutaj.

-Nie. Nikogo tu nie zostawimy - odrzekł Sam. W jego głosie kryła się groźba. - Utrzymujemy naszą pozycję aż do brzasku, a wtedy spróbujemy wyruszyć i z rannymi, i ze zdolnymi do chodzenia. A ty możesz robić, jak ci się podoba.

Bateman zatrzasnął wieko i poprawił zamknięcie pięścią.

- Nie. On nie będzie robił, jak mu się podoba. Wszyscy zostajemy. - Rozprostował ramiona. - W dupie mam tych wszystkich ludzi od dobroczynności - majestatycznym ruchem ręki przejechał ponad całą dolinę- i szczerze mówiąc, mam głęboko gdzieś wszystkich tych górników i te szczeniaki. Ale żołnierzy nie zostawię na śmierć. Tak się, kochany, nie robi.

Bateman był większy i silniejszy, a tu było Kongo, a nie plac defilad w Sandhurst albo nie chodziło o jakiś występ w wieczornych wiadomościach, i Standish dobrze o tym wiedział.

- Moja pierwsza operacja odbyła się w Uric. Pojechaliśmy zlikwidować obóz szkoleniowy w Mozambiku. Słyszałeś o tym?

Standish potrząsnął przecząco głową.

- No, to słuchaj dobrze, chłopie.

Standish będzie musiał to zrobić, obojętnie czy tego chciał, czy nie.

Kiedy lecieliśmy do Mozambiku, był z nami Tooley. Trzystu sześćdziesięciu chłopca, człowieka. Mieliśmy zabić wszystkich: rebeliantów, mozambikańskie wojsko, ruskich doradców, wszystkich. Nie mieliśmy pewności, ilu ich tam było. Może tysiące... Bombardowaliśmy ich z powietrza, waliliśmy do nich ze śmigłowców, ale to gówno dało. Okopali się, jak my tutaj. Przetrzyliśmy nas całymi dniami. - Bateman przeżywał to wszystko na nowo. - Straciliśmy piętnastu naszych ludzi, ale wytlukliśmy trzy setki tych jebańców.

Standish powściągnął ziewanie. Nie chciał, aby Bateman zobaczył, że go to nudzi.

Bateman pchnął go w pierś. - Nie interesuje cię to, chłopie? Myślisz, że mówię ci o tym dla przyjemności?

Stali teraz centymetry od siebie. Standish w końcu załapał, że ma słuchać, i to pilnie.

- Wszyscy nasi, oprócz dwóch, zginęli od tego właśnie żela stwa. - Tu kopnął odpalacz. - To działa, człowieku. Pozwól jednak, że opowiem ci o tych dwóch. Powinieneś to usłyszeć.

Bateman pochylił się ku niemu, likwidując niemal przerwę, jaka do tej pory istniała między nimi, i wbił wzrok w Standisha.

- Byli młodzi, tak jak ja i Tooley, kochany. - Siedzieliśmy w Mozambiku bez kontaktu, zdani tylko na siebie, walcząc po prostu o życie.

Ich nosy prawie się stykały.

- Jeden z nich nie chciał dalej walczyć i uznał, że powinniśmy się poddać. Zanim podniósł do końca ręce do góry, zastrzelił go dowódca jego własnego plutonu. Ten drugi uciekł następnego

dnia, walkę pozostawiając innym. Zabiłem go strzałem w tył głowy, zanim przebiegł dziesięć metrów.

Bateman, nie odrywając twarzy od Standisha, wskazał ręką na dolinę.

- To nie jest miejsce na dywagacje. Albo walczysz, albo nie. To bardzo proste. Tu nie ma pytań, wymówek, żadnego sądu wojskowego.

Odwrócił się.

-1 będziesz walczył. - Przyłożył kolbę do ramienia i zmierzył swój sektor ogniowy. - Albo wszyscy zostają, albo wszyscy idą. A my zostajemy. Proste.

Sam i Crucial przynieśli Tima na łóżku do namiotu.

Do kieszeni w spodniach przeznaczonej na mapy wsunąłem dwa magazynki i sprawdziłem, czy rygiel bezpieczeństwa ustawiony jest na drugiej pozycji. Następnie chwyciłem kanister z wodą i piłem do oporu.

2

bronią przy ramieniu zjechaliśmy po błocie w dół do miejsca, w którym przygotowywano mieszankę wybuchową. Miejsce robiło jeszcze gorsze i bardziej klaustrofobiczne wrażenie niż to na górze. Wyglądało jak pole bitewne z pierwszej wojny światowej, i to takie, które Niemcy mieli zwyczaj nazywać „polem, gdzie rosną Żelazne Krzyże”.

Sam kucnął między beczkami z olejem, my zgromadziliśmy się wokół niego.

- Słuchajcie: ja i Crucial zabierzemy dwa ukaemy z tamtych szafców. Ty, Nick, przynieś jak najwięcej taśm z nabojami z magazynów w wykopach. Naboi do RGppanców tam już nie ma, ale łap, co tam jeszcze znajdziesz. Na górze potrzebne jest wszystko.

Pogrzebał w kamizelce i wręczył mi tanią plastikową wersję miniaturowej latarki Maglite. Chciałem ją sobie włożyć do kieszeni obok telefonu, ale przemoczone spodnie stawiały opór.

- Taśmy zanieś prosto do okopów. Potem wróć tutaj i czekaj. Będzie mi też potrzebna osłona na dole, w razie gdyby tamci się odezwali.

Kiwnąłem głową.

- Kapuję. Słuchaj, chciałbym jeszcze sprawdzić te przewody detonacyjne, dobra?

Sam zastanawiał się przez moment, a potem kiwnął przyzwyczajająco głową. To zabierze cenny czas, ale zdawał sobie sprawę, że niewiedza zżerałaby mnie tak bardzo, iż znalazłbym inny spo-

sób, aby się dowiedzieć, co nawaliło. Ja czy całe urządzenie? Na moim miejscu Sam też chciałby to wiedzieć.

Ruszył w lewo, za nim Crucial. Ja poszedłem w prawo. Poruszaliśmy się najszybciej, jak mogliśmy, z odbezpieczoną bronią gotową do strzału.

Sam odnalazł przewód. Odkopałem go i ruszyłem wzdłuż niego w kierunku rzeki. Pozostali przypadli do ziemi po obu moich stronach i osłaniali mnie.

Ujrzałem przed sobą w błocie jakieś nieskładne przejście ułożone z kamieni. Gdy podszedłem bliżej, okazało się, że były tam ciała kilku dorosłych i kilkorga dzieci, niektórzy jeszcze z bronią przy boku lub spoczywającą w poprzek ich ciał. Jeden leżał twarzą w błocie, niemal zatopiony. Jego pozbawione życia ręce i nogi sprawiały wrażenie, jakby wyrastały z tej brei.

Dostałem się do miejsca, gdzie zakotwiczyłem przewody, zaraz przy zejściu do schronienia ludzi z Nuki. Sam i Crucial klękali, osłaniając mnie, podczas gdy ja uwalniałem przewód spod kamieni. Próbowałem szarpnąć połączonymi przewodami, by sprawdzić, czy się nie rozłączą, ale pętle nie ustąpiły nawet na milimetr. Te nie zawiodły.

Sam chciał już iść dalej, kiwnąłem głową. Robota wykonana. Byłem zadowolony, no, może nie do końca. Rozłączyłem dwa druciki i rzuciłem je w błoto. Nadal jeszcze chciałbym sprawdzić je później.

Sam i Crucial ruszyli na prawą stronę doliny, a ja wróciłem tam, skąd przyszedliśmy.

Gdy dotarłem do beczek, otwarłem latarkę i odwróciłem ostatnią baterię we właściwą stronę. Stare przyzwyczajenie Sama: w ten sposób oszczędzało się je, ponadto to mogło też uratować życie, skoro działająca latarka mogła się przypadkowo zapalić, wskazując jakiemuś snajperowi cel.

Osloniłem szkiełko dłonią i zobaczywszy słabe czerwone światło przebijające się przez skórę, wyłączyłem ją ponownie

i trzymałem w pogotowiu w lewej ręce, tak aby gdy chwycę za broń, mogła oświetlać cel. Stanie się wtedy moim reflektorem przeszukującym.

Ruszyłem chyłkiem ku składom w wykopach, starając się stanowić jak najmniejszy cel.

Parę kroków przed wejściem do jamy nadszedł czas, aby nacisnąć przełącznik latarki. Wzdłuż lufy poszedł snop światła w głąb jamy. Otoczył mnie stary, znajomy zapach marcepanu, a gdy poświeciłem wokół, stwierdziłem, że ziemia była zasłana jeszcze większą niż przedtem liczbą pustych drewnianych skrzynek. Wszędzie wałyły się też opakowania po nabojach do RGppanców, jakieś resztki ekwipunku oraz zabrudzone ziemią płytki materiału wybuchowego. Przed sobą zaś miałem stos skrzyń.

Gdy rozglądałem się dalej, zza skrzyń dobiegło jakieś szuranie.

Rzuciłem się pod ścianę, sprężony w pozycji ogniowej: lufa do góry, oczy szeroko otwarte, palec na spuście. Nie zamierzałem temu komuś dać szansy na otwarcie ognia, szczególnie że może nie zdawał sobie sprawy, iż jeśli trafią w któryś z materiałów wybuchowych, będzie po nas.

- Wychodzić! *Allez, allez!* - Nie spodziewałem się, że posłucha czy posłuchają, chciałem tylko, aby wiedzieli, że ich usłyszałem.

- Podać swoje dane!

Nadal naciskałem spust.

Wycelowałem broń i latarkę w stronę szmeru, przygotowany na najłżejszy ruch.

Teraz usłyszałem to znów - coś pośredniego między sapaniem a krztuszeniem się.

Z lufą i światłem latarki skierowanym na stos uniosłem się trochę i pochyliłem nad bronią.

- Pokaż się! *Allez, allez!*

Ostrożnie przesunąłem się trochę do przodu. Razem ze mną poruszyły się cienie.

Trzymałem się lewej strony. Plecami otarłem się boleśnie o ścianę wykopu, ale adrenalina zgłuszyła ból. Stawiałem kroki z rozwagą, tak aby w każdej chwili móc pewnie strzelić.

Nie wołałem już więcej. Nie chciałem przegapić najmniejszego dźwięku lub dać w ten sposób okazję temu, kto tam był, na zmianę pozycji.

Głośniejszy szmer, jakby ktoś przestraszony usiłował zdławić łkanie.

Zrównałem się ze skrzynkami. Światło latarki dotarło głębiej i sięgnęło ziemi poza nimi.

Tuż przede sobą zobaczyłem lufę - pordzewiałą, pozbawioną już dawno chromowania - upadającego na ziemię kałasznikowa.

Sięgnąłem po nią i snop światła padł na chłopaczka leżącego pod ścianą wykopu z otwartą raną postrzałową brzucha.

Dzieciak oddychał z trudem.

Klęknąłem przy nim.

- Cześć, mały. Jestem mister Nick.

Spojrzał na mnie swoimi ogromnymi oczami, ale przesuając światłem latarki po jego twarzy, nie zobaczyłem w nich żadnej reakcji.

- Pozwolisz, że cię obejrzę, co?

Uniosłem zakrywający niemal cały tors dzieciaka rynsztunek i podciągnąłem do góry zakrwawioną koszulkę. Poszarpane wnętrzości poruszały się z każdym jego oddechem. Był w fatalnym stanie.

- Oj, niedobrze, proszę pana. -Nadal trzymając się roli dobrego wujka, przełożyłem go na bok. - Zobaczmy, co znajdziemy na plecach.

Otwór, którym wyszła kula, był trzykrotnie większy od rany wlotowej; przedstawiał mieszaninę poszarpanego ciała i obnażone sterczące żebro. Nie miałem nic, czym mógłbym go opatrzyć. Wątpiłem, czy i na górze dałoby się coś z tym zrobić poza obandażowaniem, tak aby nie wylewały się z niego wnętrzości.

- Teraz zdejmujemy rysztnunek, a potem mister Nick zanieś cie do mister Tima i miss Silky.

Wykrzywił się z bólu i wbił pięty w ziemię. Zbyt duża jak na takie niedożywione ciało głowa pochyliła się ku mnie.

-Mister Nick, mister Nick...

-W porządku, mały, to ja, mister Nick. Jestem tutaj. Wszystko będzie dobrze, a teraz podniosę cię trochę.

Najdelikatniej, jak potrafiłem, odpiąłem rysztnunek i podsunąłem dzieciaka o parę centymetrów do góry, po czym zdjąłem mu koszulkę. Musiało go to boleć jak cholera, ale nie krzyknął, co wcale dobrze nie wróżyło. Zwinąłem koszulkę wzdłuż i opasałem nią mocno brzuch. Krwawienia to nie powstrzyma, ale może przynajmniej mały nie rozpadnie mi się w rękach.

- I widzisz, już niedługo będziesz sobie grał w piłkę na pewnym pasie startowym, jak na boisku. Będziesz miał pełno kumpli do grania. Będzie fajnie, zobaczysz.

Wsunąłem lewą rękę pod jego nogi, prawą zaś, podtrzymując plecy, poprawiłem broń i stanąłem na nogi. Będę miał przerąbane, jeśli znajdziemy się w zasięgu bandy Kony'ego, ale przecież nie zostawię tego dzieciaka, by umarł tu w samotności. Czulem ciepłą krew spływającą po mojej ręce. Włączyłem latarkę i wyszedłem na zewnątrz.

Krzyczał słabo za każdym razem, gdy robiłem kolejny krok, nie odrywając jednak od mojej twarzy tych swoich niemożliwie wielkich, błagalnych oczu. Księżyc wychynął spoza chmur i teraz obaj przedstawialiśmy najłatwiejszy cel, jaki można sobie wyobrazić, ale nie chciałem wystraszyć więcej jelit tego dziecka, niż to było konieczne w drodze na górę. Szedłem więc tak szybko, jak to było możliwe, najpierw do miejsca mieszania ANFO, a potem do namiotów.

Przepchnąłem się przez klapy namiotu i znalazłem się w zasięgu wątego światła przygaszonej latarni sztormowej, tak aby jej światło nie było widoczne przez przemoczone płótno. Albo Tim

i Silky znali się nie tylko na leczeniu, albo to Bateman musiał im dać lekcję zachowywania się na wojnie.

Pochylona nad Timem Silky odwrócona była do mnie plecami. Jego nadal zabandażowane razem nogi były teraz wsparte na zrolowanych mokrych kocach.

Dzieci Sama siedziały razem na ziemi, podobnie jak w namiocie Mercy Flight w Nućę.

- Mamy rannego.

Silky odwróciła się błyskawicznie.

-O, mój Boże! - chwyciła lampę. Tim

pojął w lot, o co chodzi:

-Przynieś łóżko i postaw je obok mnie.

Silky przywlokła jedno, a ja pochyliłem się i delikatnie złożyłem dzieciaka.

- Jesteśmy na miejscu, u mister Tima i miss Silky.

Łzy spływały po jego policzkach, wymywając brudki w brudzie. Wbijał we mnie wzrok. - Mister Nick... - Usiłował unieść rękę.

- Tak, to ja, mister Nick. - Ująłem jego kościstą, drobną pięść. Skóra była zbyt szorstka jak na dziecko. - Zagramy jeszcze w piłkę, prawda? Jak tylko będziesz znowu na nogach...

Tim rzucił jedno spojrzenie na to, co znajdowało się pod opatrunkiem z koszulki i powiedział Silky, co trzeba wyjąć z torby.

Był zupełnie spokojnym, kompetentnym dowódcą. Miał w sobie coś z Sama.

Zostawiłem ich i cofnąłem się w ciemność.

Miałem przecież coś do zrobienia.

3

iędzy pustymi drewnianymi skrzynkami po RGppancach i bębnami z przewodem detonującym znalazłem osiem metalowych skrzyń oznaczonych jako „200 nabojuw 7.62 Taśmy MDX 1.4". Zgodnie z opisem znalazłem tam rzezione taśmy, gdzie co czwarty pocisk był pociskiem smugowym.

W smudze światła latarki połyskiwała kałuża krwi, wolno wsiąkająca w ziemię. Inny duży rozbryzg widniał na tylnej ścianie wykopu. Poczulem ukłucie poczucia winy. Czy to była moja robota? Ja go może postrzeliłem? Nagle słowa Cruciała nie wydawały mi się już takim pocieszeniem.

Zacząłem przerzucać skrzynki z taśmami w stronę wejścia do wykopu. Zdawałem sobie sprawę, że dźwiganie dwóch skrzynek w każdej ręce i dwóch skrzyń pod każdą pachą było zadaniem niewykonalnym fizycznie, nie mówiąc już o tym, że musiałbym wtedy pozbyć się broni. Wrzuciłem je więc do skrzynki po RPppancu i dźwignąłem ją na ramię. Z karabinkiem w lewej ręce ruszyłem zgarbiony do okopów.

Nie próbowałem biec, spędziłbym bowiem więcej czasu na padaniu na twarz niż na poruszaniu się w górę.

Bateman był na swoim stanowisku, w gotowości, Standish zaś po jego lewej stronie nie robił nic poza wkurwianiem się jeszcze bardziej. Biedaczek, a jednak zostajemy. Chociaż zaniepokoiło mnie to, że już się nie rzucał. Zwaliłem ładunek obok nich i zawróciłem do wykopu. Targanie skrzynek z taśmami przypomniam

ło mi czasy, gdy byłem zielony w piechocie. Każdemu nowemu przydzielano wtedy robotę polegającą na noszeniu ponadpięć-kilogramowych skrzynek z taśmami naboju. Taki zwyczaj.

Poczekaliśmy przy szpulach. Pojawił się Crucial dźwigający jakieś ciało, które przerzucił sobie jak rzeźnik przez ramię i przytrzymał tylko nogi, ręce dyndały swobodnie. Musiał być tym wykończony - niósł przecież jeszcze za uchwyt RGpanca, a w lewej dłoni kałasznikowa.

Sam miał jeszcze jeden karabin. Pod ciężarem wiązek naboju owiniętych wokół szyi stapał ciężko, pochylony jak starzec.

Dołączyłem do nich na ścieżce i wskazując głową ciało, zapytałem: - Czy on jest z Nuki?

-Nie, był uzbrojony - odpowiedział i przyspieszył, aby chłopak jak najszybciej otrzymał pomoc.

-Ja właśnie zniosłem stamtąd jeszcze jednego - powiedziałem chrypliwie, wyczerpany dźwiganiem i wspinaczką. - Gówniarz dostał w brzuch.

Crucial wspiął się na szczyt pagórka i zniknął. Sam przystanął i chwycił mnie za rękę. - Nick, tak dalej nie może być. Przecież sam to wiesz, prawda?

Najpierw poszedłem zobaczyć, co z rannym
dzieciakiem. Silky trzymała lampę nad
łożkiem, a Tim tamponami opatrunkowymi

zatykał dziurę w brzuchu. Jego rękawiczki były umazane żółcią
i krwią.

Dzieciak nadal oddychał z trudnością; oczy miał półprzymknięte, powieki drgały, a typowy dla niedożywionych wielki brzuch poruszał się z każdym krótkim, szybkim oddechem. Musiał cierpieć okropny ból, ale nie krzyczał. Po minie Tima zorientowałem się, że był tym tak samo zmartwiony jak ja.

Chłopiec otworzył oczy, usiłując z trudem poruszyć wargami.
- Mister Nick...

Ranny Cruciala leżał obok na podłodze. Dziecko było poranione od stóp do głów odłamkami nabojów rozpryskowych z RGpanca, miał tak wiele otwartych ran, że nie miałbym pojęcia, od której zacząć łątanie, ale ten przynajmniej nabierał w płuca tyle powietrza, że mógł krzyczeć.

Crucial robił wszystko, aby go uspokoić tym swoim milutkim głosem dobrego wujka, podczas gdy wszystkiemu przyglądały

się dzieciaki Sama. W ich oczach nie było ani strachu, ani nienawiści, ani współczucia. Miały ów szklany, pusty wzrok jak doświadczeni koszmarem brytyjscy żołnierze znad Sommy.

Przejąłem od Silky lampę, aby mogła pomagać Timowi. Usilnie starałem się nie patrzeć w dół. Chciałem, aby to wszystko już mi nie zawadzało, abym mógł zabrać się za to, co miałem do zrobienia.

- Do brzasku nie możemy się stąd ruszyć. Ale oni uderzą znowu, jak tylko się przegrupują.

Tim spojrzął na mnie i kiwnął głową.

- Macie więc możliwość wyboru. - Poprawiłem lampę, aby światło padało na ręce Tima, on zaś nadal próbował naprawić szkodę, do której być może się przyczyniłem. - Wracacie do okopu albo zostajecie tutaj i trzymacie pieczę nad dziećmiakami.

- A ty co uważasz, Nick? - powiedziała Silky z uśmiechem.

Tim znowu kiwnął głową.

- Ja robię to, co robię. - Oboje wymienili spojrzenia. - Co my robimy. Poza tym potrzebujemy światła. Księżyc do tego nie wystarczy.

I ja nie powstrzymałem uśmiechu. Diabli wiedzą dlaczego, przecież naprawdę nie było powodu do śmiechu.

Wyszedłem na zewnątrz i poszedłem do okopu Sama. Wszystkie trzy karabiny maszynowe zwrócone były już przeciwko napastnikom. Komory zamkowe nowo przyniesionych były otwarte, a te Batemana, już z taśmami w podajniku, gotowe były do użycia.

Zajrzałem do okopu i zapytałem: - Gdzie jest Sunday?

Bateman nie podniósł nawet głowy. Czyścił jeden z dwóch ukaemów i to było dlań najważniejsze.

- Wsadziliśmy go do jednego z namiotów. Ten pierdolony gnojek tylko nam tutaj zawadzał.

Dołączył do nas Crucial, wepchnął swój granatnik w róg okopu i bez słowa zniknął.

Uniosłem klapę komory podawczej drugiego karabinu i wyczyściłem świństwo, które się pod nią zebrało. Sprawdziwszy najpierw, czy mój rękaw nie był ubłocony, przeczyściłem nim następnie wnętrze komory.

Crucial wrócił z naręczem nabojów do granatnika, rzucił je na ziemię i zniknął ponownie.

Standish i Sam wskoczyli do korytarza przeciwpodmuchowego. Aż się między nimi iskrzyło. Standish znów zaczął nawijać.

-Jeśli nie posłużymy się tymi dzieciakami, to zdechniemy tutaj jak nic. Musimy poprowadzić silny ostrzał i to jest rozwiązanie, Sam. Dlaczego nie może to dotrzeć do tego twojego pobożnego, pierdolonego łba? Popatrz, mamy trzy kałachy, cztery RGppance. Możemy zatrzymać kałachy, a Crucial nauczy dzieciaki obsługi granatnika. - Słowa wylatywały z niego jak łuski z podajnika karabinu. - Jeśli mamy tutaj zostać i bawić się w matkę Teresę, najpierw musimy wygrać tę bitwę, a to jest jedyny sposób.

-A teraz słuchaj... - głos Sama był niebezpiecznie opanowany.

- Mówię ci to po raz ostatni. N i e z a m i e r z a m z b r o i ć d z i e c i a k ó w . Będziemy bronić naszych pozycji tak długo, jak długo będzie możliwe ruszenie się stąd. Przy wzrastającej liczbie rannych wyjście stąd o brzasku jest nadal jedyną opcją. Crucial wrócił obciążony granatami.

- Dzieci to żadne wyjście, chłopie. Nie jestem tutaj po to, aby zniżyć się do poziomu tych bydlaków - powiedział i pstryknął palcami w kierunku doliny.

Bateman też już miał tego dość. Wskoczył z okopu, potrząsając głową jak mokry pies.

- Do kurwy nędzy, podejmijcie w końcu decyzję co do tych smarkaczy, zanim wzejdzie słońce. Tu jest robota do zrobienia.

- Chwycił swój ukaem z dwudziestoma nabojami, złapał jeszcze dwie skrzynki z amunicją i popędził do swojego okopu.

Sam widział, że coś główkuje:

- Nie, Nick. To się nie stanie. Jest nas wystarczająca liczba i mamy radę, pod warunkiem, że będziemy się trzymać razem i razem walczyć. Wiemy przecież, co z tym żelastwem robić - tu machnął głową na granatnik i na dwa karabiny maszynowe na skraju okopu - mamy trzech strzelców, dwóch od granatnika,

to znaczy mnie - klepnął się w pierś, po czym wskazał głową Standisha - i tego. Granatów? - zwrócił się do Cruciała.

-Dwadzieścia cztery.

-Widzisz, jest ich od groma.

Wzruszyłem ramionami.

-Niech to wszystko... Zabierajmy się lepiej do roboty, co?

5

tandish chwycił granatnik, jak robi to rozpieszczone dziecko łapiące swoją piłkę zaraz potem, gdy przeciwnik zdobył punkt. Przyszedł Crucial i stanął obok mnie.

S- Dobra, niech każdy weźmie po karabinie. My będziemy ob sługiwać granatniki. Zwołajcie wszystkich z namiotów i upchnijcie ich w okopach - zwrócił się do nas Sam.

Potrząsałem głową.

- Silky i Tim zostają tam, gdzie są. Potrzebują światła, by zająć się rannymi.

Sam chwilę się wahał.

- OK, to duży chłopczyk i dziewczynka też duża. - Zerknął na Cruciala. - Zbieraj dzieciaki. Po dwóch do każdego okopu.

Crucial spojrział w stronę Batemana. - Jesteś pewien?

- A czemu nie? Niech sobie popatrzy na to, co my oglądamy każdego dnia.

Standish zaczął coś wywrzaskiwać, chyba do nikogo konkretnego, jak jakiś menel na ławeczce w parku.

- Trzeba stąd ruszać! I to już!

Wrzeszczał tak głośno, że nawet Bateman go słyszał. Odwrzasnął mu wściekły:

- Zamknij mordę! Zostajemy i walczymy. Po powrocie wszystko skończone. Więcej dla ciebie nie pracuję. Mam tego dość. Wy, Angole mażecie się jak pierdolone baby!

Cruciał parsknął śmiechem.

Złapałem kałacha, dwie skrzynki amunicji i zataczając się pod ich ciężarem, pobiegłem na moją pozycję. Okop był teraz oczyszczony z nabojów do RGppanca; odpalacz był tam, gdzie go zostawiłem. Podobnie było z pojemnikiem na wodę i ułożonymi na nim w stos magazynkami do kałacha.

Ustawiłem karabin na brzegu okopu, tak aby załadowana taśma spoczęła na pokrywie skrzyni. Następnie zawróciłem z kałasznikowem w dłoni i zabrałem urządzenie detonujące z podłączonym nadal przewodem detonującym. Spojrzałem w dół na Sama: - Połączenie było w porządku.

Skinął głową. Standish miał na ten temat tylko jedno do powiedzenia, wszyscy jednak wiedzieliśmy, że sprawy mogłyby potoczyć się inaczej, gdyby urządzenie to zadziało za pierwszym razem.

Wskoczyłem do mojego okopu i zacząłem ściągać dwustumetrowy przewód detonacyjny. Już po około trzydziestu sekundach dwie ubłocone końcówki znalazły się w moich rękach. Sprawdziłem, że przewód został właściwie przymocowany do motylkowych nakrętek, a potem ułożyłem końcówki w odległości milimetra od siebie na pokrywie skrzyni. Przytrzymując je na miejscu lewą ręką, pociągnąłem uchwyt aparatu detonacyjnego i wcisnąłem go. Pomędzy dwiema końcówkami przeskoczyła iskra.

To musiał być wadliwy zapalnik, a ja nie mogłem nic na to poradzić, bo nie miałem urządzenia testującego. Albo zapalnik, albo nie było wystarczającej mocy, by po połączeniu obu przewodów prąd poszedł po całej ich długości. Żadne jednak tłumaczenie nie poprawiało mi humoru.

Popchnąłem aparat detonujący za brzeg okopu, żeby mi nie zawadzał.

Podniosłem wieka skrzyń, wyciągnąłem jedną fabrycznie nową taśmę i dołączyłem ją do nabojów znajdujących się już w podajniku. Kiedy zacznę strzelać, taśma wyplynie ze skrzynki jak wąż z koszyka.

Sprawdziłem jeszcze mój sektor strzelecki, a potem pozostało już tylko to pieprzone czekanie. Podniosłem pojemnik z wodą, pociągnąłem spory łyk i czekałem, sam na sam z własnymi myślami. Żeby zdarzyło się coś, co odwlecze atak baowców, co utrzyma ich w szachu albo najlepiej przegoni ich stąd na zawsze. Wszystko to byłoby dla nas dobre. Nawet użycie w tym celu tych dzieciaków było lepsze od tego, by dać się zabić.

Standish trochę miał rację. To mnie oczywiście wkurwiało, ale tak było.

Crucial posadził po dzieciaku z każdego
mojego boku. Szczerzyłem się do nich: -
Wszystko w porządku, stary? W

porządku? - Waliłem się w klatę i mówiłem: - Jestem mister

Nick, mister Nick... - Odpowiedzi nie było. Dzieciaki

przycupnęły w swoich kątach i patrzyły na mnie blade.

- Jak masz na imię? Jak cię wołają? Ja nazywam się mister Nick...

Nadal nie było odpowiedzi. Założę się, że gdybym miał czekoladę, byłaby to zupełnie inna opowieść. Ta refleksja sprawiła, że poczułem głód. W brzuchu mi burczało. Tych dwoje chyba miało tak przez większość życia. Mieli zbyt dorosłe spojrzenia w stosunku do wyglądu twarzy, a ich ciała były zbyt młode jak na to, czego już doświadczyli.

Czatowaliśmy, korzystając z pojawiającego się chwilami księżyca, aby przyjrzeć się, czy w okolicy nie ma ruchu. Nie mogłem powstrzymać się od zadania sobie tego samego pytania, które

przychodziło mi zawsze do głowy, gdy byłem na nocnych czatach: Co ja do cholery robię z moim życiem? I o dziwo, dodawało mi to trochę otuchy. Przecież sterczałem tak na czatach już od szesnastego roku życia, na wszystkich czterech końcach świata. Głównie było mi wtedy zimno i mokro, byłem głodny. Teraz przynajmniej nie było mi zimno.

Ciąg myśli przerwał mi okrzyk Standisha z prawej strony: -Muszą ich być więcej! Gówno mnie obchodzi, czy Nick już sprawdził - idę zrobić to jeszcze raz.

Odwróciłem się za nim, gdy minął pędem mój okop.

-Czego szukasz?

-Powinno być więcej granatów...

-Dwadzieścia cztery sztuki to wszystko, co mamy. Tam na dole nic nie ma.

-To ty tak mówisz... - No, proszę, wróciliśmy do pracy zespołowej. On był kapitanem, a ja zwykłym żołnierzem, który o niczym nie ma bladego pojęcia.

Szedł w stronę ścieżki, chwyciłem więc kałacha, wyskoczyłem z okopu i ruszyłem za nim. - Oślone cię - powiedziałem.

- Niepotrzebna mi niańka. Zostań.

Odszedł i nawet się nie obejrzał.

7

Godzina 20.27

Nie było teraz nic innego do roboty, jak tkwić na pozycji z karabinem i próbować pojąć znaczenie cieni przesuwających się poniżej.

Od czasu do czasu mówiłem do dzieci, chociaż zdawałem sobie sprawę, że nie rozumieją ani jednego słowa. Mówiłem tak: -

Wiecie co? Wcale nie tak dawno temu siedziałem u Raffaellogo w ogródku pod markizą i czekając na nią, bo byliśmy umówieni na lunch, popijałem cappuccino. Dobra, wiem, że nie macie pojęcia, co to takiego cappuccino, ale popatrzcie no na mnie teraz.

Tkwię z wami, jakimiś cholernymi Chuckle Brothers, w tym oto okopie. Chwytacie tę różnicę?

Patrzyli na mnie, jakbym był równo stuknięty. Dobra, może byłem.

- A teraz ona jest w tamtym namiocie nie ze mną, ale z kimś innym, a ja zaczynam się zastanawiać, że może będzie szczęśliwsza. Poświęca cały swój czas na ratowanie ludziom życia i na pomaganie starszym paniom w przechodzeniu przez ulicę, a ja siedzę samotnie na czatach z tym pieprzonym kałachem w ła pach. I co na to teraz powiecie?

Nie powiedzieli nic.

- No właśnie. A gdzie jest ten pieprzony Standish?

Kiedy znowu pokazał się księżyc, spojrziałem w dół. Moi dwaj nowi koledzy wpatrywali się we mnie z policzkami opartymi na kolanach.

- Wiecie co - odezwałem się. - Zaraz wrócę. Nigdzie nie odchodźcie, dobra? - Uśmiechnąłem się do nich szeroko, dźwignąłem kanister na brzeg korytarza przeciwpodmuchowego, chwyciłem kałasznikowa i wyskoczyłem z okopu. Zabrawszy ze sobą wodę, ruszyłem w stronę namiotów.

W środku powitało mnie słabe światło lampy. Tim nadal ze swojego łóżka zajmował się rannym leżącym obok.

Po Standishu nie było ani śladu. Drugi ranny leżał na kocu na ziemi. Było za gorąco i za wilgotno, aby krew zakrzepła. Silky klęczała przy nim, ocierając mu czoło i opatrując poranioną skórę-

Tim spojrzął na mnie: - Ten na dole jest na razie w porządku, ale ten...

Chłopiec odwrócił się do mnie i powiedział: - Mister Nick... Wydawało mi się, że próbuje się uśmiechnąć - a to wcale dobrze na mnie nie zadziało.

- Powinieneś sam zejść do parteru, bo zaraz znów zacnie się strzelanina.

Silky była cały czas uśmiechnięta. Sprawiała wrażenie, jakby podobała się jej ta cała cholerna sytuacja.

-Nie martw się, będzie dobrze. Jak się czujesz?

-Świetnie. - Poczęstowałem ją takim samym szerokim uśmiechem, jakim obdarzyłem Chuckle Brothers. - Postanowiłem to przynieść - powiedziałem, stawiając kanister na podłodze. - Może się chłopcu przydać.

W ciszy nocy rozległ się ostrzegawczy okrzyk. To był Bateman. Potem rozpoczęła się strzelanina.

-Kryć się!

Wybiegłem z namiotu. Regularne żółte błyski z luf fastrygowały ciemności przed okopem Batemana.

Zobaczyłem kogoś biegnącego ścieżką w kierunku zwałonego drzewa nad wodą. Nie trzeba było być superinteligentnym, aby zdać sobie sprawę, kto to był.

A Bateman zamierzał dotrzymać słowa.

Pognałem i wskoczyłem do okopu obok niego. Już przykladałem kałacha do ramienia.

- Nie! - Uderzył dłonią w lufę i odsunął ją w dół. - Lepszy pomysł - był tak blisko, że obryzgał mnie śliną. - Złapię go - za wołał - będzie walczył, a jak nie, to go zabiję.

Dzieciaki w okopie Batemana odsunęły się ze strachem od niego, zasłaniając chudymi rączkami uszy.

Bateman odwrócił się, by wziąć kałasznikowa.

Powstrzymałem go: - Nie stać nas na stratę jeszcze jednego człowieka.

Cruciał otworzył ogień do kogoś wdrapującego się pod górę. Bateman odskoczył ode mnie.

- Jak ja coś spieprzę, masz tego przekłętogo tchórza zabić, obojętnie ile czasu zajmie ci odnalezienie go. Zrób to dla mnie.

Przytaknąłem. Uśmiechnął się i ruszył w stronę szlaku, krzyjąc do Cruciała, by przerwał ogień.

W świetle księżycy obserwowałem Standisha jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów dalej, czołgającego się na skraj doliny. W niewielkiej odległości za nim pędził Bateman jak napalony kozioł.

Sekundę później zobaczyłem błyski z luf, ale Bateman nie odpowiedział ogniem; chciał dopaść swą zdobycz.

Standish był już blisko skraju doliny i prowadził ogień w dół, ale stracił oparcie, przewrócił się, zjechał po zboczach. Upuścił broń i wpadł na Batemana.

Bateman znalazł się na Standishu i jął okładać go pięściami, po czym złapał go za nogę i zaczął ciągnąć w dół zbocza. Standish robił, co mógł, ale tracił grunt pod nogami. Ten jebaniec będzie tu walczył razem z nami, obojętnie czy chciał tego, czy też nie.

Chmura przysłoniła księżyc.

Kiedy znów wychynał, Bateman leżał na ziemi, a Standish siedział na nim z kamieniem w ręce. Walił nim raz po raz, i jeszcze raz, następnie złapał karabin i pobiegł z powrotem pod górę. Wycelowałem, pokonałem pierwszy skok spustu, ale strzelić nie mogłem. Nie widziałem dobrze z takiej odległości, ale Bateman wyglądał tak, jakby brakowało mu połowy głowy. Nawet teraz, bez broni, gonił uparcie Standisha. Miałem nadzieję, że ukreć kark temu zasańcowi.

Standish odwrócił się i popatrzył w dół na człowieka, który znajdował się kilka metrów od niego, podrzucił broń do ramienia i strzelił.

Bateman padł do tyłu.

Docisnąłem do końca spust i pocisk smugowy poszybował łukiem w górę. Cruciał postarał się bardziej. Kilka jego pocisków uderzyło w skałę i zrykoszetowało, kilka przeleciało nad brzegiem i zniknęło.

W porządku. Dobrze, że tak strzelał, ja chciałem rozerwać pięciostrzałowymi seriami każdy metr kwadratowy stoku. Skurwysyn!

Gdy przerwaliśmy ogień, Standish jednak zniknął.

Bateman leżał na ścieżce twarzą w dół, jakieś dwadzieścia metrów od stoku. Strumyk błotnistej wody spływał na jego martwe ciało.

amartwianie się tym, co już się wydarzyło, nie miało sensu. Bateman nie żył i nie było na to rady. Trzeba było działać dalej.

Z Sam wydał rozkaz: - Nadal trzymamy pozycje. Biorę karabin Batemana. Do roboty.

Wyobrażałem sobie, że może Standish leży tam na krawędzi z wyprutymi bebechami jak ten chłopiec. To byłoby miłe. Silky znajdowała się w korytarzu w moim okopie.

-Bateman nie żyje.

-Nie tylko on. - Niestety, nie udało się uratować tego chłopca...

Wyciekła ze mnie cała energia. Musiałem usiąść. Oparłem głowę na rękach i próbowałem pozbierać się do kupy.

Chuckle Brothers patrzyli na mnie z dna okopu. W moją stronę wycelowano kościsty palec i usłyszałem słowa: - Mister Nick, mister Nick.

- Tak jest, mały. Jestem mister Nick, a to miss Silky. Wróć za chwilę, zgoda?

Poszedłem do jej namiotu. Tim znajdował się na podłodze przy drugim chłopcu i czyścił rozproszone rany wodą z pojemnika. Chłopiec nadal oddychał, ale jego oczy zrobiły się szkliste. Mój chłopak też leżał na podłodze, okryty kocem przesiąkniętym krwią.

Tim spojrział na mnie i zapytał: - To co robimy, Nick?

- Teraz jest nas tylko trzech do walki. Trzymamy się do brzo-
sku, a potem wychodzimy stąd.

Jego oczy się zwięzły. - Słyszałem, jak dwóch z nich spierało się
o wykorzystanie dzieci do walki... Spojrzeliśmy na grupkę
dzieci siedzących pośrodku namiotu.

- Jestem w kropce, Nick. Nie myślę, że uda nam się stąd wyjść
bez ich pomocy. Wcale nie chce mi się tutaj teraz umierać, ale
jeśli się tak zdarzy, równie dobrze może to być podczas próby
zrobienia wszystkiego, aby ochronić ich życie...

Kiwnąłem tylko głową i poszedłem. Co tu było do powiedze-
nia?

Sam wyteżał wzrok w ciemności zza swojego karabinu maszy-
nowego.

Zawołałem Cruciala.

- Nic nie mówcie teraz, tylko słuchajcie, co powiem. - Otarłem
pot z twarzy. - Siedzimy w matni. Nie mam nic przeciwko. To
co z tego, że umrzemy? Kiedyś przecież trzeba. Ten postrzelony
dzieciak nie żyje i jeśli nie posłużymy się chłopaczkami przy ob-
słudze granatników, reszta tych maluchów także zginie. Musimy
teraz wygrać, bo inaczej nigdzie już stąd nie pójdziemy. Dzięki
dzieciakom przy odpalaczach możemy mieć dodatkową siłę og-
nia, której tak bardzo potrzebujemy. Jak na razie mamy niemal
przerypane. Wiem, że to ostatnia rzecz, jaką chcielibyście zrobić,
wiem, że dzieciaki przeszły już bardzo wiele i mogą być zsz-
kowane tym, co się wydarzy, ale jednego jestem pewny: jeśli nie
wprowadzimy ich do walki, zginieją i one też. Spróbujmy więc
zachować je przy życiu, a o resztę będziemy się martwić później.

Czekałem na odpowiedź.

- To wszystko, co miałem do powiedzenia.

Czekałem dalej.

Cisza. Teraz już nie wiedziałem, czy to dobry, czy zły znak.

Wtedy usłyszałem pociąganie nosem, potem znowu... Crucial
płakał.

W końcu odezwał się Sam, ale do Cruciała, nie do mnie:
-Przysposobisz ich i będziesz nimi dowodził, w porządku?

Cruciał poderwał się na równe nogi i wykrztusił: - Lepiej zabiorę się do roboty, zanim się rozmyślę.

Ruszył wielkimi krokami do namiotu, pokrzykując i powrzaskując jak sierżant Legii Cudzoziemskiej, który nawdychał się helium.

wtorek, 13 czerwca, godzina 2.48

Crucial dosłownie wywindował za przeguby dzieciaki z okopów i od tego czasu nie robił nic poza pokrzykiwaniem

na nie i gonieniem ich do roboty. Sam, siedząc na swojej

pozycji, odwrócił się w stronę doliny, jakby nie mógł na to

wszystko patrzeć.

- Standish zrobił dokładnie to samo, co wtedy na zadaniu. Narozrabiał, po czym splawił się, pozostawiając innym sprzątnięcie po sobie całego burdelu. Wróci, to jasne, i będzie kontynuował swoje. Ale dla mnie i Cruciala to już koniec. Będziemy musieli przenieść kościół z dala od pasa startowego i zacząć wszystko od nowa. Pieniądzy starczy na rok, może na półtora, ale potem...

Spojrzałem za siebie na Cruciala i chłopaków. Zgarbieni, głowy spuszczone, każdy z nich sięgał Crucialowi najwyżej do pasa. Crucial musiał sięgać ręką w dół, aby szturchnąć ich w pierś,

popchnąć w błoto albo wrzeszczeć im prosto w twarz.

- Na myślenie, co potem, jest jeszcze za wcześnie. Najpierw stąd wyjdźmy, a później możemy pogadać o wszystkim innym, dobra?

Sam nadal nie chciał oglądać tego, co działo się kilka metrów za nim. Wiedział, że mnie też się nie podoba to, co widziałem.

- To jedyny sposób, Bóg nam wybaczy. Ogłupianie ich, odczłowieczanie, straszenie. To jakby nacisnąć przycisk, który za-

mieni je w maszyny do zabijania. Nick, tak ciężko pracowaliśmy, aby do tego nie doszło, udawało się, a teraz? Sami nastawiamy ich na zabijanie.

Obserwowałem, jak pracuje Crucial. Sunday reagował o wiele szybciej niż inne dzieciaki, chociaż nadal wokół nogi miał owinięty sznur.

-Czy wiesz, co w tym wszystkim jest najgorsze, Nick? Te dzieciaki wiedzą, co się z nimi dzieje, ale już nie potrafią inaczej. I to je przeraża.

-To i tak lepsze niż śmierć. Myślę stary, że czeka cię później kawał niezłej roboty, i to wszystko. Będziesz miał co robić na emeryturze.

-A co z tobą, Nick? - zapytał Sam, patrząc przed siebie.

-Zostajesz jednak z nami?

-To nie jest odpowiednia chwila na takie pogaduszki. Muszę na razie pomyśleć - powiedziałem, chociaż nie była to prawda. Zastanawiałem się, ale nie nad tym. - Uda nam się dotrzeć do pasa startowego?

-Z pewnością. Przeprowadzimy się przez rzekę i ruszymy na wschód. Gdy tylko miniemy otwartą przestrzeń, gdzie wtedy doszło do starcia z wrogiem, potrafię znaleźć szlak. - Sam odwrócił się do mnie i wyciągnął rękę. - Czy twój aparat do nawigacji GPS jest sprawny?

-Do pewnego stopnia. - Wyciągając aparat, wpadłem na pewien pomysł. - Czy Standish ma nadal telefon satelitarny?

Sam spojrział na pęknięty, zalany wodą ekran i cisnął go w błoto.

-Myślę, że tak. -A ty masz swój?

-Ano.

-On zna numer Lexa?

-Chyba tak. -A ty?

-Nigdy nie był mi potrzebny. Znam jego numer domowy, to wszystko.

-Fajnie! Moglibyśmy do niego zadzwonić i powiedzieć, co się stało.

-Jego tam nie ma, synu. Ma pięciodniowe kursowanie do Kenii i z powrotem.

-Musimy go dorwać. On ma te działka 23 mm z tyłu, prawda? Sam odwrócił się nagle.

-Standish pewnie go właśnie dorywa i załatwia sobie odebranie.

-Niekoniecznie. Może leży z twarzą w błocie i z paroma dziurami wywierconymi przez moje i Cruciala pociski. Może miniemy jego ciało, wychodząc stąd. Tak czy inaczej, pieprzyć go. Musimy złapać jakoś Lexa. A co z Hendriką? Masz numer na lotnisko?

Próbowałem przypomnieć sobie tę masę siódemek i piątek, której nie byłem w stanie zapamiętać, nawet gdy je sobie właśnie zapisałem wtedy na lotnisku.

-Powiedziałem ci już, nigdy nie był mi potrzebny.

-ACrucial?

-Tak samo.

-OK, daj mi telefon. Zdobę ten numer.

Wyjął owinięty w prezerwatywę telefon. Zabrałem aparat i z kałachem w ręce pobiegłem do namiotu Silky i Tima, aby schować się przed deszczem, gdy będę się nim posługiwał.

Lampa rzucała nadal wątle światło. Drugi chłopak leżał teraz na łóżku obok Tima, który otulając ramieniem ten worek gnatów, pocieszał rannego, jak dawno temu musieli to czynić rodzice małego.

Silky stała z zakrwawionym opatrunkiem w ręce.

- Co się dzieje z dzieciakami?

Tim wiedział.

- Idą do walki, prawda?

Kiwnąłem głową. Na zewnątrz namiotu grzmiał i znącał się nad nimi Crucial.

Zdjąłem kolejną prezerwatywę z telefonu i włączyłem go. Silky i Tim gapili się na mnie, chcąc wiedzieć, co się stało.

- Myślę, że dostaniemy jakąś pomoc.

Telefon zalogował się do sieci, a ja wprowadziłem kod identyfikacyjny, a potem wybrałem numer. Sprawdziłem czas na moim kangurzym zegarku. Było po trzeciej, ale w Hereford jest po czwartej. Ten skurwiel będzie pewnie w domu, pogrążony w głębokim śnie.

Dzwoniłem tak długo, aż wreszcie usłyszałem
 zaspane: -Czego? - Tu Nick, Nick Stone.
 Potrzebna mi twoja pomoc, kochany. Masz
 przecież numer telefonu satelitarnego Lexa? Albo Hendriki? No

wiesz te, które mi kiedyś dałeś...

Teraz był już przytomny. - Mówiłem ci już, że jesteśmy kwita.
 Nie chcenie...

-Poczekaj, Dave, poczekaj. Tutaj są ludzie w ciężkiej sytuacji.
 Kobiety, dzieci... -Nie mogłem marnować czasu i baterii.
 Miałem nadzieję, że ton mojego głosu powiedział mu
 wszystko, co chciał wiedzieć. - Jestem z Samem. To sprawa
 życia albo śmierci.

-Kwita - powiedziałem. - Odwal się.

-Posłuchaj, przepraszam za to, co się stało. Byłem wściekły, prze-
 praszam. .. Mam tutaj ludzi, którzy zginą, jeśli im nie pomożesz.
 To dzieciaki to czyjeś wnuki, do cholery... - Desperacko
 starałem się przebrnąć przez jego złość i dotrzeć do niego. - Mam
 tu chłopca na-faszerowanego odłamkami granatu. Potrzebujemy
 pomocy, Dave... - podsunąłem telefon bliżej chłopca, a ten nie
 zawiódł mnie, wydając jęk, może też dzięki temu, że Tim ścisnął

jego poranioną rękę.

Odszedłem wolno na bok, więc jęk pozostał w tle. - Mam tutaj dziewięćoro dzieciaków, chłopie. Nie chcę ich mieć na sumieniu. Jestem pewny, że ty też tego nie chcesz...

Zapadła cisza. Jakbym słyszał palce stukające w kalkulator, gdy obliczał cenę za głowę jednego uratowanego. Jednak Dave mnie zaskoczył.

- Podam ci ten numer - powiedział.

Lata zajmie mu zejście z łóżka i zjechanie w wózku na dół do biura. - Oddzwonię za dziesięć minut, OK?

Wyłączyłem się i wybrałem rejestr przeprowadzonych rozmów: był tam tylko jeden numer. Połączyłem się z nim.

Zajęte. Cholera, on żył i teraz pewnie telefonował do Lexa.

Powiedziałem do Silky: - Idź do namiotu obok, tam na ziemi jest papier i kredki. Przynieś je szybko. - Rzuciłem jej latarkę.

Spróbowałem znowu połączyć się ze Standishem, ale numer był zajęty.

Tim patrzył na mnie, kołysząc leżącego obok chudzielca. Mówił do niego cicho, usiłując go i pocieszyć, i przeprosić.

Silky zaraz wróciła z dwoma poszarpanymi arkuszami papieru i kredkami.

Wziąłem od niej latarkę, włożyłem do ust i klęknąłem. Łącząc się ponownie z Hereford, oglądałem rysunki Sundaya, które ukazywały dokładnie to, o czym mówili Crucial i Sam. Byli tam ludzie jak zapalki, krew, śmierć, broń. A po tamtym wszystkim reszta dzieci rysowałaby podobne rzeczy. Jakby na to nie patrzeć, będą mogły rysować, zamiast leżeć twarzą w błocie.

Odezwał się Stuknięty Dave: - Mam numer telefonu satelitarne-go.

Zapisałem to, co mi powiedział. Ślina spływała po latarce na papier. Gdy skończyłem, wyjąłem ją z ust.

-Jeszcze raz przepraszam, Dave, i dziękuję.

-Dobra, dobra - powiedział i rozłączył się.

Natychmiast wybrałem numer Lexa.

Po trzech dzwonekch Lex był już na linii, przekrzykując ryk silnika: - Czego znowu chcesz? Powiedziałem ci, że o brzasku. Nie mogę nic zrobić po ciemku. Jestem dwie i pół godziny drogi od ciebie, człowieku.

- Lex, to ja, Nick, Nick Stone, kumpel Sama...

- O, żyjesz, ale jajo - zupełnie jakby dwóch dobrych przyjaciół spotkało się po latach. - Miles też. Jest w drodze na pas. Chce,

abym zaatakował kopalnię i wyflukł te wszystkie bestie, a potem odebrał go z pasa startowego. Poczekamy i na ciebie, chłopie. Ile ci zajmie...

-Poczekaj. Cokolwiek ci mówił, to gówno prawda. Nie atakuj kopalni, powtarzam, nie atakuj kopalni. Sam, Crucial i ja żyjemy. Jesteśmy w kopalni. Standish dał dyla, zostawił nas.

-A gdzie Bateman i Tooley?

-Nie żyją. Standish zastrzelił Batemana, gdy ten próbował go zatrzymać. Mamy tutaj także dwoje ludzi z Mercy Flight i dziewięcioro dzieci. Z patrolu nikt nie odszedł. Tkwimy w szambie, Lex. Mamy dwa przypadki na noszach i ...

Lex nie chciał słuchać tego głędzenia. - On zabił Batemana i zwiął?

- Zastrzelił go, a potem dał dyla.

Głos Lexa wibrował gniewem. - On mi właśnie powiedział, że wy wszyscy nie żyjecie.

-Przecież słyszysz, że to nieprawda.

-Miałem nadlecieć i wystrzelać was o świcie, a potem... On zabija swoich własnych ludzi!

-Słuchaj, Lex, chcemy, żebyś nas wsparł ogniem z tej twojej dwudziestkitrójki, jeśli oczywiście możesz. Co się tyczy baow-ców, którzy się na razie wycofali, to chyba uderzą na nas o świcie.

-A kto teraz płaci za paliwo i amunicję?

-Daj spokój, do kurwy nędzy! Ja zapłacę! A może zagram z Samem w jakiegoś zwariowanego golfa. No to jak? Przylecisz, czy nie?

-Przylecę. Potrzebuję jakiegoś oznaczenia miejsca i wskazówki, gdzie strzelać.

-Zrobi się. Będę ci przekazywał dane ogniowe, kiedy znajdziesz się nad nami.

Lex mówił teraz bardzo spokojnie. To był spokój człowieka, który za chwilę stanie się niebezpieczny.

-Zadzwońię zaraz do tej pierdolonej szui i powiem mu, że może sobie zdychać jak pies w tej dżungli. Nie zostawia się ludzi na polu walki.

-Czy ty używasz numeru identyfikacyjnego?

-Coś ty? Oczywiście, że nie.

- To odbierze telefon, gdy ja zadzwonię?

Zapadła krótka cisza, a potem Lex zaczął się śmiać.

Standish odpowiedział bez zwłoki.

- Leć tam bezpośrednio i ostrzelaj ten teren. Wytlucz tych jebańców, którzy wymordowali zespół.

Wziąłem oddech.

- Nie martw się, zrobi to, ale nie sądzę, że cię zabierze. Tak po prawdzie, to życzy ci, abyś szczeł sobie w tej dżungli, ty jebańcu. Ja z kolei mam nadzieję, że tak się nie stanie, bo mam dla ciebie mały prezencik od Batemana.

Telefon zamilkł.

łożyłem ponownie prezerwatywę na telefon satelitarny.

-Silky, czy zostały jakieś rękawiczki chirurgiczne?

-Sterylnych nie ma, tylko używane. - Wskazała na stosik zakrwawionych tamponów i lateksu.

Z

- Zaraz po nie przyjdę.

Wyszedłem z namiotu. Dzieci *ustawione* były w cztery grupy po dwoje. Wszystkie patrzyły w dół doliny. Jedno w każdej parze podawało następnemu drżącymi rękami odpalacz, a to, też wystraszone, ładowało do niego pocisk. Crucial wrzeszczał na nie, aby zrozumiały, o co w tym wszystkim chodzi. Głos miał zdławiony, ale chyba nie od tego całego krzyku.

Sam nadal stał na czatach. Jego twarz wyglądała jak wykuta w granicie.

-Wszystko w porządku, stary?

-Powiedz mi tylko, co się dzieje.

-Dopałem Lexa. - Pomiąłem całą przeprawę ze Stukniętym Dave'em, bo to nie miało nic do rzeczy. - On jest tylko dwie i pół godziny drogi stąd.- Nie pomiąłem jednak Standisha, gdyż Sam powinien o tym wiedzieć. - Powiedziałem mu, że kiedy go spotkam, to go zabiję. I naprawdę chcę go jeszcze zobaczyć.

-Będziesz musiał stanąć w kolejce.

-Pójdę teraz na dół oznaczyć miejsce dla Lexa. Trzymaj to. - Podałem mu telefon satelitarny i wyjaśniłem: - Gdybym nie wrócił, trzeba będzie korygować dla Lexa dane ogniowe.

Sam spojrzął na zegarek wiszący na szyi.

- Chyba zdążymy. Brzask zacznie się przed szóstą.

Zabrałem cztery taśmy i zwałem je w namiocie.

- Potrzebuję, abyście wyjęli wszystkie pociski z naboju. Trzeba zginać taśmy, wzdłuż o coś twardego, to wyskoczą. Wysypcie z każdego naboju proch do dwóch rękawiczek. - Nie dałem Timowi i Silky szansy, aby zapytali po co. Musiałem łapać teraz Cruciala.

Cztery pary chudzielców z wydętymi brzuskami ćwiczyło teraz ładowanie. Najbliżej mnie stał Sunday, zawiadujący swoim odpalaczem. Trzymał go do góry, tak by jego asystent mógł włożyć rurę stabilizującą i by mechanizm odpalający był na swoim miejscu.

W dzieciaki wracało życie, choć nie za dobre. Crucial naprawdę kierował grupą agresywnie, więc dzieciaki zamieniały się w automaty.

Sunday szamotał się z bronią żeby nałożyć ją na prawe ramię. Nie trzymał jej tak, jak robię to ja, z lewą ręką na tylnej rękojeści. Drugi dzieciak stał zaraz za nim, odpalacz spoczywał więc także na jego ramieniu. Opasał prawą chudą jak patyk ręką Sundaya, lewą kładąc mu na lewym ramieniu w usilnym staraniu utworzenia stabilnej platformy. Odpalacze, nawet załadowane, ważyły mniej niż ukaem z dwustoma nabojami, ale dla takiego malucha i tak równało się tonie.

Crucial otarł twarz rękawem. Chciał, abym myślał, że to pot, ale ja widziałem, że to łzy. Wprowadziłem go w to, co się wydarzyło po telefonie i co zamierzam robić.

-Spiesz się, człowieku. Potrzebuję ich w okopach już przyuczonych. Potrzebna mi twoja pomoc.

-Zaraz będę wolny.

Chwyciłem urządzenie detonujące i przewód detonacyjny.

ick! Nick! - krzyczał Crucial i przywoływał mnie, machając ręką. - Jesteś mi natychmiast potrzebny! Podniosłem kałacha i

N poszedłem do niego. Czterech małych ludzików wynosiło z drugiego namiotu dwa łóżka polowe. Sam nadal przyglądał się nieruchomo swemu karabinowi.

- OK, Nick. Więc będzie tak. - Crucial wyglądał jak steward linii lotniczych wskazujący wyjścia awaryjne. - Dwa odpalacze na każdy okop. Pierwszy okop strzela na moją komendę. Potem następny okop robi to samo, gdy pierwszy ładuje. Złapałeś?

Ciekawe, czy oglądał film „Żulu”. Zupełnie jak chłopcy Michaela Caine'a w bitwie o Rorke's Drift, gdzie jeden strzelał, a drugi ładował broń. Przytaknąłem, że rozumiem.

- Świetnie. Chcę, abyś był w drugim okopie. Pilnuj, żeby robili wszystko, jak trzeba. Zapominają odbezpieczyć broń.

Pobiegłem do okopu Batemana. Stało tam jedno z łóżek, a na nim chłopcy z granatnikami. Między łóżko a przód okopu wtknięto dwanaście granatów.

Sunday i jego asystent tworzyli jedną grupę, a Chuckle Brothers drugą. Zauważyłem ze zdumieniem, że Chuckle Brothers płakali. Zdałem sobie sprawę, że mam ochotę przytulić tych małych gnojków i pocieszyć. Nie chciałem, aby musieli to robić. Chciałem, aby wiele rzeczy wyglądało tu inaczej, ale jak na razie nie było na to szans.

Ukucnąłem między dwiema drużynami, opierając się o przednią ścianę okopu.

-Wszystko w porządku, mały? - zapytałem. Przestraszeni Chuckle Brothers robili wszystko, aby uniknąć mego wzroku.

-Jak idzie? - zwróciłem się do Sundaya.

Crucial trzymał mowę do chłopaków z drugiego okopu. Asystenci ćwiczyli wkładanie granatu.

Patrzyłem, jak Sunday i główny Chuckle Brother biorą broń na ramię, czekając na asystentów, aż ci załadują pocisk i stworzą z nimi platformę strzelecką. Sunday odbezpieczył broń i czekał.

Chuckle Brothers chlipali. Podtrzymałem ręką przód odpalacza, czekając, aż się właściwie ustawią. Prosił i błagał mnie, myśląc pewnie, że im zaraz przywalę.

- Odciągnij kurek, odbezpiecz - klepnałem w przedni uchwyt.
- Musiałem postępować jak Crucial, inaczej im nie pomogę. -
Kurek! - ryknąłem. W końcu spróbowałem na migi.

Odbezpieczył niezdarnie broń.

Crucial wskoczył do korytarza przeciwpodmuchowego, chwycił oba odpalacze od tyłu i popchnął je w dół, aby nadać im właściwy kąt celowania. Gdy osiągnął już to, czego oczekiwał, wrzasnął na podkomendnych, oni zaś chwycili za broń, jakby od tego zależało ich życie.

Teraz rozkazał strzelać.

W obu odpalaczach stuknęły iglice. Strzelcy padli automatycznie na kolana i przeładowali broń.

Moja drużyna zajęła pozycję ogniową i tym razem odbezpieczyła broń.

Pieprzyć to. Nie miałem czasu, aby ćwiczyć ich w kółko. Dałem im spokój.

Wróciłem do Sama. - Teraz idę na dół. Czas oznaczyć teren.

Wziąłem koniec przewodu, pokrywę drewnianej skrzyni i wróciłem do namiotu. Odwodnienie znów dało o sobie znać. Wszystko wydawało się zbyt trudne.

Pijąc, patrzyłem, jak im idzie. Tim trzymał obie rękawiczki na kolanach. Obok niego nadal leżał chłopiec. Na podłodze walały się kawałki taśmy, łuski i naboje.

Silky podała mi pierwszą rękawiczkę. - Do czego ci to potrzebne? Co się dzieje?

- Muszę zapalić beczkę ropy w dolinie, która będzie znakiem rozpoznawczym dla pilota. Według tego znaku będę korygował ogień z samolotu.

Gdy zawiązywałem pierwszą rękawiczkę, Tim podał mi drugą. - Powodzenia, Nick... - powiedział.

- Czy masz jakiś plaster w tej swojej czarodziejskiej torbie?

Silky rozejrzała się i przyniosła mały krążek wąskiego białego przylepca.

Crucial nadal wrzeszczał na zewnątrz, ćwicząc swoich chłopaków w przeładowywaniu broni.

Po tej stronie namiotowego brezentu było tak dziwnie spokojnie i bezpiecznie.

Podniosłem jeden nabój i umieściłem wzdłuż niego dwie druciane końcówki przewodu, tak że kończyły się o niespełna milimetr od siebie na główce. Odwinałem zębami przylepiec, przykleiłem nim druty. Następnie delikatnie ułożyłem nabój w prochu w niezawiązanej rękawiczce.

Owinałem ciasno przewód wokół mankietu rękawiczki, zabezpieczając przylepcem przed wilgocią, ułożyłem obie rękawiczki na pokrywie skrzyni, zabrałem karabinek i odszedłem.

Pożegnania odłożyłem na później.

Część jedenasta

1

ostawiwszy około metra przewodu detonacyjnego luzem od miejsca, w którym krył się w rękawiczce, okręciłem go kilkakrotnie wokół przegubu lewej ręki, aby zabezpieczyć przed wypadnięciem podczas wykonywania gwałtownych ruchów, chwyciłem urządzenie detonujące i poleciałem do okopu Sama.

- Masz, pilnuj tego - zostawiłem urządzenie z przymocowanym nadal przewodem. - Zaraz wracam.

Chciałem biec prosto w dół, w oddali nad doliną, za linią drzew widać już było słabe światło.

Spuściłem się w dół poślizgiem, w końcu wylądowałem na tyłku i resztę drogi przebyłem jak na sankach, z błotem zbierającym się między nogami. Wyrznąłem o jakąś skałę, upadłem na bok, ale udało mi się utrzymać przewód i karabinek, pokrywę skrzyni i rękawiczki przyciskając mocno do piersi.

Podszedłem chwiejnie do beczki z olejem napędowym i oparłem się o nią na moment, by uspokoić oddech. Nie było czasu na obijanie się. Nie chciałem dać się złapać na otwartej przestrzeni, kiedy wszędzie słońce.

Rzuciłem rękawiczki na pokrywę skrzyni, położyłem je na powierzchni oleju, rozplatałem z przegubu przewód i pobiegłem do składu broni.

Panowała tam całkowita ciemność. Włączyłem latarkę, przejechałem snopem światła po ziemi, szukając gorączkowo plastycz-

nego materiału wybuchowego i znalazłem dwa kawałki. Tyle właśnie potrzebowałem. Często brałem połowę kawałka, by rozpałcić ogień, zagotować wodę albo jedzenie w menażce. Materiał ten jest tylko wtedy niebezpieczny, jeśli spala się go w ilości większej niż dwadzieścia kilogramów, bo wówczas wytwarza energię cieplną wystarczającą, by wybuchnąć.

Powróciłem do beczki, włożyłem nafaszerowane rękawiczki między kawałki materiału wybuchowego, po czym unieruchomiłem przewody detonujące kamieniem u postawy beczki.

Kiedy wcisnęę uchwyt urządzenia detonującego, iskra zapali proch w rękawiczkach, który spłonie w ciągu pięciu-sześciu sekund, zapali materiał wybuchowy, ten zaś, płonąc w wysokiej temperaturze, spali pokrywę skrzyni i zapali olej.

Taka boja świetlna powinna płonąć i dymić godzinami.

2

horyzoncie gęstniała wstęga matowego światła. Niebawem słońce rozjaśni wschodni skraj nieba. Trzy karabiny były już załadowane i gotowe do akcji, czwarty - w środku - był w zapasie. Gdyby któremuś z nas zablokowała się broń, nadal będziemy mogli prowadzić ogień na atakujących. Kiedy lufa takiego źle działającego karabinu ostygnie, można będzie się nim zająć.

Po obu stronach wejścia do doliny pokazały się błyski z wyłotów luf. Nietłumiony już przez burzę jak ubiegłej nocy dźwięk bezładnych serii odbijał się echem o stoki.

Sam przyłożył karabin do ramienia: - No to zaczynamy.

Brali nas pod włos, próbując nakłonić do odpowiedzenia ogniem i zdrady naszych pozycji w pierwszym brzasku rozpraszaającym ciemności. Powstrzymaliśmy się od odpowiedzi, obserwując, jak mniej więcej osiem błysków przesunęło się z wolna, lecz zdecydowanie w strefę naszego rażenia. Już tylko czterysta metrów.

Szli, strzelali i znów szli coraz głębiej w dolinę. Teraz mogłem widzieć nawet ich ruchy, następnie ludzkie sylwetki stawały się bardziej wyraziste. Niemal każda z nich była mała.

Prowadzili ogień, czekając nadal na naszą reakcję. Pociski uderzały ciężko o ziemię i wybuchały przed nami. Rzuciłem okiem na Sama: potrzasał głową. Będziemy trzymać nasze pozycje w tajemnicy do ostatniej chwili. To Sam wyda rozkaz.

3

olba przy ramieniu. Oczy otwarte. Palec na spuście. Od czasu do czasu, choć wiedziałem, że nie było takiej cholernej potrzeby,

K sprawdzałem lewą ręką, czy naboje są w porządku, celownik ustawiony na czterysta metrów, a broń odbezpieczona. Wzięłem kilka głębokich oddechów. Głosy dorosłych wykrzykujących rozkazy po francusku docierały aż do naszej pozycji.

- Wrzeszczą zupełnie jak Crucial - powiedziałem sam do siebie. - Tylko niższym głosem.

- Gonią te dzieci. Straszą je Bogiem - powiedział Sam.

Widziałem, jak sprawdza, czy dzieci nie znalazły się w jego celowniku, co robił już minutę temu.

- Pamiętaj, na razie krótkimi.

Serie pocisków uderzały teraz głucho we wzniesienie nie dalej niż kilka metrów od naszych twarzy.

Malutkie figurki, szurając nogami, szły na nas w mroku, podczas gdy pierwsze srebrne i pomarańczowe promienie oświetlały skraj doliny.

Sto pięćdziesiąt metrów.

- OK, gotowi... krótkimi seriami... ponad ich głowami.

Jeszcze kilka pocisków trafiło w błoto przed nami i w końcu Sam się ruszył.

Przyciskałem spust, strzelając trzema do pięciu pociskami w serii. Pocisk smugowy w każdej z nich wylatywał łukiem ponad lufy atakujących, lecąc w stronę wejścia do doliny. Serie były trochę za wolne, w sposobnej chwili muszę wyregulować dopływ gazu.

Po oddaniu około dwudziestu serii wstrzymałem ogień i popatrzyłem. Odpowiedzieli ogniem do nie wiadomo czego i zawrócili ku rzece. Dowiedzieli się, czego chcieli i jeszcze tu wrócą.

4

Regulator gazu w ukaemie umieszczony jest pod lufą. Wyrzut pocisku następuje dzięki wybuchowi sprężonych gazów prochowych, a regulator kontroluje ich ciśnienie oraz powoduje, że zamek powraca po następny pocisk. Im mniej gazu przepływa przez regulator, tym wolniejsze jest tempo strzelania.

Przekręciłem metalowe pokrętko aż do oporu, a potem cofnąłem o sześć skoków do tyłu. Takie ustawienie pozwalało mi na prowadzenie ognia z szybkością ośmiuset strzałów na minutę. Kiedy wrócą ci zasrańcy, taka szybkość wystarczy. Chodziło mi o to, by z naszej strony jak najwięcej pocisków spadało na wroga.

- Chodzi o Silky, Tima i chłopaka, Sam. Trzeba ich przenieść w bezpieczne miejsce. Mogą zająć mój okop.

Sam skinął głową i poszedł do namiotu, podczas gdy Crucial go osłaniał. Zabrałem karabinek, kilka zapasowych magazynków i poszedłem za nim.

Nie było dyskusji. Silky zaczęła zbierać swoje rzeczy, Sam chwycił łóżko z jednego końca, ja z drugiego. - Raz, dwa, trzy i do góry! Dźwignęliśmy Tima i chłopca i wynieśliśmy na zewnątrz.

Spuściliśmy ich do korytarza przeciwpodmuchowego okopu z takim wstrząsem, że chłopiec głośno krzyknął. W porządku -jeszcze dychał i nadal reagował na ból.

- Muszę wracać na stanowisko - oznajmił Sam. - Zrobię to szybko.

Podsunałem Timowi kałasznikowa.

-Wiesz, jak się z tym obchodzić?

-Już zdążyłem się przyjrzeć - zdobył się na uśmiech.

Rzuciłem mu na łóżko dwa zapasowe magazynki.

-To na wszelki wypadek - powiedziałem.

Sprawdził dźwignię bezpiecznika, wprawdzie nie tak płynnie, jak zrobiłby to jeden z nas trzech, ale wiedział, co trzeba wykonać i to wystarczało.

Ranny chłopiec nie był z tego wszystkiego zadowolony. Wytrzeszczał przerażone oczy, jakby broń była wycelowana w jego głowę.

- Nick, co mam robić w sprawie tych z dołu?

- Gdy rozpuła się piekło, niech Silky przeciągnie cię do korytarza przeciwpodmuchowego.

Tim położył broń z drugiej strony chłopca.

-Nick...

-Tak?

-Dziękuję...

-Za co?

-Po prostu dziękuję.

Silky, utykając, wyszła z namiotu. Wskoczyłem na zewnątrz i złapałem ją za rękę, mówiąc: - Zostaw rzeczy.

Pomogłem jej dotrzeć do okopu Sama i wskazałem urządzenie detonujące. - Kiedy ci powiem, wciśnij ten uchwyt, pociągnij do góry i wciśnij z całej siły w dół, dobra?

Dały się słyszeć szybkie uderzenia przed nami i na prawo od nas.

- Do okopu! Kryć się!

Cruciał już wykrzykiwał rozkazy dla swoich dwóch drużyn. Pchnąłem Silky, a potem przeskoczyłem do Sama. - Zauważyłeś? Tam na krawędzi?

Celował spokojnie w dół doliny. - Wstrzymaj ogień.

Dwa granaty wystrzelone z RGppanca szły niemal pionowo w powietrzu, a ja, znajdując się daleko od okopu Cruciala, poczułem gorąco na twarzy. Otoczyła nas chmura gryzącego dymu, a moje nozdrza wypełnił smród płonącego paliwa.

Crucial już pędził do Sundaya i Chuckle Brothers, gdy pociski zniżyły się i wybuchły w powietrzu. Każdy, kto znajdował się pod nimi, musiał dostać szrapnelem.

Z kolbą przy ramieniu, z szeroko rozwartymi oczami obserwowałem dolinę, gdy dwa następne granaty zostały wystrzelone jeden za drugim.

Tempo odpalanych granatów nie osłabiało ognia prowadzonego z krawędzi wzgórza; wokół nas wszędzie w błocie rozrywały się pociski. Był to

zmasowany ostrzał, usiłujący przycisnąć nas do ziemi, gdy

reszta zaatakuje od frontu.

- Telefon! Daj mi telefon! - krzyknąłem do Sama.

Nie odrywając broni od ramienia, wcisnął mi aparat do rozczepionej dłoni.

Zerwałem prezerwatywę i włączyłem telefon.

Niebo przed nami nabierało błękitu, ale za naszymi plecami nadal panował mrok. Odsunąłem się trochę dalej i kucnąłem z palcem wciśniętym do ucha, z głową nadal jednak wysuniętą ponad kant okopu.

Telefon został odebrany, a ja usłyszałem warkot silnika.

-Mecz się już rozpoczął, chłopie. Potrzebujemy cię...

-Będę za piętnaście minut. Jak wygląda pokrywa chmur? - zapytał, co zabrzmiało jak rutynowe pytanie o warunki lądowania.

-Przejaśnia się. - Znad krawędzi wzgórza nadlatywało więcej

pocisków, uderzając w błoto po obu naszych bokach. - Musiałem wrzeszczeć, żeby mnie usłyszał. - Pięćdziesiąt procent widoczności i nadal się rozjaśnia. Nadlećisz od wschodu?

-Prosto w dupę.

-Punktem orientacyjnym będzie płonąca beczka z olejem, taka jak na pasie startowym, OK?

-Zrozumiano.

-Znajdujemy się po zachodniej stronie doliny, powtarzam, wszędzie na zachód od oznaczenia to my, OK?

-Zrozumiano. W co mam strzelać?

-W grupę ogniową na południowej krawędzi doliny, tak jak będziesz nadlatywał, rozumiesz?

-Rozumiem.

Znowu dwa wystrzały z granatników zagłuszyły warkot silnika.

-Oczekujemy głównego ataku, prawdopodobnie od strony wejścia do doliny, jakieś czterysta metrów na wschód od płonącej beczki. Atak będzie postępował w górę doliny. Wszystko do tej pory rozumiałeś?

-Tak jest. W co są uzbrojeni? Powinienem o czymś wiedzieć?

-To lekka broń, na razie nie było granatników ani świateł i broni ciężkiej. Pociski smugowe na razie są tylko nasze.

-Zrozumiano. - Nadal był zrelaksowany. Nic dziwnego, że wytrzymał w tym biznesie tak długo.

-OK, nadlatuję. Zrób tylko, abym widział tę beczkę, chłopie. To oznaczenie jest mi potrzebne do właściwego ustawienia się. I czekaj.

Opuszczałem już rękę z telefonem, gdy Lex krzyknął: - Nick! Złapałeś Standisha? Czy powiedziałeś mu, o czym mówiłem?

- Tak, a nawet więcej.

- Zrozumiano. Jestem tam za piętnaście minut.

Sam krzyknął: - Zaczyna się!

Wystrzelił długą serię, ponad piętnaście pocisków, w strefę, gdzie wrogie grupy wlewały się do doliny.

Z wyższych terenów było więcej ognia osłaniającego grupę ataku. Z prawej strony poszły dwa granaty i już widziałem Cruciala, jak biegnął do drugiego okopu.

- Silky! - krzyknąłem tak głośno, że chyba usłyszeli mnie bawowcy. - Uchwyt! Wciśnij uchwyt!

Wyczekiwałem, obserwując dolinę, ale nic się nie wydarzyło.

- Silky! Przyładuj w ten cholerny uchwyt.

Oddałem kilka strzałów w dół i wtedy zauważyłem, jak isk-
rząc, pali się proch w rękawiczkach, następnie zajmują się kawał-
ki materiału wybuchowego.

-No, dalej, dalej...

Parę sekund później paliwo w beczce buchnęło ogniem.

6

ymierzyłem broń w wejście do doliny i posłałem serię dwudziestu pocisków, ponieważ wlewało się na nasz teren więcej bandziorów. Tych naćpanych zasrańców musiało być ze dwie setki, gotowych wymordować wszystko, co stanęło im na drodze.

W

Prawą rękę trzymałem na uchwycie pistoletowym, lewą zaś przyciskałem mocno telefon do kolby, tak że ekran znajdował się na wysokości oczu. Wygarnąłem kolejną serię. Czuję na twarzy silną, gwałtowną wibrację, gdy zamek ukaemu pracował z szybkością prawie ośmiuset strzałów na minutę. Dzwoniło mi w uszach.

Pocisk smugowy spłynął w kierunku pola rażenia i pociski spadły na teren przez nich już zdobyty.

Przeniósłem ogień lekko w lewo i znów nacisnąłem spust. Napastnicy padali, ale fala ataku przesuwała się dalej. Teraz musiałem patrzeć z ukosa pod słońce, które właśnie wychynęło na horyzoncie.

Crucial krzyknął rozkaz i odpalono kolejne dwa granaty. Cały pagórek osnuwały teraz dymy z podmuchu, po drugiej stronie niebo zasłaniał czarny dym z płonącej beczki oleju.

Kończyła mi się taśma z nabojami. Chwyciłem następną, dołączyłem do resztek wystających z komory amunicyjnej i strzelałem dalej.

Sam chwycił zapasowy ukaem, krzyząc: - Blokada! Blokada!

Przeładował broń i nacisnął spust. Jego głowa trzęsła się wespół ze strzelającą bronią jak w paroksyzmie.

Wypuściłem długą serię. Czulem na twarzy i rękach falę gorąca, płynącą od rozpalonej broni. Rozszalałe wrzaski i krzyki zbliżały się coraz bardziej.

Większość atakujących to były dzieci. Gdy zbliżały się, skosiłem je serią próbując skupić myśli na odległości i celowaniu.

Spostrzegłem zielony poblask. To jarzył się ekran telefonu.

Nacisnąłem klawisz odbioru, gdy jednocześnie padały strzały z dwóch RGppanców, a broń Sama grzmiała zaraz obok. Kucnąłem w okopie i zatkałem palcem jedno ucho.

- Już prawie jestem, chłopie.

7

eczka się pali! - krzyknąłem do telefonu. - Olbrzymi słup dymu. Gdzie jesteś?

Cisza.

BPrzepatrzyłem horyzont w nadziei, że zauważę skrzydła, kadłub samolotu i usłyszę terkot działek 23 mm, ale słońce znajdowało się jeszcze zbyt nisko.

-Gdzie jesteś?

-Siedź cicho! Muszę się skupić...

Lex pewnie badał zachodni horyzont, wypatrując dymnego sygnału, a potem korygował swoje położenie.

-OK, już, widzę to. Czy chcesz nadal, żebym przyładował w wejście do doliny, czy może rozpieprzyć to baowskie tsunami w samej dolinie? Nie mam na pokładzie sklepu z amunicją. Albo rybka, albo pipka.

-Wal w wejście do doliny, w grupę ogniową.

-Nadlatuję. Bądź w pogotowiu.

Usłyszałem, jak wydaje przez interkom polecenia strzelcowi pokładowemu, więc wyprostowałem się. Miałem nadzieję, że ten cholernik tym razem powstrzymał się od popalenia sobie maryški.

- Przerwać ogień! - krzyknąłem do Cruciala. - Żadnych granatników! Nadlatuje Lex.

Kolejni bandyci napływali do doliny, by wesprzeć falę atakujących, a my kosiliśmy ich pierwszą linię. Były wśród nich ofiary. Niektórzy uciekali w panice, lecz większość szła dalej.

Nowy dźwięk wypełnił powietrze. Lex znajdował się jakieś czterysta metrów od nas, szklana bańka dzioba przesuwiała się z prawa na lewo. Skrzydła pochylały się w dół, gdy samolot skręcał i kierował się nad wejście do doliny, potem zaś rozległ się terkot i grzechot dwóch działek 23 mm, jakby to były jakieś kar-taczownice Gatlinga.

Z dzioba Kaczora Donalda wyskoczył czerwony pocisk smu-gowy, jak stopiona stal wylewająca się z hutniczego pieca.

uderzenia pocisków wywoływały erupcję
 małych wulkanów błota, a z wyższych partii
 terenu stoczyły się ciała zabitych. Ci, którzy

ocaleli, szukali ukrycia. Nie było już wymiany ognia.

Chwyciłem telefon. - Trafienie! Od tego czasu baowcy posu-
 nęli się trzysta metrów do przodu.

Odwrociłem się w stronę doliny, dostosowałem celowniki bro-
 ni do minimalnej odległości trzystu metrów i ustawiłem nieco
 niżej. Z każdym wybuchem byłem coraz bardziej pewny siebie,
 dopóki nie usłyszałem krzyku Cruciala:

- Kontakt z tyłu! Kontakt z tyłu!

Odwrocił się o sto osiemdziesiąt stopni i strzelał z kałaszniko-
 wa do tyłu. Ze wzgórza biegli w dół ci z grupy ogniowej.

Sam rozejrzał się i zdecydował: - Ja walę do przodu, ty bierz
 tych z tyłu!

Złapałem karabin za uchwyt i postawiłem go na brzegu kory-
 tarza przeciwpodmuchowego. Musiało ich być dwudziestu albo
 trzydziestu idących prosto na nas, byli już w odległości czterdzie-
 stu metrów, odległość się zmniejszała.

Wystrzeliłem kilka krótkich, szybkich serii. Położyłem kilku,
 ale reszta nadal parła naprzód.

Pierwsza fala napastników wrzeszczała już na szczycie pagórka, w odległości około dwudziestu metrów, tak blisko, że słyszałem chlupot błota pod ich stopami.

Odrzucili karabiny bez amunicji i wyciągnęli maczety.

ajwiększy i najbardziej odrażający z napastników szedł na mnie, jakby pozbawienie mnie głowy było jedyną misją w jego życiu.

N Oddałem bezpośredni strzał. Był tak blisko, że aż musiałem przykleknąć, by osiągnąć właściwy kąt podniesienia.

Gdy wznosił ostrze, z jego spryskanej błotem gęby dobywał się charkot.

Oddałem porządną serię i maczeta wpadła z brzękiem do okopu. Jego krew trysnęła mi na twarz, ciało przewieszane przez lufę mojego karabinu zaczęło skwierczeć.

Sam wspierał teraz ogniem Cruciala, a ja zepchnąłem zabitego w błoto. Zwłoki cuchnęły jak spalony skwarek.

Z lewej strony zarejestrowałem ruch. Nachyliłem się, by chwycić kałacha Sama i już byłem gotowy do strzału.

Na nodze biegnącego powiewał sznur.

- Sunday, stój!

Crucial akurat miał przerwę w strzelaniu, kucnął, by zmienić magazynek.

Sam wzmagął prowadzony ogień.

Ściągnąłem w dół dźwignię bezpiecznika i wywaliłem za chłopakiem cały magazyn, gdy w ślepej panice uciekał ścieżką.

Już nie miałem amunicji, rzuciłem więc broń i wygramoliłem się z okopu, by pójść po niego.

aowcy napływający w dolinę byli tak blisko, że mógłbym się dowiedzieć, jakiemu klubowi piłki nożnej kibicują i odróżnić dzieci od dorosłych. Nie mogłem jednak pozwolić, aby Sunday. Wystarczyło zrobić tylko kilka dużych kroków, by dogonić go z tyłu okopu, w którym znajdowała się Silky, i skoczyć *mu* na plecy. Obaj upadliśmy w błoto.

Walczył, aby się uwolnić i krzyczał w popłochu, gdy kule świstały nad naszymi głowami. Unieruchomiłem go chwytem za ramiona, chwyciłem za przeguby i zawlokłem do Silky.

- Wszystko w porządku, Sunday! No już, idziemy!

Wytrzeszczył oczy tak bardzo, że zdawało się, iż wyskoczą z oczodołów. Nie zamierzał wracać po dobroci.

- Pomóż mi! - krzyknąłem do Silky.

Skokami pokonałem ostatnie metry. Jakiś facet i gnał w naszą stronę. Miał na sobie dzinsy z uciętymi nogawkami i koszulkę z podobizną wykrzywionego Boba Marleya. Maczeta podrygiwała mu w rękach, jakby ktoś podłączył go do sieci wysokiego napięcia.

Przyciągnąłem Sundaya ku sobie i przetoczyliśmy się do korytarza przeciwpodmuchowego. Nie spuszczał ze mnie wzroku.

Cudza stopa ochlapała mi szyję błotem, poczułem zjeżdżały oddech tego oszalałego jebańca, kiedy pochylił się z uniesioną maczetą. Jego pot prysnął mi na twarz, gdy zamachnął się ostrzem.

ozległa się szybka seria z kałasznikowa i straszdyło zwa-
liło się na mnie z rozpostartymi ramionami, wciskając nas
w błoto.

RUwolniłem się od niego.
Za mną leżał Tim, walcząc z bólem, wywołanym
zwleczeniem się z łóżka. Nadal trzymał broń w rękach, a
na twarzy miał grymas tej samej determinacji, z którą ja
przytrzymałem Sundaya za kościste, drobne przeguby.

Pochyliłem się i ująłem jego głowę w obie ręce. - OK, jesteś
bezpieczny - i uśmiechnąłem się. Popatrzył na mnie, nie rozu-
miejąc moich słów, choć może wyczuwał ich znaczenie.

Sam wściekł się: - Nick, Gdzie jesteś? Do roboty!

Wziąłem Sundaya na ramię i pędem wróciłem z nim na moją
pozycję. Nie pozwolę, żeby czuł się opuszczony.

Sam prowadził ogień, a ciała padały przed nim jedno na drugie.
Jego pocisk smugowy nie miał nawet czasu zapłonąć, gdy wbijał
się w innych bandziorów znajdujących się około stu metrów da-
lej. Karabin miał teraz wycelowany w dół pagórka, sam zaś leżał
przewieszony niemal przez próg okopu, by mieć właściwy kąt
strzelania.

W okopie zrzuciłem Sundaya zaraz obok siebie.

Sam wypuścił kolejną serię do napływających szaleńców.

- Przegrywamy, Nick!

Chwyliłem telefon.

- Słuchaj, Lex. Masz jeszcze to swoje paliwo na pokładzie?
 - Mam zawsze, człowieku.
 - Są jakieś sto metrów od nas i idą nadal. Posłuchaj...
 - Wytłumaczyłem mu, czego potrzebuję.
 - Zrozumiano. Zakręt w prawo. Nadlatuję od zachodu.
 - Mało mnie obchodzi, w jaki sposób, po prostu zrób to.
- Wspinali się teraz na śliski pagórek. Jedni w biegu ciągle strzelali, inni wymachiwali maczetami.

Zabijałem mężczyzn i dzieci w wellingtonach i w zwykłych trampkach, w dżinsach i w szortach. Wszyscy ryczeli tak głośno i tak piskliwie, że chyba nie byli świadomi, że strzelamy. Kropiliśmy do nich jak do obiektów w grach wideo, a w miejsce trafionych natychmiast pojawiali się nowi.

n-12 nadleciał szybko na niskim pułapie. Rampa samolotu była opuszczona. Z jego głębi potoczył się w dół rząd niebieskich beczek zawierających po pięćdziesiąt galonów paliwa lotniczego. Ujrzałem w przelocie ładowniczego, który szarpał gorączkowo taśmy zabezpieczające ładunek, by zrzucić jeszcze więcej.

Nawet nie czekałem, aż spadną wszystkie, strzelałem do tych, które już leżały w błocie. Reszta zajmie się od pozostałych.

Niektóre beczki przywały się do ludzi. Wysokooktanowe paliwo tryskało przez wykonane przeze mnie dziury i zapaliły się jedna po drugiej. Teraz potrzeba jedynie gorąca, aby opary paliwa zamieniły się w gaz i rozerwały pojemniki oraz aby doszło do potrzebnych nam eksplozji.

Crucial pojawił się ze swoim odpalaczem, miał lepszy pomysł.

- Kryć się! Kryć się!

Schowałem się w okopie, a on odpalił w dolinę.

Każdy, kto znalazł się w promieniu czterdziestu metrów od miejsca wybuchu granatu, szybko doczekał się śmierci. Paliwo się zapaliło, wytwarzając falę uderzeniową, która zamieniła się w kulę ognia.

Owionęła nas fala gorąca, gdy Crucial odpalił jeszcze jeden granat. Jego wybuch, który teraz wywołał reakcję łańcuchową, zagłuszył krzyki palących się ludzi.

Skoczyliśmy z powrotem do ukaemów, ale nie było już do kogo strzelać. Gdy płomienie ogarnęły połowę doliny, zamieniały każdego w pochodnię. Ci, którzy ocaleli, rzucili się do ucieczki.

Lex był już wysoko wśród błękitnego nieba, a promienie słońca igrały na skrzydłach jego maszyny. Podniosłem telefon do ucha i powiedziałem:

-Już nie strzelają...

-No, mam nadzieję, po takiej porcji...

Nie mógł się powstrzymać przed małym uczczeniem zwycięstwa- samolot zachybotał skrzydłami i z rykiem silników opuścił dolinę.

Nawet cykady nie pogwałciły zaskakującej ciszy, jaka zapanowała wokół. Zniszczenia były niewyobrażalne. Wokół naszych pozycji leżało mnóstwo rozrzuconych ciał, ale niżej, w dolinie, wśród ognia i dymu było ich tyle, ile drzew powalonych przez jakiś huragan.

Wróciłem do Sama, gdy dusząca chmura ogarnęła nasze stanowisko.

Crucial siedział w swoim okopie z ręką przyłożoną do ust.

- Zgubiłem diament! - Krew przeciekała mu przez palce. - Straciłem jeden z moich diamentów.

Z obu okopów wychyliły się małe głowy. Paliwo napędzające granatniki nadal płonęło w błocie za nimi, a powietrze wypełniał zapach kordytu.

Silky wynurzyła się ze swego okopu, a ja pokazałem na migi uruchamianie urządzenia detonacyjnego i podniosłem kciuk do góry.

- Dobra, idziemy - zawarczał z korytarza przeciwpodmuchowego ten szkocki dzikus Sam. - Już po zabawie.

Koścista dłoń zacisnęła się na moim kciuku.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem Sundaya siedzącego na dnie okopu. - Mister Nick. Mister Nick... - powiedział, a na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. Ja zrewanżowałem mu się, uśmiechając się całą gębą.

Część dwunasta

1

Czwartek, 15 czerwca, Ruanda, godzina 10.46

tałem pomiędzy Samem i Crucialem przed starym kościołem, zbudowanym z pustaków i blaszanych puszek. W cieniu u naszych stóp siedziało w ciasnej grupce ośmiu maluchów, tak jak robili to w Nucę i w kopalni. Cóż jednak zrobiła ta różnica kilku dni!

Teraz dostali dobrej jakości pożywienie, czerpiąc je grzecznie palcami z czystych plastikowych talerzy, a nie z rdzawiających blaszanych puszek. I nie mogli się nadziwić, że wszędzie krążyły kobiety, nalewając im czystą, świeżą wodę z plastikowych butelek, która normalnie przeznaczona jest dla tragarzy.

Przełykając, Sunday podniósł głowę. Nasze spojrzenia spotkały się i teraz otrzymałem od niego uśmiech, który rozjaśniał całą twarz. Uśmiechnąłem się i puściłem do niego oko.

Lex już dolatywał. An-12 migotał w upalnej mgiełce, koła wysunięte, skrzydła kiwały się na lewo i na prawo, gdy kierował się na pas.

Byliśmy tutaj dopiero od kilku godzin i wszyscy trzej nie doprowadziliśmy się jeszcze do porządku. Jak zwykle broń i ekwipunek były na pierwszym miejscu. O broń nie musieliśmy się troszczyć, bo kałachy znalazły się w namiocie Sama i przez jakiś czas nie będą nam potrzebne. Jedyne ekwipunek, jaki wymagał

przeglądu, to te dzieciaki siedzące u naszych stóp, a skoro już miały owsiankę rozmazaną wokół buzi i poplamione nią nagie brzuchy, teraz mogliśmy zająć się sobą.

Powrót zabrał nam dwa dni. Z pociętych koców sporządziliśmy pasy i przymocowaliśmy na obu końcach łóżka. We dwóch, idący przodem wyszukiwał trasę, przenieśliśmy Tima i chłopca te całe trzydzieści pięć kilometrów jak tragarze fortepian. Silky ściągnęła sobie kostkę paskiem z koca i prowadziła za nami dzieciaki. One także dostały paski koców. Silky poleciała każdemu dzieciakowi, aby trzymał się idącego przed nim, jak to czynią małe słonie, gdy idą rzędem, trzymając się za ogony.

Działka Lexa i granatnik Cruciala zrobiły straszną robotę. Idąc brzegiem doliny, zastaliśmy ją zaslaną trupami.

Lex wykończył cały zapas paliwa, jaki miał przy pasie startowym, nieustannie czuwając nad nami z góry, ostrzegając i kierując w dobrą stronę. Nie opuścił nas do końca, gdy przekroczyliśmy bezpiecznie granicę, zawrócił jedynie do Kenii, aby zatankować i pobrać beczki zapasowego paliwa.

Nuka, kopalnia, baowcy znaleźli się teraz jakby na drugim końcu świata.

Nie przypuszczałem, że będę odczuwać satysfakcję, patrząc z góry na czubki tych ośmiu głów. Odgłosy dochodzące z dołu przywodziły na myśl świńskie koryto, lecz były to jedne z najradośniejszych dźwięków, jakie zdarzyło mi się słyszeć. Ci mali gówniarze mieli teraz szansę na coś, co przypominało prawdziwe życie. Nie pamiętam, kiedy czułem się tak dobrze. Nie chciałem jednak ryzykować, że Sam zobaczy mój wyraz twarzy, bo nigdy się od niego nie odpędzę.

Sam westchnął głęboko.

- Jeśli Standish żyje, to tutaj wróci. A wtedy przyjdzie nam się stąd ruszyć. - Wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że urządzimy się gdzieś jeszcze bardziej na wschód, dalej od granicy. Jednak robota się nie skończy. Nie poddamy się. Coś zrobimy,

aby zapobiec eksploataowaniu tych dzieci przez Standisha i jemu podobnych. - Kiwnął głową w dół ku załodze przeżuwającej u naszych stóp. - Ktoś przecież musi. Crucial utkwiał we mnie wzrok.

- A co tobą, Nick? Zostajesz? Chyba nie możesz zaprzeczyć, że te maluchy cię ujęły, może nie?

Lex swoim zwyczajem posadził ciężko maszynę i wznecając olbrzymi kłęb czerwonego kurzu, w podskokach zmierzał teraz ku nam po pasie, co zwolniło mnie niejako od udzielenia odpowiedzi.

Odwróciliśmy się i ruszyli sprzed kościoła w stronę stanowiska dowodzenia pod siatką maskującą, a gdy przekraczaliśmy pas, jedno z dzieci krzyknęło: - Mister Nick! Mister Nick!

Odwróciłem się i zobaczyłem promienną po posiłku twarz Sundaya. - Mister Nick! Mister Nick!

- Tak jest, bracie, mister Nick. Widzimy się potem!

Pomachałem mu ręką, on też mi pomachał, nagle Chuckle Brothers także zaczęli machać, potem dołączyła do nich cała reszta, śmiejąc się i chichocząc.

Nie wiedziałem, co robić, więc tylko odwróciłem się i poszedłem dalej, machając im ręką.

2

ym z trudem znajdował sobie drogę przez sieć maskującą, gdy Jan smażył steki wielkości pokrywy kubła na śmieci. Lex

Dkołował wzdłuż pasa w naszą stronę z nowym ładunkiem kenijskiego paliwa, a psy i dzieci ze slumsów biegły obok.

- Przykro mi, ale ja nie zostaję. - Otoczyłem Sama ramieniem

i zrobiłbym to samo z Crucialem, gdyby nie był ode mnie sporo wyższy. Zamiast tego ścisnąłem jego rękę. - Mam niepokojące sprawy. Obiecałem sobie, że wrócę do kopalni, ale najpierw muszę je załatwić. A tak w ogóle, to wiesz, że nie mogę tu sterceć. - Wskazałem głową Tima i Silky. - To jest teraz ich miejsce, a nie moje.

Około dwustu metrów dalej Lex obrócił samolot i ustawił go w pozycji do ponownego startu. Sam przyjął poważny wyraz twarzy.

- Przykro słyszeć to, co mówisz, Nick. Myślę, że tutaj byłoby ci w sam raz - powiedział i stuknął mnie w pierś. - Pamiętasz, co ci mówiłem?

Kiwnąłem głową.

- Gdy tylko poczujesz taką potrzebę, he?

Lex wyłączył silniki, a my weszliśmy pod siatkę.

Tim i chłopak leżeli na stołach i wyglądali o całe niebo lepiej. Silky umyła ich i ponownie opatrzyła im rany. Musiała mieć podobne do naszych zasady, bo dopiero teraz poszła się oporządzić przed namiotem Sama.

Tim kończył rozmowę przez telefon satelitarny z biurem w Lugano. Etienne załatwi opiekę medyczną dla obydwu, czekającą na nich w Kapsztadzie, jak tylko ich tam dziś wieczorem dostarczymy.

Woda marki Evian była zimna. Wyjąłem butelki z lodówki i podałem wszystkim.

Jan rzucił na stół pierwsze porcje ciemnoczerwonego mięsiwa. Crucial podawał je dalej dwoma palcami, bo było jeszcze bardzo gorące.

Rampa samolotu zaczęła się opuszczać. Za pół godziny w samolocie znajdzie się dwóch rannych, Silky i ja.

Tim wyłączył telefon.

-Zostajesz?

-Nie, mam inne plany.

-Nadal Australia?

-Owszem.

Tu w rozmowie nastąpiła przerwa, a my nie wiedzieliśmy, jak ją wypełnić.

No dobra, wiedzieliśmy, ale żaden z nas tego nie chciał.

Wszystko przerwał Lex, który wyskoczył z samolotu z torbą golfową.

- Sam! Jesteś mi winien dwie partie -jednąza dziesięć kawałków, a drugą za paliwo i amunicję. Chodź tutaj i bądź mężczyzną!

3

am wstał, trzymając niedojedzony kawał mięsiva. - Czy nie możemy z tym poczekać? Dlaczego chcesz się tak

Skompromitować przed wszystkimi? Lex rzucił torbę na ziemię.

- Ponieważ nie wracasz do Erinville, prawda?

Wszystko skoń

czone. - Rozpiął suwak w jednej z bocznych kieszeni i wyciągnął tuziny piłek. - Muszę odebrać zakład.

Oparł się na jednym z kijów, wybielone zęby lśniły na równi ze słońcem odbijającym się w jego okularach przeciwsłonecznych.

- No chodź, czasu nie ma. Zakład to zakład.

Sam skinął głową na Jana, który odebrał od niego stek, położył z powrotem na ruszcie, po czym ruszył na pas startowy z jakąś zardzewiałą puszką. Sam wyszedł na słońce i pochylił się, aby wybrać kij. Cholera wie jaki; na mojej liście gier, o których nie miałem zielonego pojęcia, golf stał jeszcze wyżej niż krykiet i rugby. Machnął parę razy kijem dla rozgrzewki.

- Dziesięć piłek na każdego o każdy zakład, OK?

Lex przygotował się: - W porządku.

Jakieś trzydzieści metrów dalej Jan ustawiał puszkę na ziemi.

- Zbieraj wszystkich na pokład - Lex krzyknął do Cruciala, wskazując kijem samolot. - To nie potrwa długo.

Crucial odszedł, aby zająć się organizacją pracy taczkarzy, którzy bardziej byli przyzwyczajeni do załadunku i wyładunku skrzynek z bronią niż ludzi. Czekali na znak, aby wziąć Tima i chłopca i wjechać z nimi na pokład.

Sam machnął - nie wiem, jak to się u nich nazywa - pierwszy. Wydawało się, że powinien trafić piłką jak najbliżej puszek, ale sądząc po tym, co robił, wcale nie wydawało się to takie jasne. Ja też bym tak wyglądał, grając w golfa.

Pierwsza piłeczka poleciała w kierunku Demokratycznej Republiki Konga, a więc nie za dobrze.

- O, jaki wstyd, panie Samie - zaryczał ze śmiechu Lex, gdy trzecia piłeczka Sama lądowała na siatce maskującej. - Orzynam cię!

Lexa wymachiwanie kijem wyraźnie wskazywało, że jest w tej grze lepszy. Wyglądało więc, że będę musiał wystawić niezły czek, a może Samowi chodziło o to, aby przejąć dług? Naprawdę nie pamiętałem, o co chodziło, wydawało mi się to tak dawno temu.

Zostawiłem ich.

Tim układał się wygodniej na jednej z tacek. Przyszła Silky i stanęła obok mnie. Dotknęliśmy się ramionami i znów poczułem, jakby przeszył mnie prąd.

- Co będziecie robić po powrocie z Kapsztadu, zainstalujecie się obok Sama, czy wróćcie do Konga?

Stanęliśmy do siebie przodem, ale żadne z nas nie miało ochoty patrzeć drugiemu w oczy. Przeleciałem tylko szybko wzrokiem po jej twarzy. Umyła się, zajęta była odsuwaniem z twarzy mokrych włosów. Jak zawsze była piękna.

- Wracamy do Konga pokonać to, co zaczął Mercy Flight. Jeszcze dużo jest do zrobienia. - Patrzyła na to, co robili taczkarze. - A ty, Nick? Naprawdę Australia?

Przytaknąłem.

- Pomyślałem, że spróbuję znowu z tablicą ogłoszeń.

-Nick, ja...

Położyłem palec na jej ustach. Nie chciałem słyszeć dalszego ciągu. I tak już wiedziałem. Wiedziałem to prawdopodobnie od chwili, gdy zobaczyłem ją w tym namiocie z naręczem koców.

Była w środku zasnanej dżungli, na końcu świata, ale to było jej właściwe miejsce. Dobrze, że znalazła to, czego szukała. Niewielu ludziom się to udaje.

Spojrzałem na Tima, który karmił taczkarza kawałkiem mięsa, śmiali się obaj. Wiedziałem, że poza misją odnalazła jeszcze coś i nie musiała wcale sprawiać nam obojgu dodatkowego bólu, wypowiadając to głośno.

Wzięłem obie jej ręce w swoje i trzymałem je tak po raz ostatni.

-W porządku, wszystko w porządku.

Pochyliła się i ucałowała mnie w policzek.

-Dziękuję.

Odwieziono obu rannych. Silky szła między nimi, trzymając ich dłonie.

W głębi duszy chyba zawsze wiedziałem, że nie byłem człowiekiem, z którym byłaby szczęśliwa. Po tak bezładnym życiu potrzebowała zapuścić korzenie, ja zaś miałem do zaoferowanie jedynie parę centymetrów żyznej ziemi, potem zaczynała się skała.

Nie byłem smutny ani zły. Cieszyłem się tylko, że nie poprosiłem jej o rękę, stawiając ją tym samym w sytuacji bolesnej dla nas obojga. Dziwne, ale cieszyłem się, że tak wybrała. Jej nowe życie, polegające na rozdawaniu szczepionek przeciwko polio w jakimś strasznym świecie było, tym, czego chciała, a istnieli przecież gorsi faceci od Tima, z którymi mogłaby to życie dzielić.

4

owędrowałem z powrotem do namiotu Sama, by wziąć torbę podróżną. Wyszedłem na zewnątrz i gdy schowawszy się w cieniu pod siecią maskującą, czekałem na wynik

P zakładu, przyłączył się do mnie Crucial. Jan przyniósł nam znowu coś do przegryzienia i patrzyliśmy na dwóch wariatów grających w tego swojego dziwnego golfa.

-Lex nadal mu dowala?

-Nie, chłopie, Sam i tak wygra - Crucial puścił do mnie oko. - Lex chciałby robić z siebie chojraka, ale zmiękł na starość, przegrywa za każdym razem, gdy w grę wchodzi pieniądze na dzieciaki.

Pochyliłem się i wydobyłem z torby pierścioneek.

- Ja też.

Otworzyłem etui i zwróciłem się do niego, jakbym prosił go o rękę.

- Weź, to dla ciebie. Taki mały upominek ode mnie, abyś mógł uzupełnić ubytek.

Zawahał się, nie byłem pewien, czy z powodu, że to ja mu coś ofiarowywałem, czy z powodu mikroskopijnego rozmiaru diamentu.

- No bierz, chłopie, wiem, że jest cokolwiek mały, a w dodatku legalny, ale potraktuj go jako coś przejściowego, zanim nie wywalczysz sobie nowszego i większego, co?

Gdy brał ode mnie pudełeczko, spod jego lennonowskich okularów wytoczyła się łza.

- Człowieku, zawsze go będę nosił. Kiedykolwiek się uśmiechnę, pomyślę o tobie, a kiedykolwiek pomyślę o tobie, uśmiechnę się.

Trzydzieści metrów dalej rozległ się okrzyk zwycięstwa, wydany ze szkockim akcentem. Lex z gorzkim narzekaniem rzucił kij na ziemię.

Crucial wyciągnął swoją wielką łapę: - Czas się pożegnać, nie?

Potrząsnęliśmy sobie dłonie.

- Mam nadzieję, że zmienisz zdanie i wrócisz do nas.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Crucial nadal się mazał, nikt z nas nie zdążył się umyć, więc łyzy złożyły ścieżki w warstwie wyschniętego błota na twarzy.

Lex i Sam podeszli do nas.

-Wychodzi na to, że przyoszczędziłeś, chłopie - walnął Sama w ramię. - Bardzo po szkocku, no nie?

-Spróbuj zapamiętać sobie, Nick, co powiedziałem o robieniu rzeczy od serca. - Sam potrząsnął moją dłońią i spojrzał mi głęboko w oczy. - A teraz obaj spadajcie mi stąd.

Odwróciłem się z uśmiechem.

-Gdybyś zmienił zdanie, znajdziesz nas bez trudu - powiedział jeszcze. -1 zrób to.

-Będę się rozglądał za Standishem - zawołał Lex, zbierając z ziemi swoje kije - ale miejmy nadzieję, że leży sobie gdzieś, na wpół zjedzony.

Weszliśmy na pokład i rampa już się zamykała. Gdy Lex rozpedzał samolot, spojrzałem przez okno. Chciałem po raz ostatni rzucić na wszystko okiem.

Antonów ustawił się ponownie przodem do namiotów dowodzenia i Lex dodał gazu. Podrygując, samolot zrobił krótki rozbieg i uniósł się w powietrze. Patrzyłem z wysokości na Sama, Cruciala i tych ośmiu malców ustawionych szeregiem wzdłuż pasa, machających z uśmiechem, po czym oni, obóz, pas startowy i to całe pieprzone miejsce zniknęło w morzu brokułów.

czej. Ryzykowałem, ale co miałem zrobić? Potrzebowałem kogoś w środku, a i tak on i Stefan raczej nie byli dobrymi kumplami.

Niepotrzebnie się martwiłem. Był entuzjastycznie nastawiony. Powiedział, że czeka na mnie poczta, a nawet że ma dla mnie prezent. Potem zaczął głądzić o tym, jak pojedzie do swojej owdowiałej siostry do Lazio i jak planują hodować oliwki i kurczaki.

Poprosiłem taksówkarza, żeby mnie wysadził jakieś dwie minuty od domu. Idąc pozostałą część drogi, znów zadzwoniłem z komórki.

-Już prawie jestem, zdjąłeś kłódki z tylnej bramy?

-Oczywiście.

-Do zobaczenia za moment.

Rozłączyłem się. To nie powinno zająć dużo czasu. Zabezpieczenia nie stanowiły problemu. Stefan w ogóle ich nie miał. Nie potrzebował ich. Niepozorny, żadnych imprez, zawsze w cieniu, perfekcyjnie szary człowiek. Jego najlepszą ochroną było ukrycie, i on o tym wiedział. Kręciło go zbijanie gór pieniędzy bez niczyjej wiedzy. Ale dziś miał zapłacić za swoją arogancję.

Wielka brama z kutego żelaza otworzyła się na wypielegnowany ogród. Palmy rzucały cień na ścieżkę prowadzącą do wejścia dla służby.

Giuseppe strzelał oczami. Nie zachowywał się jak makaronowy tatusiek, którego znałem. Może wczuł się w intrygę i wydało mu się, że jest Jamesem Bondem.

-Gdzie on jest?

- W dużym salonie, gdzieżby indziej?

Podążyłem za nim korytarzem aż do kuchni.

- Panie Nick, proszę zejść z powrotem na dół, gdy pan skończy. Pamięta pan, mam dla pana pocztę i prezent.

- Jesteś pewien, że w domu nie ma nikogo więcej?

Wyglądał na zaskoczonego, potem rozejrzał się dookoła, jak bym zadał najgłupsze pytanie na świecie. Miał rację. Była nie-

działa, służba miała wolne. Normalnie wpadlibyśmy już na parę sprzątaczek, pokojówek i kilku kucharzy. Rzuciłem torbę na stół i wyjąłem z niej obcęgi z czerwonymi rączkami, które dzisiaj kupiłem. Kilka sekund później szedłem szerokimi schodami do długiego, marmurowego korytarza, wypełnionego wielometrowymi posągami greckich bogów i podróbkami mebli z czasów Ludwika XIV, za które zapłacono krwią i życiem wielu ludzi.

3

tefan nalewał whisky z karafki do ciężkiej szklanki z rżniętego szkła. Był odwrócony plecami; podniósł szklankę i zapatrzył się przez sięgające od podłogi do sufitu okno na połyskujące w oddali jezioro. Pokój pachniał papierosami i alkoholem. Na stoliku do kawy stały puste szklanki i przepelniona popielniczka. Wszędzie porozrzucone były mapy Demokratycznej Republiki Konga. Szedłem w jego kierunku z wyciągniętą lewą ręką. Prawą trzymałem przy sobie.

- Czego tu chcesz?

Podniosłem obcęgi, zacisnąłem na płatku jego prawego ucha i przekręciłem. Szklanka trzydziestoletniego trunku upadła na podłogę i rozbiła się.

Pociągnąłem go w kierunku kanap. Nie walczył, tylko piszczał jak świnia. Wszyscy tak robią.

- Dwóch rzeczy.

Obróciłem go do kanapy i ściągnąłem na drogocenne czerwono-złote poduszki. Nadal mocno trzymając, przeszedłem za niego i pociągnąłem tak, że przywarł mocno do oparcia. Teraz miałem jego niezmaconą uwagę.

- Po pierwsze, gdzie jest Standish?

-Jestem tutaj.

Drzwi dzielące pokoje otworzyły się z hukiem. Standish stanął przede mną w gotowości. W rękach miał wycelowanego w moją głowę małego glocka kalibru 9 mm.

Pojałem przesłanie i puściłem obcęgi.

Stefan wycofał się w stronę okien.

- Nie chcę tu bałaganu! Nie chcę, żeby choć odrobina tego gówna została w moim domu. A w zasadzie...

Chwycił jedną ze złotych lin przytrzymujących ogromne, czerwone, aksamitne zasłony i zaczął iść w moim kierunku.

- Sam go zabiję.

Podszedł na odległość kilku kroków, zamierzył się i uderzył mnie mocno w twarz swoją wielką, otwartą dłonią.

Gwiazdy rozbłysły mi w głowie, zwałem się na stolik do kawy. Stoczyłem się na podłogę i poczołgałem w stronę drzwi, aby uciec.

Zaczęli na siebie wrzeszczeć. Standish chciał zrobić to tu i teraz. Spojrzałem w górę. Oddychał ciężko. Jego twarz była obita, pokryta zadrapaniami i guzami.

W głowie mi się już przejaśniało. Skupiłem się na glocku. I co ja teraz, cholera, zrobię? Standish wpadł w furję.

- Mówiłem ci, żebyś uważał, prawda? Mówiłem, że mogą być kłopoty. Dlaczego nie masz żadnej broni? I ochrony?

Stefan zakręcił parę razy liną i spojrzał na mnie z uśmiechem sugerującym, że kiedyś już coś takiego robił i mu się podobało.

Pierdolę to. Jeśli mam umrzeć, to umrę, walcząc.

Nadal koncentrowałem się na glocku, wszystko inne przestało istnieć.

Zamachnąłem stopą, by zaczepić o nogę Standisha. Tylko tam mogłem uderzyć.

Zrobił krok w jedną stronę, co wybiło go nieco z równowagi.

Skoczyłem na równe nogi i złapałem broń obiema rękami, kierując ją w górę i próbując wykręcić mu z rąk.

Nie udało się.

Popchnąłem mocniej i upadł do tyłu. Ja na kolana.

Wokół mojej szyi od tyłu owinęła się i zaciskała lina.

Musiałem trzymać ręce na glocku. Napiąłem mięśnie szyi, dalej próbując wyrwać mu broń z rąk i skierować ją na jego twarz.

Nie mogłem już przesunąć się do przodu, w stronę Standisha. Lina odciągała mnie do tyłu.

Stefan zacisnął jeszcze mocniej. Utrzymałem uścisk na broni, ściągnąłem łokcie, trzymałem tak mocno, jak mogłem, żeby tylko wycelować to cholerstwo w górę.

Moja głowa puchła, przestawałem widzieć.

Wciąż trzymałem pistolet, gdy Standish ruszył do przodu i uderzył mnie głową. Cios trafił w policzek. Uderzył znów i trafił w nasadę nosa. Ponownie ujrzałem gwiazdy.

Wtedy lina wbiła się głębiej w moją szyję i wiedziałem, że to już koniec. Odciągnęli mnie od glocka. Moje ręce ześlizgnęły się z niego.

Miałem jedynie niejasną świadomość, że słyszę odgłos kroków na marmurowej posadzce i dwie osoby krzyczące z korytarza w stronę pokoju.

Pierwsza uderzyła Standisha w głowę czymś ciężkim. Padł na ziemię. Rosły czarny mężczyzna przebiegł koło mnie i usłyszałem

głuchy łoskot, po nim dwa podwójne wystrzały. Uścisk liny

nagle się zwolnił i upadłem do przodu. Moja twarz odbiła się od

twarzą Standisha. Krew i szara substancja sączyły się z boku jego

głowy.

- Już w porządku, Nick. - Tak to wy warczał z tym swoim pieprzonym akcentem z Glasgow, że nadal brzmiało jak groźba śmierci.

Odepchnąłem go.

- Nie! Nie! - Wyplułem te słowa Standishowi w twarz i ściągnąwszy sznur ze swojej szyi, zacisnąłem go wokół jego.

Zacząłem ciągnąć.

Oczy Standisha były otwarte i puste, a jego twarz nabrzmiała.

Pomyślałem o Batemanie, pomyślałem o tych wszystkich dzieciakach stojących w rzędzie na lądowisku z uśmiechami na twarzach i o tych wszystkich dzieciakach, które zamordowaliśmy w kopalni, i o tym, co zostało z twarzy dziecka, którą rozwalilem nad rzeką.

Ręce Sama pociągnęły mnie za ramiona.

- Już dobrze, już po wszystkim. Nie będzie już bardziej martwy, niż jest.

Zaczął mnie podnosić.

5

parłem się o jedną z kanap, kaszłąc i dławiąc się, próbowałem zaczerpnąć powietrza i jakoś się pozbierać. Tętnica szyjna

O pulsowała mi jak oszalała i miałem wrażenie, jakby cała tchawica została kompletnie zgnieciona. Crucial stał obok barku, mały glock prawie całkowicie ginął w jego wielkiej dłoni. Stefan leżał u jego stóp. W jego twarzy pojawiły się dwa nowe otwory.

- Znowu się udało, co? - Ledwie mogłem mówić.

Wydobyłem uśmiech z Cruciala. Zauważyłem, że cement otaczający diament, który mu dałem, był znacznie grubszy niż ten na „krwawym”.

Sam na klęczkach przeszukiwał kieszenie Standisha.

- Jak wy się tu, do cholery, znaleźliście?

Wyciągnął breloczek ze znaczkiem Audi i doczepiony do niego kluczyk.

-Lex ma swojego człowieka w głównej komendzie policji w Pretorii. Sprawdzają tam też listy pasażerów samolotów.

-Tracił głowę Standisha obcasem buta. - Wiedzieliśmy, że jeśli on żyje, prędzej czy później będzie chciał się dostać do Szwajcarii. Tak jak powiedział, miał zamiar wszystko załatwić. Jak tylko się dowiedzieliśmy, że zarezerwował bilet do Zurychu, złapaliśmy lot dzień przed nim, wyczailiśmy go na lotnisku i śledziliśmy aż do tego miejsca.

-Po co?

Przeszedł nad Standishem, by usiąść koło mnie na kanapie. Crucial ściągał pokrowce z dwóch czerwono-złotych poduch.

- Mógłbym ci zadać to samo pytanie. Pamiętasz, co mówił Standish? Człowiek to problem. Nie ma człowieka, nie ma problemu. ...

Patrzył, jak Crucial nakłada pokrowce na twarze Standisha i Stefana, by wsiąkała w nie wyciekająca nadal krew, po czym łapie Stefana pod ramiona i ciągnie w kierunku drzwi.

- Zdaje się, że wszyscy wpadliśmy na ten sam pomysł.

- Nie, mój był nawet lepszy.

Sam rzucił Crucialowi kluczyki.

Zatrzymałem go gestem ręki.

- Poczekaj. - Zwróciłem się w stronę drzwi. - Giuseppe! Chodź no tu, do cholery!

Wszedł do pokoju przygarbiony i ze zwieszoną głową. Spojrzał na mnie jak uczeń przyłapany na paleniu papierosów gdzieś na boku.

- Usiądź!

Przedreptał obok ciał. Był wystraszony, ale opanowany. Rzucił okiem raz na jednego, raz na drugiego z nieznanym mu przybyśszy.

- Tak mi przykro, panie Nick... Ten blondyn - wskazał drżącą ręką - podsłuchał naszą rozmowę. Zmusił mnie, abym powiedział panu, że nie ma tu nikogo poza panem Stefanem. - Jego głowa znów opadła. - Nie wiedziałem, że chcą pana skrzywdzić. Przepraszam.

Dopiero chwilę później przeciągnął dłonią po włosach, by się odrobinę ogarnąć i spojrzał na mnie dużymi, wilgotnymi oczami. Być może myślał, że jest następny w kolejce do terapii podwójnym strzałem.

- Ci dwaj prowadzą kościół, o którym ci mówiłem. Zajmują się dziećmi.

Pochyliłem się i spojrzałem mu prosto w oczy.

- Wiesz, że nie wolno ci nigdy nikomu o tym tutaj powiedzieć, prawda? Muszę cię ostrzec, stary. Nie zmuszaj nas do tego, abyśmy po ciebie wrócili. Ci chłopcy nie żartują, rozumiesz?

Bardziej zajmowały go dwa ciała na podłodze.

- Panie Nick, pamięta pan, co mówiłem? Niedługo się stąd wynoszę. Wydaje mi się, że teraz jest na to dobry moment, nie? Może mogę panu pomóc. Powiem, że pan Stefan wyjechał do Chin i długo go nie będzie.

Wstałem i położyłem rękę na jego ramieniu: - Wiesz co, stary? Myślę, że możesz zrobić nawet więcej.

Podszedłem do Stefana, wyciągając z jego kieszeni portfel i komórkę.

-Czy wiesz z kim on robi interesy w banku?

-Panie Nick, ja wiem wszystko. Z panem Massimo. Zawsze załatwia sprawy z panem Massimo Spenzą.

Przeglądałem spis kontaktów Stefana, aż go znalazłem.

- OK, sprawa wygląda następująco.

Upewniłem się, że pozostała dwójka też słucha.

- Stefan zostaje tutaj. Crucial, ty zabierz to ścierwo i upchnij w jego własnym samochodzie. Sam, zapisz na karteczce dane swojego konta bankowego.

Odwróciłem się do Giuseppe i uśmiechnąłem.

- Może pomożesz panu Stefanowi udzielić hojnego wsparcia finansowego tym dzieciakom w Afryce, co? No i może ty też mógłbyś zabrać ze sobą parę dolarów do Lazio...

Jego twarz ułożyła się w uśmiech kreskówkowego tatuśka. Crucial zniknął ze Standishem przelożonym przez ramię, a ja streściłem Giuseppe, co ma powiedzieć Massimo.

Sam zapisał dane konta na oderwanym rogu mapy Demokratycznej Republiki Konga.

Zmarszczyłem brwi i spojrzałem na Giuseppe.

- Chwila. Dzisiaj jest niedziela, prawda?

Giuseppe był już z powrotem w świetnej formie.

- Dla ludzi takich jak pan Stefan bank jest czynny zawsze. Wielokrotnie słyszałem, jak przenosił pieniądze z jednego kraju do drugiego o północy, z tej oto kanapy. To żaden problem...

W jednej ręce trzymałem zeszytywniały palec wskazujący Stefana, a w drugiej czarną kartę. Spojrzałem na Giuseppe.

- Na pewno jesteś gotów?

Uśmiech znikł, zebrał się w sobie i wcisnął guzik połączenia.

- Witaj, Massimo - jak się masz? Udawany głęboki niemiecki akcent pomieszany z lekkim środkowowschodnim był nieco nieudolny. - Przepraszam, że przeszkadzam, ale wyjeżdżam do Chin dziś wieczorem i chciałbym przedtem przelać trochę gotówki do Południowej Afryki.

Giuseppe słuchał i nawet puścił do mnie oko, zanim odpowiedział.

- Nie, tym razem na inne konto. Chcę, żebyś przelał dokładnie

pięć milionów dolarów. Chcesz teraz szczegóły czy najpierw po twierdzenie tożsamości?

Giuseppe skinął w stronę ręki Stefana.

- Ależ oczywiście. Jesteś gotowy?

Przeciagnałem palcem Stefana po identyfikatorze. Ciekłokrystaliczny wyświetlacz zaświecił się automatycznie i pojawił się szereg sześciu zmieniających się cyfr. Jedna po drugiej zatrzymywały się, tworząc kod. Massimo robił dokładnie to samo po swojej stronie, gdziekolwiek to było. Gdy tylko cyfry się zatrzymały, pokazałem Giuseppe wyświetlacz. Odczytał jego zawartość.

- Mam tu siedem, trzy, osiem, dziewięć, jeden, trzy.

Pochylił się w stronę Sama po karteczkę. Przeczytał dane, kończąc: -Na jutro w południe, jak zwykle? Dziękuję Massimo.

Nastąpiła pauza.

- Nie, to będzie raczej długa podróż. Możliwe że miesiąc, pół

tora, jeśli interes wypali. Dziękuję. Do widzenia.

Giuseppe oparł powoli plecy na kanapie i wyłączył telefon. Trzymał go w rękach na kolanach, zszokowany tym, co właś-

nie zrobił, i tym, że mu się to udało. Wszyscy byliśmy w szoku. Nawet Sam przestał przeżuwać papier z numerem konta. Crucial wrócił.

- To co jest grane?

Wziąłem telefon i sprawdziłem, czy jest wyłączony.

- Właśnie otrzymałeś sporą darowiznę na kościół.

Giuseppe może i nadal był w szoku, ale my już nie. Klepnałem go w udo.

- Dobra robota, stary.

Sam zwrócił się do Cruciala: - Właśnie przelał pięć milionów dolarów! Crucial pochylił się i złapał Stefana za nogi.

- Nam to na nic, dopóki po sobie nie posprzątam.

Sam złapał za drugi koniec i pociągnęli Stefana do samochodu.

Uścisnąłem dłoń Giuseppe. - Podaj nam
 namiary, to przelejemy ci pieniądze, OK?
 Zawinięta w pokrowiec głowa Stefana opadła

na ramię Sama, podczas gdy Crucial, idąc tyłem, trzymał jego
 stopy.

-Pośpiesz się, Nick. Musimy stąd spadać.

Potrząsnąłem nogą Giuseppe: - No, pozbieraj się.

Jego twarz ułożyła się w tatusiowaty uśmiech.

-Moja siostra. Przesyłałem jej pieniądze co miesiąc.

- No to do roboty - podniosłem go - prześlijmy jej jeszcze trochę.

Szliśmy przez marmurowy korytarz.

- Załatwię wszystko za pana, panie Nick. - Giuseppe przed stawiał program. - Zniszczę paszport pana Stefana, uprzątnę wszystko, żeby wyglądało tak, jakby wyjechał. Potem będę udawał głupiego. Po tygodniu złożę rezygnację i wyjadę.

Byliśmy na schodach do kuchni.

-Panie Nick, muszę panu coś wyznać.

-O co chodzi?

-Ja zawsze wiedziałem o tych biednych ludziach w Afryce i o tym, jak pan Stefan pozwalał ich traktować. Raz słyszałem, jak rozmawiał z Chińczykami. Mówili, że dopóki kruszec jest wydobywany, nie obchodzi ich, ilu ludzi ginie...

Położyłem dłoń na jego ramieniu.

- Nie dręcz się tym. Wszyscy musimy jakoś zarabiać na utrzymanie.

Doszliśmy do piwnic i zabrałem torbę. Giuseppe otworzył komodę i wyciągnął dużą, brązową kopertę. Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Pańska poczta, panie Nick. Otworzyłem ją na wypadek, gdy by to miało być coś ważnego.

Wziąłem kopertę i wcisnąłem pod pachę. Lekka lektura na później... może.

- Jak tylko dostaniemy pieniądze, Giuseppe, ty też je otrzymasz. A policja niech ci nie spędza snu z powiek. To jest szwajcarskie konto. Prywatne i numerowe. Nie ma szans, żeby Massimo czy ktokolwiek inny ujawnił jakieś szczegóły.

Podał mi kartkę z numerem konta, odwróciłem się w stronę wyjścia. Nie było sensu wylewnie się żegnać. Trzeba było się wynosić. Mieliśmy inne rzeczy do zrobienia.

- Pan poczeka, panie Nick - pański prezent.

Podbiegł do wielkiej stalowej lodówki i wrócił z ciabattą z serem i piklami, zapakowaną w plastikową torebkę. Wręczył mi ją obiema dłońmi, jakby wręczał mi medal.

- Jeśli kiedykolwiek spotka pan pannę Silky, proszę ją ode mnie pozdrowić.

Jechaliśmy w stronę miasta niebieskim sedanem Standisha. Crucial prowadził, Sam siedział obok niego. Minęliśmy zaparkowane czerwone punto.

Crucial wskazał palcem: -Nasz wynajęty samochód. Będziemy musieli go odebrać, jak tylko wybrniemy z tego ^ówna. Nie mam ochoty na mandat. - Myślał, że to było bardzo zabawne. Sam odwrócił się do mnie.

-Wszystko załatwione z Giuseppe?

-Tak. - Rozerwałem kopertę.

-Więc, co teraz? To twoja okolica.

-Poczekamy, aż będzie dość ciemno, aby wrzucić te ścierwa do jeziora. Jestem pewny, że na dnie znajdą paru kolesiów z mafii, z którymi będą się mogli zaprzyjaźnić. Spalimy samochód - nie będzie śladów DNA - potem zabiorę was do Zurychu i znikam.

- Jesteś pewny, że nie chcesz z nami jechać?

-Tak.

- Więc weź trochę kasy. Będziesz jej potrzebował, żeby się urządzić.

Rozsiadłem się i roześmiałem, otwierając kopertę.

- Myślicie, że po jaką cholere ja to wszystko robiłem? Żeby jedynie was dofinansować, durnie?

Crucial roześmiał się, a ja zobaczyłem duży i mały diament w lusterku.

- Liczę po pięćset na głowę dla mnie i Giuseppe oraz po dwie bańki dla ciebie i Mercy Flight. Może być?

Jechaliśmy wzdłuż tonącej w cieniach palm Riva Albertoli. Wszystko było w porządku. Załatwione, kompletne.

Wciąż pozostawało jednak pytanie, na które Sam oczekiwał odpowiedzi tak samo jak ja.

- No więc, co jest w tej kopercie?

Wyciągnąłem parę świstków. Przejrzałem je szybko i prawie osunąłem się na podłogę.

Trzy pierwsze były mandatami za szybką jazdę zarejestrowaną przez kamery w Londynie.

Czwarty był grzywną za nieopłacenie wjazdu do centrum.

Resztę stanowiły mandaty za parkowanie, które dostawałem każdego dnia za motorower pozostawiony na stacji Lugano.

Rzuciłem to wszystko na siedzenie obok kanapki z sosem Branstona i zacząłem się śmiać.